

Trzymający w napięciu thriller psychologiczny
autorki MILCZĄCEGO DZIECKA

POMÓŻ MI



Sarah A. Denzil

„Doskonały thriller” – NETGALLEY ★★★★★

FILIA

Sarah A. Denzil

**POMÓŻ
MI**

Przełożył
Adrian Napieralski

FILIA

Tytuł oryginału: *Little One*

Copyright © 2020 Sarah A. Denzil

Copyright for the Polish edition © 2021 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2021

Projekt okładki: Deranged Doctor Designs

Zdjęcie na okładce: © Mark Owen / Trevillion Images

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-902-5

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna strona

mrocznastrona.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

SPIS TREŚCI

[*Karta tytułowa*](#)

[*Karta redakcyjna*](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[Rozdział 83](#)

[Rozdział 84](#)

[Rozdział 85](#)

[Rozdział 86](#)

[Rozdział 87](#)

[Rozdział 88](#)

[Epilog](#)

[Reklama](#)

Rozdział 1

– Chwyć mnie za rękę, maleńka, nic ci już nie grozi.

Dziecko zamrugało, ale się nie poruszyło. Fran przykucnęła, żeby spojrzeć dziewczynce prosto w oczy. Obolałe mięśnie zaprotestowały, ale zignorowała ten dyskomfort. Bardziej niepokoiło ją dziecko, które przebywało samo w parku o piątej nad ranem.

Fran cofnęła dłoń. Może należało inaczej do tego podejść.

– Jak masz na imię, kochanie?

Dziewczynka, ubrana w żółtą sukienkę z tasiemkami i kołnierzykiem w stylu Piotrusia Pana, przypominała żywą lalkę. Mogła mieć sześć lub siedem lat. Złote włosy opadały jej luźno na ramiona. Znad lśniących czarnych bucików zapinanych na paseczek wystawały plisowane białe skarpetki. Fran skojarzyło się to z jej matką, która nosiła takie ubrania, kiedy była dzieckiem, w latach sześćdziesiątych. Strój ten uznała za staromodny, ale uroczy.

– Ojciec nadchodzi. On mnie tu znajdzie – powiedziała dziewczynka z pełnym przekonaniem w głosie i z absolutną szczerością.

– Możemy razem poszukać twojego tatusia, jeśli chcesz. Jak ci na imię? – Fran zaczynała czuć się nieswojo. Czy spędziła tutaj z tym dzieckiem już zbyt wiele czasu? Czy to mogło wydawać się dziwne? Wyprostowała się i rozejrzała po pustym parku z nadzieją, że zobaczy matkę lub ojca dziecka gdzieś przy huśtawkach. Nie chciała od razu dzwonić na policję, bo w ten sposób mogłaby przestraszyć dziewczynkę. Ale czas upływał, a ona wciąż szukała najbezpieczniejszej opcji.

– Esther. – Mała wypowiedziała swoje imię wyraźnie, bez cienia wstydu, zdawkowo. Fran nie usłyszała tego za pierwszym razem, ale teraz sobie to uświadomiła. Amerykański akcent, rzadkość w Leacroft.

– Gdzie mieszka twój tatuś? Możemy go razem poszukać. – Fran patrzyła z narastającą rozpaczą na stojące spokojnie dziecko. Co należało zrobić w tak kryzysowej sytuacji? Zabrać dziecko do domu przed wezwaniem policji, czy czekać tutaj w chłodzie przed świtem? Wyruszyć na poszukiwania rodziców? Kiedy Fran zaczynała swoją wczesnoporanną przebieżkę, nie miała czegoś takiego w planach.

– W Arizonie – odparło dziecko.

Fran wyjęła telefon z kieszonki obcisłych spodni do biegania. Na ciemnym ekranie zobaczyła swoje odbicie. Odwróciła głowę w stronę rzędów domów ciągnących się równolegle wzdłuż parku, zastanawiając się, skąd nadeszła dziewczynka. Już miała się poddać i wybrać numer na policję, kiedy usłyszała za sobą odgłos kroków. Zobaczyła kobietę biegnącą przez park, która właśnie poślizgnęła się na pokrytej rosą trawie. Fran wyciągnęła rękę, gotowa ją przytrzymać, kiedy się zrównają.

– Hej – zawołała, jakby zwracała się do przestraszonego zwierzęcia. – Ostrożnie, ziemia jest mokra.

– Esther? To ty, Esther?

Kobieta upadła na kolana i mocno przytuliła dziecko. Miała taki sam amerykański akcent jak dziewczynka. Nawet w mroku Fran zauważyła, jak młoda jest jej matka. Mogła mieć jakieś dwadzieścia pięć lat, może mniej. Brązowe, gęste, falujące włosy. Długa suknia, na niej sweter. Przyzwoite buty, żadnej widocznej biżuterii. Odzież wyglądała na porządną, zrobioną z naturalnej bawełny, co sugerowało, że mogła być szyta ręcznie. Kobieta z pewnością nie kupiła jej w żadnej sieciówce.

– Pani jest mamą Esther? Mam na imię Fran. Znalazłam ją jakieś pięć minut temu. Biegałam po parku i zobaczyłam, że stoi tutaj sama. – Fran nie była pewna, czy kobieta jej słucha, ale nie przerwała toku wyjaśnień. – Już chciałam dzwonić na policję. Mała powiedziała, że czeka na ojca, ale ten mieszka w Arizonie.

Kobieta wstała i przetarła nos grzbietem dłoni. Fran po raz pierwszy zobaczyła jej zaczerwienione oczy i plamistą skórę. Jej suknia była pobrudzona trawą w miejscu, gdzie materiał zetknął się z ziemią.

– Dziękuję – powiedziała. Spojrzała na córkę i chwyciła ją za rękę. – Jej tatuś nie mieszka w Arizonie, ale stamtąd niedawno się przeprowadziliśmy i Esther wciąż się w tym wszystkim gubi. Wstałam wcześniej, wyrzuciłam śmieci do kontenera... do kubła na śmieci?

– Zgadza się – odparła Fran, zachęcając ją do próby nauki brytyjskiego dialektu.

– Widziałam tylko, jak obok mnie przemknęła. Zgubiłam ją na ulicy. Mieszkamy we wschodniej części miasteczka, przy potoku.

Dzięki Bogu, że ją pani znalazła.

– Na pewno wszystko w porządku, kochana? – spytała Fran. – Jak masz na imię?

– Mary. Mary Whitaker. Przeprowadziliśmy się tutaj w ubiegłym tygodniu. Dopiero się urządzamy. Przepraszam za to wszystko. Zwykle jest grzeczna, nie wiedziałam...

Fran położyła dłoń na ramieniu Mary.

– Dzieci robią takie rzeczy przez cały czas. Tak przynajmniej słyszałam.

Kobieta otworzyła szerzej oczy.

– Nie ma pani dzieci? Tak mi... – Odwróciła wzrok, jakby w poczuciu winy. Fran była pewna, że tamta chciała powiedzieć: „Tak mi przykro”.

Choć Fran wiedziała, że Mary nie miała nic złego na myśli i zareagowała odruchowo, zabrała rękę z jej ramienia i wzdrygnęła się w duchu. Taka sytuacja nie była niczym nowym, a ona, kobieta po czterdziestce, zdążyła już uwierzyć, że nie robi to na niej wrażenia. Jak się okazało – wciąż robiło i pewnie nigdy nie przestanie.

– Proszę lepiej zabrać Esther do domu. – Fran się uśmiechnęła i wsparła dłonie na biodrach.

– Boże, oczywiście. – Mary spojrzała w stronę wschodzącego słońca. – Elijah niedługo się obudzi.

– To pani mąż?

Kobieta skinęła głową.

– Lepiej nie dodawać mu teraz zmartwień. – Uśmiechnęła się niepewnie.

Fran patrzyła, jak odchodzą razem przez park. Mary szła z lekko zwieszonymi ramionami. Esther była wyprostowana, a jej

blond włosy kołysały się na boki. Zimna marcowa bryza wdarła się Fran za kołnierz. Kobieta nie potrafiła określić, co tak dokładnie wzbudziło jej niepokój. Czy chodziło o wiek matki dziewczynki? Niezwykłe opanowanie tego dziecka? A może fakt, że Mary obawiała się powiedzieć mężowi o tym, co zaszło?

Rozdział 2

Woda pod prysznicem zmyła pot. Po tym jak Mary zabrała Esther do domu, Fran biegała jeszcze intensywnie przez czterdzieści minut, okrążając trzykrotnie całą dzielnicę. Gdyby nie przerwa w środku treningu, zapewne pobiłaby własny rekord.

Fran nie lubiła się ociągać, więc zakręciła wodę i owinęła ciało ręcznikiem. Przebiegła palcami po swoich krótkich włosach i wróciła do sypialni, żeby wyschnąć. Adrian pochrapywał spokojnie z twarzą przyciśniętą do prześcieradła. Po niemal dziesięciu latach małżeństwa wciąż uważała jego typową pozycję we śnie – na brzuchu z rozłożonymi ramionami – za uroczą, a siwiejące włosy za seksowne. W żartach nazywała go Starym Srebrnym Lisem, co było szczególnie trafne, zważywszy na dzielącą ich różnicę wieku. Podeszła do łóżka i potargała mu włosy.

Język Adriana mlasnął o podniebienie, kiedy ten się przebudził i zaczął poruszać wargami w poszukiwaniu wilgoci. Przewrócił się na plecy, przetarł oczy i popatrzył na nią. W pierwszej chwili uśmiechnęła się, ale szybko wróciły do niej wydarzenia z poranka i poczuła przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz. Pomyślała

o Esther i jej miękkich, jasnych rzęsach uderzających o delikatną skórę pod oczami.

– Nie uwierzysz, co mi się przytrafiło podczas biegania.

– Znów ten borsuk między kubłami na śmieci? – Usiadł i oparł się o wezglowie łóżka, a jego okrągławy brzuch wysunął się spod kołdry.

– Znalazłam małą dziewczynkę.

Potarł oczy.

– Co?

– Dziecko. W parku. Stała tam, obok huśtawek, bez rodziców. Myślałam, że zejść na zawał.

Adrian zachęcił ją gestem, by usiadła obok niego na materacu. Nakrył jej dłoń swoją.

– Nic jej nie było?

– Nic. Wszystko z nią w porządku. Po kilku minutach zjawiała się jej matka, ale... – Fran westchnęła ciężko. – Ady, tych kilka minut było prawdziwym koszmarem. Nie wiedziałam, co robić! Mam czterdzieści sześć lat, a ta dziewczynka w parku zupełnie wytrąciła mnie z równowagi.

Adrian pogładził ją po plecach, łapiąc dłonią spływające kropelki wody.

– Była piąta nad ranem, Franny. Nic dziwnego, że przestraszyło cię samotne dziecko.

– Wiem. Ale na szczęście nic złego się nie stało. Dziewczynka wróciła do matki w ciągu kilku minut, nikt nie ucierpiał, ale...

– No co? – Przysunął się bliżej.

– Trudno mi to wyjaśnić teraz, kiedy już się rozstałyśmy. Ale miałam jakieś dziwne przeczucie. – Odwróciła głowę, aby nie widzieć, jak jej mąż przewraca oczami. Jako mężczyzna wierny

logice i zdrowemu rozsądkowi rzadko tolerował jej instynkty. – Po pierwsze, obie były Amerykankami.

– Okej.

– Nie uważasz, że to dziwne?

– Może odrobinę. Ale mogli się tutaj przeprowadzić w związku z pracą.

– Po drugie, po co przenosić się z Arizony, żeby pracować w Leacroft? Co tutaj mogło być aż tak atrakcyjnego, że podjęli taką decyzję? Wszystkie poważniejsze oferty pracy dotyczą Londynu, a my jesteśmy na niewłaściwym końcu kraju.

– Zgadza się – przyznał Adrian. – Rozumiem twój tok myślenia. Co jeszcze wydało ci się dziwne?

– Sposób, w jaki były ubrane. Pamiętasz zdjęcia mojej mamy jako małego berbecia? I te słodkie, staromodne sukienki? To dziecko miało na sobie coś podobnego. A matka, tak przy okazji zdecydowanie za młoda, żeby mieć dziecko w takim wieku, miała na sobie długą suknię, którą, moim zdaniem, uszyła sobie sama. To wszystko przypominało mi małą inscenizację *Domku na prerii*.

Adrian roześmiał się w reakcji na to porównanie.

– Może to ten typ ludzi, którzy wszystko robią sami. Nie każdy nosi poliestry z Primarku.

Fran uniosła rękę.

– Wiem, wiem. Ale i tak było w nich coś dziwnego, co nie daje mi spokoju.

– Czy dziewczynka sprawiała wrażenie przestraszonej?

– Nie, powiedziała mi, że czeka na swojego ojca.

– W parku? – Adrian zmarszczył brwi. – Pracuje na nocną zmianę czy co?

Fran wydeła dolną wargę. Właśnie wpadła na pomysł, że warto byłoby przyjrzeć się nieco bliżej tajemniczemu Whitakerom. Nowa rodzina w okolicy z całą pewnością będzie doskonałą pożywką dla plotkarskiej maszyny. Adrian miał rację – jeśli ojciec małej pracował nocami, to Esther mogła wymknąć się z łóżka, żeby go szukać. W tej samej chwili Fran coś sobie jednak przypomniała i natychmiast zeszywniała.

– O co chodzi? – zapytał Adrian.

– Ta kobieta, Mary, powiedziała: „Elijah niedługo się obudzi”. Jeśli to ojciec dziecka, to znaczy, że był w domu.

– Mary i Elijah – mruknął Adrian. – Cholernie biblijne. To mogłoby wyjaśniać te ręcznie szyte ciuchy. Może to religijna rodzina? Wyglądali ci na amiszów?

– Całkiem możliwe. – Fran wstała z łóżka. – Mary mówiła tak, jakby nie chciała, żeby Elijah wiedział o ucieczce dziecka. Dlaczego nie chciała powiedzieć mężowi o takim zdarzeniu?

– No cóż – rzucił Adrian, ściskając lekko jej dłoń. – Nie wszystkich łączą takie więzi jak nas.

– Wiem o tym. Może się go bała i dlatego nie chciała, żeby się dowiedział. Ale dlaczego w takim razie dziewczynka uznała, że spotka się z ojcem w parku?

– Zaczynasz świrować, Fran.

– Guzik mnie to obchodzi.

Jego kciuk przesunął się łagodnie po jej skórze, jak palec pieszczący policzek niemowlęcia.

– Ostrożnie, Franny.

Spojrzała mu w oczy, przyjęła ostrzeżenie i natychmiast wyrzuciła je z głowy.

Rozdział 3

Ratusz w Leacroft został wzniesiony na szczycie najwyższego z okolicznych wzgórz, co oznaczało, że znalezienie tam miejsca do parkowania w środę po czternastej granoczyło z cudem. Fran pięła się pod górę i zatrzymywała się co pewien czas, by wypić łyk wody z butelki. Postanowiła zaliczyć tę wspinaczkę do swojego codziennego reżimu treningowego, choć okazała się ona nie lada wyzwaniem, szczególnie po porannym biegu.

– Będę mógł wjechać, jeśli się wycofasz.

Im bliżej ratusza była Fran, tym wyraźniej słyszała wszystkie głosy.

– Hejka! Cześć, Fran! Przyniosłam ciastka!

Fran uniosła rękę i pomachała. Przemknęła wśród stojących na parkingu samochodów, omijając te, których kierowcy próbowali wcisnąć się w wąskie pola pomiędzy liniami. Trzaskanie drzwiami aut i śmiechy stały się swoistą melodią tego miejsca. Fran przytrzymała drzwi wejściowe grupie chórzystek, z których niemal wszystkie były już siwowłose.

Ich chór składał się głównie z emerytów i z tej właśnie przyczyny Fran była w nim najmłodsza. Nie pracowała już od kilku lat, postanowiła bowiem odejść wcześniej z dziennikarstwa,

kiedy świat się zmienił, a ona poczuła się już zbędna. Okazjonalnie pisywała artykuły do lokalnej gazety, ale nie budziło to w niej specjalnego entuzjazmu. Rzadko zdarzały się okazje do prowadzenia badań, wszystkiego oczekiwano „na wczoraj”. Nagłówki musiały być krzykliwe, dramatyczne oraz zabiegać o uwagę i kliknięcia. Nienawidziła artykułów publikowanych w sieci. Reklamy środków na odchudzanie wyskakiwały w środku pisanych przez nią tekstów i zaburzały cały rytm.

Przywitała się ze znajomymi, zrzuciła torbę na plastikowe krzesło i wypila nieco więcej wody. W pomieszczeniu echem odbijały się śmiechy i szuranie obcasów na drewnianej podłodze. Kiedy jednak gwar ucichł, jego miejsce zajął profesjonalizm i cała grupa natychmiast przeszła do rozgrzewek. Chóru z Leacroft nie sposób było porównywać do tego z *Pojedynku na głosy*, ale śpiewanie sprawiało jego członkom wiele radości, a nawet kilkakrotnie popisali się swoimi umiejętnościami przed miejscową publicznością. Obecnie pracowali nad aranżacją ścieżki dźwiękowej do *Króla rozrywki*, która nie należała jednak do ulubionych Fran. Zajęła się śpiewaniem, obserwując jak niektóre z pań – na przykład Alisha – uginają lekko kolana i prostują plecy, by wydobyć z siebie mocniejsze dźwięki, albo – jak Ivy – kołyszą się w rytm muzyki. Fran nie popisywała się szczególnie, ale kiedy skończyli, i tak była cała spocona.

Po zakończeniu próby Fran podążyła za Emily, miejscową plotkarą, pod samą ścianę sali, mając nadzieję zastać ją w dobrym nastroju. Nie było to specjalnie trudne. Emily była znana w całym miasteczku, a jej mąż Clive prowadził pub Pod Czerwonym Lwem. Jeśli zamierzała zdobyć jakiegokolwiek informacje na temat Whitakerów, to Emily mogła okazać się najlepszym ich źródłem.

– Wiesz coś o tej nowej rodzinie w Leacroft? – zapytała Fran, rozsiadając się swobodnie na krześle.

– O tak, pewnie. To Amerykanie. – Jasne oczy Emily zalśniły. Była to kobieta już po siedemdziesiątce, niskiego wzrostu, z wąskimi ramionami.

– Słyszałam, że pochodzą z Arizony – mruknęła Fran niby od niechcienia, ale tak naprawdę rzucając przynętę.

– Zgadza się. Whitakerowie. On właśnie dostał pracę u Gary’ego, wiesz, tego od murów z kamienia.

– Tak, wiem. Mąż Sall.

– Właśnie ten. – Podrapała się po nosie i pochyliła nieco do przodu, co było wyraźnym znakiem, że zamierza powiedzieć coś, o czym mówić nie powinna. – Oni są bardzo religijni. Gary wspomniał o tym Sall, która z kolei powiedziała Clive’owi, że facet jest mormonem albo czy coś w tym rodzaju. Wiesz... to ci, którzy budują własnoręcznie domy i tak dalej.

– Amisze?

– Tak. Założył, że on jest amiszem. Czy w innym przypadku zdecydowałby się na tak ciężką pracę? I dlaczego nosi te dziwne koszule i brodę?

– Może to zwykły hipster? – podsunęła Fran.

– Och, masz na myśli tych, co noszą koczki na głowie? – Skrzywiła się, jakby zjadła właśnie coś wyjątkowo niesmacznego.

– Nie, nie. To nie jeden z tych.

– Ale jest amiszem? Z Arizony? To mi wygląda na niewłaściwą część kraju. Czy oni nie żyją w Pensylwanii?

– Może Gary się pomylił. A dlaczego pytasz?

– Och, bez powodu. Po prostu zaciekawili mnie nowi mieszkańcy.

– Poznałaś już jego żonę? – Oczy Elise znów zaślniły. – Taka chudzinka. Wygląda na dwudziestolatkę, a ma już dziecko. Tam się wydarzyło coś dziwnego. Myślisz, że to jedna z tych nastoletnich narzeczonych?

– Nie, nie sędę – odparła Fran. – Nie w Stanach.

Emily prychnęła.

– Nigdy nie wiadomo. Oni tam pobierają się z dużo młodszymi od siebie. Clive ma rodzinę w Idaho. Nie, w Iowa. Nie. Aaa, nieważne. Tak czy inaczej, jego bratanica wyszła za mąż w wieku osiemnastu lat. Dasz wiarę? W takich czasach? Nawet ja i Clive zaczekaliśmy, aż skończymy dwadzieścia pięć, a to było ponad czterdzieści lat temu.

– Mhm.

– To jak, poznałaś ich już? Whitakerów?

– Widziałam rano w parku dziewczynkę i jej matkę.

– Och, ta mała jest taka rozkoszna, jak mała lalczka. W ogóle nie przypomina swoich rodziców z tymi swoimi blond włoskami. Czy to nie dziwne? Jasnowłose i jasnookie dziecko dwojga brunetów?

– To się czasami zdarza – powiedziała Fran.

– Cóż, pewnie tak. – Emily przerwała i położyła jej dłoń na ramieniu. – A jak ty się w ogóle miewasz? Nie pytałam cię o to już od jakiegoś czasu.

Fran uświadomiła sobie, że przestała na chwilę oddychać. Nie spodziewała się, że znów wróci ten temat.

– Świetnie, Emily, naprawdę. U mnie wszystko gra.

– Jeśli zechcesz jakąś książkę do poczytania, wiesz, gdzie mnie szukać.

Fran uwolniła delikatnie ramię od dłoni kobiety i wyszła.

Rozdział 4

Jak zwykle o piątej nad ranem Fran biegła przez park. W Leacroft świt dopiero miał nadejść, a uliczne latarnie wciąż rzucały plamy światła na ulice, elewacje budynków i zaparkowane samochody. Ciszę przerwał śpiew ptaka. W wysokiej trawie, wśród żywopłotów i drzew przemykały lisy. Fran skierowała się w stronę centrum parku, w końcu przystanąła i odwróciła głowę w kierunku huśtawek, wciąż nieco zdyszana. Stała tak przez chwilę, patrząc na łańcuchy, zużyte plastikowe siedziska i metalowe ramy z odchodzącą płatami czerwoną farbą. Oddychała głęboko. Jej pierś unosiła się i opadała. W końcu się roześmiała, łajając się za niedorzeczne myśli. Dziewczynki tutaj nie było – zapewne bezpiecznie przebywała w domu z rodzicami.

Fran przez pozostałą część przebieżki odczuwała ból ud. Postanowiła ją skrócić i skierować kroki ku domowi. Ku domowi jej męża. Zawsze myślała o tym miejscu właśnie w taki sposób. To on był jego właścicielem, ona tam tylko mieszkała. Nie należała do niej ani jedna cegielka. Nie dokładała się do opłat za dom, lecz on sam też nie płacił. Skromne rozmiary ich willi kryły fakt, że Adrian urodził się w zamożnej rodzinie. Odziedziczył posiadłość

po rodzicach dekadę wcześniej, zanim w ciągu pięciu lat zmarli jego rodzice – matka na zawał, a ojciec na raka.

Nigdy celowo nie ukrywał swojego majątku, ale też nie rzucał się on w oczy, bo Adrianowi nie zależało na drogich samochodach, rezydencjach czy diamentach. Prawda była taka, że Fran myślała w podobny sposób. Mimo to dysponowali znaczną kwotą w banku, która ułatwiała im życie. Adrian był od niej starszy o dziesięć lat i przed pięcioma zrezygnował z pracy wykładowcy na uniwersytecie w Derby. Kiedy to zrobił, w delikatny sposób zachęcał ją do tego samego. Tak naprawdę to był jego pomysł. Od tamtej pory Adrian zdążył już przywyknąć do emerytury, jednak Fran – jeszcze nie.

Po wejściu do domu zdjęła z siebie przeпоcony strój, wrzuciła go do pralki, wzięła szybki prysznic, usmażyła trochę bekonu i zaparzyła kawę. Po wszystkim zdecydowała się zrelaksować w ogrodzie. Nadszedł czas na odpoczynek, na pozbycie się napięcia z głowy i ciała. Taki miała przynajmniej plan. Mimo to nie przestawała rozmyślać nad słowami Emily, swojej wścibskiej i natrętnej znajomej, które padły po próbie chóru. *Jeśli zechcesz jakąś książkę do poczytania...* Za kogo ona ją uważała? Fran sączyła kawę, rozkoszując się lekką goryczką. Myśli biegały jak szalone, więc wyjęła telefon i postanowiła pozwolić sobie na kwadrans przewijania memów na Facebooku. Ku swojemu zaskoczeniu zauważyła, że ma nową propozycję znajomości.

Fran rzadko poznawała kogoś nowego w tych czasach. Miała koleżanki z chóru, z dawnej redakcji gazety, znała kilka osób z uniwersytetu, które rozjechały się po całym kraju, oraz ludzi, których widywała regularnie w miasteczku. Nie oczekiwała nowej

propozycji, a kiedy przeszła do powiadomień, zdumiała się jeszcze bardziej. Mary Whitaker.

Fran dotknęła ikony Mary i przewinęła jej facebookowy profil. Teraz, kiedy były już znajomymi, mogła zobaczyć wszystko. Emily miała rację w kwestii religijności. Mary udostępniała na swojej stronie liczne modlitwy. Fran zobaczyła mocno przefiltrowane zdjęcie czyichś rąk z tekstem modlitwy u góry. Na innym tło wypełniała dziecięca twarz, a na trzecim zapalona świeca. Fran nadal bywała w kościele na festiwalach albo wtedy, gdy miała fatalny nastrój, ale zawsze uznawała tego typu obrazki za przesłodzone. Mimo to modlitwy były całkiem przyjemne, koncentrowały się zwykle na miłości, świetle i uzdrawiającej mocy Boga.

Zdjęć było niewiele, ale wszystkie, które Fran znalazła, wyglądały na zrobione całkiem niedawno. Nie zobaczyła fotografii przedstawiającej małą Esther. Żadnego gaworzącego niemowlaka w śpioszkach. Żadnych rodzinnych wakacji na plaży. Ujrzała za to kilka zdjęć Esther trzymającej szmacianą lalkę, ubranej w tę samą żółtą sukienkę z falbankami. Zdjęcie profilowe Mary było dość ciemne, a na jej ładnej twarzy panowała wyjątkowa powaga. Z pewnością różniła się od Fran, kiedy ta była w jej wieku. Nie mieszkała w akademiku, żywiąc się tostami, pijąc wódkę i paląc papierosy. Nie imprezowała każdego wieczoru i nie próbowała rozpaczliwie każdego ranka przeglądać materiały na popołudniowe wykłady. Wolna, owszem, czasami dzika, ale nigdy poważna. Nawet w trakcie sesji.

– Czy została w domu jakaś kropla mleka? – zapytał Adrian, który zszedł po kamiennych schodach na taras. Był boso, bez koszulki, z rozczochranymi siwymi włosami.

– W lodówce powinna być jeszcze odrobina.

– Nie ma.

Fran odwróciła głowę przez ramię.

– Kto, w takim razie, wstawił do lodówki pustą butelkę po mleku?

Adrian wzruszył ramionami.

– Chyba muszę się wybrać na zakupy.

– Chyba tak.

Zanim zawrócił do domu, Fran machnęła ręką.

– Chodź tutaj na sekundę. Nie uważasz tego za dziwne?

– Czego?

– Mary Whitaker wysłała mi zaproszenie do znajomych.

– A co w tym dziwnego?

– No, na początek jej profil. Żadnych zdjęć, żadnych wakacji, tylko modlitwy.

Adrian odchylił głowę i ziewnął.

– Nic dziwnego, jak na tak zamkniętych w sobie ludzi. Założyła profil pewnie po przeprowadzce tutaj. Zobacz, tu widać, kiedy dołączyła. O, dwa dni temu.

– To również jest dziwne – zauważyła Fran.

– Zrobiła to pewnie tylko po to, żebyś została jej znajomą. Chce mieć z tobą kontakt. Znalazłaś w końcu jej córkę w parku. Może chce ci podziękować. Chcesz coś ze sklepu?

– Wino. – Fran zamyśliła się na chwilę. – Ale nie to paskudne chardonnay, które ostatnio kupiłeś. I czekoladę. Coś dobrego.

– Jasne, kochanie.

– Och, i kończy się papier toaletowy.

Jego głos cichł, kiedy szedł w stronę domu.

– Mam zrobić listę?

– I tabletki do zmywarki – zawołała za nim Fran.

Jej myśli były teraz rozdzielone pomiędzy niezbędnymi rzeczami w domu i profilem kobiety na ekranie. Zamyśliła się tak głęboko, że następne powiadomienie zaskoczyło ją swoją nagłością. Na ekranie pojawiła się okrągła bańka z twarzą Mary. Wysłała prywatną wiadomość. Fran dotknęła małej ikonki, żeby otworzyć tekst.

„Czy możemy się spotkać? Chciałabym podziękować za to, co pani zrobiła”.

Rozdział 5

W Leacroft znajdowała się tylko jedna kawiarnia i Fran знаła właścicielkę. Kiedy weszła, uniosła rękę, jednocześnie trącając mały dzwonek nad drzwiami. Na każdym stoliku stała nieduża doniczka z rozmarynem, który zapewniał lokalowi przyjemny, ziołowy zapach, mieszający się z aromatami kawy i wypieków. Rozejrzawszy się pośpiesznie, Fran zauważyła Mary i Esther siedzące przy oknie. Mary się uśmiechnęła, a Fran natychmiast rozpoznała, że nie był to uśmiech kogoś zrelaksowanego – bardziej przelotny i pełen niepokoju. Młoda kobieta bawiła się włosami, bez przerwy zakładając je za ucho i zza niego wyjmując. Dla odmiany Esther siedziała całkowicie spokojnie, z dłońmi ułożonymi na kolanach, jakby pozowała do szkolnej fotografii.

Włosy Esther zostały splecione w warkoczyki. Miała dziś na sobie bladoniebieską, letnią sukienkę na ramiączkach, która również wyglądała na szytą ręcznie. Mary ubrana była w sukienkę z długimi rękawami, ale materiał był lekki, prawdopodobnie lniany. Włosy związała w wysoki kok, pozostawiła jedynie dwa długie kosmyki na skroniach.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała Fran. Odłożyła torebkę na blat i wyjęła z niej portmonetkę. – Co zamówiłaś?

– Och – odparła Mary, otwierając szeroko oczy. – Czekałam na panią. Nie byłam pewna, co zamówić.

– Wszystko tutaj mają dobre. Wiesz co, bierz to, na co masz ochotę. Ja stawiam.

– Nie, nie mogłabym – odpowiedziała pośpiesznie. – Nie po tym, co pani zrobiła dla mnie i dla Esther. Proszę. – Przesunęła po blacie banknot pięćofuntowy. – Może pani zamówić dla mnie to, co dla siebie? Bardzo dziękuję.

Fran zabrała banknot, po czym poprosiła o dwie cappuccino i dwa kawałki ciasta dla siebie i Mary. Dla Esther wybrała gorącą czekoladę z piankami. Postanowiła nie mówić Mary o tym, że jej piąтак nie pokrywał nawet połowy wartości zamówienia, po prostu postawiła tacę na stole.

– Jak tam wasze początki w Leacroft? – zapytała.

– Dobrze. Ludzie są tutaj bardzo przyjaźni. – Na twarzy Mary znów na moment zagościł uśmiech pełen niepokoju, przypominający burzową chmurę, która przemknęła przez niebo w przyspieszonym tempie.

– A ty, Esther? Podoba ci się nowa szkoła? – Dopiero kiedy Fran zadała to pytanie, uświadomiła sobie, że była teraz pora zajęć, a dziewczynka mimo tego była tutaj z nimi.

– Uczymy Esther w domu – wyjaśniła Mary.

– Wow, fantastycznie! – Fran sama usłyszała swój udawany entuzjizm i skrzywiła się w środku.

– Tutaj to raczej coś niespotykanego – dodała Mary. – W naszej rodzinie to taka tradycja.

– Rozumiem. Masz chyba przez to mało czasu?

Mary upiła łyk kawy i skinęła głową.

– Niestety tak. – Odwróciła głowę do córki, która wpatrywała się niepewnie w kubek z czekoladą. – Śmiało, kochanie, możesz wypić.

– Ale mamusiu...

– Wszystko w porządku.

– Ojciec...

– Wypij tę czekoladę, Essie.

– Mogę kupić jej coś innego – rzuciła zmieszana Fran. – Przepraszam, powinnam była zapytać. – Patrzyła to na matkę, to na córkę, czując się dziwnie i niekomfortowo. – Ma nietolerancję laktozy?

Mary zmarszczyła czoło.

– Laktozy?

– To taka dolegliwość trawienna.

– Ach, nie. Nic w tym rodzaju. Nie przywykła po prostu do tak fantastycznych rzeczy – wyjaśniła Mary. – W naszym domu jadamy proste posiłki i oszczędzamy na przysmaki. Ale dziś pora na przysmak, Esther. Spotkałyśmy się z panią Cole, żeby podziękować za tamto spotkanie.

– Dziękuję, pani Cole. – Dziewczynka spojrzała na Fran swoimi ciemnoniebieskimi oczami. Nie uśmiechała się, nie bawiła niczym, ani nie zachowywała się beztrosko, jak inne dzieci w jej wieku. Przysunęła kubek do ust i upiła łyk czekolady, jakby chciała w ten sposób wyrazić swoją wdzięczność.

– Nie ma za co dziękować – powiedziała Fran. – Choć jestem bardzo ciekawa, jak znalazłaś mnie na Facebooku.

Mary wyprostowała warkoczyk Esther i roześmiała się krótko.

– Zabrałam Esther na przechadzkę po parku i wpadłyśmy na starszą panią o imieniu Emily. Była bardzo miła. Rozmawialiśmy

dość długo. Moja córka bywa gadatliwa i wspomniała o swoim porannym wyjściu do parku, więc przeszliśmy na ten temat. Zapytałam ją, czy zna jakąś Fran, a ona podała mi od razu pani nazwisko i adres. Pomyślałam, że przyście do domu byłoby przesadą, więc wyszukałam panią na Facebooku. Musiałam założyć w tym celu konto, ale może dzięki temu poznam też innych miejscowych.

Fran poczuła się odrobinę spokojniejsza. To brzmiało przekonująco. Widziała teraz, jak Mary i dziewczynka się razem dogadują i musiała przyznać, że tworzą całkiem zgrany zespół matka – córka. Będzie musiała przyznać Adrianowi, że od początku miał rację. To ona bez powodu wpadła w jakąś obsesję na punkcie tego dziecka.

– No to chyba wyszło szydło z worka. Co powiedział twój mąż, kiedy opowiedziałaś mu o ucieczce Esther? Chyba wciąż kimał tego ranka?

– Kimał?

– Wybacz, spał.

Powróciły niespokojne tiki na twarzy Mary, przelotny uśmiech, a po nim lekki grymas.

– Nie spał, kiedy wróciłyśmy. Martwił się oczywiście, ale był szczęśliwy, że wszystko dobrze się skończyło.

Fran ugryzła kawałek ciasta, starając się nie zauważać zmian w mowie ciała Mary. Nie udało się jej jednak uspokoić myśli. Miała przed sobą młodą matkę, okazującą oznaki czegoś, co Fran mogłaby określić mianem związku o naturze kontrolnej. Adrian powie jej oczywiście, że to nie jest jej sprawa i będzie miał absolutną rację.

– To jakie macie plany na resztę dnia? – zapytała Fran, starając się sprowadzić rozmowę na lżejszy temat.

– Później uczymy się matematyki. A potem czytanie i studiowanie Biblii. – Mary rzuciła Fran nerwowe spojrzenie.

– Brzmi fantastycznie. Wiesz, że mój mąż był wykładowcą, zanim przeszedł na emeryturę? Uczył angielskiego i filozofii. Zawsze szuka sobie jakiegoś zajęcia i z pewnością by pomógł, gdyby okazał się potrzebny. – Adrianowi nie spodobałoby się, że został wrobiony w świadczenie usług, ale Fran nie mogła się opanować.

– To bardzo miłe z pani strony, pani Cole. Najpierw musiałabym to omówić z mężem. Ale dziękuję. – Mary się uśmiechnęła.

– W razie czego daj znać.

– Jak się poznaliście? – spytała Mary.

– Uczestniczyłam w kursie organizowanym na uniwersytecie – odparła Fran. – To był kurs dla dorosłych poświęcony literaturze angielskiej. Ukończyłam studia licencjackie z dziennikarstwa i pracowałam w magazynie dla kobiet, ale marzyła mi się magisterka.

Mary patrzyła na nią z zainteresowaniem, ale Fran się zastanawiała, czy dziewczyna nie udaje. Jej historia miłosna z Adrianem wcale nie była aż tak atrakcyjna.

– Był na kursie jednym z wykładowców – ciągnęła. – Zaprosił mnie na randkę. Poznaliśmy się tak naprawdę na moich studiach licencjackich, ale nie zdawałam sobie wtedy z tego sprawy. Zapamiętałam po prostu przystojnego wykładowcę o orzechowych oczach. – Nie zamierzała mówić aż tak wiele, ale skoro miała publiczność, postanowiła kontynuować. – Kiedy wróciłam na uniwersytet, Adrian prowadził akurat wykłady na temat

Czechowa, które uznałam za obrzydliwie nudne. Ale bardzo mi się spodobał. Pewnego dnia zapytał, czy nie zjadłabym z nim kolacji i nie obejrzała jakiegoś filmu. Przygotował dla mnie jagnięcy tadżin, a potem oglądaliśmy film Ingmara Bergmana. Ostatecznie nie zrobiłam tej magisterki, ale przynajmniej znalazłam sobie męża. – Fran uśmiechnęła się mimowolnie na wspomnienie tej pierwszej randki. Założyła wtedy, że kolacja i film oznaczały restaurację i kino, ale znalazła się w jego domu, na jego sofie, z talerzami parującego jedzenia na kolanach. Wciąż pamiętała zapach cynamonu i daktyli, którymi przyprawił tadżin.

– Jakie to wszystko romantyczne. Od jak dawna jesteście małżeństwem?

Fran nie sądziła, że ta młoda kobieta okaże temu tak duże zainteresowanie. Miło z jej strony, że aż tak udawała. W tej samej chwili uznała, że mogłyby zostać przyjaciółkami.

– Dziewięć i pół roku.

– Późno wyszła pani za mąż. – Mary zagryzła wargę. – Przepraszam, to było niegrzeczne.

Fran upiła łyk kawy.

– W porządku. To w końcu prawda. Adrian był wcześniej żonaty, ale gdy się poznaliśmy, byli już w separacji. Kiedy mieszkałam w Londynie, byłam w kilku związkach, ale to nie było nic poważnego do chwili poznania Adriana.

– On też nie ma dzieci? – Mary wydawała się szczerze zaskoczona faktem, że Fran nie miała pod opieką żadnych maluchów.

– Nie. – Fran wyjrzała przez okno. W końcu się uśmiechnęła i zmieniła temat.

Rozdział 6

Fran uznała, że życie toczy się dalej. Nie mogła przecież wtrącać się w sprawy innej kobiety, ani szpiegować Whitakerów, próbując odkryć, co się dzieje za ich zamkniętymi drzwiami. Ponadto nie wolno jej było osądzać tych ludzi po sposobie, w jaki wiodli swoje życie. Czy gdyby spojrzała w głąb siebie, nie dostrzegłaby wielu podobieństw? To byli niezmiernie religijni ludzie, którzy obrali bardziej tradycyjną drogę i nie było w tym absolutnie nic złego. Zarówno dziewczynka, jak i matka wyglądały na wystarczająco zdrowe. Może nadszedł czas, by odpuścić sobie te wszystkie troski.

Przez kolejne dni po spotkaniu Fran biegała jak co rano, śpiewała *Króla rozrywki* w ogrodzie, sadziła rośliny i zarządzała swoją grupą internetową dla osób przeżywających żałobę. Rozmawiała z Clive'em w pubie Pod Czerwonym Lwem i wspomniała kilkakrotnie o Elijahu Whitakerze, by ocenić jego reakcję. Codziennie odświeżała facebookową stronę Mary Whitaker, po czym wybierała się na długie spacerunki wokół miasteczka z nadzieją, że na nią wpadnie. Myśli Fran wciąż jeszcze wracały do Esther stojącej samotnie w parku, próbowała jednak nie dzielić się nimi z mężem, wiedząc doskonale, jak na to zareaguje.

Fran dowiedziała się, że Elijah pracuje na niepełny etat jako kierowca samochodu dostawczego i wozi zaopatrzenie do lokalnego supermarketu. Oprócz tego był zatrudniony u męża Sall. Wyglądało na to, że harował ciężko, by związać koniec z końcem. Fran uznała, że większość czasu spędzał poza domem. Przynajmniej nie kontrolował Mary przez cały dzień. Każdego ranka, kiedy Fran zabierała filiżankę kawy do ogrodu, żeby złapać kilka promyków słońca, zastanawiała się, czy nie wysłać Mary wiadomości. Coś pozytywnego i wesołego, na przykład propozycję oprowadzenia jej po okolicy, zabrania na zakupy do miasteczka czy po prostu spaceru po Peaks. Jednak tego nie zrobiła.

– Oni uczą tę dziewczynkę w domu. – Była środa po południu i Emily podeszła do Fran po zakończeniu próby chóru. – Wiedziałaś o tym?

– Owszem – odparła Fran, radując się widokiem zdumienia na twarzy kobiety.

Emily podeszła bliżej i chwyciła ją za rękę.

– Nie opowiedziałaś mi, co się wydarzyło w tym parku. Znalazłaś tam ponoć to dziecko.

– Wiem. Nie byłam pewna, czy chcą, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Emily cofnęła rękę i zakołysała się na piętach.

– Sprytnie. Nie sądziłam, że tak potrafisz. – Sięgnęła w stronę krzesła, by zabrać torebkę. – Mimo to musi być jej ciężko, takiej młodej mamie. Wiesz, ile ona ma lat?

– Nie mam pojęcia.

– Niedużo, a ma córkę w takim wieku. Ile ta mała może mieć? Sześć lat?

– Siedem – poprawiła ją Fran.

– O kim rozmawiacie? – Niespodziewanie podeszła do nich Noreen, koścista kobieta z dużym, orlim nosem.

– O Whitakerach. Wiesz, o tej młodej rodzinie z Ameryki.

– Ach, tak – mruknęła Noreen. – Widziałam go już. Ponoć jest od niej starszy. Po czterdziestce.

– Och – rzuciła Emily. – A ona po dwudziestce, chyba że ma jakiś tajemny eliksir młodości!

– Poprosiłabym, żeby mi trochę wysłała, ale dla mnie już chyba jest za późno!

– Dla mnie też!

Noreen i Emily szczebiotały jak dwa ptaszki. Fran zostawiła je same – pomachała tylko ręką i odeszła. Po drodze usłyszała jeszcze, jak Emily informuje Noreen o incydencie w parku. O ucieczce dziecka przed wschodem słońca. O tym, że nie jest jednak tym faktem zaskoczona, zważywszy na wiek matki. I o tym, że pewnie nie radzi sobie z tak kapryśną córką. Emily nie zapomniała również o religijności Whitakerów, mówiąc: „Wiesz, oni sami sobie szyją ubrania, jak ci amiszki. Jak w *Świadku*”. Fran aż się skrzywiła, słysząc potok tych wszystkich plotek. Owszem, wydawały się one nieszkodliwe, ale byli też wrażliwsi ludzie, którzy nie powinni znajdować się na celowniku takich wnikliwych obserwacji. Mary i Esther sprawiały wrażenie szczególnie niewinnych i delikatniejszych niż większość. Należały do osób, które potrzebowały bezpieczeństwa i dobroci, a nie podejrzeń i spekulacji. Kiedy Fran wsiadła do samochodu, musiała chwilę odpocząć, żeby dojść do siebie. Upłynęło już trochę czasu, od kiedy tego rodzaju emocje w niej wzburzyły się, grożąc rozlaniem. Może znowu powinna spędzić trochę czasu na forum, ale nie jako administratorka, lecz ktoś potrzebujący pomocy.

– Cholera – rzuciła na głos, ścierając kilka łez z policzków. Znow pomyślała o Chloe.

Kiedy zdołała się uspokoić, wyjęła z torebki telefon, otworzyła Facebooka, znalazła profil Mary i wysłała jej wiadomość. Adrian byłby niezadowolony, ale Fran nie miała wątpliwości, że te dziewczyny kogoś potrzebują. Że potrzebują jej.

Rozdział 7

Kiedy Fran dojechała do wschodniej części Leacroft, w pobliże strumienia, starała się zapomnieć o zatroskanym wyrazie twarzy Adriana i jego uważnym doborze słów.

– Oni nie są naszą rodziną, Franny.

Oznaczało to mniej więcej tyle: Nie angażuj się. Nie zakładaj, że zdołasz im pomóc. Nie pozwól sobie, żebyś poczuła się skrzywdzona, kiedy twoja propozycja niesienia pomocy zostanie odrzucona. Mimo to podjechała pod mały bliźniak, w którym mieszkali Whitakerowie i zaparkowała przy krawężniku. Dom był całkiem przyzwoity. Rośliny w ogrodzie od frontu zostały niedawno przycięte. Wskazywały na to liście, które pozostały na żwirze. W oknach wisiały zasłony. Na werandzie panował porządek. Na zewnątrz nie było samochodu, założyła więc, że Elijah pojechał do pracy.

Podeszła do drzwi i zapukała.

– Hej – zawołała Mary, która otworzyła je niemal natychmiast, jakby czekała na nią po drugiej stronie. – Jesteśmy gotowe. Chodź, Esther.

Mary wyszła na werandę i przywołała córkę gestem ręki.

– Ojciec mówi, że nie powinnam jechać. – Na płytkach werandy znalazł się tylko jeden mały, czarny bucik. Esther stała częściowo w domu, a częściowo na zewnątrz, wydymając dolną wargę i ściągając brwi. – Mówi, żebym została.

– Wszystko w porządku? – zapytała cicho Fran.

– Jasne. Stroi dziś od rana jakieś fochy. – Na twarzy Mary mignął znajomy już, niespokojny uśmiech.

Kiedy Fran skontaktowała się z Mary, zaproponowała wycieczkę do Chatsworth House, żeby pomóc im w domowej nauce. To miejsce było, bądź co bądź, wypełnione historią i sztuką. Zaoferowała, że zawiezie je tam i z powrotem. Nie dodała, że zamierza również zapłacić za wstęp.

– Czy w tym domu są jakieś demony?

– W naszym domu? Nie, kochanie. Nasz dom to bezpieczne miejsce. Nic nam tu nie grozi.

– Miałam na myśli Chatsworth – powiedziała dziewczynka.

Mary przyklęknęła, żeby popatrzeć jej w oczy.

– Domy to tylko cegły i zaprawa. One nie mają dusz. Nie mieszkają w nich demony.

To chyba uspokoiło Esther, co oznaczało, że w końcu Mary i Fran uda się ją zwabić do samochodu. Przez jakiś czas narzekała jeszcze na tylnym siedzeniu, ale w końcu jej uwagę przyciągnęły inne auta. Fran zerkała na nią co pewien czas we wstecznym lusterku.

– Przepraszam za Esther – powiedziała Mary. – Ona traktuje swoją naukę poważnie. Czasami trudno jej wyjaśnić, co pewne rzeczy oznaczają i wszystko się jej miesza.

– Nie musisz przepraszać – odparła Fran.

Mary westchnęła głęboko.

– Uważasz pewnie, że jestem straszną matką. Najpierw pozwoliłam jej uciec. Teraz rozprawia o złych domach. Pewnie niewłaściwie postępuję przez większość czasu, jestem o tym przekonana.

– W ogóle tak nie pomyślałam – zaprotestowała Fran. Oderwała wzrok od drogi, żeby uśmiechnąć się do Mary, która osunęła się na siedzeniu, pokonana. – Bycie matką to jedna z najtrudniejszych rzeczy na świecie. Nie, to w zasadzie najtrudniejsza rzecz na świecie, do tego wiążąca się z samotnością. Bądź dla siebie wyrozumiała. Robisz, co tylko możesz. – Fran odwróciła taktownie wzrok, kiedy Mary otarła łzę. – Czy Elijah ci pomaga? Opiekuje się małą? Słyszałam, że pracuje na dwa etaty. To musi być dla was trudne.

– Ciężko pracuje – przyznała Mary. – Jest dobrym ojcem.

Fran miała ochotę zadać jeszcze kolejne pytania, ale się powstrzymała.

– Esther z pewnością często o nim wspomina. To było zabawne, jak stwierdziła, że nie pozwala jej pojechać, jakby był tutaj z nami.

– Och, ona nie ma na myśli Elijah, kiedy mówi o ojcu – powiedziała Mary. – Ona mówi o Bogu.

Fran uniosła brwi i jednocześnie otworzyła usta. Dopiero po chwili zmieniła swój wyraz twarzy w obawie, że zostanie odebrany jako niegrzeczny.

– Jakie to... nietypowe.

– Szalone, chciałaś powiedzieć. – Mary odwróciła się do córki i poklepała ją dłonią w kolano. Po chwili się wyprostowała i oparła głowę o zagłówek. – Ale Esther nie jest szalona. Przysięgam, że nawet to sprawdzałam. Dzieci czasami tak mają.

To nic groźnego. Bóg jest teraz jej wyimaginowanym przyjacielem, ale wkrótce z tego wyrośnie.

Racjonalne wyjaśnienie Mary sprawiło Fran ogromną ulgę.

– Ach, rozumiem. – Odrobinę poluzowała zaciśnięte na kierownicy dłonie.

– Ja też miałam wyimaginowanego przyjaciela, kiedy byłam mała – przyznała Mary.

– Boga? – Fran powstrzymała się od uśmiechu, uznawszy, że mogłaby się posunąć o krok za daleko.

– Nie. – Mary spojrzała przez okno. Przycisnęła palec do szyby. Fran zauważyła, że głos kobiety wydawał się dochodzić z daleka. – To był policjant. Nazywałam go Szeryfem. Był ze mną wszędzie i pilnował, by nie stała mi się krzywda. Zawsze gdy się czegoś bałam, Szeryf był w pobliżu i wszystko łagodził.

Coś w wypowiedzianych przez Mary słowach sprawiło, że powietrze w samochodzie stało się chłodniejsze.

– Jak wyglądało twoje dzieciństwo w Arizonie?

Mary wciągnęła powietrze przez nos i spojrzała daleko przed siebie.

– Wychowałam się wśród pracowitych i bogobożnych ludzi.

Fran zjechała na parking ze ściśniętym żołądkiem. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego słowa Mary wzbudziły jej niepokój. Czy to dlatego, że uznała je za kłamstwo?

Rozdział 8

Fran była już wcześniej w Chatsworth House z dziećmi znajomych i zwykle z przyjemnością patrzyła, jak biegają beztrąsko po ogrodach. Zawsze uważała, że śmiech dzieci jest bardzo kojącym dźwiękiem, ale Esther się nie śmiała. Dzień był wspaniały, wszędzie wokół kwitły różowe kwiaty. Było tam wiele rzeczy do obejrzenia. Na środku długiego, starannie wypielęgnowanego trawnika tryskała okazała fontanna. Szerokie, zwirowe ścieżki okalały marmurowe posągi. W zakątkach rosły róże, a ich zapach unosił się w powietrzu. Fran czekała na chwilę, kiedy Esther zacznie biegać po ogrodowych alejkach, kiedy zaczną podrygiwać jej warkoczyki i stukać skórzane buciki. Okazało się jednak, że dziewczynka nawet na chwilę nie oderwała się od swojej matki i ledwie reagowała na to wszystko, co ją otaczało.

W majestatycznym domu to Mary wyginała kark, żeby przyjrzeć się lepiej wspaniałym żyrandolom i żywym freskom. Esther zerkała tylko z ukosa na obrazy i rzeźby, jakby czuła się osobiście przez nie obrażona. Mary była naprawdę pod wrażeniem, czytała na głos treść każdej z plakietek. W pewnej chwili zapytała Fran, czy mieszkał tam król. Przyznała też, że czuje się jak przeniesiona

do innego świata. W kaplicy pograżyła się w myślach, a jej usta poruszały się bezgłośnie, kiedy szeptała modlitwę.

Fran zabrała je do kawiarni na lunch i zamówiła dla wszystkich kanapki. Esther jak zwykle milczała, co pozwoliło Fran i Mary na swobodną rozmowę. Dziewczynka sprawiała wrażenie, jakby w ogóle ich nie słuchała. Na swój sposób wprowadziła je w fałszywe poczucie bezpieczeństwa, pozwalając dyskutować w jej obecności na każdy temat.

– Jak się poznaliście? Ty i Elijah? – zapytała Fran.

– Chodziliśmy do tego samego kościoła. Jest ode mnie trochę starszy, ale wszyscy uważali go za bardzo miłego. Kiedy zapytał, czy się z nim dobiore, zgodziłam się od razu.

Dziwne określenie nie umknęło uwadze Fran. „Dobrać się”. Brzmiało to trochę jak celowe swatanie.

– Ile miałś lat, kiedy się spotkaliście?

– Dwadzieścia.

– Czyli dobiegasz trzydziestki? – upewniła się Fran. – Muszę przyznać, że wyglądasz na dużo młodszą. Kilka osób w Leacroft powiedziało to samo.

– Ludzie o mnie rozmawiają? – Mary odłożyła kanapkę i zmarszczyła czoło.

– Takie tam niegroźne ploteczki. W ogóle się tym nie przejmuj – odparła Fran. – Niewiele nowych rodzin się tutaj wprowadza, a niektórzy miejscowi nie mają nic lepszego do roboty, to wszystko.

– Okej, w takim razie nie wezmę sobie tego do serca – powiedziała Mary, ale wyraz jej twarzy nie uległ zmianie.

– Dlaczego przeprowadziliście się do Leacroft?

Kobieta odgryzła kęs kanapki i zaczęła powoli przeżuwać.

– Nie wiem, czy potrafię ci odpowiedzieć na to pytanie. Tak się po prostu stało.

Fran czekała, czując, że usłyszy coś więcej.

Kanapka wróciła na talerz.

– Chcieliśmy się wyprowadzić z różnych powodów. – Zesztywniała lekko i zaczęła przesuwać dłońmi po ramionach, ściskając ciało przez materiał sukni. Fran obserwowała jej paznokcie wbijające się głęboko w skórę. – Elijah ma kuzyna w Derby i przez jakiś czas z nim mieszkaliśmy. Mniej więcej cztery tygodnie temu przyjechaliśmy do Leacroft na jeden dzień i zobaczyliśmy, że jest tutaj dom na wynajem. – Wzruszyła ramionami, ale wciąż się mocno obejmowała. – Bardzo mi się spodobał. Wydaliśmy prawie całe oszczędności, żeby tu przyjechać, ale cieszę się, że tak się stało. – Uspokoila się w końcu i jej pierś opadła.

Kiedy Mary opuściła rękę na stół, rękaw jej sukni zahaczył o talerz i się cofnął. Fran zdążyła zauważyć purpurowy siniak. Mary wsunęła rękę pod stół i napiła się lemoniady. Kobiety nawiązały kontakt wzrokowy i Fran pomyślała, że powinna zapytać ją o to wprost. Jednak towarzyszyła im Esther, a nie chciała wystraszyć dziecka.

– Przeprowadzka w nowe miejsce okazała się trudniejsza, niż sądziłam – oznajmiła Mary, kontynuując rozmowę, zanim Fran zdążyła zapytać o siniak. – Uwielbiam Leacroft, ale nie wiem, jak poznawać ludzi.

– A może przyjdiesz na próbę naszego chóru? – podsunęła Fran.

Mary uśmiechnęła się nieśmiało.

– Żadna ze mnie śpiewaczka.

– Ze mnie też. – Fran roześmiała się krótko. – Szczerze mówiąc, to samo można powiedzieć o większości pozostałych. Spotykamy się, żeby poplotkować i podzielić się wieściami z całego tygodnia. Myślę, że wszyscy ucieszyliby się z nowego członka. Prawdę mówiąc, jestem tam najmłodsza. Większość kobiet w moim wieku wciąż pracuje na pełen etat albo ma małe dzieci. – Fran zerknęła w stronę Esther. – Nie sądzę, żeby komukolwiek przeszkadzała też obecność twojej córki. Jest bardzo grzeczna.

Mary pogładziła małą po włosach.

– To prawda.

Fran poczuła nagle tak dogłębny żal, że aż to wycisnęło jej powietrze z płuc. Chcąc oszczędzić im sceny, przeprosiła towarzyszek i pobiegła do łazienki, gdzie wybuchła płaczem w rękaw swetra.

Rozdział 9

W drodze do samochodu Esther się przewróciła. Nie była to jej wina, ktoś spuścił psa ze smyczy, a uszczęśliwiony golden retriever wpadł prosto na nią. Mary niosła kawy i wypieki, które wzięły na wynos, więc to Fran wkroczyła do akcji, przegoniła psa i pomogła dziewczynce wstać.

– Nie zrobiłaś sobie krzywdy, kochanie?

Esther nie odpowiedziała, ale na jej białych rajstopkach widać było krew. Czerwona plama powiększała się na kolanie. Dziewczynka usiadła na trawie i zgięła nogę. Fran ukucnęła obok, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Nic jej nie jest? – spytała Mary. Zanurkowała do połowy w samochodzie i włożyła kubki do plastikowych uchwytów.

– Rozcięła kolano. Mam jej zdjąć rajstopy i sprawdzić?

– Tak. Już podchodzę.

Esther sama zsunęła rajstopy. Zrobiła to bez słowa, profesjonalnie, aż Fran przypomniała się jej ostatnia wizyta u lekarza. Mała nie skrzywiła się nawet, kiedy materiał przesunął się po skaleczeniu, choć zrobiła to Fran. Rana okazała się mniejsza, niż sądziła. Zdarte kolano, nic, czym należałoby się przejmować.

- Mary, w schowku mam opatrunki. Możesz przynieść?
- Opatrunki?
- Plastry.
- Jasne.

Fran odebrała od dziewczynki zabrudzone rajstopy i przemyła skaleczenie wodą z butelki.

– Och, tak strasznie mi przykro. – W pobliżu pojawił się właściciel psa. Podekscytowany szczeniak był już na smyczy i wachał coś w trawie. – Nic się jej nie stało?

– Rozcięła kolano przez pańskiego psa – odparła Fran przez zaciśnięte zęby. – Proszę trzymać go na smyczy!

– Zwykle jest grzeczna, nie wiem, co się stało. – Mężczyzna się wycofał, ale pozostał w pobliżu.

Fran przewróciła oczami i przeniosła swoją uwagę na Esther.

– Wszyscy tak gadają. To nieodpowiedzialne. Jak tam, szczypie? Esther pokręciła głową.

– Jesteś bardzo dzielną dziewczynką. – Fran wyjęła z torebki papierowy ręcznik, który zabrała z toalety w kawiarni, i osuszyła nim skaleczenie. Wcale nie wyglądało tak źle, jak przed zdjęciem rajstop. Przydałby się jeszcze krem antyseptyczny, ale to będzie musiało poczekać. – Wylądowałaś na czymś? – Uwagę Fran zwrócił siniak w górnej części uda Esther. Widziała upadającą dziewczynkę, ale nie mogła sobie przypomnieć, czy ta przewróciła się na jakieś kamienie. Pomacała trawę wokół, próbując znaleźć przyczynę.

- Nie – odparła cicho Esther.
- To skąd masz tego siniaka?
- Nie pamiętam.

Fran uświadomiła sobie, że plama na skórze była zbyt ciemna, by powstała przed chwilą. Miała wielkość dwufuntowej monety, ale była owalna w kształcie. Dzieci wciąż się o coś uderzają i taki siniak mógł powstać z byle powodu. Esther mogła nawet nie pamiętać, kiedy się go dorobiła, a Fran by jej uwierzyła. No, może uwierzyłaby każdemu innemu dziecku poza Esther. Jej przyjaciółka Justine miała pięciolatka, który upadał praktycznie wszędzie, bawiąc się w statek kosmiczny lub Kapitana Amerykę. Fran w ogóle nie zwróciłaby uwagi na jego siniak, dlaczego więc zaniepokoiła się nim w przypadku tego dziecka?

– Och, Esther. – Mary pocałowała córkę w czubek głowy. – Zaraz ci to przykleję.

Fran wstała i się cofnęła, przypominając sobie, że Esther nie jest przecież jej dzieckiem. To nie ona powinna rozdawać buziaki i przyklejać plastry na „aua”. Ścisnęła brudne rajstopy w dłoniach i podeszła do śmietnika. Facet z psem już zniknął, za co akurat była wdzięczna. W tym nastroju Fran mogłaby wyładować emocje na najbliższej, niczego niepodważającej osobie. Rajstopy opadły w śmietniku na puszkę dietetycznej coli.

Obserwowała, jak Mary podnosi Esther na nogi i cmoka, przyglądając się jej sukience.

– Będziemy musieli wrzucić ją zaraz do pralki – powiedziała, przykładając palce do plamy po trawie.

Fran wróciła do samochodu.

– Chciałam cię już wcześniej zapytać, czy sama szyjesz te ubrania? Są śliczne.

– Tak uważasz? Zaczęłam cerować różne podarte ciuszki i okazało się, że mam do tego smykałkę.

– Swoje też szyjesz?

– Tak.

Fran przesunęła dłonią po rękawie sukni Mary.

– Jesteś utalentowana, wiesz? Mogłabyś szyć ubrania i je sprzedawać.

Mary zachichotała.

– Nie sędzę.

– Dlaczego nie?

Jej uśmiech zgasł.

– Nie. To byłoby niewłaściwe.

– Z powodu twojego męża.

Po raz pierwszy Mary spojrzała na nią ostrzej. Fran dostrzegła ostrzeżenie w oczach młodej matki: „Nie idź tą drogą”.

– Chodź, Essie, czas jechać do domu – powiedziała Mary i pomogła córce wsiąść do samochodu.

Dzień dobiegł końca.

Rozdział 10

Kciuki Adriana wbiły się w ciało wokół jej kręgosłupa, kilka centymetrów pod łopatkami. Jej napięcie zaczynało zanikać. Próbowwała się odprężyć, poddać się ruchom jego dłoni, ale nie mogła, a on zwrócił na to uwagę. Pochylił się i pocałował ją w głowę, podobnie jak Mary pocałowała swoją córkę.

– Wyduś to w końcu z siebie – powiedział.

Siedzieli na sofie i popijali wino. Przygotował dla nich *moules mariniere*, a teraz siedzieli na sofie, popijali sauvignon blanc i oglądali *Sznur Hitchcocka*, ulubiony film Adriana.

– Obie miały siniaki – mruknęła w końcu. Przez całą noc dusiła to w sobie, a teraz, kiedy w końcu się otworzyła, jej słowom towarzyszyła dynamiczna gestykulacja. – Z tym dzieckiem jest coś nie tak. Nie śmieje się, nie bawi, nie biega. Bóg jest jej wyimaginowanym przyjacielem. Widziałam siniaka na jej udzie, Adrian.

– Jakim cudem?

– Skaleczyła się w kolano i musiała zdjąć rajstopy. Zauważyłam go, kiedy się rozbierała.

– Dzieciaki cały czas...

– Mają jakieś siniaki. Wiem. Ale to coś innego. Coś... złego. Wiem o tym. Czuję to.

Adrian upił łyk wina i zatrzymał film.

– A co z matką? U niej też widziałaś siniaka?

– Miała go na nadgarstku. Zakrywała go długim rękawem.

– Albo po prostu ubiera się w taki sposób, bo jest religijna.

Fran mruknęła coś pod nosem.

– Jestem świadoma, że dla wszystkiego można znaleźć racjonalne wytłumaczenie. Ale nie o to... – urwała, chcąc zebrać myśli. Oto cała ona, w trakcie menopauzy, irracjonalna. Kobieta, której w filmie nikt nie słucha. Histeryczne babsko, które zostaje spoliczkowane przez wąsatego bohatera. – Przedstawię ci fakty. – I zrobiła to, zaczynając od znalezienia Esther w parku, a kończąc na ostrzegawczym spojrzeniu Mary, kiedy Fran zasugerowała, że Elijah nie pozwala kobiecie robić różnych rzeczy. – Myślę, że to opresyjny i kontrolujący wszystko mąż.

Adrian odstawił kieliszek na stół i przytulił Fran.

– Możesz mieć rację.

– Zwykle ją mam.

– To prawda. Masz świetną intuicję. Przepraszam, jeśli sprawiałem wrażenie, że mnie to nie obchodzi. Możesz mieć rację, ale dokąd cię to zaprowadzi? Co możesz zrobić? To ona musi odejść od męża.

– Jeśli Esther dzieje się krzywda, mogłabym zadzwonić na policję albo zawiadomić opiekę społeczną.

Milczał przez chwilę.

– Sam nie wiem, Fran. To poważna sprawa. Musisz mieć absolutną pewność. Czy tak jest?

Westchnęła.

– Nie, nie sędzę. To dwa małe siniaki i nie wiem, skąd się wzięły.

Poczuła, że Adrian kiwa głową.

– Więc na razie to wybór Mary. Nie możesz nic zrobić. Kim więc jesteś w tej chwili?

– Jej przyjaciółką.

Adrian poprawił się na sofie, co sprawiło, że Fran zrobiła to samo. Poczuła, jak delikatnie przesuwa palcami w jej włosach, wywołując przyjemne łaskotanie przebiegające wzdłuż skóry głowy.

– Szczerze mówiąc, chciałbym, żebyś tym razem się pomyliła. Nie chcę myśleć o tej młodej kobiecie tkwiącej w trudnym związku. Ale musisz wiedzieć, że jesteś moim priorytetem. Powinnaś się naprawdę zastanowić, czy wziąć na siebie to... emocjonalne brzemie, bo to właśnie robisz. Wkraczasz w przyjacielską relację z kimś, kto może cię potrzebować, i to naprawdę, a ja nie jestem przekonany, czy jesteś na to gotowa.

Fran odsunęła się od niego. Położyła stopy na sofie i wsparła podbródek na kolanach. Nie chciała czegoś takiego usłyszeć, nie w tej chwili. Wbiła wzrok w truskawki przeplatane zielonymi pędami znajdujące się na ich tapecie. Pokój wymagał remontu, ale nie mogła o tym myśleć w tej sytuacji.

– Franny – powiedział.

– Cicho.

– Nie mogę nic powiedzieć?

– Nie jestem dzieckiem. – Zacisnęła dłonie na kolanach, aż zbiały jej kostki.

– Wiesz, dlaczego ta ich sprawa cię pociąga, prawda?

– Oczywiście, że wiem, Adrian – warknęła. – Oczywiście.

Opuściła ponownie stopy na dywan, zabrała swój kieliszek z winem i poszła do kuchni. Adrian został w salonie. Może słusznie zauważył, że potrzebowała odrobiny przestrzeni. Na kuchennym stole leżał laptop. Przysunęła sobie krzesło i włączyła go, po czym otworzyła forum dla osób przeżywających żałobę.

Fran administrowała tę stronę już od kilku lat. Choć nie była wykwalifikowaną doradczynią, pomogła wielu osobom w ich smutku. W szczególności zarządzała forum podrzędnym przeznaczonym dla kobiet w okresie wczesnej menopauzy. Zalogowała się, żeby przeczytać nowe wątki i przekonać się, czy zdoła komukolwiek pomóc. Założyła tę sekcję forum, by wspierać kobiety, które straciły dziecko już w okresie menopauzy, ponieważ cierpiała dwukrotnie, kiedy przytrafiło się to jej samej. Raz za Chloe i raz za swoje ciało.

Rozdział 11

Po ich sprzeczce nadeszło kilka mroźnych dni. Fran spędzała większość czasu na swoim internetowym forum, angażując się w grupowe czaty, nie zawsze z pozytywnym nastawieniem i nie zawsze w sposób, w jaki chciałaby to robić. Zauważyła, że jej komentarze zaczynają się z najlepszymi intencjami, ale te szybko ustępują goryczy. „Wiem, przez co przechodzisz i wiem, że to wymaga czasu, ale dasz sobie radę. Może boisz się i czasami czujesz się zupełnie samotna. Będzie jednak ciężko. Czasami nie do zniesienia”. To słowo powracało za każdym razem. Samotna. Czy to była prawda? Adrian cierpiał, ale to nie on nosił Chloe w swoim ciele i to nie on stracił część siebie.

Jednak to nie była jego wina. To samo można było powiedzieć o słowach ostrzeżenia, które przyjęła tak osobiście. Niepokoił się o nią, była tego absolutnie pewna, a kiedy minęło kilka dni, zaczęła powoli godzić się z jego tokiem myślenia. Przestała sprawdzać tak często profil Mary. Unikała wizyt w pubie Pod Czerwonym Lwem, gdzie zwykle wpadała na popołudniowe pinot grigio i słuchała plotek na temat Whitakerów. Starala się nie wyobrażać sobie więcej twarzą Esther po przewróceniu jej przez psa, tego pierwszego wyrazu emocji, który u niej dostrzegła.

Miny, która mówiła o bólu. Z tym właśnie najtrudniej było się jej rozstać – z Esther.

Trzeciego dnia po ich drobnej kłótni Adrian spędził popołudnie w bibliotece w Leacroft. Tego wieczoru przyjechał do domu z curry na wynos i butelką prosecco.

– Czy *balti* sprawi, że mi wybaczysz? – Wygarnął jedzenie łyżką na talerze, patrząc na nią wzrokiem szczeniaka.

– Rozważę to, o ile nie zapomniałeś o frytkach.

Podszedł tanecznym krokiem do torby jak magik wyciągający królika z kapelusza, po czym wyjął z niej dodatkowy kartonik.

– *Oui*, madam.

Fran roześmiała się, sącząc prosecco. Adrian objął ją za szyję i pocałował w czubek głowy. Nie przyznała, że jej zdaniem może mieć rację, zamiast tego postanowiła rozkoszować się jedzeniem, śmiechem i musującym winem. Nie myślała teraz o Esther ani o Chloe i tej nocy spała bez żadnych koszmarów.

Następnego dnia wszystko się jednak zmieniło. Fran się obudziła, zabrała kawę do ogrodu i przez chwilę czytała. Potem zjadła śniadanie z Adrianem, który po wszystkim poszedł do gabinetu poczytać. Fran szykowała się do wyjścia do ogrodu, żeby zająć się swoimi ziołami, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

W progu stały Mary i Esther, trzymające się za ręce. Mary uśmiechnęła się niepewnie.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Zaskoczona Fran otworzyła szerzej drzwi i zaprosiła je na filiżankę herbaty.

– Nie zostaniemy długo – zapewniła Mary. – Przyszłam, żeby coś ci dać. – Zagryzła wargę i wskazała torbę, którą miała zawieszoną

na ramieniu. Fran podążyła za jej spojrzeniem, czując rosnącą ciekawość.

Matka i córka weszły do kuchni, gdzie Fran nastawiła czajnik, uśmiechając się przez cały czas nazbyt szeroko. Urządzenie zaczęło bulgotać.

– To niewiele – powiedziała Mary – ale czułam się źle z tym, że płaciłaś za wszystko w Chatsworth, więc chciałam coś dla ciebie zrobić. Esther, dasz pani Cole prezent?

Dziewczynka miała tego dnia włosy spięte w kucyk. Wpatrywała się intensywnie we Fran swoimi niebieskimi oczami. Jak zwykle się nie uśmiechała. Czarne buciki zastukały o płytki, kiedy podeszła do torby.

– Dziękuję wam obu bardzo mocno – powiedziała Fran głosem zdławionym od emocji.

– Co się mówi, Esther? – zapytała Mary.

– Dziękuję za pomoc, kiedy skaleczyłam się w kolano. – Mała nie opuściła wzroku na podłogę, co było dość nietypowe dla dziecka w jej wieku. Fran była przyzwyczajona do podobnych zachowań, od przesadzonego szczebiotu po wleczenie stóp po podłodze i tajemnicze chichoty.

– A jak tam twoje kolano, Esther?

– Już dobrze.

– Jest już dużo lepiej. – Mary pogładziła kucyk córki, przesypując złote włókna między palcami. – W zasadzie już wszystko się zagoiło. A teraz otwórz swój prezent.

W tym momencie do kuchni wszedł Adrian. Fran zauważyła, że Mary opuściła na moment wzrok i pobladła na twarzy. Esther również odwróciła głowę.

– Tak mi się właśnie zdawało, że słyszę jakieś głosy – rzucił przyjaźnie Adrian. – Niech zgadnę, Mary i Esther? Wiele o was słyszałem.

Mary pokiwała głową.

– Miło pana poznać.

– Mary przyniosła mi prezent – pospieszyła z wyjaśnieniami Fran, nadając swojemu głosowi wyższy ton, by poprawić atmosferę. Położyła torbę na stole i wyciągnęła z niej zawiniątko. Zapakowano je w brązowy papier i związano jutowym sznurkiem.

– Jakie to miłe. – Adrian oparł się o framugę drzwi i wbił spojrzenie w Mary.

Elektryczny czajnik w końcu się wyłączył.

Fran odwiązała sznurek i pozwoliła, by papier opadł samoczynnie. W środku znalazła czarną sukienkę w grochy. Kiedy przysunęła ją do ciała, uświadomiła sobie, że będzie na nią doskonale pasowała. – Och, Mary. Jest przepiękna!

Twarcz młodej kobiety rozjaśnił uśmiech.

– Naprawdę tak uważasz?

– Tak, jest precudowna.

Adrian zrobił krok do przodu, by dotknąć materiału.

– Super.

– Poświęciłaś swój czas, żeby ją dla mnie uszyć? – Fran była szczerze poruszona tym gestem i czuła ścisk w gardle.

– Żaden problem.

– Zaparzę wam, drogie panie, herbaty, a Fran ją przymierzy – oznajmił Adrian.

– Och, Mary, to zbyt wiele! – Fran nie mogła się powstrzymać przed dotykaniem materiału. Podobała się jej ta miękkość pod palcami. Czuła się, jakby została przeniesiona w inne czasy, kiedy

kobiety dla siebie gotowały, szyły i przynosiły sobie chleb. Odchrząknęła i dodała spontanicznie: – Musimy coś zrobić, żeby ci podziękować za taki niezwykły prezent. Może wpadniecie do nas we troje któregoś dnia na kolację?

Mary otworzyła szerzej oczy.

– Sama nie wiem... Elijah pracuje czasami do późna.

Adrian przenosił wzrok z jednej kobiety na drugą. Trudno było odczytać cokolwiek z jego twarzy. Fran pomyślała przez sekundę, że jest poirytowany.

– No cóż, zastanów się jeszcze – powiedziała. – Porozmawiaj z Elijahem i daj nam znać, kiedy będziecie mieli wolniejszy wieczór.

Mary skinęła głową, po czym spojrzała niepewnie na Adriana, który odwrócił się i wyszedł bez słowa.

Rozdział 12

– Dlaczego to zrobiłaś, do diaska? – Adrian stał przy zlewie z dłońmi zanurzonymi po nadgarstki w mydlanej wodzie.

– Przepraszam – rzuciła Fran. – Powiedziałam to tak bez zastanowienia.

Wciąż miała na sobie ręcznie szytą sukienkę w grochy, która była do niej dopasowana i w której czuła się młodziej. Ubranie sięgało kolan i Fran wyobrażała sobie, jak porusza się w niej na parkiecie.

– Myślałem, że dasz sobie spokój! – Zagrzecotał naczyniami w wodzie. Talerze zabrzęczały o stal nierdzewną.

– Wiem. Ale tak to jakoś wyszło. Uszyła dla mnie tę piękną suknię. – Fran położyła mu dłoń na ramieniu. – Wybacz. Wiem, że to dla ciebie problem, ale miło byłoby ich zaprosić, nie uważasz? Nie znają tutaj nikogo, a wszystkie te starowiny plotkują tylko za ich plecami. Powinieneś posłuchać Emily na chórze.

– Teraz będę musiał gotować. – Westchnął.

– Uwielbiasz gotować.

– Ale... nie o to mi chodzi.

– A o co?

Znów westchnął.

– Pięknie wyglądasz w tej sukience.

Fran się roześmiała.

– Och, mój kochany Srebrny Lisie, jesteś takim samym naiwniakiem jak ja.

W końcu się uśmiechnął. Podeszedł do niej i objął ją w pasie.

Najpierw się przytuliła, ale kiedy uznała, że może mokrymi rękami dotknąć jej ubioru, zaraz się uwolniła.

– Co o nich myślisz? Chciałabym wiedzieć. Zauważyłeś, jak się zawstydziły, kiedy wszedłeś do kuchni?

Adrian wytarł dłonie i usiadł na krześle.

– Tak, zauważyłem. Jak dwie przestraszone myszki. Rozumiem, dlaczego się nimi interesujesz, ale wciąż uważam, że to po prostu przypadek młodości i dziwnego wychowania.

Fran dołączyła do męża przy stole.

– Jeśli przyjdą, poznamy Elijaha. – Wyobraziła go sobie jako krępego, brodatego mężczyznę. Silnego, z błyskiem w oku.

– Wygląda na zdecydowanie młodszą niż dwadzieścia siedem lat – zauważył.

Fran ucieszyła się w duchu, że Adrian ciągnie temat matki i córki, które stały się kimś ważnym w jej życiu.

– Myślisz, że ubralibyśmy Chloe w taką słodką sukienkę i splekli jej włosy w warkoczyk? – spytała cicho.

Adrian milczał przez chwilę.

– Myślę, że Chloe wyrosłaby na taką dziewczynę, która sama by nam powiedziała, co chce założyć.

Fran się to spodobało. Przez resztę poranka rozmawiali o Chloe, po raz pierwszy od dłuższego czasu. Nie o tym, co złe, lecz o tym, co dobre. O oczekiwaniu. O kupowaniu śpioszków, montażu łóżeczka. Później Fran poszła do pokoju dziecięcego i wzięła

głęboki oddech. Nie było tam kołyski, maleńkich skarpetek, kwiecistej tapety, ani zestawu farmerskich zwierzątek, który kupiła w sklepie. Pewnego dnia zapakowali to wszystko do kartonu i zanieśli na strych, zastanawiając się, czy może – ale tylko może – pewnego dnia pojawi się jakaś alternatywa w postaci matki zastępczej lub adopcji. Nigdy do tego nie doszło. Przesunęła dłonią po brzuchu, zerkając na sprzęt do ćwiczeń i stosy książek.

Żadne z nich nie wiedziało, co zrobić z tym pokojem po śmierci Chloe. Jakaś część Fran pragnęła szczelnie go zamknąć, podobnie jak zamknięto jej wnętrze. Na tym łonie nie wyrosnie już żaden owoc. Weszła głębiej do pokoju i sięgnęła po jedną z książek. Chwyliła jakąś starą, napisaną przez Rosjanina, był to rodzaj poważnej literatury. Wcisnęła ją pod ramię i wyszła, udając, że poszła do tego pokoju właśnie w tym celu. Adrian się nie odezwał, kiedy zobaczył, jak jego żona czyta książkę, wyciągniętą na sofie. Fran była pewna, że wiedział. Może zabrała tę książkę, żeby mu pokazać, że tam weszła. Może chciała mu uświadomić, co robi. Sama nie była pewna. Siedziała więc i udawała, że czyta, przez cały czas rozmyślając jednak o Esther i Mary, o Chloe i o samej sobie.

Rozdział 13

W niedzielny wieczór wciąż panowała piękna, ciepła pogoda, a niebo było bezchmurne. O dziewiętnastej zaczęło się zmierzchać, a krajobraz został zalany ciemnym atramentem. Fran przez cały dzień obgryzała paznokcie, bo ciągle spierali się z Adrianem, w jaki sposób przyrządzić ziemniaki. Teraz co chwilę otwierała i zamykała drzwiczki pieca, kontrolując udziec jagnięcy, który piekł się wraz z rozmarynem i czosnkiem. Adrian podrzucał smażone ziemniaki na patelni, pomrukując z zadowoleniem, kiedy odbijały się od krawędzi. W kuchni pachniało jak w niedzielne popołudnia w domu jej matki – aromat gorącego, gęsiego tłuszczu i zeszkłonego czosnku. Matka Fran potrafiła błyskawicznie przyrządzić wyśmienity obiad dla kilku osób, biorąc na siebie całą robotę i nigdy przy tym nie narzekając. Fran nie odziedziczyła tego po niej i potrzebowała zwykle pomocy Adriana, a tego wieczoru w szczególności. To był jego przepis – ząbki czosnku wciśnięte w udziec, a do tego czerwone wino jako składnik sosu. Jej pomoc wydawała się tylko przeszkodą.

Założyła lekką sukienkę, bez rajstop i butów, a do tego złote, długie kolczyki. Kiedy się przebierała, dostrzegła w lustrze pasemko siwych włosów, pospiesznie nadała więc fryzurze

odrobinę objętości, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Kiedy zlewała miętowy sos do naczynia, Adrian pomasaował jej ramiona.

– Będzie im smakowało, zobaczysz. Rozluźnij się. Wszystko będzie dobrze.

Przez głowę Fran przebiegało jednak zbyt wiele myśli, żeby mogła się uspokoić. Niewiele brakowało, żeby go odepchnęła, ale musiała przyznać, że jego palce ugniatające jej ciało przynosiły pewne ukojenie. Rozległo się pukanie do drzwi. Błyskawicznie wyprostowała się i zerwała z siebie kuchenny fartuch, jednocześnie zrzucając z siebie rękę Adriana. Szybko poprawiła też sukienkę.

Adrian wrzucił mały kawałek ziemniaka do ust.

– Zabawa się zaczyna.

Rzuciła mu spojrzenie i ruszyła w stronę korytarza. Kiedy otworzyła drzwi, jej zabawa istotnie się zaczęła. Uśmiechnęła się szeroko.

– Witajcie! Wchodźcie, rozgoście się.

Nadeszła pora na ściskanie dłoni i trącanie się kończynami w wąskim korytarzu. Ze względu na ciepły wieczór goście nie mieli okryć wierzchnich. Esther tkwiła przyklejona do boku matki, kiedy Fran prowadziła ich do salonu. Nie zdążyła jeszcze dobrze przyjrzeć się jej ojcu, ale zauważyła, że jest wysoki i barczysty.

– Przynieśliśmy mały drobiazg. Nie wiem, czy się wam spodoba.

– Mary wcisnęła w dłonie Fran niedużą paczuszkę.

Fran zerwała brązowy papier i ze środka natychmiast uwolnił się aromat świeżo upieczonego chleba. Wciąż jeszcze był on ciepły, a jego skórka chrupała.

– Wygląda absolutnie przepysznie. Dołączymy go do naszej kolacji. Już niedługo będzie gotowa. Właśnie wyjęliśmy z pieca ziemniaki. Odniosę go tylko do kuchni i zaraz odpowiednio się przedstawię. Nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać, Elijah. Dziękuję, że pan przyszedł.

– To ja dziękuję za zaproszenie. – Miał ciepły głos. Do tego głęboko osadzone, brązowe oczy w niemal identycznym odcieniu co źrenice. Odznaczały się one wyraźnie na okrągłej twarzy, dość dużej, żeby przyciągać uwagę. Elijah miał stosunkowo bladą karnację i zaróżowione policzki jak u ogrodowego krasnala. Gęstą brodę w kolorze soli z pieprzem. Siwiejące włosy. Sprawiał wrażenie silnego fizycznie, choć był dość korpulentny, a brzuch wyraźnie wystawał znad spodni w oliwkowym kolorze. Ubrany był w białą koszulę rozpiętą u szyi, z rękawami podwiniętymi do łokci. Włosy miał starannie uczesane z przedziałką na jedną stronę. Fran zastanawiała się przez chwilę nad jego wiekiem. Musiał być mniej więcej jej rówieśnikiem, pomyślała. Praktycznie dwukrotnie starszy od Mary. – Macie piękny dom – dodał.

– Dziękuję, to miłe, że tak myślisz.

– Muszę przyznać, że czekałem na to spotkanie cały tydzień. Na właściwie przyrządzoną pieczeń w angielskim stylu. – Uśmiechnął się szelmowsko. – To prawdziwa psychota. Esther też cieszyła się przez cały tydzień, prawda?

– Nie – odparła dziewczynka.

Elijah roześmiał się rubasznie.

– Moja mała buntowniczką.

– Przepraszam – wymamrotała Mary.

– Nic nie szkodzi! – Fran spojrzała na Esther. – Nie znosiłam kolacji ze znajomymi rodziców, kiedy byłam w twoim wieku. Ale

przygotowałam trochę frytek, na wypadek gdyby nie zasmakowała ci pieczeń. – Zwróciła się do Mary. – Wiem, że udziec może być za intensywny w smaku dla dziecka.

– Och, jej to nie przeszkadza – odparła Mary.

– Zrobię wam coś do picia. – Fran ruszyła w stronę kuchni. – Mam otwartą butelkę czerwonego wina, jeśli lubicie.

– Dziękuję, pani Cole, ale nie pijemy alkoholu – powiedział Elijah, stawiając za jej plecami ciężkie kroki. – Ale wy się nie krępujcie.

– Lemoniady? Coli?

– Wystarczy woda.

Kiedy weszli do kuchni, Adrian przywitał się z gośćmi, a Fran wyjęła z szafki szklanki, żeby napełnić je wodą z kranu. Zabrała je do salonu, po czym ułożyła chleb, nóż do krojenia i masło.

– Jak tam pieczeń, kochanie? – spytała w kakofonii brzęku porcelany, kiedy zaczęła kompletować talerze.

– Perfekcyjnie – odparł Adrian.

– Pomóż pani, Mary. – Elijah pchnął lekko żonę i się roześmiał.

– Wybaczcie nam nasze maniery, stojąc w miejscu nikomu nie pomagamy.

– Tak, przepraszam – dodała Mary.

Fran zmusiła się do uśmiechu.

– Jesteście naszymi gośćmi. Idźcie do salonu i usiądźcie. Zostało tylko rozstawienie talerzy i podanie jedzenia. I żadnego „ale”. Do salonu!

Nie spodobało jej się to popchnięcie. Kiedy wyciągała udziec z pieca, wciąż miała wrażenie, że w żołądku coś jej nerwowo trzepocze. Za plecami czuła na sobie spojrzenie Esther, ciche i uważne.

Rozdział 14

– Czy możemy was na chwilę przeprosić, żebyśmy mogli się pomodlić? – Elijah rzucił Fran pytające spojrzenie znad pieczeni stojącej na środku stołu. – Nie musicie dołączać, jeśli przez to czulibyście się niekomfortowo.

– Nie ma żadnego problemu, chętnie dołączymy – odparła z uśmiechem Fran. Siedzący obok niej Adrian poprawił się na krześle. Wiedziała, że jest w tym pokoju jedynym agnostykiem.

– W takim razie powinniśmy złapać się wszyscy za ręce. – Elijah wyciągnął rękę do Fran siedzącej u szczytu stołu, a drugą podał Mary, która z kolei chwyciła się z Esther. Dziewczynka ścisnęła rękę Adriana, który ujął dłoń Fran, rzuciwszy jej zdawkowe spojrzenie. – Może zrobi to Esther.

Fran zamknęła oczy i pochyliła głowę. Zapach pieczonej jagnięciny przyprawiał ją o ślinotok. Miała nadzieję, że to szybko się zakończy i będzie mogła przystąpić do posiłku, ale jednocześnie chciała poznać lepiej tę rodzinę i ich zwyczaje. Była zaintrygowana, jakie słowa usłyszy od Esther.

– Dziękujemy ci, Panie, za ten posiłek i przebaczenie grzechów w tym domu.

Fran otworzyła oczy i zauważyła dwa detale. Powieki Esther były zaciśnięte, głowa pochylona w stronę stołu, za to Elijah patrzył na córkę szeroko otwartymi oczami. Zaskoczona, puściła jego dłoń.

– Esther! – zawołała Mary. – To było niegrzeczne!

Dziecko odwróciło się do matki.

– Piją alkohol, kiedy tylko zechcą, i nie mają dzieci. Ojciec James mówi...

– Esther, to są dobrzy ludzie i powinnaś być wdzięczna za ich towarzystwo i dzisiejszą gościnność – powiedział Elijah.

Zakłopotana Fran wypiła łyk wina i złapała się na tym, że rośnie w niej bunt przeciwko temu dziecku.

– Ojciec James?

– Nasz pastor w Arizonie – wyjaśnił ze śmiechem Elijah. – Był dość porządnicki i Esther bardzo go lubiła.

Fran uniosła wzrok znad ziemniaków i spojrzała na pobladłą Mary.

– Ale nasza Esther też jest porządnicka. Siedmiolatka z manierami siedemdziesięciolatki. – Znów się roześmiał, wydając z siebie dźwięki, które Fran zaczynała uważać za irytujące. Łyknęła więcej wina, starając się nie skupiać dłużej uwagi na drugiej części modlitwy Esther. – Jeśli w jakikolwiek sposób was uraziła, to przyjmijcie nasze przeprosiny.

Adrian machnął ręką.

– Drobiazg, słyszeliśmy już gorsze rzeczy, prawda, Franny?

– Proszę, jedzcie, bo zaraz wystygnie. – Fran wskazała dłonią na pokrojoną jagnięcinę. – Pozwoli Pan, że nałożę mięsa.

– Dziękuję, pani Cole.

– Och, proszę mówić mi Fran.

– W takim razie Fran.

Przeniosła spojrzenie na Mary, która wypła już pół szklanki wody i odzyskała część koloru na policzkach.

– Ile plasterków?

– Jeden albo dwa. Nie jestem aż tak głodna. – Szybko się jednak poprawiła. – Ale pieczeń wygląda pysznie.

Fran zajęła się jedzeniem, starając się nie gardzić dzieckiem za wypowiedzenie tych bolesnych słów. Kiedy jednak podała Esther jagnięcinę, nie zdołała się powstrzymać.

– Wiesz, Esther, to ciekawe, co powiedziałaś o grzechu. O tym, że zalicza się do niego nieposiadanie dzieci. – Kiedy położyła talerz przed dziewczynką, ten zagrzechotał o sztuce. – Tak naprawdę mieliśmy dzieci. Dziecko.

Adrian odwrócił się do niej gwałtownie, ale Fran była skupiona na nakładaniu brokułów na talerz Esther.

– Była dziewczynką o imieniu Chloe i miała oczy takie jak Adrian. Uważałam ją za doskonałą istotę, ale została nam odebrana. – Fran przeszła do nakładania ziemniaków. Pociągnęła głośno nosem i odrzuciła łyżkę w głąb naczynia. – Chloe, nasze maleństwo, umarła. Nie uważasz, że zabicie dziecka jest dość grzeszne, Esther? – Fran nie miała odwagi spojrzeć w oczy komukolwiek z siedzących przy stole. Jej twarz, szyja, całe ciało było gorące od stóp do głów. Nałożyła sobie brokuły, ustawiając ich różyczki w tak wysoką kupkę, że Adrian musiał odebrać od niej łyżkę i odłożyć ją z powrotem do miski.

– Ja nie mówiłam o Bogu – powiedziała Esther.

– Dość tego – mruknął niskim głosem Elijah. – Esther, proszę natychmiast przeprosić Fran i wyrazić swoje współczucie.

– Przykro mi, że wasze dziecko umarło.

Fran oderwała w końcu wilgotne oczy od talerza. Mary wpatrywała się w nią, znów blada na twarzy, a po policzku spływała jej łza. Surowa, cherubinkowa twarzyczka Esther skierowana była w stronę talerza. Elijah chwycił Fran za rękę i ścisnął. Chciała się wyrwać z tego uścisku, ale to byłoby niegrzeczne. Bardzo się wstydziła, że zareagowała tak ostro.

– Przykro nam z powodu waszej straty – powiedział Elijah. – Chloe będzie dziś obecna w naszych modlitwach.

– Franny, wszystko w porządku? – Adrian otarł jej łzę z policzka i na moment położył jej dłoń na karku. Siedzący obok Fran Elijah wciąż trzymał ją za rękę. Ledwie odnotowywała, jak Mary obserwuje zachodzące między nią i Adrianem relacje.

Fran postarała się nadać swemu głosowi odrobinę wesołości.

– Bardzo przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. – Delikatnie uwolniła się z uścisku Elijaha. – Esther, przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam. A teraz cieszymy się już dobrym wieczorem, w porządku? – Wypiła kolejny duży łyk wina, licząc na odrobinę odrętwienia.

Rozdział 15

Fran zauważyła, że w miarę upływu czasu Adrian poddaje się urokowi Elijaha. Jak oczarowany słuchał opowieści z rancz Arizony, szczególnie skupiając się na historii o kaktusie i upadku z konia. Mąż Mary mówił niemal nieustannie o różnicach w pogodzie, porównując gigantyczne arizońskie burze piaskowe sięgające dziesiątek metrów w porze monsunowej z banalną szarością wilgotnego angielskiego dnia.

– To, co widujecie tutaj, jest niczym w porównaniu z burzami, które przychodzą w porze monsunowej. – Elijah rozkroił widelcem różyczkę brokułu, nie przestając mówić. – Robi się zimno. Aż trudno sobie to wyobrazić, ale tak właśnie jest. Grom dudni z odległości wielu kilometrów, jakby... jakby sam Bóg walił w bęben. Ale najgorsze dopiero nadchodzi, a mianowicie wiatr. Jego porywy są niewyobrażalnie silne. Potrafi w jednej chwili zerwać dach stodoły. – Podkreślił to strzeleniem palcami.

– Wow – rzucił Adrian. – Mieliśmy tutaj raz wicherę, która zerwała nam dach z szopy.

Elijah roześmiał się serdecznie i przeniósł spojrzenie na córkę.

– Dalej, Esther, zmieścisz jeszcze trochę. Przestań się bawić jedzeniem.

Fran nawiązała kontakt wzrokowy z Mary, próbując ją wciągnąć w rozmowę zdominowaną przez mężczyzn.

– Tęsknisz za domem, Mary?

Urwała i przy stole zapadła cisza. Fran zauważyła, że Elijah odwrócił się w stronę żony, jakby chciał ocenić jej reakcję.

– Nie – odparła. – Podoba mi się tutaj. Nie tęsknię do pory monsunowej, to na pewno. Ani do letniego skwaru.

Zbliżali się do końca głównego dania i jedzenie pozostało już tylko na talerzach Esther i Elijaha, który dołożył sobie jeszcze odrobinę. Fran zaczęła zbierać talerze, a Elijah wciągnął Adriana w kolejną opowieść o paskudnej pogodzie. Ku jej zaskoczeniu, Mary wstała, by jej pomóc. Chciała jej powiedzieć, żeby usiadła, ale ostatecznie uznała, że dziewczyna może mieć ochotę oderwać się od przytłaczającej obecności Elijaha.

– Twój mąż opowiada nie lada historie – zauważyła Fran, wrzucając resztę jagnięciny do plastikowego pojemnika.

– Uwielbia rozmawiać z ludźmi. Chyba tęskni za domem.

– Ale ty nie?

Mary odkręciła kran i zaczęła spłukiwać talerze. Fran schowała pojemnik do lodówki.

– Czasami tak.

– To chyba naturalne, masz tam z pewnością rodzinę i znajomych.

Fran dostrzegła lekką zmianę w mowie ciała Mary. Dziewczyna odchrząknęła, unikając przenikliwego spojrzenia Fran.

– Kilkoro.

Choć Fran miała ochotę zadać więcej pytań, wyczuła, że pora się wycofać. Mary przypominała jej płochliwą sarnę, gotową zerwać się do ucieczki przy nagłym poruszeniu.

– Przepraszam za to, co dziś powiedziała Esther – dodała po chwili. – To było niegrzeczne i chcę, byś wiedziała, że zostanie za to ukarana.

Przerażona Fran położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie, proszę. Nie ma powodu, by ją karać. Rzuciła coś, co po prostu usłyszała. To nie jej wina.

– Musi się w końcu dowiedzieć, że na pouczenie jest odpowiednie miejsce i czas, ale kiedy ktoś cię zaprasza do swojego domu, to takie zachowanie jest niedopuszczalne. – Mary ułożyła splukane talerze, ignorując dłoń Fran.

– Jaki rodzaj kary? – Fran cofnęła się o krok i zagryzła kciuk.

– Cóż, zwykle pozwalamy jej wieczorami poczytać. Z powodu tego incydentu nie będzie mogła czytać przez tydzień. – Mary się nie uśmiechała i przez krótką chwilę Fran dostrzegła w niej podobieństwo do córki.

Zanim się odezwała, zastanowiła się przez moment. Otworzyła zmywarę i zaczęła ją napełniać.

– Nie chcę was pouczać, jak wychowywać dziecko. Sama wiesz, że nie mam w tym większego doświadczenia. Osobiście jednak uważam, i mój mąż jako mól książkowy z pewnością by mnie poparł, że książki otwierają umysł na empatię. Odebranie jej tego mogłoby wywołać jeszcze większą szkodę.

– Tak sądzisz?

– Chyba tak.

Mary schowała twarz w dłoniach.

– Nie wiem, co wyprawiam. Chyba wszystko robię nie tak.

Fran poczuła w sercu coś na kształt matczynej miłości. Objęła Mary.

– Nie, nie robisz. Może powiedz Esther, że nie będzie oglądać telewizji przez kilka dni.

– Nie mamy telewizora.

– A muzyka?

Mary uniosła wzrok.

– Tak, to dobry pomysł.

– Albo po prostu z nią porozmawiaj i wyjaśnij, co było niewłaściwe – zasugerowała Fran. – Zdziwiłabyś się, ile można działać dzięki rozmowie. – Ścisnęła lekko jej ramię. – Moi rodzice wyemigrowali do Australii kilka lat temu. Nie należeli do wielkich mówców. Byli miłośnikami dyscypliny, którzy zawsze korzystali z okazji do jej wprowadzenia, kiedy zrobiłam coś nie tak. Kary zwykle dotyczyły telewizji. Albo spotkań ze znajomymi. Nigdy jednak nie powstrzymały mnie one przed złym zachowaniem: wymykałam się nocami na imprezy, piłam, kiedy byłam zbyt młoda. Kara nigdy nie działała odstręczająco. Jedynym efektem, jaki uzyskali, było to, że przestałam się z nimi przyjaźnić, bo ze mną nie rozmawiali. Teraz czasami piszemy do siebie maile. Odwiedzam ich raz do roku. Taki jest stopień naszej zażyłości. – Kiedy Chloe zmarła, mama przyjechała na pewien czas, ale atmosfera nie należała do najlepszych. Choć Fran kochała rodziców i za nimi tęskniła, nigdy nie byli blisko.

Mary pociągnęła nosem.

– Za to moja rodzina wciąż rozmawiała, ale głównie o tym, kim powinnam zostać i w co wierzyć. Dyskutowali tyle, że przez to nigdy nie zrozumiałam, kim jestem, wiedziałam tylko, jakie mają oczekiwania. – Mary przeczesła dłonią włosy. – Czy istnieje dobry sposób na to, jak być mamą?

– Nie – odparła krótko Fran, wzruszając ramionami. – Wszyscy dają dupy, jeśli chodzi o dzieci. – Mary otworzyła szeroko oczy i Fran natychmiast pożałowała, że przed nią zakłęła. Ale dziewczyna natychmiast uśmiechnęła się szeroko. Kiedy do kuchni wszedł Adrian, obie nadal chichotały.

– Czas na deser? – spytał. – Widzę, że dobrze się bawicie.

– Już zgłodniałeś, staruszkę? – Fran chwyciła kuchenny ręcznik i zdzieliła nim w biodro męża. Spojrzała na Mary i zauważyła, że jej śmiech już ucichł, a uśmiech zgasł.

Rozdział 16

Następnego ranka Fran zdecydowała się wybrać inną trasę przebieżki, całkowicie omijając park. Zamiast tego pobiegła ulicą, na której mieszkali Whitakerowie, zwalniając przy ich domu, by lepiej mu się przyjrzeć. Zobaczyła, że w sypialni na piętrze pali się światło. Dochodziła piąta trzydzieści, założyła więc, że Elijah szykuje się do pracy. Jak zauważył Adrian przy kolacji, ich nowy znajomy wydawał się ciężko pracującym mężczyzną, który utrzymuje rodzinę. Okazał się również sympatycznym człowiekiem i przyzwoitym gawędziarzem. Miał cierpliwość do córki i cechowało go dobre poczucie humoru. Fran nie zapomniała jednak o incydencie w kuchni, kiedy położył dłoń na ramieniu żony i ją popchnął. Było to dość dziwne zachowanie w towarzystwie. Do tego siniaki u Mary i Esther... Skarciła się w myślach, że znów zaczyna stawiać pochopne wnioski.

Fran oddychała ciężko, wspinając się pod górę, i od razu przypomniała sobie, dlaczego zwykle biega po płaskim parku. Widziała ranne ptaszki podlewające kwiaty w doniczkach, kobietę w piżamie wynoszącą śmieci, oryginalne kompozycje wiosennych kwiatów umieszczone w drewnianych beczkach, dumnie

wyprostowane żonkile. Typowy poranek w Leacroft. Powietrze pachniało rosą i trawą. Doskonała scena do relaksu.

Podobnie jak wielu mieszkańców Leacroft, populacja miasteczka miała całkiem ładną powierzchnię, która przykrywała pęknięcia wywołane wewnętrznym chaosem. Wzrost cen nieruchomości, brak młodych ludzi w okolicy, małe firmy cierpiące na brak klientów. Każdy dom był przepięknie utrzymany, ale skrywał problemy: nieudane małżeństwa, niewierność, traumy z dzieciństwa, długi i niespełnione marzenia. Fran wiedziała, że w jej domu również kryją się tajemnice.

W ostatnim czasie po dłuższej przerwie powróciły jej koszmary. Wywołujące zimny pot strachy, o których nikomu nie mówiła, nawet Adrianowi czy terapeutce, do którego chodziła przez rok. Fran wybiegła na słońce, gotowa przegonić obrazy z Chloe w roli głównej, o których nie była w stanie rozmawiać. Zamiast tego upadła boleśnie na kostkę i uderzyła otwartą dłonią o chodnik. Siła rozpędu rzuciła ją o ziemię, na skutek czego skończyła na plecach. Leżała tak przez chwilę, aż ktoś wybiegł z pobliskiego domu.

– Nic się pani nie stało?

Zakłopotana Fran wstała, zanim poczuła, że jest na to gotowa. Lewa kostka silnie jej pulsowała.

– Wszystko w porządku.

– Mam kogoś wezwać?

– Nie, nie. Mieszkam tuż za rogiem. Dam radę pokuśtykać do domu.

Kobieta była od niej starsza, po pięćdziesiątce, ubrana w jasnoróżowy szlafrok założony na piżamę. Na stopach miała puchate kapcie.

– Odprowadzę panią.

– Nie, proszę wracać do łóżka. – Fran zademonstrowała możliwość przemieszczania się, ukrywając grymas bólu po kilku krokach.

– No dobrze, skoro pani nalega – zawołała za nią kobieta.

Fran doczłapała do końca ulicy i tam odpoczęła. Była pewna, że kiedy upadła, co najmniej posiniaczyła sobie dolną część pleców. Oparła się o mur i przyjrzała dłoniom oraz kolanom. Zdarte. Pozostało jej mniej niż dziesięć minut do domu, ale w tej sytuacji był to dla niej maraton. Pomyślała przez chwilę, żeby zadzwonić do Adriana, ale wiedziała, że nadal śpi i nie usłyszy telefonu.

– To wyłącznie twoja wina – powiedziała do siebie, posuwając się do przodu, zdeterminowana, by dotrzeć do domu. Gdyby nie ta obsesja na punkcie Whitakerów, biegałaby sobie teraz radośnie po parku. Zamiast tego rozbudziła w sobie świeży ból po stracie Chloe, wytworzyła niezdrowe przywiązanie do Mary i jej córki i zrobiła sobie krzywdę, pogrążona w myślach. To musiało się skończyć.

Kiedy kuśtykała chodnikiem, przejechało obok niej volvo, którego kierowca mocno zwolnił.

– Mogę cię podrzucić? – Ku zaskoczeniu Fran w oknie samochodu pojawiła się okrągła twarz Elijaha. Pomyślała o sposobie, w jaki zdominował rozmowę i o popchnięciu Mary. Wcale nie miała ochoty wsiadać do tego auta. Ale jednocześnie o tym marzyła, bo kostka bolała jak diabli, a jego rodzina była jej nałogiem. – Przewróciłaś się? – spytał, kiedy wgramoliła się na siedzenie.

– Nakryłam się nogami, jak to mówią.

Roześmiał się głośno i odjechał od krawężnika.

– Podoba mi się to. Wy, Brytyjczycy, naprawdę potraficie dobrać słowa.

– Czy przeklinanie jest dozwolone w twojej religii?

– Niemile widziane.

– To coś, czego ojciec James by nie pochwalił?

Zachichotał.

– Tak sądzę.

– A więc jesteście katolikami, tak? Skoro mowa o „ojcu”, to tak założyłam.

Elijah minął park i skręcił w stronę domu Fran.

– Nie, nie jesteśmy. Używamy jednak słowa „ojciec”, by opisać relacje z naszym pastorem. Wszyscy jesteśmy tam braćmi i siostrami.

– Rozumiem. Chrześcijanie?

– Tak.

– Wybacz, jeśli jestem wścibska.

– Nie, skądże. Oficjalnie jesteśmy prezbiterianami, ale tak naprawdę podążamy własną drogą – wyjaśnił.

Od domu Fran dzieliła ich teraz tylko jedna przecznica, przez co poczuła zarówno ulgę, jak i rozczarowanie.

– Udało się wam znaleźć w pobliżu kościół prezbiteriański?

Uśmiechnął się.

– Nie, ale nic nie szkodzi. Jak już powiedziałem, wolimy wyznawać naszą wiarę we własny sposób. – Pochylił się do przodu, włączył radio i podkreślił nieco głośność. – Wcześniej wstajesz.

– To mój poranny rytuał – odparła Fran, podnosząc głos powyżej poziomu muzyki. – Przebieżka, potem prysznic i śniadanie.

– I tak od kiedy zmarło wasze dziecko – wypowiedział te słowa w taki sposób, jakby były stwierdzeniem faktu, a nie pytaniem, co

wywołało u niej dziwną sensację gdzieś w środku. Ściszył radio. – Wybacz. Jestem nietaktowny. Po prostu znam ból i wiem, co on robi z człowiekiem. Kiedy miałem dziesięć lat, mój młodszy brat wpadł do rzeki i utonął. Miał pięć lat. Mama nie przyjęła tego dobrze. Z początku zupełnie się w sobie zamknęła. – Pokręcił głową. – Jeśli kiedykolwiek spotkałaś kogoś cierpiącego na demencję, to możesz sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Pustka. Oczy, które nie widzą już tego, co jest przed nimi. Kiedy to minęło, znajdowała sobie różne obsesje. Najpierw jedzenie, potem picie, diety, a na koniec ogrodnictwo. Trwały miesiącami, czasem latami. – Podjechał pod krawężnik tuż pod domem Fran. Ani razu nie musiała wskazywać mu drogi. – Mam nadzieję, że z twoją kostką będzie wszystko w porządku. Chyba ją skręciłaś.

Fran namacała dłonią klamkę. Wciąż tkwiła w otępieniu.

– Dziękuję za podwózkę.

Kiedy wysiadała, Elijah powiedział coś jeszcze:

– Nigdy nie wróciła tak do końca, wiesz? Moja matka. Część jej umarła razem z Johnnym.

Rozdział 17

Elijah miał rację co do jej kostki. Fran ją skrzyła i do tego posiniaczyła sobie plecy. Przez cały tydzień Adrian podkładał jej poduszki na sofie, zostawiał książki na stoliku, przynosił kanapki i herbatę. Kolacje jadali z talerzami na kolanach, przy czym Fran opierała nogę na stołku. Przez większość czasu była sama – Adrian czytał w swoim gabinecie lub włóczył się po ogrodzie. Nie było to dla nich nic nietypowego, oboje lubili przebywać w samotności. Fran nie potrafiła się jednak skupić na książkach, które jej zostawił, ani wciągnąć w lejący w telewizji kryminał. Po prostu się dusiła. W swoich myślach, bólu, poczuciu winy. Od śmierci Chloe minęło pięć lat, a ona wciąż nie dawała sobie z tym rady. Pięć lat koszmarów, biegania, grzebania w ogrodzie i obsesji – zupełnie jak matka Elijah. Najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że to właśnie on rozumiał najlepiej jej ból.

Fran postanowiła skupić się na swojej stronie na Facebooku. Drugiego dnia wysłała Mary wiadomość, w której wyraziła nadzieję, że ta dobrze się bawiła na ich kolacji. Wspomniała też o kostce i poprosiła o podziękowanie Elijahowi za podwiezienie jej do domu. Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że Mary nie wiedziała nic na temat jej kostki i krótkiej przejażdżki z Elijahem.

Dziewczyna była na tyle miła, by zaoferować swoją pomoc w przygotowywaniu posiłków i przynieść im zapiekanki i inne potrawy. Fran dostrzegła w tym ukrytą sugestię. W świecie Mary to kobiety gotowały, a kiedy zachorowały, mężczyzna musiał sobie jakoś radzić. Było to oczywiście dalekie od stylu życia, jaki prowadziła z Adrianem, który potrafił przyrządzić rozmaite dania, nie zerkając ani razu do przepisu.

W dniu próby chóru Fran zrobiła coś, czego nigdy dotąd nie robiła. Chwyła telefon i zadzwoniła do Emily, żeby poinformować ją o swojej nieobecności.

– Za tydzień już się pojawię.

– W porządku, kochana. Dam znać dziewczynom. Wiesz, że mamy nowy nabytek?

– Nie – odparła Fran. – Kto to?

– Mary Whitaker.

– Och, wspaniale. Sama jej to zasugerowałam. Nie ma tutaj żadnych przyjaciół, chyba z wyjątkiem mnie i Adriana.

– A więc teraz się przyjaźnicie?

– Zaprosiliśmy ich ostatnio na kolację.

W głosie Emily pojawiła się nutka, która podkreślała jej pragnienie usłyszenia nieco więcej.

– To jaki on jest? Jej mąż?

Fran nie zamierzała plotkować. Nigdy tego nie lubiła, nawet w szkole, gdzie dobra plotka była przepustką do popularności. Na ogół nie wsadzała nosa w nie swoje sprawy. Siedząc na sofie, z chłodnym opatrunkiem na kostce, zaczęła relacjonować przebieg spotkania, w końcu wyrzucając z siebie część myśli, które krążyły w jej głowie od pewnego czasu. Pożegnały się, a Emily obiecała zadzwonić innym razem.

Tego wieczoru Fran i Adrian jedli spaghetti i oglądali film dokumentalny poświęcony Charlesowi Dickensowi. Wybrał go oczywiście Adrian. Fran zerkała przez cały czas na zegar na kominku, czekając na zakończenie próby chóru, żeby Emily mogła do niej zadzwonić i opowiedzieć, jak było. Telefon zadzwonił, kiedy Adrian zmywał naczynia.

– Przeprowadziła ze sobą dziewczynkę. Słodziutka, prawda? Ślicznie się ubiera. Cieszę się zawsze, kiedy widzę dziecko ubrane tak, jak być powinno. I do tego te białe skarpetki. – Kobieta zachichotała. – No dobrze, przejdźmy do matki. Widać, że nawet muchy by nie skrzywdziła. Nie powiedziała ani słowa o sobie, wciąż tylko przeproszała i wyjaśniała, że musi wracać i zaparzyć Elijahowi herbatę. Kiedy zadałam jej pytanie, zrobiła się cała czerwona. Dziwna kobieta.

Fran słuchała wywodów Emily, z każdym słowem odczuwając narastający żal. Wyglądało na to, że Mary nie zgotowano ciepłego powitania, które Fran pewnie by zainicjowała, gdyby tam była. Zamiast tego dziewczyna została zbombardowana wścibskimi pytaniami przez lokalną plotkarę. Kiedy Fran powiedziała Esther kilka gorzkich słów, była to jej wina. A teraz wysłała Mary na chór jak owieczkę na rzeź. Czuła się z tym podle.

– Na koniec – ciągnęła Emily – wyszła bez pożegnania.

– Jasne – mruknęła Fran.

– Widziałam w tym tygodniu, jak rozmawiała z Adrianem. Wczoraj, dokładniej mówiąc. Stali przed biblioteką.

Fran wyprostowała plecy.

– Nie wiedziałaś? – dodała Emily.

– Nie. – Fran zazgrzytała zębami. Ze swojej reakcji też nie była zadowolona.

– No, rozmawiali o czymś przez dłuższą chwilę. Aż się dziwię, że Adrian ci o tym nie powiedział, bo był przez cały czas piekielnie nachmurzony. Mówię ci, coś go wkurzyło. W końcu sobie poszedł.

– Och. – Fran nie wiedziała, co powiedzieć. Wciąż słuchała kobiety szczerze zaskoczona.

– To z pewnością nic takiego – rzuciła Emily. – Ale tak właśnie było.

– Okej. To na pewno drobiazg.

Przez pozostałą część tygodnia Fran trzymała się z dala od telefonu. Nie skontaktowała się ponownie z Emily.

Rozdział 18

Jeszcze tego samego dnia Fran zapytała Adriana, dlaczego rozmawiał z Mary przed biblioteką. Jej mąż wzruszył tylko ramionami.

- Wpadłem na nią. Przywitaliśmy się.
- Emily twierdziła, że byłeś zdenerwowany.

Usłyszawszy to, Adrian opuścił książkę i spojrzał w lewo, jakby próbował sobie przypomnieć, co tam zaszło.

– Bo byłem zdenerwowany. Zapytała mnie o możliwość uczenia dziewczynki, co było trochę niegrzeczne, zważywszy na to, jak słabo się znamy. Och, i wspomniała też o modlitwie za twoją kostkę. Wiesz, co myślę o modlitwach.

To była prawda. Adrian zwykle pierwszy przewracał oczami, kiedy dziennikarz, polityk czy gwiazda telewizji wspomniała coś o „myślach i modlitwach”.

– Ta sprawa z nauką to moja wina – przyznała Fran. – Powiedziałam Mary, że mógłbyś pomóc, gdyby Esther tego potrzebowała.

Westchnął.

- I teraz zrobiłem z siebie durnia. Mogłaś mi o tym powiedzieć.
- A ty mógłbyś być dla niej miłszy.

Zamknął książkę.

– Byłem miły. Ale... ech, nieważne. – Odłożył książkę na bok, poprawił się w fotelu i postukał palcami o poręcz.

– No co?

– Chyba wspomniałem, że wciąż jesteś jeszcze przewrażliwiona po śmierci Chloe i że nie chcę, żebyś przyjaźniła się z kimś, kto może spróbować to wykorzystać.

– Co powiedziałaś?

– Tak. A teraz widzę, jak to wygląda. Nie chciałem jej zirytować ani nic w tym rodzaju, ale jak już ci wcześniej powiedziałem, jesteś dla mnie priorytetem.

– Nie będziesz za mnie decydował – warknęła Fran. – Czy to jasne?

Adrian wstał.

– Jak najbardziej.

Kiedy opuścił pokój, nie drażyła dalej tematu. Nadeszła głęboka cisza, która ciągnęła się przez kilka dni, aż w końcu Fran zaczęła odpuszczać. Z kostką było już lepiej i postanowiła wczesnym rankiem ostrożnie powrócić do starego, biegowego rytuału. Marzyła o powrocie do normalności.

Kiedy zatrzepotała powiekami o czwartej czterdzieści pięć, z prawdziwą ulgą ubrała się, zawiązała buty i pocałowała Adriana w czoło. Spała tej nocy głęboko i obudziła się z lekkimi zawrotami głowy. Może wcale nie potrzebowała już tej ostatniej dawki środków przeciwbólowych. Delikatnie pomacała kostkę i zeszła po schodach. Wciąż trochę kłuło i w końcu uznała, że bezpieczniej będzie przejść się znajomą trasą, niż biegać.

Na dworze padała mżawka, a niebo przed świtem było zasnuwane chmurami. Założyła kaptur swojej sportowej bluzy i ruszyła

w stronę centrum miasteczka, gdzie napotkała jedynie lisa wężącego wśród kontenerów na śmieci.

Po dwóch okrążeniach parku Fran postanowiła skierować się dalej w stronę potoku, wiedząc, że zbliży się wtedy do domu Whitakerów. Do głowy przyszły jej słowa wypowiedane przez osobę uzależnioną. Jeszcze tylko jeden rzut oka na dom. Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli przejdzie obok. Jutro rano będzie już trzymać się z dala i nie wyśle do Mary żadnej wiadomości. To był jej ostatni zryw. Dogodzi sobie po raz ostatni.

W domu światła były zgaszone, a rodzinne volvo stało zaparkowane na podjeździe. Zasłony również były zaciągnięte. Fran postanowiła przejść się drugą stroną ulicy, wzdłuż potoku. Tam, na skraju lasu, powietrze pachniało świeżością. Mżawka ustała, a ptaki zaczęły śpiewać. Słońce wstało i oświetliło drzewa. Kiedy wróciła do domu, całe buty miała unurzane w błocie. Wciąż czuła się dość niepewnie. Po prysznicu zamiast zjeść śniadanie, wskoczyła jeszcze na godzinę do łóżka, gdzie znalazła się w ramionach Adriana.

Obudziła się niecałą godzinę później na odgłos szczególnie irytującego szczebiotu ptaka tuż przy oknie. Kiedy jęknęła z niezadowoleniem, uświadomiła sobie, że to sygnał jej telefonu.

– Odbierz, Franny – wymamrotał Adrian.

Wymacała dłonią telefon i przewinęła ekran, patrząc przez zmrużone powieki.

– Halo? – Czekaając na odpowiedź, spojrzała na zegar stojący na stoliczku nocnym. Była już dziesiąta.

– Nie możemy jej znaleźć. Szukaliśmy wszędzie.

– Nie możecie... To ty, Mary?

– Tak. – Dziewczyna pociągnęła nosem i westchnęła z drzeniem.
– Esther znów uciekła. Ale tym razem nie możemy jej nigdzie znaleźć. Sprawdziliśmy park, obeszliliśmy całe miasteczko. Szukamy już od ósmej. Nigdzie jej nie ma.

– Zadzwoniliście na policję? – Fran zrzuciła z siebie kołdrę, pospiesznym krokiem podeszła do szafy i otworzyła ją z impetem.

– Elijah właśnie się tym zajmuje. Pomyślałam... że może moglibyście nam z Adrianem pomóc? Nie wiem, kogo innego miałabym poprosić.

Fran zdjęła bluzkę z wieszaka i rzuciła ją na łóżko.

– Oczywiście, że pomożemy. Już do was jedziemy.

– Dziękuję – powiedziała. – Tak bardzo dziękuję.

Fran się rozłączyła i rzuciła koszulę w stronę męża.

– Esther zaginęła.

Natychmiast wstał z łóżka.

– Jak dawno?

– Od ósmej, może wcześniej. Powiedziałam, że do nich przyjedziemy.

Adrian założył bieliznę.

– Pojedziemy tam samochodem, na wypadek gdyby był potrzebny.

Wokół serca Fran zacisnęły się lodowate palce. Gdzieś w podbrzuszu poczuła dotkliwy strach, który podpowiadał jej, że wydarzyło się coś strasznego. Była tego niemal pewna. Kiedy się ubierali i siłowali z obuwem, Fran ujrzała przed oczami maleńkie, pozbawione życia ciało Chloe w kołysce. Śmierć łóżeczkowa, jak wyjaśnił jej później koroner. Nie sposób było temu zapobiec. Nie była to też niczyja wina, po prostu straszny cios dla

niektórych rodziców. Los rozdał karty – te i inne oklepane frazesy Fran usłyszała później niezliczoną ilość razy.

Wsiedli do samochodu, Adrian za kierownicę. Po śmierci Chloe nie rozmawiali zbyt wiele o przyszłości. Adrian wrócił do pracy wcześniej niż ona. Wciąż była na urlopie macierzyńskim. Każdego dnia powracała jednak do niej ta sama myśl. Myśl, że mogliby spróbować jeszcze raz. Nie traktowała tego pomysłu jako zamiany, próby zastąpienia, po prostu nie chciała się poddawać. Miała wtedy czterdzieści jeden lat, ale fizycznie wciąż czuła się jak po trzydziestce. Przed czterdziestką była nawet instruktorką pilatesu. Ale los miał dla niej jeszcze jedną przykrą niespodziankę. Fran weszła w okres menopauzy. Przekwitanie zaczęło się nagle i intensywnie, fundując jej wybuchy gorąca w lodowate, zimowe dni. Innego dnia Fran potrafiła warczeć na wszystkich od rana do wieczora. W dniu, w którym odwiedziła z Adrianem lekarza, żeby porozmawiać o tej wczesnej menopauzie, jej mąż przemałował pokój dziecięcy.

Kiedy jechali do domu Whitakerów, wspominała tamtą wizytę u lekarza. Myślała o agonii związanej z utratą dziecka. Żołądek zawiązał się jej w ciasny węzeł.

Rozdział 19

W domu panowała większa cisza, niż Fran sobie to wyobrażała. Nie ujrzała Mary biegnącej nerwowo, jak wtedy w parku, kiedy znalazła Esther. Fran i Adrian podeszli do drzwi wejściowych. Nacisnęła przycisk dzwonka. Radosne *bing bong* wydawało się w tej sytuacji niestosowne. Fran westchnęła głęboko.

Drzwi otworzył Elijah, ubrany niemal identycznie jak tamtego wieczoru na kolacji – w koszulę i spodnie. Włosy miał znów starannie zaczesane na bok z przedziałkiem. Uścisnął dłoń Adriana i skinął głową Fran.

– Dziękuję, że przyjechaliście. Bardzo to doceniamy.

Fran zaczęła się pocić z powodu ciepła panującego na werandzie. Pomyślała, że front domu jest jak piec, a pozbawiona okien weranda jeszcze zwiększa panujący wewnątrz skwar. Weszła pośpiesznie do środka i zsunęła buty.

– Jakież wieści? Co powiedziała policja? – zapytała Fran. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu Mary.

– Wszyscy jej szukają – odparł. – Byłem rano na posterunku. Właśnie wróciłem. Pomyślałem, że zajrzę do Mary. Jak na razie nikt nie widział naszej córeczki.

– Wyjdziemy na ulicę i pomożemy – zapewnił Adrian.

– Oczywiście, cokolwiek będzie potrzebne – dodała Fran.

Weszli do niedużego salonu, w którym Mary siedziała skulona w fotelu z wysokim oparciem. Stopy miała oparte o brzeg siedziska. Ubrana była w długą suknię, podobną do tej, którą Fran podziwiała podczas ich lunchu w Chatsworth House. Podeszła bez wahania do młodej kobiety i ją objęła. Niezależnie od tego, co można było powiedzieć o tej rodzinie, miłość Mary do Esther nie budziła żadnych wątpliwości.

– Znajdziemy ją – powiedziała Fran. – Obiecuję.

– Nie powinniśmy tutaj przyjeżdżać – rzuciła Mary. – To był błąd. – Przeniosła wzrok z Fran na mężczyzn stojących w przejściu. Fran nie była do końca pewna, czy Mary skierowała te słowa bezpośrednio do Elijaha, czy po prostu głośno rozmyślała.

Odsunęła się i uważnie spojrzała na jej twarz w poszukiwaniu wskazówek.

– Co masz na myśli?

Mary otarła nos grzbietem dłoni.

– Nic. Przepraszam. Gadam bez sensu, prawda?

– Jesteś w szoku. Zrobię ci herbaty.

– W dzbanku jest kawa – powiedział Elijah. – Napijcie się? Do diaska, mnie też się przyda. Odnoszę wrażenie, że ostatnie godziny ciągną się jak dni. – Roześmiał się w dziwny sposób.

Mary stwierdziła, że też woli kawę i jej mąż zniknął w kuchni.

– Co mamy robić, Mary? – zapytała Fran, koncentrując się na tym, co istotne, a nie na dziwnym śmiechu Elijaha. – Przejść się po miasteczku? Może zadzwonimy do szpitali? Chcemy się na coś przydać.

– Szukajcie jej – poprosiła Mary. – Ona was zna. Esther nie ufa ludziom. – Przełknęła głośno ślinę i oparła głowę o czerwony

zagłówek aksamitnego fotela. – Nie pójdzie nigdzie z obcą osobą, a już na pewno nie z policją.

– A to dlaczego? – Sposób, w jaki powiedziała to Mary, kazał Fran myśleć, że dziecko mogło mieć kiedyś jakieś złe doświadczenia ze stróżami prawa.

– Tak po prostu. Wiesz, jaka jest nieśmiała. Będą zadawać jej pytania, a ona nie odpowie. Będzie się bała. – Pochyliła się do przodu i potargane włosy opadły jej na kolana. – Muszę się pomodlić. Muszę się za nią pomodlić.

Fran pomasowała ją po karku. Zauważyła, że Adrian przygląda się tej scenie z niepokojem. Czy on też pomyślał o Chloe?

Zobaczyła, że Mary szepcze coś pod nosem, kołysząc się do przodu i do tyłu. Uznała to za dziwnie kontrastujące z Elijahem, który wszedł z kubkiem w dłoni, wciąż się uśmiechając. Nie zrobił nic, by pocieszyć swoją żonę, zamiast tego postawił kubek na stoliku obok niej i zapytał Fran i Adriana, czy czegoś potrzebują.

– Esther uciekała, kiedy mieszkaliście w Arizonie? – zapytała Fran. Wciąż nieco zaskoczona nonszalancją Elijaha, poszukiwała jakiegoś sensownego wyjaśnienia. Jeśli działa się to regularnie, to może już po prostu do tego przywykł.

– Nie wydaje mi się – odparł. To również uznała za dziwne. – To takie dobre dziecko. Chyba tak na nią wpłynęła przeprowadzka tutaj.

– Nie martwisz się? – spytała Fran.

– Martwię się. – Wsparł dłonie na biodrach jak ktoś, kto albo chce zerwać się do działania, albo ukarać inną osobę. – Ale martwieniem się nie sprowadzę jej do domu, prawda? Nie, ufam Bogu i jego planowi. Cokolwiek ma dla nas w zanadrzu, damy sobie radę.

Fran zabrała dłoń z karku Mary i podeszła do Adriana. Odwróciła się do Elijaha.

– Mary poprosiła nas, żebyśmy szukali Esther. Gdzie twoim zdaniem powinniśmy zacząć?

– Może w lesie – odparł Elijah. – Większa część miasteczka została już przeszukana.

Rozdział 20

Fran i Adrian zastanawiali się, czy wziąć samochód, ale ostatecznie postanowili wyruszyć na piechotę. Odległość była nieduża, a po drodze mogli wołać Esther, na wypadek gdyby mała postanowiła schować się przed innymi ochotnikami.

Po drodze Fran zwerbalizowała swoje obawy, których nabrała w domu Whitakerów.

– Przykro mi, ale go nie lubię. Ten człowiek się uśmiechał. Uśmiechał! Zaginęła mu córka, a on proponuje nam filiżankę kawy!

Adrian milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Słuchaj, nie chcę się z tobą sprzeczać, ale uważam, że powinnaś trochę wyluzować, jeśli chodzi o niego. Ludzie w zupełnie odmienne sposoby reagują na stres. Widziałem nawet takich, którzy śmiali się na pogrzebach.

Pokiwała niechętnie głową, bo jej mąż miał rację, a poza tym wiedziała, że nie poradziła sobie ze śmiercią Chloe w sposób typowy dla zrozpaczonej matki. Najpierw zdystansowała się od emocjonalnej strony tej tragedii i postanowiła działać w sposób praktyczny. Potem emocje zaczęły powracać w nagłych, krótkich napływach, jak seria agresywnych fal atakujących brzeg morza.

Szli zwawym krokiem, wołając Esther. Fran skorzystała ze zdjęcia w telefonie – zrobionego w Chatsworth House – żeby pytać ludzi na ulicy, czy jej nie widzieli. Prosiła ich również o sprawdzenie szop w ogrodach, na wypadek gdyby mała gdzieś się zasyłała jak zagubiony kot. Brzmiało to zabawnie, ale jednocześnie było śmiertelnie poważne.

Dziesięć minut później doszli na skraj lasu. W oddali Fran usłyszała echo głosów grupy poszukiwawczej, której uczestnicy wołali imię Esther budzącym przerażeniem chórem. Poczwała, jak unoszą się jej włoski na ramionach. Ruszyli leśnym traktem, stąpając ostrożnie wśród szepczących drzew. Nad głowami szeleściły liście, a z dołu unosił się zapach gleby.

– Dlaczego ona wciąż ucieka? – zapytała Fran. – Musi być jakiś powód. Dzieci nie uciekają z domu bez przyczyny, prawda? Coś musi się dziać w tych czterech ścianach.

Adrian uniósł brwi.

– Możesz mieć rację. Ale teraz musimy się skupić na jej odnalezieniu.

Fran objęła się rękami.

– Niedobrze mi.

– Chcesz się zatrzymać?

Rozejrzała się dookoła. Od drzew po kamienne dróżki i porośnięte mchem pniaki. Znalazłaby tu wiele miejsc, w których można by wyrzucić ciało i poczuła, jak przechodzi ją gwałtowny dreszcz.

– Nie, chcę ją znaleźć i chcę, żeby nic jej nie było. – Objęła się jeszcze mocniej. – Boży plan – parsknęła. – Plan obejmujący martwe niemowlęta i dzieci. A on tylko kręci głową i mówi: taki jest Boży plan.

– Wciąż chodzisz do kościoła – zauważył Adrian.

Otarła łzy z policzków. Nie miała nic więcej do powiedzenia. Niesprawiedliwość, tragedię, sposób, w jaki Elijah tak łatwo odrzucił możliwość utraty córki, zrzucając to na karb losu lub pecha. Tak, wciąż chodziła do kościoła, bo nie mogła pozwolić sobie na utratę wiary, którą kiedyś uważała za coś pięknego, ale jednocześnie nie potrafiła już wierzyć w los, czyjekolwiek plany i wolę.

Fran zawołała Esther. Jej głos powrócił do niej kilkunastoma różnymi echami. Zeszli ze ścieżki nad połamanymi gałęziami, przecięli rosnące gęsto paprocie i zaczęli usuwać drobne kamyki, które wbiły się im w podeszwy butów. Podłoże było miękkie, ale nie mokre. Fran wyczuła zapach pleśni unoszący się znad wilgotnej gleby. Znała go ze swoich porannych przebieżek. Zawsze lubiła go wdychać, ale tego dnia zatykał jej gardło.

Whitakerów znała już od niemal miesiąca. Czy miała jakiegokolwiek prawo, żeby się tak denerwować? Z pewnością każdy byłby zrozpaczony, usłyszawszy o zaginięciu miejscowego dziecka. Tak przynajmniej sobie powtarzała, zagryzając wargę i szukając nieprzetartych ścieżek pośród sosen. Esther. Usłyszała, że Adrian zaczyna chrypnąć.

Po blisko dwóch godzinach wrócili na trakt i przysiedli na moment na ławce. Fran rozciągnęła mięśnie łydek i pomasowała kostkę.

– Jak sobie radzisz, Franny? – Adrian uszczypnął ją w policzek i zaraz pocałował to miejsce.

– Bywało lepiej. A co z tobą, stary dziadzie?

Adrian klepnął się w biodro.

– Gotów do operacji.

Były to krótkie, radosne chwile, których potrzebowali w tym mroku.

– Wstawaj. – Pociągnęła go za rękę. – Musimy ruszać. Trzeba znaleźć to dziecko.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, weszli w chmurę muszek. W miarę upływu czasu Fran czuła dziwne, fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Brak wieści to dobra wieść, jak powiadają, a nieodnaleziona Esther wciąż była żywa. Nie było to oczywiście to samo, co odnalezienie jej całej i zdrowej, ale nadal przynosiło nadzieję. Zastanawiała się, czy Elijah wyszedł z domu, żeby dołączyć do poszukujących, czy postanowił zostać z Mary.

Wyszli z lasu i znaleźli się na trawiastej polanie, gdzie grupa ochotników spotkała się z policją. Kobieta zauważyła jakieś zamieszanie, kiedy do tłumu podbiegł podekscytowany mężczyzna. Fran przyspieszyła kroku, żeby usłyszeć, co się dzieje.

– Jest tam jakaś dziewczynka – zawołał mężczyzna. Zatrzymał się w odległości dziesięciu metrów od reszty i wymachiwał rękami. Policjanci natychmiast pobiegli we wskazanym kierunku między drzewa. Fran spojrzała na Adriana i dołączyła do nich.

Był to moment, w którym zdawało się, że świat trwa w bezruchu. Serce łomotało jej z taką samą siłą, z jaką pracowały jej nogi. Wyprzedziła Adriana, który nigdy nie był tak dobrym biegaczem, żeby dogonić grupę. Dzinsy poruszonego mężczyzny całe pokryte były przytulią. Fran go nie rozpoznała, znała jednak twarze kilku podążających za nim osób. Zauważyła członkinie chóru i Emily. Nie przywitała się z nimi, a one również nie zareagowały na jej obecność. Były za bardzo zaangażowane we wspólną akcję. Połączył je jeden cel.

Fran odwracała się w lewo i w prawo, szukając wzrokiem Elijaha lub Mary. Nie zauważyła ich jednak nigdzie. Grupa biegła wśród drzew, w dół zbocza, deptając gąbczaste podłoże. Fran również weszła w zarośla pełne przytulii i po chwili miała na łydkach poprzyczepiane kulki. Zerknęła w stronę Adriana, który podążał za nią z ustami zaciśniętymi w cienką linię.

Dotarli do celu. Mężczyzna wskazał w stronę potoku. Mówił coś, ale Fran nie usłyszała słów. Nagle zobaczyła biegnącego Elijaha, który tupał ciężko i rękami osłaniał się przed roślinnością. Fran odprowadziła go wzrokiem na sam front grupy. W końcu wszyscy ruszyli w stronę brzegu potoku, gdzie leżało małe dziecko.

Rozdział 21

Rozległy się głośne krzyki. Elijah ryknął gardłowo, wyrzucając z siebie imię Esther. Funkcjonariusz policji przytrzymał go, kiedy na miejsce pobiegli sanitariusze. Fran i Adrian cofnęli się, żeby zrobić im miejsce. Trzymali się za ręce. Fran zeszywniała i zasłaniała dłonią usta. Nie wiedziała, na co patrzy.

– Nic jej nie jest? – zapytał Elijah, ciężko dysząc.

– Oddycha, ale jest nieprzytomna – odparł jeden z sanitariuszy. Fran się nieco rozluźniła i głośno wypuściła powietrze. Poczowała przepływającą przez jej ciało ulgę, od stóp do głów. – Zabierzemy ją do szpitala, ale proszę, żebyście się państwo cofnęli.

Policjanci zaczęli usuwać zgromadzonych z drogi. Elijah trzymał się blisko Esther. Fran próbowała nawiązać z nim kontakt wzrokowy, żeby zapytać, czy ma zadzwonić do Mary i przekazać jej wiadomość, ale był zbyt skoncentrowany na leżącej w błocie dziewczynce. Zanim Fran została odsunięta wraz z pozostałymi, zdążyła jeszcze raz spojrzeć na Esther.

Dziewczynka leżała na boku, odwrócona do nich plecami. Po same kolana ubrudzona była błotem. Miała na sobie szmaragdowozieloną sztruksową sukienkę, płócienne buty i białe

skarpetki. Wyglądała jak mała laleczka. Fran przymknęła na moment oczy. W końcu odwróciła się do męża.

– Powinniśmy pójść do Mary i zawieźć ją do szpitala. Myślę, że Elijah pojedzie z Esther.

Nie szczędząc sił, ruszyli w stronę domu Whitakerów. Fran zauważyła, że na pięcie utworzył się jej pęcherz.

Kiedy dotarli na miejsce, była cała zlane potem. Droga powrotna zajęła im mniej więcej pół godziny. Fran zapukała do drzwi, otworzyła je i weszła do środka, wołając od progu, żeby nie zmarnować żadnej cennej chwili. Mary wyszła z salonu zeszywniała i zapłakana.

– Czy Elijah do ciebie zadzwonił? – zapytała Fran.

Mary pokręciła głową.

– Znaleźli Esther. W lesie, przy potoku. Żyje, ale jest nieprzytomna. Chodź, zawieziemy cię do szpitala. W okolicy jest tylko jeden, więc wiem, dokąd ją zabrali. Weź ze sobą płaszcz i torebkę. Nic więcej.

– Znaleźli ją? Ale nic się jej nie stało? – Dziewczyna wciąż wydawała się oszołomiona, kiedy zakładała płaszcz i zabierała torebkę z komody. Fran musiała jej przypomnieć, żeby założyła buty.

– Nic jej nie będzie – powiedział Adrian, kiedy Fran pomagała Mary przygotować się do wyjazdu. – Jest w dobrych rękach. Kiedy miałem raka skóry, naprawili mnie ot tak. – Strzelił palcami.

– Miałeś raka? – Głos Mary wydawał się dochodzić z daleka, ale Fran zauważyła, że Adrianowi udało się przyciągnąć uwagę tej biednej kobiety.

– Tak, ale wszystko jest już w porządku.

– Przykro mi – powiedziała Mary. Nagle załkała i Fran musiała ją objąć.

– Chodźmy już do samochodu. – Fran delikatnie wyprowadziła Mary z domu. Patrzenie na młodą matkę radzącą sobie z takim stresem napięło jej nerwy jak postronki. Upewniła się jeszcze, że dom został zamknięty na klucz.

Adrian prowadził samochód, a kobiety siedziały razem z tyłu. Fran co chwilę zerknęła w stronę Mary. Trzymały się za ręce.

Nikt nie wiedział, czy Esther odniosła jakieś obrażenia i przez całą drogę Fran odpędzała myśli o tym. Nie znosiła szpitali i tym również starała się nie martwić. Nie zjadła lunchu i nie wypła niczego od momentu powrotu ze spaceru. Czuła w skroniach tępe dudnienie. Zważywszy na okoliczności, to wszystko nie miało jednak teraz większego znaczenia.

Po upływie czterdziestu minut Adrian zaparkował samochód i zabrał bilet z parkometru. Fran zapytała Mary, czy zabrała telefon, po czym sprawdziła, czy nie ma żadnych wiadomości od Elijaha. Niczego nie było. Lęk ciążył jej niczym kamień na dnie jeziora. Budynek szpitala górował nad nimi jak forteca czarnego charakteru w filmie. Po śmierci Chloe Fran nie potrafiła zmienić sposobu, w jaki postrzegała szpitale. Nie zmieniło tego nawet wyleczenie raka skóry Adriana.

Podeszli do recepcji i zapytali o Esther Whitaker. Fran mówiła, cały czas ściskając dłoń Mary.

– Na oddziale intensywnej terapii może się znaleźć tylko rodzina.

Na wspomnienie oddziału intensywnej terapii kamień zapadł się jeszcze głębiej w dno jeziora.

– To jest mama Esther.

– Mary Whitaker – wymamrotała dziewczyna.

Recepcjonistka wskazała im, dokąd pójść i z kim rozmawiać. Kiedy nieobecny wzrok Mary spoczął na Fran, ta przytuliła ją mocno, chcąc ją pocieszyć.

– Zaprowadzimy cię tam. Wszystko będzie dobrze.

Nie była zadowolona, że musi wypowiadać te słowa. Ale powtórzyła je jeszcze raz, aż w końcu Mary skinęła głową.

Rozdział 22

Fran chodziła w tę i w tę po barze samoobsługowym. Wciskała dłonie w kieszenie džinsów, żeby za moment znów je wyciągnąć. Obgryzała paznokcie. Wchodziła w drogę innym ludziom, niosącym tace z ciastkami i herbatą. W końcu, kiedy mijała Adriana, ten pociągnął ją za rękaw i kazał usiąść. Oparła dłonie na pstrokatym laminacie stolika i spróbowała uspokoić oddech.

Czekali już od niemal godziny. Nadeszła szesnasta i przy stolikach z niedojedzonymi kanapkami siedziało kilka rodzin. Trzech małych chłopców bawiło się w chowanego między krzesłami.

Fran bębniła palcami o blat, wywołując kręgi na powierzchni zimnej, niedopitej herbaty.

– Powinniśmy tam pójść. Musimy im pomóc. Zrobić cokolwiek. Nie mogę tak dłużej siedzieć, Ady. Nie mogę.

Próbowała jeść, próbowała pić, ale nic nie pomagało. Wiedziała, że to nie jest jej walka, że Esther nie jest jej dzieckiem. Zrozumienie tego nie uspokoiło jednak fali emocji, która walczyła o wydostanie się na powierzchnię. Fran stanęła przed Adrianem, wiedząc, że nie pochwałał pomysłu pójścia na oddział i mieszkania

się w całą sprawę. Westchnął jednak i ustąpił, co znaczyło, że Fran zwyciężyła.

Kiedy szli wijącymi się korytarzami, na których pachniało środkami do dezynfekcji, Fran musiała się pilnować, żeby nie przyspieszać zanadto kroku. Nie po raz pierwszy pomyślała o dzielącej ich różnicy wieku i o tym, że w podobnych sytuacjach miewała więcej energii niż on. Teraz działało jej to na nerwy. Niecierpliwiła się, kiedy musiała przystawać, żeby się z nim zrównać.

Pod drzwiami oddziału Fran znów zaczęła krążyć. Przyciskała nos do okna, zastanawiając się, czy nie powinna wejść. Było to bardzo stresujące środowisko i nie chciała niepokoić pielęgniarek, ale jednocześnie zamierzała się czegoś dowiedzieć. W końcu Adrian objął ją ramieniem i zaprowadził na krzesła przy windach. Opadła ciężko na siedzenie.

– Jezu, nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka jestem zmęczona – powiedziała.

Adrian chwycił jej dłoń i pomasaował kciuk.

– Wiem.

Po mniej więcej dwudziestu minutach z oddziału wyszedł Elijah. Fran zerwała się na równe nogi.

– Elijah! Jak ona się czuje?

Mężczyzna popatrzył na nią i zamrugał. Jego siwiejące włosy były potargane, nie zostały starannie zaczesane jak zwykle. Na butach i nogawkach spodni miał ślady błota.

– Fran. Myśleliśmy, że już pojechaliście. – Uśmiechnął się. – Ocknęła się! Przewróciła się przy potoku i skaleczyła w głowę. Ale nic jej nie jest. Zostanie tutaj na noc z powodu wstrząsu, ale jeśli wszystko się powiedzie, jutro wróci do domu.

– To wspaniała wiadomość, Elijah. Tak bardzo się baliśmy – powiedział Adrian.

– Moglibyśmy ją odwiedzić? Jeśli nie dziś, to może jutro? – spytała Fran. – Albo zobaczyć się z Mary? Była zrozpaczona i chciałabym wiedzieć, jak sobie radzi.

– U Mary już wszystko dobrze. – Usta Elijaha rozciągnęły się jak u kota z Cheshire. – Słuchaj, jesteśmy wykończeni i mamy przed sobą długą noc. Odezwijcie się może za kilka dni, co? Ale dziękuję za wszystko, co dziś dla nas zrobiliście. – Poklepał Fran po ramieniu. – Wspaniale jest mieć sąsiada, prawda? Jesteśmy w tym wszystkim braćmi i siostrami.

Fran była lekko oszołomiona, kiedy odszedł, ale czego tak naprawdę oczekiwała? Adrian wcisnął przycisk przywołania windy, wzruszając lekko ramionami.

– Nic się nie stało, co? – rzucił. – Najważniejsze, że małej nic nie będzie.

– Tak, oczywiście – odparła zdławionym głosem Fran. Dołączyli w windzie do innych pacjentów, lekarzy i odwiedzających. Zatrzymała się ona piętro niżej i wyszedł z niej mężczyzna pchający wózek z łysym, młodym mężczyzną z wkłutą kroplówką. Wsiadła rodzina niosąca balon z napisem: „Wracaj do zdrowia!”. Zmęczone pielęgniarki poprawiały swoje uniformy. Fran przez cały czas nie opuszczało poczucie porażki, które groziło napływem łez wywołanych frustracją. Esther to nie Chloe. Nie była jej dzieckiem. Fran nie miała prawa tu czekać i żądać widzenia dziecka. Nie byli nawet członkami jej rodziny. Nie dysponowali żadnymi prawami.

Kiedy doszli na parking, poczuli, że powietrze się już ochłodziło. W drodze do samochodu Fran ujęła Adriana za łokieć.

– Nie wiem już, kim tak naprawdę jestem – przyznała.

Rozdział 23

I tak rozpoczęły się spekulacje, które ogarnęły całe Leacroft niczym wirus. Pojawiły się pogłoski mówiące o tym, że Esther doznała czegoś więcej niż tylko wstrząsu mózgu, że miała posiniaczone całe ciało i twarz. Ktoś podszedł na pocztę do Fran i wspomniał o „tej biednej małej dziewczynce, która została zgwałcona”, choć nie było żadnego gwałtu, a nawet policyjnego śledztwa po ucieczce Esther. Fran stała przez chwilę zniesmaczona, zanim sprostowała te rewelacje.

Nie kontaktowała się z Elijahem zgodnie z jego sugestią. Poczula wielki wstyd, kiedy uświadomiła sobie rozmiar swojej obsesji. Będąc w szpitalu na skraju łez, wykręcając sobie ręce i walcząc ze ściśniętym żołądkiem, czuła się niemal tak, jakby Esther była jej własną córką. Uzmysłowała sobie, że przerzuciła na nich swoją własną traumę. Teraz należało pójść naprzód, a to oznaczało brak jakichkolwiek wizyt. Żadnego wciskania się na siłę w życie innych ludzi. Wysłała Esther kartkę i puzzle, żeby dziewczynka miała się czym zająć podczas powrotu do zdrowia, i na tym zamknęła temat.

Mary nie pojawiła się na następnej próbie chóru, ale z drugiej strony nikt tego nie oczekiwał. Dla Fran była to godzina męczarni,

kiedy z zaciśniętymi zębami słuchała plotek na temat ludzi, którzy zasługiwali na znacznie więcej. W poszukiwaniu informacji Emily zasypywała ją pytaniami, na które Fran odpowiadała monotonnym głosem.

„A jak tam on? Był zdenerwowany?”. Tak. „Jak długo była nieprzytomna?”. Nie jestem pewna. „Czy to prawda, że doznała obrażeń głowy, zanim jeszcze upadła?”. Nie wiem.

Zaraz po zakończeniu próby zabrała torebkę i wypadła na zewnątrz, po czym ruszyła w stronę domu, nie zważając na częściowo tylko zdrową kostkę. Później nalała sobie duży kieliszek wina i opowiedziała Adrianowi, czego doświadczyła. Jej kochający mąż wydawał z siebie dźwięki oznaczające zgodę, mieszając zupę z marchwi i kolendry.

– No cóż – rzucił w końcu. – Tak się składa, że mam trochę nowych wieści.

Fran sączyła wino i czekała, udając, że aż tak bardzo jej to nie interesuje.

– Serio?

– Elijah wrócił do pracy, a Mary zabrała Esther na przechadzkę po parku.

Otworzyła szafkę w poszukiwaniu soli. Jej głos dobiegł z wnętrza mebla.

– To dobrze.

– Franny.

Odstawiła pojemnik z solą obok kuchenki i wzruszyła ramionami.

– No co?

– To, co robisz, jest słuszne. Powinnaś iść naprzód. Ale czy na pewno dobrze się z tym czujesz?

– Tak, chyba tak – odparła pospiesznie, nie pozwalając sobie na zbytne zastanawianie się. – Miałaś rację. Mam obsesję. Jestem kobietą z obsesjami. Jedną z tych, no wiesz, intrygantek z *Coronation Street*[\[1\]](#). Tych, które kradną dziecko, wyjeżdżają z nim nad morze i... – Chwycił ją za rękę. W milczeniu. Słowa nie były potrzebne. – Muszę po prostu... z siebie wyrzucić. Odetchnąć na jakiś czas. Zająć się ogrodem, szydełkowaniem lub czymś w tym rodzaju.

– A może wrócisz na terapię?

Zastanawiała się nad tym niemal każdego dnia, ale coś ją powstrzymywało. Rozmowa kojarzyła się jej z otwieraniem starych ran. Podniosła sól i wyobraziła sobie, że wciera ją w te rany, aż ból blokuje wszystko inne. W końcu ją odłożyła i westchnęła.

– Rozważę to.

Adrian chwycił łyżkę wazową i nalał zupy do dwóch miseczek.

– Dobre dla duszy. Beethoven powiedział, że dobrą zupę mogą przyrządzić jedynie ci o czystym sercu.

Fran posoliła zawartość miseczki, a on cmoknął.

– Co, moje serce nie jest czyste? – Udał atak serca i dodał: – Nawet nie spróbowałaś. Czuję się cholernie urażony. – Powiedział to żartobliwym tonem, ale wiedziała, że jest w tym odrobina prawdy.

– Wybacz, ale lubię moją zupę tak, jak lubię moich mężczyzn.

Pokręcił głową, ale się roześmiał.

Kiedy zabrali naczynia do salonu, Fran spytała:

– Myślisz, że w tych plotkach coś się kryje? W tych mówiących o Elijahu krzywdzącym Esther?

Adrian usiadł na sofie i ostrożnie postawił sobie miseczkę na kolanach.

– A ty jak myślisz?

– Byłby to dla Esther dobry powód do ucieczki – przyznała. – Ale sprawiał wrażenie zrozpaczonego, kiedy ją znaleziono. Nie udawał tego. To niemożliwe. – Fran przysunęła do ust łyżkę z osoloną zupą, nie przestając rozmyślać o Whitakerach.

[1] Brytyjska opera mydlana emitowana nieprzerwanie od sześćdziesięciu lat (przyp. tłum.).

Rozdział 24

– Stracił pracę.

Było środowe popołudnie i Fran ledwie zdążyła wejść do ratusza w miasteczku, kiedy dopadła ją Emily ściskająca torbę z zakupami. Natychmiast dostrzegła w oczach kobiety iskrę, która wzbudziła w niej odrazę, a może nawet nienawiść.

– Kto? – zapytała Fran, rozglądając się po pomieszczeniu. Panował tam zapach jak na szkolnej sali gimnastycznej. W połączeniu z rojem plotkarek skojarzyło się to Fran z jej starym liceum.

– Elijah Whitaker. Stracił pracę jako murarz. Teraz już tylko dowozi zaopatrzenie.

Emily poszła za Fran, która znalazła wolne krzesło i odłożyła na nie swoje rzeczy.

– Dlaczego stracił pracę? – spytała.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Miałam nadzieję, że ty wiesz coś na ten temat. Nic nie słyszałaś?

– Teraz dopiero się o tym dowiedziałam – przyznała Fran. Jednocześnie przepełniło ją dziwne poczucie winy. Pomijając

swoją obsesję, czy nie powinna skontaktować się z Mary i zapytać ją o samopoczucie? Nie widziała jej od chwili ucieczki Esther.

Fran czuła się rozstrojona przez całą próbę chóru. Za dwa miesiące mieli wystąpić na imprezie charytatywnej, a wciąż brzmiali fatalnie. Ona zaś najgorzej ze wszystkich. Tym razem grupa rozeszła się bez wdawania się w rozmowy. Fran wyszła pośpiesznie, żeby znów nie zaczepiła jej Emily.

Następnego dnia spędziła większość czasu na swoim forum, odpowiadając na pytania, kasując wpisy internetowych trolli i szukając typowego spamu. Było to dla niej uspokajające zajęcie. Starła się nie myśleć przy tym o Whitakerach, o Elijahu tracącym pracę, i ich domowym budżecie, który musiał z tego powodu ucierpieć. Próbowwała nie rozważać, jaki będzie to miało wpływ na rodzinę, która już odczuwała stres. Po południu, kiedy Adrian pracował w ogrodzie, zamknęła laptopa, założyła fartuch i zabrała się za pieczenie.

Ledwie starczyło jej jajek i do tego musiała zrezygnować z części mąki, ale ostatecznie upiekła nieco przypalone, lecz zdecydowanie jadalne ciasteczka z wiórkami czekoladowymi. Zgarnęła je do puszki, zabrała torebkę i oświadczyła Adrianowi, że wychodzi na chwilę. Pożegnał się z nią wołaniem z głębi ogrodu.

Od dnia, w którym znaleziono Esther w lesie, upłynęły już dwa tygodnie i to miała być jej pierwsza wizyta w domu Whitakerów od tamtej pory. Oni też się z nią nie kontaktowali, może dlatego, że wciąż zajmowali się Esther po tym, co miało miejsce. Palce Fran spoczęły się na trzymanej puszcze. Była teraz bardziej zdecydowana, by do nich pójść, bo usłyszawszy wieści od Emily, pomyślała, że biedna Mary musi być w ogromnym stresie. Ucieczka Esther była wystarczająco trudnym przeżyciem, ale

plotki krążące po miasteczku i utrata pracy przez Elijaha na pewno zebrały swoje żniwo.

Uspokoiła oddech, przechodząc przez ulicę, i wyrzuciła z głowy wszystkie wspomnienia z tamtego poranka. Strach, który ją ogarniał, poczucie niepokoju, które rwało ją od środka. Teraz Fran mogła to przyznać. Wierzyła każdą komórką swojego ciała, że mogą znaleźć Esther martwą.

Zapukała do okna werandy. Był kolejny ciepły, wiosenny dzień i tylko mogła sobie wyobrażać, jaki skwar panuje w tym małym pomieszczeniu. Nikt nie otworzył drzwi. Nacisnęła przycisk dzwonka. Wciąż nic. Fran postanowiła zajrzeć przez okno wykuszowe od frontu.

Kiedy Mary w końcu podeszła do drzwi, uśmiech Fran zgasł. Poczwała, jak z twarzy odpływa jej krew.

Mary poruszała się powoli. Oczy miała szkliste, a włosów nie myła raczej od kilku dni. Fran przełknęła nerwowo ślinę, kiedy młoda kobieta otworzyła drzwi werandy. Była szczuplejsza niż ostatnim razem, a ręcznie szyte ubranie wisiało na niej luźno. Szła, obejmując się rękami. Uśmiechnęła się jednak na widok Fran i przyspieszyła nieco, jakby ucieszyła się na jej widok.

– Przyniosłam wam trochę ciasteczek – powiedziała Fran, wchodząc do domu. – Sama je upiekłam, więc nie są nadzwyczajne. Jak tam Esther... – urwała, kiedy weszła do salonu. W przeciwieństwie do ostatniego razu, teraz panował tutaj bałagan. Zasłony były zaciągnięte, a wokół leżały porozrzucane lalki Esther. Na zakurzonej dywanie walały się opakowania po żywności. Na poduszce sofy zauważyła nawet świeżą plamę. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, nie

zwróciłyby pewnie na to uwagi, ale Mary, jako dumna pani domu, dbała w nim o porządek. Teraz nie było o tym mowy.

– Mary, co się stało?

Stojąca za jej plecami Mary zalała się łzami.

Rozdział 25

Uspokoiwszy nieco Mary, Fran zaniósła ciasteczka do kuchni, postawiła puszkę na stole, podwinęła rękawy i zabrała się za porządki. Pracowała sama przez dwadzieścia minut, wrzucając śmieci do kosza, rozsuwając zasłony, żeby wpuścić nieco światła, i spryskując środkiem czyszczącym najbardziej wymagające tego powierzchnie. Odniosła wrażenie, że od incydentu z Esther Mary zupełnie przestała zajmować się domem. Poczula ścisk w gardle. Powinna była przyjść tutaj wcześniej.

Mary w końcu do niej dołączyła i we dwie zaczęły sprzątać we względnej ciszy. Fran zauważyła, że im czystszy stawał się dom, tym więcej barw nabierały blade policzki Mary. W końcu, kiedy zakończyły już sprzątanie, Fran włączyła czajnik i zaparzyła im po filiżance mocnej herbaty.

– Gdzie jest Esther? Na górze?

Mary pokiwała głową.

– Lubi tam teraz spędzać czas.

– Mam zanieść jej trochę ciastek, czy zejdzie sama?

Mary wzruszyła tylko ramionami.

Fran wyjęła z szafki talerzyk i położyła na nim dwa ciastka. Kiedy uzyskała wskazówki, do którego pokoju ma się udać, poszła

sama na piętro. Zapukała do drzwi.

– Mama?

– Nie, kochanie. Tutaj Fran. Przyszłam z wizytą do twojej mamy i przyniosłam ciasteczka. – Zawiesiła dłoń nad klamką. – Mogę wejść?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Tak – odparła w końcu Esther.

Fran otworzyła drzwi, oczekując podświadomie, że zobaczy kolejny zabałaganiony pokój, ale ku jej zaskoczeniu w sypialni dziewczynki panował idealny porządek. Nie ujrzała leżących na podłodze zabawek, brudnych naczyń czy rozrzuconych wszędzie ubrań. Wydawało się, że Mary przynajmniej upewniała się, że Esther przebywa w posprzątanym pokoju, chyba że dziewczynka dbała o to sama.

Esther siedziała na łóżku, ubrana w lnianą sukienkę i różowe skarpetki z falbankami. Miała rozpuszczone włosy, co oznaczało, że Mary nie wiązała jej już warkoczyków jak wcześniej. Mimo to były starannie rozczesane. Dobrze było zobaczyć tę dziewczynkę zadbaną pomimo wyraźnego stresu, w jakim była Mary. Fran postawiła talerzyk z ciasteczkami na łóżku i zauważyła, że na kolanach dziecka jest rozłożona kolorowanka.

– Jakie piękne kolory. Co to jest? Syrenka?

– Tak – odparła Esther.

– Czy to Ariel?

– Nie wiem.

– Jest taki film o syrence. Pożyczę ci go, jeśli mama nie będzie miała nic przeciwko. Chciałabyś?

– Chyba tak – odpowiedziała Esther i zaraz dodała: – Syrenki nie istnieją.

– Pewnie masz rację. Ale fajnie sobie czasami wyobrazić, że jest na odwrót.

Esther popatrzyła na ciastka, ale nie chwyciła żadnego. Jej jasne rzęsy w kolorze popiołu dotykały delikatnej skóry pod oczami. Kiedy tak opuściła głowę, Fran dostrzegła w jej postawie melancholię. Dziewczynka była zbyt smutna jak na swój wiek i to ją nieco przeraziło.

– Czujesz się już lepiej?

Esther pokiwała głową.

– Mama się tobą opiekuje?

– Chyba tak.

– A tata?

– Nie.

– Och. – Fran pochyliła się nad nią. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ojciec jest w Arizonie.

Fran otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale się zawahała. Przypomniała sobie, jak Mary wspomniała, że Bóg jest wyimaginowanym przyjacielem Esther, i pomyślała w pierwszej chwili, że mała właśnie z tego powodu udzieliła jej takiej odpowiedzi. Ale dlaczego Esther miałaby uważać, że Bóg mieszka w Arizonie? Bo właśnie tam mieszkali?

– Co myślisz o tych ciasteczkach, Esther?

Fran nie zauważyła, że w drzwiach stanęła Mary. Poczuła na karku gorąco. Czy dziewczyna wszystko słyszała? W uszach dorosłej osoby nie pozostawiałoby wątpliwości, że Fran sprawdza Esther, by się upewnić, czy dziecko jest dobrze traktowane.

– Nie lubię ciasteczek – odparła Esther, ale jej wzrok pozostał zbyt długo na smakołykach, żeby uznać to za prawdę.

– Bogu nie przeszkadza, kiedy jesz ciastka – powiedziała delikatnie Fran. – On chce, żebyś była szczęśliwa.

Dziewczynka spojrzała jej w oczy. Sprawiała wrażenie zmieszanej.

– Fran ma rację, kochanie. – Mary weszła do pokoju i usiadła na łóżku obok córki. Objęła ją i zetknęły się głowami. – Dzieci zasługują na przysmaki, a ty jesteś dobrą dziewczynką.

Ku zaskoczeniu Fran, Esther się rozpłakała.

– Nie jestem dobra.

Fran odwróciła na moment głowę. Nie mogła znieść bólu na twarzy tego dziecka. Mary starała się ją uspokoić kojącym głosem, gładząc ją po policzku. Fran zrobiło się niedobrze. Co się wyprawiało w tym domu? Dlaczego dziecko odczuwało taki emocjonalny ból, że uważało, iż nie zasługuje na ciastko?

– Ciii, kochanie – powiedziała Mary. – Moja dobra dziewczynka.

Rozdział 26

Fran zabrała Mary z powrotem na parter, po czym zadzwoniła do Adriana. Nie było jej w domu już od kilku godzin i nie chciała, żeby się niepokoił. Kiedy powiedziała mu, gdzie jest, stukała nerwowo palcem w telefon. Celowo to przed nim zataiła. Nie powiedziała prawdy, bo wiedziała, że mu się ona nie spodoba. Nie zareagował jednak gwałtownie, odpowiedział jej tylko cichym „ach”.

Fran zaparzyła następne dwa kubki herbaty i kobiety usiadły przy malutkim kuchennym stole Whitakerów, niemal stykały się kolanami. Uśmiechnęła się na widok rysunku Esther wiszącego na drzwiach lodówki. Kartkę papieru do drukarki wypełniała tęcza. Wydawała się, że niesie ona nadzieję i niewinność. Wytwór szczęśliwego dziecka. Obok Esther narysowała swoją rodzinę. Elijah był na niej najwyższy i pokolorowany samą czerwoną kredką. Ten kolor wzbudził we Fran niepokój. Wszystko było wielobarwne, tylko Elijah był czerwony.

Kiedy Fran oglądała rysunki, Mary pochłonęła ciastko w dwóch kęsach, po czym oparła się na krześle i wydała z siebie długie westchnienie. W końcu zdawała się odprężona. Fran początkowo

postanowiła tego nie komentować, ale uznała, że nie może tego tak zostawić.

– Musisz mi powiedzieć, co się dzieje – stwierdziła łagodnie. – I nie mów mi, że nic, bo mam oczy i nie jestem głupia. Nie jesteś leniwa. Znam cię i wiem, ile wkładasz wysiłku w utrzymanie porządku w domu. Wiem, że we właściwy sposób edukujesz Esther, a mimo to mała siedzi na swoim łóżku i niczego się nie uczy. Mary, powiedz proszę, co jest grane. Wpadłaś w depresję? Czy chodzi o Elijaha? Skrzywdził cię? A może skrzywdził Esther? – Wyciągnęła ręce i ujęła dłonie Mary w swoje własne. – Mów do mnie.

Mary pokręciła kilka razy głową. Nie oddychała już spokojnie.

– Proszę, nie. To nie to, co myślisz.

– Czyli?

Mary uwolniła dłonie i objęła nimi kubek z gorącą herbatą.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało niegrzecznie, Fran, ale ty nie masz pojęcia, jaka panuje tutaj atmosfera, od kiedy Elijah stracił pracę. Po prostu... miałam fatalny nastrój. Ale już jest lepiej.

– Macie problemy finansowe?

Mary westchnęła i odwróciła głowę.

– Wybacz, że tak naciskam – powiedziała Fran, niewzruszona faktem, że zachowuje się w tak wścibski sposób. Woląca zrobić o jeden krok za dużo niż za mało. W grę wchodził przecież dobrobyt dziecka. – Pomogę ci, jeśli się przede mną otworzysz.

– Dlaczego uważasz, że pomaganie mi jest twoim zadaniem?

Fran odchyliła się odrobinę do tyłu.

– Myślałam, że się przyjaźnimy.

– To gdzie byłaś w takim razie? – spytała Mary. – Pomyślałam, że... że jesteście tacy jak oni. Jak ci ludzie, którzy wiecznie o nas

rozmawiają i powtarzają straszne rzeczy na temat Elijaha. Wierzysz w te kłamstwa, prawda? Uważasz, że on robi nam krzywdę. – Skrzywiła się zdegustowana. – To wszystko, co o nim mówią. Co mówią o Esther. Niedobrze mi się od tego robi. Ale tak wszyscy myślicie, prawda? I to tylko dlatego, że wierzymy w rzeczy, w które wy nie wierzycie. Dlatego, że mamy tradycje i wartości, których wy nie macie. Uważacie nas za dziwaków, na których można się tylko gapić. – Przetarła pięściami twarz, po której zaczęły spływać świeże łzy.

– Nie, całkowicie się mylisz. Jestem tutaj...

– Bo umarło ci dziecko i szukasz zastępstwa. – Dwoje lśniących oczu wytrzymało spojrzenie Fran.

To był koniec. Obie o tym wiedziały. Po tego rodzaju słowach nie było już odwrotu. Fran zastygła na parę chwil, wstrząśnięta. Kiedy wstała, drewniane nogi krzesła zazgrzytały o płytki. Zabrała puszkę po ciastkach i bez słowa podeszła do drzwi wyjściowych. Mary przez cały czas wbijała wzrok w blat stołu, a opadające ciemne włosy nie pozwalały ocenić wyrazu jej twarzy. Fran bez dalszej zwłoki wyszła z domu Whitakerów.

Na zewnątrz panował piękny, bezchmurny dzień. Jej palce zbieleły na brzegu puszek i przypadkowo zapomniała przywitać się z jedną z uczestniczek chóru, kiedy mijała ją na ulicy. Szła szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na otoczenie. Tak naprawdę nie pamiętała nawet całego spaceru, aż w końcu położyła dłoń na klamce drzwi. Adrian uniósł wzrok znad kuchennego blatu i odłożył trzymany w ręce nóż na deskę do krojenia. Pomieszczenie pachniało cytryną i pietruszką. Przygotowywał dla nich rybę.

– Co się stało? – zapytał.

Nalał jej kieliszek wina, a ona zaczęła nieskładnie opowiadać o tym, co widziała: o bałaganie panującym w domu, o dziecku na łóżku, o tym, co powiedziała jej Mary. Sączyła wino, ale to nie pomagało jej pozbyć się gorzkiego posmaku z ust.

– Przykro mi – powiedział Adrian i przytulił Fran. Przyłgnęła do niego, wdzięczna za miękkość jego koszuli, za chłodny dotyk bawełny na policzku, za jego ciepło bijące od wewnątrz i za znajomy zapach płynu po goleniu, którego użył w dniu ich ślubu. – Co chcesz teraz zrobić?

– Nie wiem – odparła. – Zupełnie nie wiem, co robić. Czy Mary miała rację?

– Nie – odpowiedział stanowczo. – Nie masz omamów, Franny. Nigdy nie myślałaś, że Esther będzie twoim dzieckiem, prawda? Mogłaś się po prostu nieco mocniej przywiązać ze względu na to, co przeszliśmy, ale to całkowicie normalne. Nie mam wątpliwości, że każdy poczułby to samo. Chodź, usiądź, zjedz kolację. Pomyślimy o tym jutro. Okej?

Zgodziła się, ale w jej głowie już się coś formowało. Niechciana myśl, którą od dawna już starała się wyrzucić z głowy: nadszedł czas, by powiadomić władzę o rodzicach Esther i o tym, że nie są oni w stanie się nią opiekować.

Rozdział 27

Myśli Fran przychodziły i oddalały się niczym wahadło. Za każdym razem, kiedy już wierzyła, że postępuje słusznie, jej umysł ruszał w innym kierunku i przekonywał ją, że popełnia karygodny błąd. Następnego dnia po wizycie u Whitakerów zadzwoniła na policję, korzystając z numeru informacyjnego i powiedziała im o wszystkim, co wiedziała na temat Esther Whitaker. Od znalezienia jej w parku, przez siniaka na nodze, aż po zniknięcie i bałagan panujący w domu. Wspomniała o braku doświadczenia Mary w wychowywaniu dziecka i o tym, że jej zdaniem kontrolował ją Elijah. Powstrzymała się od przekazania pogłosek krążących po miasteczku, koncentrując się jedynie na faktach. Trzęsa się już od pierwszych sekund tej rozmowy. Pod koniec była tak wyczerpana, że dosłownie wpełzła do łóżka i przyłgnęła do męża w poszukiwaniu odrobiny ciepła.

Początkowo nic się nie wydarzyło. Fran została przez kilka dni w domu, nie decydując się nawet na swoje poranne przebieżki. Czas, który poświęciła na zagojenie kostki wytrącił ją z równowagi i teraz spała długo, budziła się z bólem głowy po niespokojnym, ale głębokim śnie, w którym powracały echa niedawnych wydarzeń. Każdego ranka sprawdzała, czy nie ma

jakiejś wiadomości na telefonie, czy to od Mary, czy od kogokolwiek z chóru, zapewne Emily, która szerzyła plotki o policji pod domem Whitakerów.

Piła codziennie zbyt dużo kawy i wieczorami była kłębkim nerwów, gdy wyrzucała kompost na trawę w trakcie sadzenia nowych roślin. Adrian gotował dla niej, kiedy krążyła po domu, udając, że słucha podcastów na temat praktyki uważności. W rzeczywistości w jej głowie panował prawdziwy huragan myśli. Ogryzała paznokcie.

Postąpiła słusznie. Postąpiła niesłusznie.

W końcu na próbie chóru usłyszała wieści.

– Ja tego nie widziałam, ale Maureen tak. Przyjechała policja. Elijah otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Nie wiem, co działo się dalej – wyszeptała Noreen do Fran między utworami. – Ponoć dwie osoby w mundurach.

Śpiewali piosenki z musicalu *Mamma Mia*. Zdecydowanie zbyt radosne dla zestresowanej Fran.

– Czy policja aresztowała Elijaha? – zapytała.

– Nie, nic w tym rodzaju. Weszli, a potem wyszli zupełnie spokojni.

Po próbie wokół Emily i Noreen zgromadziła się nieduża grupa kobiet plotkujących na temat Whitakerów. Fran usłyszała kolejne pogłoski z ust innych członkiń.

– Nasz Derek go nie znosi. Uważa go za prawdziwego dziwaka, który wciąż gada o Biblii.

– Sally nie przynosi im już mleka. Twierdzi, że molestuje dziecko.

– Słyszałam, że zalegają z czynszem.

– Nie stać go na kupno ubrań. Ona musi je szyć sama.

- Przecież on każdego wieczoru ją bije.
- Sąsiedzi słyszeli kłótnie?
- Nie, ponoć starają się być cicho.
- To nie znaczy, że on tego nie robi.
- Już nawet nie wychodzą na zewnątrz. Siedzą przez cały czas w domu z zaciągniętymi zasłonami. On jeździ do pracy i tyle. Biedne dziecko nie widzi nawet słońca.
- Oni się nie nadają na mieszkańców Leacroft.

Wokół rozległy się pomruki zgody. Fran sięgnęła po torebkę i wyszła. Było jej niedobrze. Chciała stanąć w ich obronie, powiedzieć wszystkim, że się mylą, że istnieją pewne niuanse i komplikacje, których po prostu nie dostrzegają. Ale to ona zadzwoniła na policję. Okazałaby się prawdziwą hipokrytką, gdyby tam stanęła i zaczęła bronić rodziny, którą podejrzewała o zaniedbania wobec córki.

Fran nigdy nie odczuwała do nikogo nienawiści. Pomimo tego, że jej rodzice mieli wiele złych cech, nauczyli ją akceptacji, tolerancji i wybaczenia. Kazali jej nadstawić drugi policzek, kiedy została wyśmiana na WF-ie za swoje duże uda. Twierdzili, że każdy trzyma się własnego bólu. Niektórzy ściskali go tak mocno, że aż się wylewał – niczym pasta do zębów w tubce – i przyklejał do wszystkich wokół. Ci ludzie zasługiwali na wybaczenie tak samo jak wszyscy inni. Ale Fran nie podobało się nic w obecnej sytuacji. Była wściekła na Elijaha za ten jego pretensjonalny uśmiezek, za luzackie podejście do ludzi, za sposób, w jaki mówił o sobie i popychał swoją żonę. Była też wściekła na to, że społeczność kazała jej kwestionować samą siebie i własne wybory, że przez to ona, kobieta w średnim wieku, czuła się niewidoczna. Stała się tylko wytrąconą z równowagi osobą niezdolną do rozsądnej

argumentacji. Była na siebie zła, że uznała za niezbędne powiadomienie policji, bo teraz wplątała się w sieć, która pozostawi na niej plamę na długi czas. Ale najbardziej ze wszystkiego była wściekła na te toksyczne plotkary, które stały w kręgu i rujnowały drugiego człowieka, szukając rozrywki w cierpieniu innych i pozwalając, by z ich nienawistnych gęb sączyły się wyłącznie słowa oparte na uprzedzeniach.

Rozdział 28

Tego ranka Fran zdecydowała – po przebudzeniu się z koszmaru, który wstrząsnął nią do głębi, a w którym Esther stała nad Chloe z poduszką w rękach i diabelskim uśmiechem na twarzy – że zaliczy przebieżkę niezależnie od stanu kostki. Bez większej trudności okrążyła park, po czym skierowała się w stronę ulicy, przy której mieszkali Whitakerowie. Nie mogła się powstrzymać. Od telefonu na policję upłynął już tydzień. Wyjście do miasteczka po zakupy czy na kawę stało się niemal taką samą udręką jak jej koszmary. Nieustannie słyszała tylko plotki na temat Whitakerów. O tym, jak rzadko wychodzą z domu, jak wielu mieszkańców miasteczka ich unika, na wypadek gdyby ojciec krzywdził swoją córkę, jak również o tym, że raz czy dwa razy widziano na ulicy Mary – szczupłą jak patyk i bladą jak mleko. Kobieta została skazana na to, żeby nawiedzać Leacroft, a nie w nim mieszkać.

Fran przenikało poczucie winy i psuło jej smak każdej potrawy, którą jadła. Nie dostrzegała już piękna wschodu słońca. Świat mógłby przyjąć odcienie szarości i nic by to ją nie obchodziło.

Od czasu, gdy zadzwoniła na policję, kontaktowała się później z funkcjonariuszami w sprawie nowych informacji na temat

śledztwa. Nie wiedziała, czy sprawę przekazano opiece społecznej. Policja najwyraźniej jednak uznała, że Elijah nie jest agresorem. Może oznaczało to, że Fran też powinna tak myśleć, podobnie jak pozostali mieszkańcy, ale świat rządził się swoimi prawami. Jak zwykła mówić Emily, błoto łatwo przywiera. Whitakerowie padli ofiarą tradycyjnej formy odwetu – osądzenia przez opinię publiczną. Leacroft ich nienawidziło.

To, co zobaczyła Fran tego ranka, było najlepszym tego przykładem. Już z daleka dostrzegła czerwone litery. Przyspieszyła kroku, żeby się im przyjrzeć. Układały się w słowo „ODEJDŹCIE”. Gapiła się na graffiti przez co najmniej pół minuty. Wtedy poczuła, że jest obserwowana, i przeniosła wzrok na okno na pierwszym piętrze. Zauważyła Esther stojącą między zasłonami. Dziewczynka miała rozpuszczone włosy, które oplótły jej bladą twarz. Nie uśmiechnęła się ani nawet nie poruszyła, stała tylko w bezruchu.

Ten widok ścisnął Fran za serce. Ze swoimi nieuczesanymi włosami, ustami, których kąciki opadły ze smutku, i zmarszczonym czołem dziewczynka wyglądała na jeszcze młodszą. Nie była tą Esther, którą pamiętała ze swojego koszmaru. Kiedy dziecko odsunęło się od okna i zniknęło Fran z oczu, ta podeszła do werandy i zaczęła się zastanawiać, czy nacisnąć dzwonek. Powinna chyba powiedzieć im o graffiti, nieprawdaż? Zerknęła jednak na zegarek w telefonie. Nie wybiła jeszcze piąta trzydzieści. Choć Esther już nie spała, jej rodzice z pewnością nie wstali jeszcze z łóżka. Fran oddaliła się od drzwi, jeszcze raz popatrzyła na okno sypialni Esther. Dziewczynki już tam nie było.

Pobiegła w stronę domu. Wydawało się jej, że nogi pracują niestabilnie i w pewnej chwili zwolniła do spaceru. Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie przez ramię. Przy domu nie było żadnego poruszenia.

Rozdział 29

Adrian westchnął, kiedy opowiedziała mu o wszystkim. Pomasaował jej ramię, wciąż wilgotne po biegu, i powiedział spokojnym głosem:

– To wszystko absolutnie nie wynika z twojej winy. Próbowalaś po prostu pomóc tej rodzinie. Za to, co wydarzyło się już po twoim telefonie, wyłączną winę ponoszą nieprzyjemni, małostkowi mieszkańcy tego miasteczka.

Wstała z łóżka i zaczęła zdejmować z siebie strój do biegania, wciąż zdenerwowana i wciąż gadatliwa.

– Ale wiedziałam, prawda? Powinnam się była przynajmniej domyślić, co się po tym stanie. Nawet zwykły półgłówek wyczułby coś takiego z odległości kilometra. Emily nie przestawała o nich nadawać, a po całym Leacroft krążyły paskudne plotki. A co ja zrobiłam? Tylko dolałam oliwy do ognia. Kiedy chciałam się dowiedzieć czegoś więcej na temat Mary i Elijaha, zaczęłam drążyć, wściubiać nos w nie swoje sprawy. Zadzwoiłam nawet do Emily, bo nie mogłam się doczekać próby chóru, żeby uzyskać nowe informacje. – Wrzuciła skarpetki do kosza na pranie i stała naga, z poczerwieniałą skórą i rozstępami widocznymi w porannym świetle. – Jestem winna wszystkiego w takim

samym stopniu jak Emily. To ja wbiłam ostatni gwóźdź do trumny. To ja zadzwoniłam na policję.

Adrian uniósł ręce w geście irytacji.

– Zrobiłaś to, co uczyniłaby każda przyzwoita obywatelka, uwzględniając to, co zobaczyłaś. Zważywszy na to wszystko, co wiesz o tej rodzinie.

Fran zagryzła wargę.

– Nie. Nie wiem. – Przyłożyła dłoń do czoła. – Może widziałam więcej, niż działo się w rzeczywistości. Może chciałam to zobaczyć, bo... – urwała, nie chcąc się do tego przyznać.

– Bo co?

– Bo jestem taka sama jak Emily. Uprzedzona. Zobaczyłam tę młodą, religijną kobietę i jej starszego męża, po czym zaraz założyłam najgorsze. – Westchnęła. – Muszę wziąć prysznic. Muszę to wszystko z siebie zmyć.

– Franny.

– Tak?

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham, Długi Johnie Silver.

Roześmiał się, ale jego uśmiech szybko zgasł.

– Nie jesteś taka jak one.

Wzruszyła ramionami i weszła do łazienki. Odkręciła gorącą wodę z nadzieją, że ona wypali jej zewnętrzną warstwę skóry. Wyobraziła sobie zrzucanie łusek, które znikają w odpływie. Co się z nią stało przez te ostatnie tygodnie?

Kiedy wyszła spod prysznica z głębokim odcieniem cynobru na skórze, Adrian przyrządził jajecznicę i zaparzył mocną herbatę.

– Czujesz się już lepiej?

– Nie. Wciąż czuję się jak gówno, a nie jak człowiek.

– Nie mów tak o sobie. – Odsunął jej z policzka wilgotne włosy.
– Chodź, zjemy śniadanie i wyjedziemy na cały dzień.

– Dokąd?

– Może do Chatsworth?

Fran poczuła ścisk w żołądku.

– Nie, tylko nie tam.

– To może Castleton? Kupimy jakąś biżuterię, przejdziemy się traktem przez dolinę. Będziesz musiała jednak iść wolniej niż zwykle. Wiesz, że jestem starym dziadem.

– To prawda – odparła z uśmiechem. Kiedy w trakcie jedzenia wstała, by spojrzeć na telefon, Adrian pogroził jej palcem jak nauczyciel.

– To będzie dziś zasada numer jeden – oznajmił.

– Niech zgadnę. Żadnych telefonów.

– Zgadza się. A teraz odłóż go, młoda damo, zanim wyślę cię do kąta – powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha i puszczając do niej oko.

Odłożyła komórkę. Przez cały dzień już jej nie sprawdzała. Pojechali do jaskini Blue John i szli pod bladym, pastelowym sklepieniem. Fran kupiła kolczyki w sklepiku z pamiątkami, po czym udali się na długi spacer po okolicy. Po drodze znaleźli furgonetkę z lodami i zjedli po jednym. Trwało to jakiś czas, ale w końcu jej umysł się uspokoił, dzięki czemu myśli o Esther, Mary, a nawet Chloe stały się tylko czymś odległym na skraju jej umysłu. Oddaliła się od Leacroft i tych paskudnych czerwonych liter na domu odrzuconej przez wszystkich rodziny. Odizolowała się od wrednych plotkar. Odprężyła się i cieszyła towarzystwem męża. No i dała radę nie zerkać ani razu w telefon.

W ten sposób przegapiła wiadomość, i to istotną.

Rozdział 30

„Przyjdź do mnie, proszę. Muszę ci o czymś powiedzieć. Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda”.

Fran pisała z ogromną szybkością.

„Mogę wpaść do ciebie jutro? Czy powinniśmy poczekać, aż Elijah pojedzie do pracy?”.

Czekała.

Byli w domu już od godziny i Fran poddała się w końcu ciekawości, kiedy chwyciła telefon i zajrzała na konta w mediach społecznościowych. To właśnie wtedy zauważyła esemesa od Mary. Wiadomość doszła o dziewiątej rano, czyli mniej więcej w tym czasie, kiedy wyjeżdżali na wycieczkę. Teraz minęła już dziewiętnasta i Fran zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna na wszelki wypadek zajrzeć do Whitakerów.

Ale czy niepokoiła się o Mary, czy chciała dać upust swojej ciekawości? Dziewczyna nie napisała, że sprawa jest pilna, choć Fran wyczuła w jej słowach nutę desperacji. Zdawała sobie sprawę, że spekuluje i że nie może być całkowicie pewna. Zaczęła skubać suchą skórę na wardze, czekając na odpowiedź.

– Shiraz?

– Jasne.

Chwyliła za nóżkę podanego jej przez Adriana kieliszka. Chwilę wcześniej zamówili chińszczyznę i czekali teraz na dostawę.

– Wszystko gra? – spytał Adrian.

Fran pomyślała, że powinna zachować tę wiadomość dla siebie, zapewne z poczucia wstydu, że w końcu się złamała i zajrzała do telefonu. Ostatecznie jednak zmieniła zdanie i pokazała mu esemesa.

– To dziwne – zgodził się.

– Myślisz, że jest w niebezpieczeństwie?

– Zadzwońłaby chyba na policję, gdyby tak było – zauważył. – Albo nawet do ciebie. To jedna wiadomość sprzed wielu godzin.

Jakaś myśl przemknęła przez głowę Fran. Przypomniała sobie komentarz Mary dotyczący braku zaufania Esther do policji. Czy Mary również im nie ufała? Czy zdecydowałaby się skorzystać z ich pomocy, gdyby jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie? Zadzwońili jednak na policję, kiedy zaginęła Esther, więc Adrian miał zapewne rację. Instynkt wciąż jednak nakazywał jej działać.

– Sądzisz, że powinnam tam pójść? – Poczowała się głupio, zadając to pytanie, ale nie miała wyjścia. Potrzebowała czyjejś opinii, bo znów w jej wnętrzościach zapanował strach, rozplywając się na całe ciało.

– Nie – odparł Adrian. Odebrał od niej wino i chwycił ją za rękę, pocierając jej dłonie kciukami. – Franny, z początku byłem zbyt obojętny i przepraszam za to. Twoje troski były ważne wtedy i są ważne teraz. Ale to staje się brzemieniem na twoim zdrowiu psychicznym. To dorośli ludzie, którzy muszą podejmować własne decyzje. Jeśli coś się stało, mogą zadzwonić na policję jak każdy inny.

– A jeśli nie zadzwonią?

– Zadzwoń. – Puścił jej dłonie. – Gdyby chodziło o kwestię życia i śmierci, choć nie uważam, by tak było, skontaktowałiby się z odpowiednimi służbami. Oni nie są głupi, nawet ta dziewczynka. To jedno z najbardziej niepokojąco inteligentnych dzieci, jakie widziałem. Wiem, że masz wątpliwości dotyczące Elijaha, ale on nie pije ani nie bierze narkotyków. To człowiek kontrolujący swoje życie.

– Chyba aż za bardzo.

– Niewykluczone. – Adrian ścisnął grzbiet nosa. – Ale...

– Co? Powinna od niego odejść?

– No cóż, owszem – mruknął, zabierając palce. – Powinna.

– Nie tak działa przemoc – warknęła Fran. – Ona niszczy kobiety. Fizycznie. Emocjonalnie. Sprawia, że tracą poczucie własnej wartości. Wierzą, że nie da się ich uratować i że z pewnością same nie zdołają tego zrobić. W ten sposób chowają w sobie każdą złą myśl na swój temat, izolują się i stają się zależne od agresora. Nie, ona nie może odejść. – Wstała, czując, jak buzuje w niej krew. Jego słowa sprawiły, że podjęła decyzję. Postanowiła pójść do nich, niezależnie od tego, czy będzie to niegrzeczne lub czy postępuje jak zwykła wariatka. Była przekonana, że Mary potrzebowała jej pomocy, a ona zamierzała jej udzielić niezależnie od wszystkiego.

– Fran – zawołał Adrian. – Fran!

Chciała go zignorować, wychodząc z domu, ale coś w jego tonie sprawiło, że się zatrzymała.

Westchnął.

– Przepraszam – powiedział, choć wcale nie brzmiało to jak przeprosiny. – Skoro chcesz do nich zajrzeć, to pozwól przynajmniej, że cię odwiozę.

Rozdział 31

Kiedy Adrian zaparkował przy krawężniku, Fran od razu zauważyła, że nie było tam samochodu Elijaha, co oznaczało, że mógł już pojechać do swojej pracy jako dostawca na niepełny etat. Po chwili dostrzegła jednak, że w domu nie palą się światła, choć zachodziło już słońce. Odpięła pas i weszła na werandę z Adrianem, który cmoknął z dezaprobatą, ujrzawszy czerwone graffiti. Kiedy Fran spojrzała na nie ponownie, poczuła, że przyspiesza jej serce. Kto był za to odpowiedzialny? Wymieniła z Adrianem spojrzenia i nacisnęła dzwonek. Usłyszeli wesołe *bing bong*, ale nikt nie otworzył drzwi. Spróbowała ponownie. Znów nic.

Uznała to za dziwne, przeszła więc przez pokryty żwirem frontowy ogródek i zajrzała przez okno wykuszowe. Zasłony były wciąż rozsunięte, choć robiło się coraz ciemniej. Zobaczyła, że w salonie nikogo nie ma. Co więcej, panował tam porządek. Żadnych lalek na podłodze, żadnych ubrań przewieszonych przez oparcia krzeseł. Z pewnością był to dobry znak. Mary utrzymywała w domu porządek po tym, jak posprzątała go przy pomocy Fran. A jednak coś było nie tak, choć nie wiedziała, dlaczego odnosi takie wrażenie.

Fran odsunęła się od okna i wróciła do Adriana.

– W środku nikogo nie ma.

– Może wyszli na kolację – zasugerował. – Albo zabrali Esther do kina.

To nie wydawało się prawdopodobne. Dlaczego rodzina znana ze sporadycznego opuszczania domu nagle wyszłaby gdzieś wieczorem? Ich nieobecność wraz z dziwną wiadomością od Mary sprawiły, że nerwy Fran napięły się jak postronki. Gdzie oni mogli być? Czyżby pojechali do Derby, do kuzyna Elijaha, zgodnie z żądaniem zawartym w treści nienawistnego graffiti? Ale jeśli planowali się tam zatrzymać, to dlaczego Mary wysłała jej tę wiadomość?

– Rozejrzę się po ogrodzie – oznajmiła.

– Idę z tobą.

Otworzyła zatrzask na furtce i weszła głębiej. W tym momencie wchodzili już na teren prywatny, ale zupełnie ich to nie obchodziło. Stąd mogli zajrzeć do kuchni, która okazała się pusta i ciemna. Na suszarce leżało kilka talerzy, a czajnik i toster znajdowały się na swoich dotychczasowych miejscach. Tam również panował porządek. Na blacie nie zauważyła słoików czy masła. Nieduży kuchenny stół też był pusty. Choć wszędzie było czysto, Fran uznała, że coś nie daje jej spokoju.

– Och – powiedziała.

– O co chodzi?

– Rysunek na lodówce. Zniknął. – Przycisnęła palec do okna i wskazała lodówkę w głębi.

– Co? Rysunek Esther?

– Tak. Taki z tęczę. Pamiętam go bardzo dobrze. Narysowała go kredkami. Chyba powinniśmy porozmawiać z sąsiadami. – Fran

wróciła przed dom. Teraz nie miała już najmniejszych wątpliwości, że rodzina wyjechała. Kątem oka zobaczyła te czerwone litery na ścianie domu. „ODEJDŹCIE”.

Kobietę, która mieszkała po lewej stronie domu Whitakerów, spotkała tylko raz. Była dermatolożką, do której poszła kiedyś, żeby skonsultować wypryski na skórze. Niestety Fran nie pamiętała jej imienia. Joan. Jean. A może Jenny? Zastukała entuzjastycznie do drzwi. Adrian stanął obok niej.

– Dobry wieczór – powiedziała dermatolożka, otwierając drzwi.

– Pani Cole, zgadza się?

– Fran.

Kobieta skinęła głową.

– Zgadza się.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tej porze – powiedziała Fran. Zauważyła, że kobieta patrzy na Adriana i dodała: – To mój mąż, Adrian. Jeszcze raz przepraszam. Dostałam dziś rano niepokojącą wiadomość od Mary i trochę się martwię. Przyjechaliśmy sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ale zauważyłam, że dom jest pusty. Zastanawialiśmy się, czy może pani coś widziała?

– Chodzi o Whitakerów? Tak – odparła. – Zachowują się bardzo cicho. Rzadko ich słychać. Ale dziś były jakieś krzyki. – Spojrzała w stronę graffiti. – Chyba z tego powodu. Bardzo nieprzyjemna sprawa. Tak czy inaczej, słyszałam krzyki Elijaha, ale nie trwały długo. Mniej więcej dwie godziny później zauważyłam, że pakują torby do samochodu. Chwilę im to zajęło. Były tam też walizki. Potem wyjechali. – Wzruszyła ramionami. – Albo pojechali na wakacje, albo wyprowadzili się na dobre. Wiem, że wynajmowali ten dom, ale nie zabrali ze sobą żadnego sprzętu.

– Rozumiem. Jakie sprawiali wrażenie, kiedy wsiadali do samochodu?

– Hm... – Kobieta westchnęła i odchyliła głowę do tyłu. – Wydawali się zestresowani. Wydaje mi się, że Mary płakała. Ale dziewczynka była szczęśliwa.

– Naprawdę?

– Tak. Uśmiechała się.

Rozdział 32

Kiedy wrócili do samochodu, Fran wyobraziła sobie uśmiech Esther. Do tej pory nie widziała u dziewczynki niczego więcej niż tylko przelotnego grymasu, wykrzywienia ust. Nie uśmiechała się, kiedy zamawiali lody i gorącą czekoladę. Nie uśmiechała się również, kiedy Fran zaoferowała, że kupi jej prezent ze sklepu z pamiątkami. Nie uśmiechała się, kiedy minęli szczeniaka. Fran nigdy dotąd nie poznała tak poważnego dziecka, ale tak naprawdę znała tylko Esther z Leacroft, z dala od jej domu i zapewne rodziny, choć Mary unikała raczej opowiadania o Arizonie.

A jeśli Esther była szczęśliwszym dzieckiem w swoim rodzinnym mieście? Pomyślała o tęczycy, o rysunku, który skojarzył się jej z weselszymi czasami. Niewykluczone, że Esther miała w sobie pogodne wnętrze, do którego Fran jeszcze nie dotarła. Możliwe, że dziewczynka się uśmiechała, bo wracała do domu.

– Wrócili do Ameryki – stwierdziła. – Nie ma innej możliwości.

Adrian wjechał na ich podjazd, wyłączył zapłon i potarł zarost na podbródku.

– Wygląda na to, że raczej się wyprowadzili. I to nagle.

Czy wiadomość od Mary była pożegnaniem? Czy chciała się z nią zobaczyć po to, żeby powiedzieć jej o wyjeździe? Kiedy

podchodziła do domu, była cała odrętwiała. Whitakerowie wyjechali i nie mogła temu w żaden sposób zaradzić. Już nigdy ich nie zobaczy. „Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda”. Co oznaczała ta część wiadomości? Czy chodziło o ochronę rodziny przed plotkami?

Dostawca zostawił im jedzenie pod drzwiami. Adrian podniósł papierową torbę i otworzył drzwi.

– Czy ja czegoś nie dostrzegam? – zapytała Fran, kiedy weszli do środka. – Czy jest tutaj jakieś inne wyjaśnienie? Nagle dziś wyjechali. Wstali, postanowili polecieć do domu i kupili trzy drogie bilety lotnicze. To nie są zamożni ludzie.

– Skąd wiesz, że zdecydowali dziś? – Adrian odstawił jedzenie na kuchenny blat.

Fran popatrzyła na torbę. Straciła już całkiem apetyt.

– No cóż, widziałam ich w ubiegłym tygodniu i jestem pewna, że Mary wspomniałaby o wyjeździe. Poza tym... nie była raczej w nastroju na planowanie podróży. Ledwie funkcjonowała.

– Możesz dość łatwo to sprawdzić – odparł Adrian. – Sprawdź, czy teraz lub później są jakieś loty. Mogli pojechać do Londynu lub Manchesteru, żeby zostać na noc i polecieć rano. Albo zdecydowali się na tani przelot nocny. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście mogli wcale nie wrócić do Ameryki, tylko wynająć dom w innym miejscu. Leacroft nie okazało się dla nich zbyt łaskawe.

– Mieli chyba za mało czasu, żeby wynająć inny dom.

– Może szukali już od jakiegoś czasu – powiedział Adrian. Ton jego głosu sugerował, że nie za bardzo go to wszystko obchodzi.

Przeszli razem przez dom i usiedli na sofie. Adrian położył sobie nogi Fran na udach i pomasaował jej stopy, zmęczone po długiej wędrówce. Fran zanurzyła się w poduszkach. Dopiero w tej chwili

uświadomiła sobie, jaka jest wyczerpana. Nie z powodu aktywności fizycznej, ale ze względu na emocjonalną troskę o te dwie dziewczyny. Tak, myślała o Mary jak o dziewczynie. Jakaś część niej to właśnie Mary traktowała bardziej jak córkę aniżeli Esther. Gdyby wiodła inne życie, w którym wyszłaby młodo za mąż i miała dzieci po dwudziestce, mogłaby mieć córkę w jej wieku. Ale nie miała. To życie uznałaby za wspaniałe, kiedy pracowała dla kobiecych magazynów. Teraz wydawało się zwyczajną stratą czasu, ale może przemawiał przez nią tylko niepokój.

– Zabraliby toster i czajnik – powiedziała. – Nie mam wątpliwości. Wygląda na to, że nie chcieli zabierać dużo bagażu. Podaj mi laptopa.

Adrian przechylił się przez oparcie i zabrał laptopa ze stolika obok. Położył go na jej udach i pogładził kolano.

– Wszystko dobrze, Franny?

– Tak. Chcę się tylko upewnić. Powinnam znów do niej napisać.

– Sięgnęła do kieszeni dzinsów po telefon. Po chwili napisała esemesa.

„Cześć, Mary. Wpadliśmy do was z Adrianem, ale albo się wyprowadziliście, albo pojechaliście na wakacje. Przykro mi, że nie odczytałam rano twojej wiadomości, szczególnie że mogłaś chcieć się pożegnać. Odpisz proszę i daj znać, czy wszystko jest w porządku. Myślę o was. Przykro nam za to, co wydarzyło się w Leacroft. Jeśli się wyprowadziliście, to będziemy za wami tęsknić”.

Ku swemu zaskoczeniu poczuła, że płyną jej łzy. Istniała duża szansa, że już nigdy ich nie zobaczy. Nie potrafiła sobie wyobrazić,

że wracają, żeby ją odwiedzić po tych wszystkich plotkach i graffiti. Odłożyła telefon i otworzyła laptopa.

Dopiero po chwili znalazła to, czego szukała. Adrian nie był wielkim podróżnikiem, a Fran nie lubiła latać sama, co znaczyło, że rzadko rezerwowali dla siebie przeloty. Otworzyła kilka witryn i sprawdziła godziny różnych odlotów. W końcu doszła do wniosku, że mogli lecieć tej nocy, choć nie byłaby to łatwa podróż. Większość lotów oznaczała wcześniejszy przejazd do Londynu lub przelot do Dublina. Czas rejsów był długi, powyżej dziesięciu godzin. Niektóre miały przesiadkę w Bostonie przed dalszym połączeniem z Phoenix. Zakręciło się jej w głowie.

– Co oni zrobią z samochodem? – mruknęła pod nosem. – Zostawią na lotniskowym parkingu? Chyba nie byłiby w stanie sprzedać go po drodze.

– Dobre pytanie – odparł Adrian. – Może jednak go sprzedali. Teraz na tych różnych stronach internetowych bardzo łatwo jest to załatwić.

Fran zerknęła na telefon. Żadnej odpowiedzi. Jeśli Whitakerowie faktycznie polecili, to Mary mogła być teraz w powietrzu.

– Och, Ady. – Westchnęła głęboko. – W ogóle mi się to nie podoba. Najpierw te dziewczyny zjawiają się w moim życiu i kogoś potrzebują. Mnie. Sama nie wiem. Ale za każdym razem, kiedy próbowałam pomóc, było tylko gorzej. A teraz wyjechali i jestem bezradna. Już nigdy się nie dowiem, czy są bezpieczni. Już nigdy.

Rozdział 33

Whitakerowie zniknęli tak szybko, jak się pojawili, a ich nieobecność zwróciła taką samą uwagę jak wcześniejsza obecność. Choć Fran starała się nie słuchać, słyszała plotki, dokądkolwiek się udała. Na poczcie, w kościele, w kiosku, w pubie. „Słyszałaś o Whitakerach? Wyjechali. Zwiali. Jednego dnia tutaj, następnego gdzieś daleko”. Większość ludzi myliła stan, w którym mieszkali w Ameryce. W niemal każdej plotce, którą usłyszała Fran, pochodzili z Teksasu, a Elijah był pastorem. Inni twierdzili, że rodzina nie mogła wrócić do Ameryki, bo byli poszukiwani. „Oni chyba porwali to dziecko i przyjechali tutaj, żeby uciec przed policją. Dlatego dziewczynka uciekała. Próbowwała wrócić do domu”.

Po kilku dniach od zniknięcia rodziny Fran sprawdzała telefon czterdzieści, pięćdziesiąt razy dziennie, wciąż licząc na odpowiedź od Mary. Dzwoniła i zostawiała wiadomości na poczcie głosowej. Wysyłała mnóstwo esemesów oraz wiadomości na Facebooku i WhatsAppie. W końcu numer został odłączony od sieci. Profil Mary został usunięty. Fran nie miała już żadnej możliwości skontaktowania się z Whitakerami.

W pierwszym tygodniu odpuściła sobie chór, ale już w następnym zebrała się w sobie i poszła na próbę. Wiosna ustąpiła miejsca upalnemu latu, a zwyczajowy spacer Fran pod górę kończył się zadyszką i przepoconymi bluzkami. W drodze do ratusza zauważyła ją Emily i przywołała gestem ręki.

– Słyszałaś cokolwiek na ich temat? – zapytała.

– Nie – odparła Fran. Już chciała się odwrócić i odejść, ale została. – Wyrzuciliśmy ich stąd, wiesz? To wszystko nasza wina.

Twarcz Emily stężała, a uśmiech zmienił się w zaciśniętą linię ust.

– Wszyscy wiemy, że to ty zadzwoniłaś na policję, więc nie mów do mnie takim tonem.

Fran była wstrząśnięta.

– Skąd?

– To małe miasteczko, Fran. Mój siostrzeniec jest funkcjonariuszem policji. Tego dnia był na służbie. Zobaczył się z nimi nawet i wszedł do ich domu. Ale to idiota. Powiedziałam mu, że tam się dzieje coś niedobrego, ale on uznał, że wszystko jest w najlepszym porządku. Zamknęli sprawę bez wahania, a ci uciekli! Jeśli to nie dowód na to, że są winni, to już sama nie wiem, co nim może być.

– A może wyjechali z naszego powodu? Nie powitaliśmy ich tutaj z otwartymi ramionami. Ktoś wymalował graffiti na ich domu!

Emily przewróciła oczami.

– Nie przesadzaj. Ta mała dziewczyna nie uciekała bez powodu. Oni nie nadawali się do życia w tym miejscu.

– Nie daliśmy im nawet szansy.

– Sama zadzwoniłaś na policję – przypomniała jej Emily. – A to znaczy, że tak samo jak my czułaś, że coś jest z nimi nie

w porządku. Wspomniałam o tym glinom, kiedy zaginęła ta dziewczynka. Powiedziałam, że on jest jakiś dziwny. Że to jemu należy się przyjrzeć. A oni nic nie zrobili. Skoro policja nic nie robi, to alternatywą jest ich wyrzucenie, żeby zapobiec krzywdzie naszych ludzi.

Fran wsparła dłonie na biodrach.

– Nie możesz tak po prostu oskarżyć kogoś o nadużycia wobec dzieci.

– Posłuchaj, jestem od ciebie starsza i paru rzeczy się już nauczyłam. Wiem, co o mnie myślisz. Pusta stara Emily, która przez cały dzień tylko plotkuje. Rozumiem ludzi, bo o nich rozmawiam. I wiesz co? Wszyscy mamy instynkty i czasami są one słuszne. Kiedy spojrzałam po raz pierwszy na Elijaha Whitakera, mój instynkt podpowiedział mi, że ten człowiek oznacza kłopoty. Kłopoty przez wielkie „K”. Nie obchodzi mnie, skąd przyjechali i w co wierzą. Ja to poczułam i ty również, prawda?

Fran unikała spojrzenia kobiecie prosto w oczy. Nie chciała, by ujrzała na jej twarzy prawdę. Tak, oczywiście, że instynkt podpowiedział jej to samo. Poczowała to tego ranka, kiedy Esther Whitaker uniosła wzrok i powiedziała, że czeka na ojca. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł jej dreszcz. Zwyczajna siedmiolatka nie mówi w taki sposób.

– Jeśli ma to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie, uważam, że to dziecko nie jest ich – ciągnęła Emily. – Widziałaś ją, prawda? Niebieskooka, jasnowłosa, blada. A oni mają ciemne włosy i oczy.

– To się zdarza – odparła Fran. – Dużo rodziców ma dzieci, które nie są do nich podobne. Mogli też adoptować Esther.

Emily pokręciła głową i uniosła kącik ust.

– Adopcja? Ta matka nie może mieć więcej niż dwadzieścia dwa lata, a wygląda na dziewiętnaście. Znasz wiele kobiet w jej wieku, które nie mogą zajść w ciążę?

– Ale on jest starszy – zaproponowała Fran.

Emily wzruszyła ramionami.

– Masz rację, jest starszy. Ale mimo to trudno mi uwierzyć, że agencja adopcyjna przyznałaby im dziecko. Mój syn złożył wniosek i musiał odbić się od wielu drzwi, zanim w ogóle pojawiła się jakakolwiek szansa.

– Ale to było w Ameryce.

– To prawda. – Emily zamilkła na chwilę. Stała z otwartymi oczami i kiwała lekko głową, przez co skojarzyła się Fran ze starym mędrcom przekazującym mądre słowa. – Co podpowiada ci instynkt?

Fran obserwowała inne członkinie chóru wchodzące na salę. Uniosła dłoń, żeby się przywitać. Kiedy odwróciła się ponownie do Emily, sala była już prawie pełna.

– Mówi mi, że w tej rodzinie dzieje się coś naprawdę niedobrego. Ale co mogę teraz zrobić? Już ich tutaj nie ma.

Emily położyła na krześle swoją dużą torbę.

– Masz rację. Oni nie są już naszym problemem.

Rozdział 34

Fran wróciła do intensywnego biegania. Jej poranki stawały się dłuższe i cięższe. Włączyła do trasy wzgórze i biegała szlakami. Biegała w deszczu. Biegała też w najgorętszym dniu roku. Każdego dnia robiła jednak to samo – przecinała park i zatrzymywała się przy huśtawkach. Wyobrażała sobie stojącą tam Esther, ubraną w żółtą sukienkę, zbyt nieśmiałą, by chwycić ją za rękę. Za każdym razem myślała również o dziewczynce leżącej przy potoku. Bez życia. To właśnie pozostało we Fran, choć czas płynął naprzód. Nieznośne napięcie wynikające z patrzenia na to, czego widzieć nie chciała – na poważne dziecko, które ucieka, na surowy, tradycyjny dom, siniaki, potulną żonę, kontrolującego wszystko męża. Oprócz tego przerażała ją własna paranoja i kierunek, w którym to wszystko zmierzało. Tym kierunkiem było pozbawione życia ciało Esther przy potoku.

Może to nadal szło w tę stronę, tyle że już tego nie widziała i nie mogła nic zrobić, żeby to powstrzymać. Przez tydzień wracała do domu zdyszana, z potem ściekającym z nosa. Odkręcała wodę pod prysznicem do ledwie znośnej temperatury i wychodziła spod niego z parującą skórą. Adrian drapał się po rękach i marszczył czoło za każdym razem, kiedy ją taką widział. Zauważyła już, że

w zagłębieniu ramienia pojawia się egzema. Jej stres sączył się i zarażał jej męża. Żałowała, że nie potrafi tego kontrolować.

Pewnego ranka coś sobie uzmysłowiła. Nie była w stanie zmienić swojego życia, niezależnie od tego, jak bardzo się starała. To nie był kurek, który wystarczyło zakręcić. Nie mogła przestać się troszczyć, choć Whitakerowie od dawna nie mieszkali już w Leacroft. Wiedziała, że to utrudnia jej życie, ale kiedy podjęła decyzję, ogarnęło ją poczucie spokoju. Miała zadanie do wykonania. Teraz musiała podejść do tego w taki sam sposób, jak do opowieści – zacząć od badań. A do tego potrzebowała internetu.

Zabrała na patio kawę, laptopa i notatnik. Poranne słońce osuszało jej włosy. Skóra mrowiła w reakcji na letni upał. Kobieta wciągnęła powietrze do płuc i wpisała na pasku wyszukiwarki nazwisko Mary. Był początek nowego dnia i po raz pierwszy od wielu tygodni miała jeden konkretny cel.

Wyszukiwanie Elijaha i Mary Whitakerów nie przyniosło żadnych rezultatów, a przynajmniej nie dotyczyły one Elijaha i Mary, których znała. Znalazła pewnego Elijaha Whitakera, który lubił umieszczać komentarze na forum drużyny Boston Red Sox i Mary Whitaker na IMDB, która pracowała jako inżynier dźwięku przy kilku filmach. Mnóstwo wyników pojawiło się na stronach poświęconych wyszukiwaniu przodków, ale nie znalazła tam nikogo mieszkającego w Arizonie. Żadne z nich nie miało profilu na Facebooku, przynajmniej teraz, a typowe strony sprzedające adresy nie okazały się pomocne. To wszystko oznaczało, że musiała spróbować gdzie indziej. Pozostawało jej wyruszyć w świat.

W Chatsworth House Mary wspomniała, że Elijah ma kuzyna w Derby. Nie podała jednak żadnych szczegółów. Żadnego

nazwiska czy określonej części Derby. A jeśli ktoś był niezbędny jako osoba kontaktowa, kiedy Whitakerowie wynajęli dom w Leacroft? Fran знаła kilku agentów nieruchomości w okolicy. Czy udałoby się jej uzyskać od nich informacje?

Wpisała adres domu Whitakerów w wyszukiwarce. Okazało się, że jest ponownie dostępny do wynajęcia. Agencją kontrolującą ogłoszenie była Forest Taylor, a tak się szczęśliwie złożyło, że z synem właściciela Nickiem Taylorem Fran chodziła do szkoły. Nie byli najlepszymi przyjaciółmi, ale mogła podzwonić tu i tam lub nawet zaprosić go na kolację. W jej głowie pojawił się plan działania. Najpierw jednak zdecydowała się umówić na obejrzenie domu już następnego dnia.

Rozdział 35

Kiedy znalazła się na znajomej werandzie, powitał ją młody mężczyzna w eleganckim garniturze, najwyraźniej kupionym w sklepie przy głównej ulicy. Wyciągnął rękę, uśmiechnął się szeroko i przedstawił się.

– Dzień dobry, jestem Malcom albo Malc, jeśli pani woli. Pani Cole, tak?

Fran skinęła głową.

– Świetnie. Proszę wejść. Mam tu gdzieś klucze. – Pogrzebał w kieszeni spodni i wyciągnął kółko z wieloma kluczami.

– Jak duże jest zainteresowanie? – spytała Fran.

– Dość duże. – Pchnął drzwi i weszli do środka. – Jest pani chyba piątą osobą w tym tygodniu. To ładny dom. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że właściciel nie chce go sprzedać. Dostałby dobre pieniądze. Ale z drugiej strony na wynajmie też można dobrze zarobić.

Wewnątrz panował porządek. Właściciel lub sprzątaczkę odkurzył korytarz. Kiedy weszli do salonu, okazało się, że pomieszczenie również zostało wyczyszczone, a meble poustawiane jak od linijki. Zasłony były odsłonięte i do środka wpadał blask letniego słońca, wypełniając salon ciepłem. Fran popatrzyła ze smutkiem na

czerwony, aksamitny fotel. Widziała na nim wyłącznie Mary, która siedziała z podciągniętymi pod brodę kolanami i modliła się o bezpieczny powrót córki. Przypomniała sobie słowa Emily na temat tego, że Esther jest porwanym dzieckiem. Nie, pomyślała. Nie Mary. Nie po tym, jak zobaczyła łączącą je więź. Oderwała wzrok od fotela i skupiła się na tym, po co tutaj przyszła.

– Och, myślałam, że będzie tu pusto. – Wskazała stary komputer na biurku w kącie pokoju. To tam Mary prowadziła zajęcia z Esther. – Czy to jest wliczone do umeblowania? – Udała zaskoczenie. Wiedziała już, że Mary i Elijah zostawili sprzęt kuchenny, ale zastanawiała się, czy zdoła w ten sposób uzyskać więcej informacji.

– Można wliczyć – odparł mężczyzna. – Poprzedni wynajmujący to zostawili. Ale jeśli chciałaby pani przywieźć własne wyposażenie, właściciel może zorganizować wywózkę. – Wzruszył ramionami. – Mimo to uważam, że darmowy komputer może się przydać.

– Czy wynajmujący często zostawiają swoje rzeczy? – spytała, udając obojętność.

– Szczerze mówiąc, pracuję od niedawna. Ale nie wiem, dlaczego ktoś miałby zostawić komputer. Większość ludzi przekazałaby go do jakiejś instytucji albo coś w tym rodzaju.

– Pewnie się bardzo spieszyli. Zwiali.

Roześmiał się.

– Nie, nic w tym rodzaju. Mąż musiał wracać do Arizony, żeby zaopiekować się chorym członkiem rodziny. Nie mogli zabrać niczego dużego do samolotu. Takie wyjaśnienie zawsze jest nudne, prawda? Jasne. Chce pani zajrzeć do kuchni?

W kuchni Fran udawała, że przygląda się szafkom, powierzchniom blatów i urządzeniom. Tak naprawdę szukała czegoś, co mogli pozostawić po sobie Whitakerowie. Znalazła kilka starych puszek. Słoik z ziarnami kawy. Sitko. Nic szczególnego.

– Ładna kuchnia – powiedziała. – Czy na piętro mogłabym wejść sama?

– Jasne, śmiało – odparł Malcolm.

Na szczęście nie wydawał się obrażony ani zaskoczony, bo zamierzała porządnie przeszukać sypialnie. Jeśli gdzieś pozostała jakaś wskazówka, to z pewnością będzie właśnie tam, w pomieszczeniach, w których łatwo ukryć tajemnice. Podziękowała agentowi i szybkim krokiem weszła po schodach. Pamiętała, który pokój należał do Esther i postanowiła pójść tam w pierwszej kolejności.

Pościel zniknęła, ale łóżko, szafki i stolicek nocny pozostały. Bez wątplenia był to pokój dziecięcy, z ładną tapetą i meblami o mniejszych rozmiarach. Przejrzała wszystkie szuflady w szafkach Esther, starając się zbytnio nie hałasować. Dźwięk niósł się łatwo w pustych domach. Następnie sprawdziła stolik nocny, gdzie znalazła dziecięcą Biblię. Wrzuciła ją do torby na zakupy.

Pod łóżkiem niczego nie było. W szafie Fran zobaczyła żółtą sukienkę na wieszaku. Serce zabiło jej żywiej. Nie potrafiła określić, co tak naprawdę widzi. Czuła, jakby Esther była z nią w tym pokoju. Zerknęła przez ramię, żeby się upewnić, że Malc nie wszedł na piętro. Szybkim ruchem zdjęła sukienkę z wieszaka, zrolowała ją i wcisnęła do torby. Przez cały czas waliło jej serce. Odnosiła wrażenie, że kradnie diamenty z sejfu. Uspokój się, to tylko sukienka, pomyślała.

Przeszła do pokoju Elijaha i Mary, zastanawiając się co po sobie pozostawili. Tutaj również nie było pościeli. Sprawdziła szuflady, ale były puste. Zajrzała do szafy. Nic. Schyliła się pod łóżko. Również nic. Stoliki nocne także były opróżnione. Podniosła nawet materac. Dlaczego Mary zabrała stąd wszystko poza dwiema rzeczami – Biblią i sukienką Esther?

– I co pani myśli? – zapytał Malcolm, kiedy wróciła na parter.

– Piękny dom – odparła. – Nie jestem zaskoczona, że wzbudza takie zainteresowanie. Muszę się oczywiście zastanowić. Będziemy w kontakcie. – Wyszła z domu, ściskając mocno torbę, wciąż przekonana, że bladolicy młody mężczyzna w lśniącej garniturze zatrzyma ją i przeszuka przy drzwiach.

Rozdział 36

- Hiszpański omlet?
- Tylko jeśli mamy sangrię i plażę, na którą możemy ją zabrać.
- Fran odłożyła torbę na stole, przekonana, że Adrian widzi ukradzione przedmioty. Nie powiedziała mu, że zamierza obejrzeć dom Whitakerów. Skłamała, że idzie z książką do kawiarni, żeby trochę pobyć sama.
 - Mamy sok pomarańczowy i ogród. – Uśmiechnął się. – Jak było w kawiarni?
 - Rozkosznie.
 - A książka?
 - Bardzo dobra.
 - Zjadłaś coś?
 - Nie, tylko wypiałam kawę. Zgadzam się na tego hiszpańskiego omleta, jeśli oferta jest nadal aktualna.
- Wsunął jajka na talerz, oprószył je czarnym pieprzem i dodał kilka liści rukoli.
 - Wiesz, mógłbyś zostać szefem kuchni.
 - Może nim zostanę. – Zarzucił sobie kuchenny ręcznik na ramię i wyszczerzył zęby.

Fran zabrała się za jedzenie, świadoma swoich szybkich ruchów, wciąż odczuwając skutki stresu i wyczerpania związanego z ukrywaniem prawdy na temat oglądania domu. Zmusiła się, by nieco zwolnić, żeby Adrian nie zauważył w niej tej nerwowości. Kłamstwo sprawiło, że miała kwaśny posmak w ustach.

– Moglibyśmy przejść się na spacer po lunchu – zaproponował. – Albo napić się piwa.

– Brzmi nieźle.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Sprawiasz wrażenie nieco rozkojarzonej.

Przesunęła kawałek omleta po talerzu, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Muszę ci coś wyznać, Adrian.

Przechylił głowę na bok, jakby z rozbawieniem.

– Co masz na myśli?

– Zadzwoiłam wczoraj do agenta z biura nieruchomości i umówiłam się na obejrzenie domu Whitakerów. Tam właśnie byłam rano.

– Och – powiedział. Odwrócił się od niej, więc nie zobaczyła jego miny. – No tak, to ma sens. Pomyślałem, że jesteś roztrzęsiona, bo wypijaś za dużo kawy.

– W takim razie mogłam się nie przyznawać.

– Mogłaś. – Spojrzał na nią i uniósł brew. Przyjrzała się jego twarzy w poszukiwaniu dezaprobaty, wsparcia, czegokolwiek. Ale pozostała ona bez wyrazu. Fran nie była tego pewna, ale chyba się od niej oddalał. Z każdym drobnym oszustwem, za każdym razem, kiedy nalegała na rozmowę o Whitakerach, coraz lepiej ukrywał swoje prawdziwe uczucia. Wiedziała o tym. Zdawała sobie sprawę, że Adrian ma już tego serdecznie dosyć.

– Okłamywanie ciebie nigdy mi dobrze nie wychodziło. – Fran wyciągnęła rękę, żeby uścisnąć jego dłoń.

– Więc wal z grubej rury. – Adrian chwycił widelec i zacisnął na nim palce, aż zbieleły. – No dalej. W co my się pakujemy? Zamierzasz ich odszukać, prawda?

– Tak. Wybacz.

– Co odkryłaś w tym domu?

– Musiałam odrobinę poszperać. Zostawili komputer. Zniknęła cała odzież i drobiazgi, nie licząc dwóch rzeczy. Sukienki Esther, tej samej, którą miała na sobie, kiedy znalazłam ją wtedy w parku, oraz jej Biblii.

– Hmm. Dziwne.

– Też tak pomyślałam.

– Ukradłaś te rzeczy, prawda?

Fran wzruszyła lekko ramionami.

– Czy można mówić o kradzieży, kiedy właściciele porzucili te rzeczy?

– Zapewne tak.

– W takim razie masz żonę przestępczynię.

Nakłuł na widelec listek rukoli i westchnął ciężko.

– Miałem już gorszą.

– Wiesz, kto jest właścicielem tego domu? Czy to ktoś z miasteczka?

– Zawsze sądziłem, że to ten facet, który mieszka na wzgórzu. Wiesz, ten z gębą jak burak, ten, co zawsze ubiera się w tweedową marynarkę.

– Rory Ellingham?

– Tak, on. W sumie... – Postukał widelcem o talerz. – Tak, zgadza się. Teraz sobie przypominam. Ma wraz z żoną kilka

nieruchomości w Leacroft i okolicach, ale to ona, Anita, nimi zarządza. Zbiera czynsz i tak dalej. On zajmuje się akcjami na giełdzie. Spotkałem go kiedyś przed laty, kiedy rodzice jeszcze żyli.

– Znam Anitę. Przychodziła kiedyś na próby chóru.

– To może się przydać – rzucił Adrian. – Fran...

– Moglibyśmy też umówić się kiedyś na kolację z Nickiem Taylorem, może uda mi się z niego coś wyciągnąć – powiedziała, przerywając mu.

– Fran.

– Mógłbyś przygotować tę swoją marokańską cielęcinę i pikantny kuskus.

– Fran. Ja nie chcę tego robić. – Jej warga zadrżała. – Czas już z tym skończyć.

Do oczu napłynęły jej łzy.

– Nie mogę. Nie potrafię z tym skończyć. Muszę się dowiedzieć, co się z nimi stało.

Adrian opuścił głowę tak nisko, że aż dotknął podbródkiem piersi. Wygiął plecy. Wyglądał na zmęczonego.

– Okej.

Otarła łzy grzbietem dłoni, odchrząknęła i pochyliła głowę, żeby nie musieć na niego patrzeć.

– Na dobre i na złe, tak?

Adrian spojrzał na nią i rzucił nietypowo chłodnym głosem:

– A kiedy wróci to dobre?

Z tymi słowami wstał, zabrał swój talerz i poszedł do kuchni.

Rozdział 37

Fran nie miała zapisanego numeru Anity Ellingham, co oznaczało, że musiała do niej napisać na Facebooku. Długo się zastanawiała, jakie znaleźć wytłumaczenie tak nieoczekiwanego kontaktu. Zwykła kawa nie wchodziła w grę. Nigdy nie były dobrymi przyjaciółkami. Anita spędziła w chórze zaledwie pół roku, co oznaczało, że nie udało się im nawiązać lepszej znajomości. Fran zawsze odnosiła wrażenie, że ta kobieta plotkowała na temat jej związku z Adrianem. Należała do tych, które spekulowały, że Fran weszła w związek z Adrianem, kiedy była młodą studentką, co nie było prawdą.

Nie mogła udawać, że zebrało jej się na wspominki ani próbować namawiać ją do powrotu do chóru. Fran znalazła tylko jedno rozwiązanie, a było nim osobiste zaproszenie Anity na letnią imprezę chóralną, choć miała się ona odbyć dopiero za dwa tygodnie. Uznała to za najrozsądniejszy powód do rozmowy.

A jeśli Anita przyjdzie na imprezę, wtedy będą mogły wypić razem kieliszek wina i Fran znajdzie okazję, by zapytać o Elijaha i Mary. Był to temat, który musiał pojawić się w rozmowie w sposób naturalny. Fran nauczyła się już jako dziennikarka, że ludzie nie ujawniają informacji, jeśli podejrzewają, że sytuacja

jest ukartowana, ale mogą wyjawić je z własnej woli w trakcie zwyczajnej rozmowy. Ludzie lubią gadać, a nie być do gadania zmuszanymi.

Wysłała do Anity wiadomość niedługo po lunchu z Adrianem. Potem zabrała na piętro torbę i rozłożyła sukienkę na łóżku. Położyła obok niej Biblię i westchnęła. „Chwyć mnie za rękę, maleńka”. Zamknęła oczy i przypomniała sobie Esther samą w ciemnościach. Nie wydawała się przestraszona, po prostu nie chciała nigdzie pójść z obcą osobą. Fran podniosła sukienkę i przeszukała małe kieszonki. Znalazła gumkę do włosów i złożoną karteczkę. Rozłożyła ją ostrożnie, jakby się obawiała, że ze środka wyskoczy żaba lub jakiś robak.

„Esther Whitaker. Siedem lat. Ojcem jest Elijah”.

Fran patrzyła na te słowa przez dłuższą chwilę, marszcząc czoło. Dlaczego Esther miała to przy sobie? Co to znaczyło? Pomyślała, że może Mary włożyła jej to do kieszeni, na wypadek gdyby mała znów się gdzieś oddaliła. Ale to wymagałoby od obcej osoby przeszukania jej sukienki, co byłoby dziwne, poza tym nie było numeru telefonu. Fran obróciła karteczkę w dłoniach. Papier był cienki i wymięty. Wszystko wskazywało na to, że pomysł Mary nie był do końca trafiony. Gdyby dziewczyna myślała trzeźwo, kupiłaby Esther jakąś bransoletkę z napisem lub przynajmniej zalaminowała notatkę. Fran schowała karteczkę do kieszeni sukienki i otworzyła Biblię.

Na wewnętrznej stronie okładki dziecięcym, ale starannym pismem zapisane były słowa: „Nazywam się Esther Whitaker”.

Nie, że Biblia należy do Esther, ale „nazywam się Esther Whitaker”.

Fran poczuła przebiegający po skórze dreszcz. Przekartkowała książkę. Była to raczej kolekcja popularnych biblijnych przypowieści, a wersetom towarzyszyły kolorowe obrazki. Zobaczyła rysunek przedstawiający Adama i Ewę w raju. Arkę Noego. Wieżę Babel. Dopiero później, w części poświęconej naukom Jezusa, Fran zauważyła bazgroły na marginesach. Usiadła na łóżku i rozłożyła książkę na udach. Esther używając czarnego ołówka, skreśliła niektóre słowa. Wykreśliła całe akapity. Gdzieniegdzie widniały słowa zapisane jej charakterem pisma. „Nieprawda”. „Nie”. Fran odwróciła kartkę i znalazła więcej zapisków. „Ojciec uważa, że to jest złe”. „Nie tego uczy Ojciec”. „Ojciec tego nie chce”. Fran zamknęła książkę i zacisnęła powieki. To wszystko było zbyt tajemnicze, żeby pochodziło od dziecka.

Mary powiedziała jej, że Bóg jest wyimaginowanym przyjacielem Esther, a kiedy Fran patrzyła na te bazgroły, to wszystko wskazywało na to, że miała rację. Najdziwniejsza była jednak sprzeczność tych słów z tym, co zapisano w Biblii. Dlaczego Esther nie wierzyła w świętą księgę własnej religii? Fran najpierw zaniepokoiła pobożność tej siedmiolatki, a teraz te wyrazy jej buntu.

Możliwe jednak, że Mary skłamała. A jeśli Esther przez cały czas mówiła o Elijahu? Jeśli to on powiedział dziewczynce, że słowa zapisane w tej pozornie niewinnej dziecięcej Biblii są fałszywe? Przypomniała sobie plotki krążące po miasteczku. Niektóre z nich mówiły, że Esther została porwana, a inne – że Elijah był jakiegoś rodzaju pastorem. No cóż, Esther nosiła karteczkę, która miała jej podpowiadać, kim jest. Miała również

w swoim życiu apodyktyczną osobę określaną jako „Ojciec”, niezależnie od tego, czy chodziło o biologicznego ojca, czy też nie.

Fran położyła się na kołdrze. Musiała ich odnaleźć.

Rozdział 38

Kiedy Anita odpowiedziała pozytywnie na jej wiadomość, Fran postanowiła podtrzymać rozmowę, pytając, co u niej słyhać i czym się zajmuje w wolnym czasie po odejściu z chóru. Anita nie zawsze dawała się lubić – była nieco wścibska i snobistyczna, co oznaczało, że ich wymiana zdań na Facebooku była czymś nietypowym. Fran miała nadzieję, że nie wzbudziła w żaden sposób podejrzeń Anity.

Wiadomości wpadały do jej skrzynki odbiorczej dość opornie. Jedna czy dwie w ciągu dnia. Prawdopodobnie Anita była przez cały czas czymś zajęta. Rozpoczęła kurs języka hiszpańskiego w bibliotece w Leacroft po tym, jak spędziła z Rorym wakacje na Costa del Sol. Teraz latali tam co kilka miesięcy, więc nie miała czasu na inne rzeczy. Zapytała Fran o jej życie i czy wciąż jest z Adrianem. Nie trwało to długo, pomyślała Fran. Choć byli małżeństwem już od dziesięciu lat, niektórzy mieszkańcy miasteczka wciąż uważali, że im się nie uda i że Adrian był mężczyzną, który wymieni ją na nowszy model, kiedy tylko się nią znudzi. Przełknęła dumę i odpowiedziała grzecznie, informując ją, że do tej pory są szczęśliwi.

Wszystko wskazywało jednak na to, że będzie to powolny proces gromadzenia informacji od Anity. Musiała robić coś innego w tym czasie, inaczej oszaleje. Starając się nie myśleć o dezaprobachie Adriana podczas lunchu, Fran zabrała się za organizowanie fałszywego przyjęcia dla Nicka Taylora. Jak się okazało, całkiem niedawno rozwiódł się z żoną, co podsunęło Fran pewien pomysł. Wysłała wiadomość do wiecznej singielki, ekstrawertyczki i dawnej koleżanki Adriana, Suki. Udawana randka w ciemno mogła się powieść. Zagryzła wargę i napisała maila. Może z tego bałaganu wyjdzie przynajmniej jakiś związek.

Przekonanie Adriana było zupełnie inną parą kaloszy, ale przynajmniej nadarzyła się okazja, żeby mógł się popisać swoimi umiejętnościami kulinarnymi. Jak się okazało, rozpromienił się natychmiast na wieść o Suki i oznajmił, że zjedzą sushi, żeby uhonorować japońskie pochodzenie koleżanki. Fran postanowiła nie komentować jego zmiany nastroju. Przytuliła go i podziękowała mu, obiecując jednocześnie, że wszystko będzie w porządku. Była to deklaracja, której mogła jednak nie spełnić.

W dniu imprezy Fran obudziła się z narastającym bólem głowy. Nie spała dobrze i zaczęła się zastanawiać, czy słusznie postępują, ale Adrian był w dobrym humorze. Pomógł jej posprzątać w domu, a po południu pogwizdywał, krojąc łososia do sashimi. Był w swoim żywiole, przygotowując paski nori i formując rolki maki. Fran siedziała na stołku w kuchni, pochylała się nad blatem i obserwowała jego pracę. Łagodziło to jej ból i uspokajało. Mogła mu się tak przypatrywać godzinami.

– Myślisz, że się dogadają? – zapytała.

Adrian się roześmiał.

– Suki dogaduje się z każdym, pod warunkiem że ma dość wódki z tonikiem. Mamy tonik, prawda?

Fran poszła sprawdzić. Nie było tajemnicą, że Adrian i Suki byli kiedyś blisko, ale od tamtej pory upłynęło dwadzieścia lat i oboje zaczęli swoje życie od nowa. Mimo to świadomość wizyty jego byłej kochanki w domu lekko wytrącała ją z emocjonalnej równowagi. Szczególnie zważywszy na jego radość z tego powodu. Zabrała butelkę wódki i tonik ze spiżarni. Spojrzała na telefon. Żadnych wiadomości ani od Mary, ani od Anity. Zauważyła, że jest już osiemnasta trzydzieści, co oznaczało, że goście zjawią się za godzinę. Zabrała butelki do kuchni, gdzie Adrian układał jadalne kwiaty na plastrach ryby.

– Chryste, naprawdę dajesz z siebie wszystko.

– Czas, bym stanął w blasku reflektorów, kochanie! – Uśmiechnął się do niej, pokazując zęby. Fran się roześmiała.

Zajęła się przygotowaniem owoców na deser, po czym weszła na piętro, żeby się przebrać. Niedługo później pojawiła się Suki i od razu zaczęła z Adrianem sączyć wódkę w kuchni. Fran wygładziła sukienkę i przećwiczyła uśmiech. Widziała Suki już kilkakrotnie i za każdym razem była pod wrażeniem jej smukłości, wzrostu i długich – teraz całkowicie srebrnych – włosów, które opadały jej na ramiona. Suki ucałowała ją w oba policzki. Ubrała się w czarną suknię sięgającą kostek. Była boso. Sprawiała wrażenie kobiety, która właśnie zamierza wyjść za mąż na plaży.

– Cieszę się, że poznam tego mężczyznę, z którym mnie swatasz – powiedziała, przesuwając kciukiem po kropelkach wody na kieliszku. – Jakie to ekscytujące.

– Jest naprawdę miły – powiedziała Fran, starając się utrzymać przekonanie, że całe to spotkanie miało na celu wyłącznie

poznanie ze sobą tych dwojga. – To agent nieruchomości, ale daleko mu do nadąsanego biznesmena. Rozwiedziony, ale nie zdradzał. To ona przyprawiła mu rogi.

– O nie!

– Ale to go nie zniechęciło.

– To dobrze. Dzieci?

– Syn. Na uniwersytecie.

– Którym?

– Warwick.

– Nieźle. Czyli bystrzak.

Fran pokiwała głową. Rozległ się dźwięk dzwonka. Adrian mrugnął do niej i poszedł otworzyć, zostawiając je same w kuchni.

Suki, która przysiadła na tym samym stołku, na którym wcześniej siedziała Fran, odsunęła włosy za ramię i pochyliła się do przodu, pobrzękując bransoletkami.

– Dlaczego tutaj jestem? Nigdy nie zapraszałaś mnie na kolację. Coś jest na rzeczy, prawda?

– Zrób mi po prostu przysługę, dobrze? Płyn z nurtem. Przez cały wieczór. Potrzebujemy pewnych informacji od tego faceta.

Fran się natychmiast zestresowała, bo pomyślała, że Suki wstanie i ruszy wprost do wyjścia. Ale srebrnowłosa kobieta rozciągnęła jasnoczerwone usta w szerokim uśmiechu.

– Brzmi interesująco. Wchodzę w to.

Rozdział 39

Fran zapomniała już, jak mdły był Nick Taylor. Miał osobowość ziemniaka i podczas jedzenia całej przystawki – pysznej zupy z małży ugotowanej przez Adriana – nadawał o rynku nieruchomości, a w szczególności o milionerach, którzy nie byli w stanie sprzedać swoich rezydencji. Mówił o nuworyszach przepłacających za domy tylko po to, by mieszkać w odpowiedniej okolicy. Przez cały czas, kiedy prowadził swój przydługi, nudny wykład, Suki pochylała się w jego stronę, kokieteryjnie wspierała podbródek na dłoni i dolewała mu wina.

– A jak wygląda sprzedaż domów w takim małym miasteczku? – spytała. – Musisz chyba wszystkich tutaj znać. Nie jest trudno utrzymać pewne rzeczy w tajemnicy?

– No cóż – rzucił Nick, lekko pąsowy od wina i uwagi ze strony Suki. – Nie jest tak źle. Ludzie nie mają tutaj sekretów. Wszyscy doskonale się znamy.

– Och, jestem przekonana, że jest ich mnóstwo – rzuciła Suki. – Te małe miasteczka są nimi przepełnione. A potem wprowadzają się nowe rodziny i niszczą status quo.

– To prawda – zgodził się Nick.

Adrian wykonał ruch, jakby zamierzał zebrać naczynia po przystawce, ale Fran położyła mu dłoń na nadgarstku. Suki wykonywała doskonałą robotę, wyciągając informacje od Nicka. Ostatecznie Fran się ucieszyła, że była kochanka Adriana zgodziła się dziś do nich przyjść. To było genialne posunięcie.

– Coś takiego się wydarzyło całkiem niedawno – powiedziała Fran. – Ta miła rodzina z Arizony, Whitakerowie. Wyglądali na nieco zagubionych, prawda, Nick? Ale byli sympatyczni. A potem mieszkańcy zwrócili się przeciwko nim i wszystko się posypało.

– To straszne. Nie znoszę, kiedy dobrzy ludzie są źle traktowani. Co się z nimi stało? – Suki niewinnie popijała wódkę z tonikiem.

Oczy Nicka rozbłysły. Zdawało się, że takie sensacyjne informacje go ekscytują.

– Jak wiecie, wynajęliśmy ten dom. Tak bardzo chcieli się wprowadzić, że kaucję wpłacili jeszcze tego samego dnia, w którym go obejrzel. Byłem w biurze, kiedy to miało miejsce.

– Dziwne – przyznała Suki.

– Trochę ich poznałam – oznajmiła Fran. – Z tego, co mówiła Mary, czyli żona, nie znali zbyt wielu osób w Anglii. Chyba byli po prostu zdesperowani, żeby zapuścić tutaj korzenie.

– Tak, o tym też rozmawialiśmy w biurze – powiedział Nick. – Potrzebowali referencji na wynajem i mieli z tym pewne problemy. Dłużej im zeszło na zgromadzeniu tych dokumentów niż pieniędzy, ale byli bardzo wdzięczni, że zarezerwowaliśmy dla nich ten dom. W końcu sprawę załatwił przyjaciel z Derby.

Przyjaciel, pomyślała Fran. Nie rodzina. Mary użyła słowa „kuzyn”. Albo to ona skłamała, albo Elijah nie powiedział jej całej prawdy. Chyba że to Nick się mylił.

– Jaki był ten przyjaciel? – spytała Suki.

Nick wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien. Wiem tylko tyle.

– Czy mogę... – Adrian wstał, ponownie gotów do zebrania naczyń, ale Fran kazała mu usiąść.

– Napijmy się jeszcze wina, zanim przejdziemy do głównego dania, kochanie. – Uśmiechnęła się do niego. To była bardzo ważna część rozmowy. Nazwiska. W jaki sposób miała je wyciągnąć z Nicka? – Wiesz, trochę się niepokoiłam o Whitakerów, kiedy wyjechali. Ta ich mała córeczka dwukrotnie uciekła z domu.

– Och, straszne – przyznała Suki.

– Tak, paskudna sprawa – dodał Nick, popijając wino.

– Zastanawiałam się nawet, czy ich nie odnaleźć, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

– To będziesz miała z tym problem – odparł. – Najprawdopodobniej są już w Arizonie. Co za straszne miejsce. Tylko upał i pył.

Fran zerknęła na Adriana, dając mu sygnał, by w końcu wymienił talerze. Postanowiła na razie urwać i wrócić do rozmowy nieco później. Ten wieczór potrzebował oddechu. Pomogła Adrianowi opłukać miseczki po zupie, podczas gdy Suki i Nick dalej flirtowali w salonie. Po chwili Fran i Adrian wrócili z sashimi, maki i curry katsu z ryżem. Suki klasnęła w dłonie z radości, podziwiając danie.

– Skąd wzięliście tę pyszną rybę? – Spróbowała jedzenia jak Nigella, odchylając głowę do tyłu, oblizując palce i pomrukując z zadowoleniem. Nick prawie się poślinił w kieliszek z winem.

Kiedy skończyli posiłek, Nick był już kompletnie zalany. Zaczął dotykać ramienia Suki i gładzić kciukiem jej skórę. Fran i Adrian

się skrzywili, wychodząc z talerzami. Po chwili zaczęli chichotać, zrzucając resztki do kosza na śmieci.

Kiedy wrócili z tacą ze świeżymi owocami i dzbankiem śmietany, Suki wróciła do tematu Whitakerów.

– Myślę, że Fran ma rację w kwestii tej rodziny. Aż smutno myśleć o tym dziecku.

Nick pokiwał powoli głową.

– Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę te ciągłe ucieczki małej z domu – wtrąciła Fran. Zawsze sprawiali wrażenie, jakby potrzebowali dodatkowego wsparcia.

Zauważyła kątem oka, jak Adrian przewraca oczami.

– Biedne dziecko – powiedziała Suki. – Fran, jesteś taka kochana, że się nimi zaopiekowałaś. Wiesz, co ja osobiście uznałabym za wyraz współczucia i troski? Co, tak przy okazji, najbardziej mnie kręci?

Fran zerknęła na męża, zaskoczona.

– Co? – zapytał Nick, lekko sepleniąc.

– Gdybyś pomógł Fran znaleźć tego ich przyjaciela. Macie chyba gdzieś jego nazwisko, prawda?

– Mamy.

Przysunęła się nieco bliżej wraz z krzesłem i położyła dłoń na jego ramieniu.

– To są wyjątkowe okoliczności, nie sądzisz? Każdy, kto pomoże temu dziecku, okaże się hm... prawdziwym bohaterem.

Przesunął palcem po jej policzku, a Fran walczyła, żeby nie zwrócić ryby.

– Lubisz bohaterów?

– O, tak.

Nick wyjął z kieszeni telefon.

– Zaraz napiszę do mojej asystentki. Jutro rano wyśle mi nazwiska.

Suki klasnęła w dłonie.

– Jesteś niesamowity.

Nick płonął z dumy w świetle lamp nad stołem.

Rozdział 40

„Cześć, Skarbie. Zgadnij, kto mi wysłał te nazwiska? Naprawdę się postarał. I nie jest wcale złym kochankiem. Czekam na następną kolację z zabawą w detektywów. Uważaj na siebie. Wygląda na to, że ten Elijah to niezłe ziółko. Suki”.

Fran spisała nazwisko z wiadomości i nałała sobie do filiżanki porannej kawy. Dochodziła dziesiąta i Adrian przycinał żywopłot w ogrodzie. Potarła zmęczone oczy. Po północy wyszła z Suki do ogrodu, a Adrian pomagał Nickowi wytrzeźwieć w kuchni. Rozłożone na ogrodowych kanapach, bez butów i z kocami na ramionach, rozmawiały ze sobą, a lisy w oddali wydawały z siebie rozmaite dźwięki, poszukując partnerek.

– Jesteś tego wszystkiego pewna, Fran? Mam na myśli szukanie tej rodziny. Wiesz, że możesz wkroczyć na niebezpieczne terytorium, prawda? Taki kontrolujący wszystko człowiek może poczuć się zaszczytny, kiedy zostanie przyparty do muru. I zaatakować. – Suki podała jej skręta i wydmuchała dym w nocne niebo. Fran uśmiechnęła się do siebie, wyobraziwszy sobie plotki w chórze, gdyby jego członkinie się dowiedziały, że paliła marihuanę.

– Muszę to zrobić – odparła. To przez cały czas była jej najprostszą odpowiedzią na wszystko. Owszem, miała chwile zwątpienia, ale nie było żadnego wyboru. To był impuls, którego nie mogła zignorować. – Nie wydaje mi się, żeby mieli kogokolwiek innego.

– A co o tym myśli Adrian?

Fran wciągnęła dym do płuc, walcząc z odruchem kaszlu.

– Początkowo był temu przeciwny, ale chyba zaczyna się w to wkręcać. Dziś przygotował wszystkie potrawy i działał zgodnie z planem. Jak zwykle okazał się cudowny.

Suki odebrała od niej skręta i owinęła się szczelniej kocem.

– Jest kochany – przyznała. – Przynajmniej przez większość czasu.

– Przez większość czasu?

Suki machnęła tylko ręką.

– Och, nic takiego.

– Mów!

– Zdradził mnie. I swoją pierwszą żonę.

– Co? Jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna. – Suki uniosła ręce i głos. – Obawiam się, że Sophie go przyłapała na gorącym uczynku. A ja znalazłam dowody. Ale zostawmy to. Przy tobie się zmienił.

Fran oparła się o drewniany mebel.

– Nie potrafię sobie wyobrazić Adriana zdradzającego kogokolwiek.

– Jak już powiedziałam, teraz to inny człowiek. Kiedyś chętnie wodził wzrokiem za pięknymi dziewczynami na kampusie. – Przewróciła oczami. – Co rok jakaś studentka. Znasz ten typ. Krótkie spódniczki i problemy z tatusem.

Fran poczuła ścisk w żołądku.

– Spał ze swoimi studentkami?

– Obawiam się, że był lekko napalonym profesorkiem. I do tego przystojnym draniem. I jeszcze ten akcent z trzyletnich studiów na Harvardzie.

Fran westchnęła.

– Szkoda, że wtedy go nie znałam. Nie umiem sobie tego wyobrazić.

– Teraz już taki nie jest. Na ten moment chce łatwego życia. Pragnie, żebyś była szczęśliwa, ale nawet w tej sytuacji oczekuje prostego życia bez problemów. Pracy w ogrodzie w ciągu dnia, czytania wieczorami, lampki czerwonego wina pod wieczór. – Suki wzruszyła ramionami.

Fran uniosła jedną brew i niemal się roześmiała.

– Takiego Adriana właśnie znam.

– Chryste, szkoda, że siebie teraz nie widzisz. Wybacz, że w ogóle o tym wspomniałam. To było całe wieki temu.

– Wiem. – Fran próbowała się uśmiechnąć. – To wciąż ten Adrian o porządnych manierach, którego znam, prawda?

Suki roześmiała się krótko.

– Oczywiście! Świetnie razem wyglądacie. Słuchaj, bądź ostrożna, okej? Nie chcę, żebyś zrobiła o jeden krok za dużo, ale mam nadzieję, że wiesz, że robisz to tak dla tego dziecka, jak dla siebie.

Fran pomachała palcami w kierunku skrzyżowania, aż w końcu Suki jej go podała. Drugie zaciągnięcie się okazało się łatwiejsze niż pierwsze. Poczuła, jak odprężają się jej mięśnie i jak umyka niepokój wywołany opowieścią Suki o niewierności.

– Tak, wiem. Wszyscy mi to powtarzają. Adrian. Przypadkowe plotkary z miasteczka. A teraz ty. – Przewróciła oczami, ale się uśmiechnęła.

– Jeśli jeszcze tego nie powiedziałam, a chyba jednak nie, to bardzo mi przykro z powodu Chloe. To, co się wam przytrafiło, było straszne.

Fran poczuła, że znów się spina. Mięśnie jej twarzy zadrżały, kiedy próbowała utrzymać emocje na wodzy.

– Dzięki. Wiem.

W tej samej chwili z domu wyszli panowie – Nick nieco ożywiony dzięki kawie – i spotkanie niedługo później dobiegło końca.

Teraz Fran wpatrywała się w nazwisko, które zanotowała. Obok widniał adres. Noah Martinez. Mieszkał w Derby, zgodnie z tym, co powiedziała jej Mary, ale nie wydawał się w żaden sposób spokrewniony z Elijahem, przynajmniej sądząc po nazwiskach. Poza tym Nick wspomniał, że był to przyjaciel, a nie członek rodziny. Złożyła karteczkę i umieściła w tylnej kieszeni spodni. Czowała nieznośne pulsowanie w głowie. Obudziła się o piątej nad ranem bez większej ochoty na bieganie, za to z przytłaczającym odczuciem mdłości. Jakimś cudem udało się jej zejść na dół do toalety i opróżnić żołądek, zanim Adrian się zorientował. Potem wróciła do łóżka i poddała się paranoi, która ogarnęła jej myśli, aż nadeszła pora, by wstać. A czego się dowiedziała z tych paranoidalnych przemyśleń? Bała się, co odkryje, kiedy w końcu znajdzie Whitakerów. Martwiła się też, że w ogóle nie zna swojego męża.

Najgorsza była jednak inna myśl. Co zrobi, jeśli okaże się, że szuka Whitakerów tylko po to, żeby dowiedzieć się, że są

bezpieczni i szczęśliwi? Nie chodziło o to, że zależało jej w jakikolwiek sposób na ich cierpieniu, bardziej na tym, żeby nie okazało się, że ma zwyczajną obsesję. W takiej sytuacji jednak prawdą byłoby, że wcale jej nie potrzebują.

Fran wyszła do ogrodu i powiedziała Adrianowi, że po południu wychodzi. Założyła okulary przeciwsłoneczne, żeby ochronić oczy przed blaskiem słońca, i wsiadła do samochodu.

Rozdział 41

Fran skorzystała z nawigacji, żeby trafić na miejsce. Nie była to długa wyprawa, choć zmiana otoczenia z małomiasteczkowego na wielkomiejskie wzbudziła w niej poczucie dyskomfortu. Frustrowali ją kierowcy, myliła się w jednokierunkowych ulicach i stała w oczekiwaniu na zmianę świateł. W tyle głowy wciąż odczuwała tępy ból, paracetamol w ogóle nie radził sobie z jej kacem.

W końcu wjechała we właściwą ulicę w centrum, ale budynek mieszkalny znajdował się przy głównej ulicy i nie było tam parkingu. Po dziesięciu minutach jeżdżenia wokoło znalazła w pobliżu piętrowy parking i wcisnęła się w ciasne miejsce między betonową kolumną a corsą. Wciągając brzuch, ledwie wysiadła z samochodu, po czym zeszła po długich schodach na poziom ulicy. Miasto miało zapach rozgrzanych kontenerów na śmieci i spalin.

Panował piekielny upał, a górne części jej ud – z reguły nienaruszane nawet w trakcie porannych przebieżek – paliły, kiedy pospiesznie zmierzała pod właściwy adres. Marzyła o założeniu szortów i żałowała, że zdecydowała się dziś założyć długą spódnicę.

Nie zadzwoniła z wyprzedzeniem. Może Noah pracował w weekendy lub pojechał nad morze, żeby skorzystać z pięknej pogody. A może się jej poszczęści i zastanie tak zwanego przyjaciela Elijaha chętnego i gotowego, żeby przekazać jej wszystko, czego potrzebowała.

Fran stanęła przed właściwą kamienicą i znalazła panel domofonu. Nacisnęła przycisk. Nikt nie odpowiedział. Nacisnęła ponownie.

– Hej, odwiedza pani kogoś? – Usłyszała za sobą czyjś głos.

Fran odwróciła się i ujrzała młodą, mniej więcej dziewiętnastoletnią kobietę, która się do niej uśmiechała. Choć ubrana była w podkoszulek i krótkie spodenki, po rękach spływał jej pot.

– W zasadzie tak. Noah Martinez? Mieszka pod literą C.

– A tak, znam Noaha. Mogę panią wpuścić, ale chyba wyjechał na wakacje. Nie widziałam go od paru dni.

– Dziękuję, byłoby wspaniale – odparła Fran.

Dziewczyna użyła karty, żeby otworzyć drzwi.

– To tylko jedno piętro, jeśli nie chce pani korzystać z windy. Ja bym do niej nie wsiadała na pani miejscu. Psuje się co miesiąc. – Pobiegła na górę, klapiąc sandałami o stopnie.

– Dziękuję za poradę.

Fran weszła po schodach i pomyślała, że przypominają jej bardziej klatkę schodową w domach handlowych czy piętrowych parkingach niż w budynku mieszkalnym. Nie wyobrażała sobie życia w samym sercu miasta, nawet stosunkowo niedużego jak Derby. Tutejsza atmosfera ją dusiła. Kobieta cieszyła się, że ma krótko ścięte włosy. Mimo to musiała otrzeć czoło z potu, kiedy podeszła do drzwi mieszkania. Nie robiła sobie wielkich nadziei

po tym, co usłyszała od sąsiadki Noaha, ale i tak zastukała głośno do drzwi.

Dziewczyna mieszkała pod literą B po drugiej stronie korytarza i odwróciła głowę z uśmiechem, wchodząc do środka. Fran czekała, ale nikt nie otwierał. Postanowiła zapukać jeszcze raz, mocniej, aż zaboląły ją kostki. Nadal nic.

Już zamierzała się odwrócić i odejść, kiedy usłyszała po drugiej stronie drzwi odgłosy drapania. Pochyliła się, nasłuchując. Po chwili znów to samo, drapanie. Tym razem bardziej niecierpliwie. Sekundę później rozległo się miauczenie.

– Cześć, kiciu – powiedziała.

Kot odpowiedział przeciągłym miauknięciem i kontynuował drapanie. Cholernie intensywne, pomyślała.

Fran spojrzała w stronę mieszkania B. Sąsiadka Noaha wspomniała, że nie widziała go od paru dni, a jednak kot był w środku i wydawał dźwięki, jakby był poważnie zaniepokojony. Słuchała jeszcze przez chwilę jego miauczenia i drapania, aż w końcu podjęła decyzję. Podeszła do drzwi mieszkania B i zapukała.

Kiedy drzwi się otworzyły, młoda kobieta wyglądała na zaskoczoną widokiem Fran.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Wspomniała pani, że nie widziała Noaha od kilku dni. Problem w tym, że słyszę tam jego kota i trochę się tym niepokoję.

– Serio? – Dziewczyna otworzyła szerzej drzwi i wyszła na korytarz. – No cóż, nie wydaje mi się, żeby Noah gdzieś wyjechał i zostawił swojego kota samego. – Zmarszczyła czoło, kiedy również do jej uszu dotarło drapanie i miauczenie.

– Ma pani może zapasowy klucz? – spytała Fran. – Ten kot jest bardzo niespokojny.

– Nie mam. Ale na dole jest biuro. Może tam ktoś będzie mógł pani pomóc.

Rozdział 42

– Tak przy okazji, jestem Fran. Przepraszam za to zamieszanie.
– Naomi. W porządku. Szczerze mówiąc, cieszę się, że pani przyszła. Naprawdę nie ma takiej możliwości, żeby Noah wyjechał gdzieś daleko i zostawił kota bez opieki. – Odgarnęła grzywkę z oczu, kiedy schodziły razem na parter. – Tak w zasadzie ta sytuacja jest zupełnie nie w jego stylu. Jest dość zamknięty w sobie. Zawsze wychodzimy do pracy o tej samej godzinie. Gdyby nie to, pewnie w ogóle nie wiedziałabym, jak ma na imię. Ale wiem jedno, to jego pierwszy dalszy wyjazd z domu. Pamiętam ten jeden tydzień, kiedy się rozchorował, ale poza tym każdego ranka o ósmej schodzi ze mną po schodach. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Przepraszam, że tak nadaję.

Fran odpowiedziała jej uśmiechem.

– Wcale nie, bez obaw. Pamiętasz może rodzinę, która mieszkała u niego przez pewien czas? Młoda kobieta imieniem Mary, jej mąż Elijah i siedmiolatka Esther?

– Tak – odparła, kiedy zaczęły schodzić jeszcze niżej, do piwnicy.
– To dopiero byli dziwacy. Nie wiem, kim byli, ale się wyróżniali. Szczególnie ta mała.

– Esther?

– Tak. Dziwne dziecko. Pewnego dnia rzuciła jakąś uwagę na temat moich spodenek. Nigdy wcześniej nie miałam ochoty przyłożyć dzieciakowi.

– Są bardzo religijni – wyjaśniła Fran. – Moim zdaniem Esther po prostu zwraca uwagę na rzeczy, o których się uczyła.

– Tak, też odniosłam takie wrażenie. Żartowałam oczywiście z tym. – Zachichotała nerwowo.

– W porządku, miewałam takie same odczucia – wyznała Fran.
– A Noah? Też jest taki religijny?

Kiedy szły jasnym korytarzem, Naomi objęła się rękami, jakby zrobiło się jej zimno.

– Szczerze? Nie wiem. – Zerknęła z ukosa na Fran, jakby dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, co tutaj robi. – Nie jesteś znajomą Noaha? – Podeszły do drzwi z tabliczką „zarząd budynku” i Naomi zapukała.

– Tak naprawdę jeszcze nigdy go nie widziałam. Znam tę rodzinę, która u niego mieszkała.

– Okej. – Naomi zdawała się zbита z tropu.

– Ta rodzina zaginęła kilka tygodni temu. Mam nadzieję, że on wie, dokąd wyjechali.

– Och, wow.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął przysadzisty mężczyzna w koszulce polo. Miał kręcone, rude włosy i jasnoczerwony nos.

– W czym mogę pomóc?

Naomi odezwała się pierwsza.

– Mieszkam pod B. Ta pani przyjechała do Noaha spod C, ale nikt nie otwiera i coś chyba jest nie tak. Nie widziałam go od kilku dni, ale w domu został jego kot i... – urwała, a Fran zauważyła, że dziewczyna traci rezon.

– Obawiamy się, że coś mogło mu się stać – dodała Fran.

– Czy któraś z pań skontaktowała się może z jego krewnymi? – spytał zarządca.

– Nie znamy nikogo. Czy mógłby pan otworzyć drzwi?
Zmarszczył czoło i wcisnął dłonie w kieszenie spodni khaki.

– Nie powinienem tego robić. Chyba że to sytuacja kryzysowa.
Fran zagryzła dolną wargę. Znow zaczynała pulsować jej głowa.

– Naszym zdaniem to jest sytuacja kryzysowa. W mieszkaniu znajduje się zwierzę wymagające pomocy.

– Tak, dokładnie – dodała Naomi. – Biedactwo wciąż drapie w drzwi.

– Poszukam tylko kluczy – powiedział mężczyzna i zniknął w swoim biurze. Chwilę później wrócił z pękiem kluczy na kółku z plastikowym brelokiem. Odwrócił się i zamknął drzwi biura. Fran z niepokojem pomyślała o powrocie na pierwsze piętro. Zmęczone kacem mięśnie bolały, kiedy próbowała nadażyć za zarządcą. Z ulgą stwierdziła, że mężczyzna kieruje się wprost do windy.

– Lepiej dziewczyny, żebyście nie narobiły mi problemów – powiedział, kiedy weszli do ciasnej kabiny. Wszyscy przyciągnęli ręce blisko ciała, żeby uniknąć niechcianego kontaktu.

Fran się lekko skrzywiła, usłyszawszy słowo „dziewczyny”. Naomi nie zamaskowała jednak swojej frustracji.

– Będzie pan miał znacznie więcej problemów, jeśli coś niedobrego dzieje się w tym mieszkaniu.

Mężczyzna rzucił jej ostre spojrzenie i westchnął. Kiedy winda wjechała na pierwsze piętro i drzwi rozsunęły się z przerażającym grzechotem, rozłożył ramiona w teatralnym geście, przepuszczając

Naomi. Fran poszła za nimi, czując się dziwnie odpowiedzialna za to wszystko.

Kiedy stanęli przed drzwiami mieszkania Noaha Martineza, poczuła, jak unoszą się jej włoski na rękach. Kot wciąż stał przy drzwiach, drapiąc i miauczając, a wydawane przez niego odgłosy zdawały się jeszcze bardziej rozpaczliwe.

– Chryste! – rzucił mężczyzna. – To zwierzę brzmi, jakby miało wściekliznę!

– Jestem pewna, że po prostu się boi – odparła Naomi. – Mam w lodówce ugotowanego kurczaka. Przyniosę mu trochę.

Skierowała kroki do swojego mieszkania, a zarządca otworzył drzwi za pomocą klucza. Oboje czekali na powrót Naomi z talerzem pełnym kawałków mięsa. Kiedy była gotowa, skinęła do zarządcy głową, żeby otworzył drzwi.

Gdy to zrobił, mignęło im przed oczami czarne futro. Naomi postawiła talerz i zawołała delikatnie wystraszonego kota. Od razu zabrał się za jedzenie, mruczając przy tym głośno.

Po otwarciu drzwi z mieszkania uwolniło się jednak coś jeszcze, znacznie bardziej niepokojącego. Zareagowali na to jednocześnie, chowając usta i nosy w zgięciu łokci. Fran poczuła mdłości, kiedy tylko fetor dotarł do jej gardła. Toksyczny odór zza otwartych drzwi skojarzył się jej z martwym szczurem, którego Adrian znalazł w ich kominie. Ten był jednak jeszcze gorszy. Smród choroby, zepsucia, zgnilizny. Fran od razu się domyśliła, co czuje i nie miała wątpliwości, że to samo poczuli pozostali. Zwłoki.

Rozdział 43

Fran nie weszła głębiej do mieszkania – stanęła w drzwiach, sparaliżowana własnym strachem. Zarządca wycofał się na klatkę, wyciągnął telefon i zadzwonił na policję. Przez tępe dudnienie w uszach słyszała jego słowa. Zorientowała się, że stojąca obok niej Naomi mówi coś o niewchodzeniu do środka na wypadek, jeśli mają do czynienia z miejscem przestępstwa. Zakończyła wypowiedź słowami „biedny Noah”.

Fran gapiała się na otwarte mieszkanie. Zobaczyła obraz Mackintosha wiszący na ścianie, który położył nieco od słońca. Na podłodze leżał wytarty dywan. Dostrzegła też fragment kuchni, jedną bladozieloną szafkę z białą farbą łuszczącą się na uchwycie. Widoczny był również skraj starej kanapy, której oparcie wytarło się po latach użytkowania. Firana w oknie się nie poruszała – w domu nie krążyło świeże powietrze.

Kiedy w końcu weszła do mieszkania, nikt jej nie zatrzymał. Zarządca był zajęty nerwowym krążeniem po klatce, zapewne przerażony wizją utraty stanowiska lub reakcją innych mieszkańców kamienicy. Naomi pochylała się nad kotem. Nikt nie poświęcił uwagi Fran, która minęła obraz, kuchenną szafkę i weszła do salonu.

Noah wisiał w przeciwległym kącie pokoju, zwrócony twarzą do Fran. Głowa opadła mu nisko, a ramiona i nogi zwisały bezwładnie. Nie miała wątpliwości, że mężczyzna nie żyje. Skarpety miał podarte na strzępy w miejscach, gdzie drapał je kot. Fran nabrała gwałtownie powietrza i szybko się odwróciła, próbując natychmiast pozbyć się sprzed oczu widoku ciała. Nie zdołała. Utrwalił się pod jej powiekami jak negatyw jasnego światła. Żołądek podszedł jej do gardła, ale udało się jej nad nim zapanować. Nie, nie zwymiotuje. Otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju, starając się omijać wzrokiem ciało Noaha.

Wtedy dostrzegła napisaną odręcznie notatkę na półce nad gazowym kominkiem. Podeszła bliżej i ją podniosła. Była to kartka formatu A4, złożona na pół. Na zewnętrznej stronie Noah zapisał imię „James”. Drżącymi rękami rozłożyła kartkę.

Wybacz, że wyjechałem. To jest dla ciebie i dzięki temu pewnie mnie odzyskasz.

Przepraszam osobę, która miała pecha mnie znaleźć. Jeśli to zapewni ci jakiegokolwiek pocieszenie, jestem ze wszystkim pogodzony.

*Bóg z tobą
Noah*

– Co pani robi? – Zarządca popatrzył na Fran trzymającą kartkę z wyrazem przerażenia na twarzy. Po chwili przesunął wzrok na wisielca i natychmiast czmychnął z pokoju.

– Proszę to odłożyć i poczekać na przyjazd policji – zawołał z korytarza lub z kuchni. – Zwariowała pani? Nie wolno dotykać takich rzeczy.

Fran złożyła kartkę na pół i odłożyła w to samo miejsce, z którego ją zabrała. Wiedziała, że nie powinna była niczego dotykać, ale nie zdołała się powstrzymać. Wychodząc, starała się nie spojrzeć po raz ostatni na Noaha, ale odwróciła głowę i znów ujrzała te podarte pazurami skarpety. W korytarzu, gdzie Naomi tuliła kota na rękach, Fran się rozplakała.

– Przykro mi z powodu twojej straty – powiedziała Naomi, zapomniawszy najwyraźniej, że Fran nigdy wcześniej nie widziała Noaha.

Niedługo potem przyjechała policja. Spisali zeznania w biurze zarządcy i udali się na górę. Fran zostawiła im swoje dane, żeby mogli się z nią w razie konieczności skontaktować. Wymieniły się również numerami z Naomi. Teraz połączyło je wspólne doświadczenie. Pomimo straszego zapachu i stanu ciała, policjanci sprawiali wrażenie spokojnych. Wyglądało to na oczywiste samobójstwo. W mieszkaniu wisiał samotny mężczyzna, a pozostawiona przez niego notatka potwierdzała, że zrobił to sobie sam.

Fran wyszła tuż po zakończeniu policyjnych procedur. Rzuciła przelotne spojrzenie Naomi, która zostawiła kota w swoim mieszkaniu, i uśmiechnęła się do niej ze smutkiem. Nic nie poszło po jej myśli. Teraz Fran pragnęła już tylko wrócić do domu i zmyć z siebie zapach rozkładającego się ciała Noaha.

Rozdział 44

Nadszedł dzień letniego chóralnego festynu i grupa Fran stłoczyła się w miejskim ratuszu na lunchu, na który z założenia każdy miał coś przynieść. Weszła na wzgórze po raz pierwszy od ostatniej sprzeczki z Emily, niosąc w torbie bananowe ciasto zrobione przez Adriana i butelkę wina w dłoni. Serce łomotało jej mocniej niż przy porannych przebieżkach. Czuła, że to jej ostatnia szansa na dowiedzenie się czegokolwiek o losie Whitakerów. Teraz albo nigdy.

Odczuwała zmęczenie. W nocy widziała Noaha Martineza zwisającego z sufitu, ze skórzanym paskiem wrzynającym się w szyję. Widziała go żywego, żałującego swojego wyboru, w ostatnich chwilach walczącego z paskiem, wierzgającego i charczącego, z pianą w kąciku ust. W końcu się obudziła i poszła pobiegać, żeby o tym wszystkim nie myśleć. Powtarzała sobie, że upłynął tydzień i niebawem zacznie powracać do normalności. Noah nie był dla niej nikim ważnym. Przypadkową osobą mającą jakiś związek z Whitakerami. Dlaczego więc widok jego ciała tak ją poruszył?

Nie były to pierwsze zwłoki, na które się natknęła. Myśli wracały oczywiście do Chloe, to była już tradycja.

Na parkingu pomachała do niej Anita Ellingham, a ona poczuła, jak wywraca się jej żołądek. Anita jak zwykle ubrana była elegancko, a jej błękitna sukienka doskonale pasowała do granatowych butów i torebki. Kolor uzupełniał oliwkowy odcień jej skóry. Usta miały barwę pysznej śliwki, a włosy opadały falami. Przytuliła mocno Fran.

– Tak się cieszę, że się ze mną skontaktowałeś – wyznała. – Brakowało mi chóru.

– Cudownie znów cię widzieć – odparła Fran, kiedy wchodziły do ratusza.

– Co przyniosłeś? – Anita wygięła się za jej plecami, żeby spojrzeć na butelkę. – Pinot. Super.

– I ciasto bananowe Adriana. Nie moje. – Roześmiała się. – Moje ma zawsze klajstrowaty spód. – Podeszły do stołów stojących na kozłach i Fran odłożyła butelkę wraz z resztą. Podniosła dwa plastikowe kubeczki. – Szklaneczkę?

– Dawaj. – Anita postawiła szampana obok pinota grigio przyniesionego przez Fran, po czym sięgnęła do przepastnej torby i wyjęła pudełko. – Nie wiedziałam, co przynieść. W końcu postanowiłam nie eksperymentować na grupie ze swoimi straszliwymi umiejętnościami i kupiłam ciastka.

Fran spojrzała na etykietę pudełka i uniosła brew.

– Piekarnia Butterfly. Wspaniale. – Wiedziała, że nie będą to zwykłe ciastka, ale wyjątkowe, drogie, z kremem w środku. Na samą myśl do ust napłynęła jej ślina i musiała przyznać przed samą sobą, że pyszne bananowe ciasto Adriana wyglądało teraz nieco blado przy tych kolorowych wypiekach.

Kiedy Fran podała jej kubeczek z winem, pozostałe członkinie chóru otoczyły Anitę, żeby zadać jej serię pytań. Co porabiała?

Gdzie była? Jak spędziła wakacje? I tak dalej. Fran popijała wino, zaczynając żałować swojego planu. Nabierała przekonania, że to nie zadziała. Czuła, że poniosła porażkę i to nie tylko dlatego, że nie przyniosła na imprezę drogiego szampana.

Przez resztę popołudnia unikały się z Emily. Często docierał do jej uszu wysoki głos starszej kobiety, nie czuła jednak potrzeby, żeby do niej podejść. Kilka osób zapytało ją, gdzie była przez kilka ostatnich tygodni, ale Fran wytłumaczyła się przeziębieniem. Wraz z upływem czasu, kiedy niemal sama dokończyła butelkę pinota, ta wymówka zaczęła brzmieć idiotycznie nawet w jej uszach. Była jednak zbyt zajęta obserwowaniem Anity, by o tym myśleć.

Około piętnastej w końcu odważyła się dołączyć do towarzystwa Anity i przysunęła sobie krzesło. Kobieta zrzuciła buty i pocierała lewą piętę.

– Masz już dość? – spytała Fran, wskazując głową stopę Anity.

– Wciąż mam z nimi problemy, a jednak zakładam te cholerne szpilki.

Fran się roześmiała.

– Gdyby nie Adrian, przez całe dni chodziłabym w crocsach. Ale chyba wciąż lubię mu się podobać.

– Oj, z pewnością spodobałabyś mu się nawet w worku na śmieci – odparła z uśmiechem. Upiła odrobinę wina i jej uśmiech zgasł. – Czego potrzebujesz, Fran? – Przesunęła włosy na jedno ramię i rozciągnęła swoje atletyczne nogi, naprężając mięśnie łydek.

– Co masz na myśli?

– Daj spokój. Zaprosiłaś mnie osobiście. Nie jesteśmy żadnymi przyjaciółkami. Poza tym i tak dostałam rozesłany do wszystkich mail informujący o imprezie. Ale ty chciałaś się upewnić, że

przyjdę, i to nie bez powodu. Jestem jedyną dzianą suką w mojej rodzinie i wiem, kiedy ktoś czegoś ode mnie chce. Mów zatem. Co ci leży na wątrobie?

– Chciałabym, abyś się dowiedziała, skąd przyjechali Whitakerowie. Szukam ich poprzedniego adresu w Arizonie i myślę, że ty go masz. Jesteś właścicielką nieruchomości. Jeśli komukolwiek powiedzieli, to właśnie tobie.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? – spytała, szczerze zaskoczona. Fran zastanawiała się, czego Anita oczekiwała. Zapewne prośby o pożyczkę.

– Bo uważam, że ta dziewczynka jest w niebezpieczeństwie i chcę jej pomóc. Nie wiem jednak, dokąd oni pojechali.

– I co zrobisz, jeśli podam ci ten adres? Polecisz do Arizony i zażadasz, żeby nie krzywdzili dziecka? Co ty chcesz osiągnąć?

Fran zaschło w gardle. Wino zmieniło się w kwas w jej żołądku.

– Tak. Polecę tam, jeśli będzie to konieczne.

Anita skrzyżowała nogi.

– No dobrze, w takim razie. Powiem ci wszystko, co wiem. Niewiele tego jest, ale może się przyda.

Rozdział 45

Po raz kolejny po przebudzeniu Fran znalazła w telefonie czekającego na nią esemesa. Zawierał on adres w Arizonie, który pospiesznie zapisała w swoim notatniku. Usiadła na chwilę w piżamie, zastanawiając się nad wszystkim, czego dowiedziała się do tej pory.

Druga wiadomość nadeszła kilka minut później, tym razem od Naomi z kamienicy w Derby. Była krótka, ale treściwa: śmierć Noaha uznano oficjalnie za samobójstwo, a jego rodzina została o niej powiadomiona. Fran podziękowała za informację, na co Naomi odpowiedziała zdjęciem przedstawiającym kota Noaha i słowami: „Nie miał zbyt dużej rodziny. Chyba będę musiała sama zaplanować pogrzeb i zaopiekować się tym stworzkiem”.

Fran zapisała nazwisko Noaha Martineza. Zmarły. Pod tym dodała to, co zapamiętała z notatki, którą zostawił przed śmiercią. Wspomniał o mężczyźnie imieniem James, a do tego o tajemniczym żalu i przekonaniu, że jego śmierć może być swego rodzaju pokutą za odejście. Dodał także, że liczy na pojednanie z Jamesem na tamtym świecie. Ale co takiego opuścił? Społeczność? Miejsce? Związek?

„Przepraszam osobę, która miała pecha mnie znaleźć. Jeśli to zapewni ci jakiegokolwiek pocieszenie, jestem ze wszystkim pogodzony”.

Te słowa Noah skierował do niej. Nigdy jej nie poznał. Nie wiedział, jak wygląda, nie zobaczył wyrazu przerażenia malującego się na jej twarzy, kiedy weszła do salonu. Mimo to napisał do niej kilka słów.

Wróciła myślami do tego, co już wiedziała. Noah musiał być uduchowionym mężczyzną, w przeciwnym razie nie byłby taki pewny, że znajdzie spokój i ponownie spotka się z Jamesem. Może był to wątek, który łączył go z Mary, Elijahem i Esther. Zapisała słowa „Ojciec James”. To było to. Esther wspomniała kiedyś o ojcu Jamesie, który był ich miejscowym pastorem. Może chodzili do tego samego kościoła? Ale jak i dlaczego wszyscy opuścili kraj, żeby zacząć wszystko na nowo w Anglii?

Zamknęła notatnik z westchnieniem i otworzyła laptopa. Adrian wciąż spał w sypialni, kiedy rozłożyła się na sofie ze swoimi materiałami. Skojarzyło się jej to z nauką na egzamin na studiach dziennikarskich, tyle że w tamtej sytuacji byłaby już noc, a na stoliku walałyby się opakowania po chińszczyźnie. Ale tak to nie wyglądało w jej przypadku. Ona utknęła na pisaniu quizów dotyczących osobowości i artykułów na temat jedzenia.

W tym momencie uświadomiła sobie, że po czterdziestce powinna była osiągnąć znacznie więcej. Przynajmniej urodzić dzieci. Czy nie tego oczekiwało od kobiet społeczeństwo? Prokreacja miała na celu udowodnienie wartości kobiety. Kim się było w przeciwnym razie? Jaką miało się przydatność dla tego społeczeństwa? Może chodziło właśnie o to. O uratowanie Esther

i Mary Whitaker. W końcu to ona zadzwoniła na policję. To ona wywołała całe to zamieszanie.

Fran wpisała adres w Arizonie na pasku wyszukiwania przeglądarki Google. Anita utrzymywała, że Mary i Elijah pochodzili z niewielkiego miasteczka w pobliżu Tucson. Widok z ulicy pokazywał długą, prostą drogę otoczoną z obu stron kaktusami i pustynną roślinnością. Miejsce to nie mogło bardziej różnić się od Leacroft. Drewniane zabudowania dzieliły spore odległości, a ich działki otoczone były drutem kolczastym, przed którym stały stare ciężarówki. Fran powiększyła budynek, który wydawał się dawnym domem Mary. Był wystarczająco duży, by pomieścić trzy sypialnie. Na zewnątrz pomalowany został bladą, rdzawą farbą. Dach pokrywał jakiegoś rodzaju falisty materiał zamiast tradycyjnych dachówek. W furtce, zawieszanej krzywo na zawiasach, brakowało jednego drążka. Spróbowała powiększyć jeszcze bardziej, ale bezskutecznie.

Przesunęła wskaźnik wzdłuż drogi i znalazła szkołę. Wyobraziła sobie małe nóżki wzbijające pył, kiedy dzieci biegły wesoło z jednego końca boiska na drugi. Huśtawkę, z której lądowały bezpośrednio na piaszczystym podłożu. Przy ogrodzeniu rósł ponaddwumetrowy kaktus. Może to tam Mary chodziła kiedyś do szkoły. Fran wyobrażała ją sobie jako dziecko podobne do Esther. Cichą i nieśmiałą, ale niezwykle opanowaną. Odrzuciła tę myśl. Mary nie znała samej siebie, nawet teraz. Była zbyt niepewna siebie.

Fran zamknęła stronę i otworzyła nową. Wyszukała loty do Tucson, a po chwili do Phoenix i różne połączenia z Tucson. Porównała ceny w kilku różnych serwisach i podjęła decyzję.

Chwilę później do pokoju wszedł ziewający Adrian. Przeciągnął się, czemu towarzyszyły kliknięcia jego stawów.

– Masz ochotę na jajecznicę? Nie biegałaś dzisiaj? Kac? – Pochylił się, by pocałować ją w czoło, ale zatrzymał usta tuż przed jej potarganymi włosami, kiedy zerknął na ekran. – Co to jest?

Fran uniosła głowę i spojrzała na męża.

– Wybieram się do Tucson. Anita podała mi poprzedni adres Mary.

Adrian okrążył sofę, żeby stanąć bezpośrednio przed nią.

– Nie mówisz serio.

– Mówię.

Pokręcił głową i przysiadł na stoliku.

– To się zaczyna wymykać spod kontroli. To... to już zbyt wiele.
– Otworzył szeroko oczy, a jego podbródek zadrżał, kiedy odezwał się donośnym głosem. – Przepraszam, próbowałem cię w tym wspierać, ale nie możesz lecieć do Arizony. To kompletne szaleństwo. Nedorzecznosc! Czy ty tego nie dostrzegasz, Franny? Ani trochę? Co ty sobie myślisz?

– Myślę, że mam sporo wolnego czasu, a w Arizonie jest dziecko, które może potrzebować mojej pomocy.

– Och, dajże spokój. Nie masz nawet żadnego dowodu, że jest w niebezpieczeństwie.

– Nie obchodzi mnie to. Jadę.

– Totalna głupota.

– Tak, wciąż to powtarzasz. Chcesz powiedzieć, że to ja jestem głupia.

– Nie. Nie wkładaj mi w usta słów, których nie wypowiedziałem. Nie to miałem na myśli.

– Właśnie to.

Westchnął i chwycił się za głowę.

– Martwię się o ciebie. Czy nie wolno mi już się o ciebie niepokoić? Czy to jest teraz niepoprawne politycznie? Nawet w przypadku męża? Hmm?

– Jeśli tak się martwisz, to możesz polecieć ze mną. – Fran wystawiła podbródek w geście wyzwania.

Adrian wyszedł z salonu, trzaskając drzwiami z taką siłą, że zadrżał cały dom.

Rozdział 46

W taksówce jadącej na lotnisko Fran w dalszym ciągu przeglądała widok z ulicy w Mapach Google na telefonie i wyobrażała sobie, jak byłoby dorastać na tych piaszczystych drogach. Na tej ciągnącej się kilometrami otwartej przestrzeni. Na terenie, na którym wszystko ma kolor beżu i limonki. Te wielkie puste przestrzenie między zabudowaniami. Mogłaby obieć kilkakrotnie jedną z nieruchomości i w ogóle nie wypuszczać się w świat.

Zauważyła wiele flag, ale mało sklepów. Po kilkuminutowym przewijaniu znalazła sklep wielobranżowy i kościół naprzeciw. Była to geometryczna, nowoczesna świątynia, a zarazem najczystszy i najbardziej uporządkowany budynek w okolicy. Czy Mary i Elijah poznali się właśnie w tym kościele? Czy to tam wygłaszał kazania ojciec James? Próbowała sobie wyobrazić dwudziestoletnią Mary zakochującą się w tym starszym mężczyźnie. Owszem, Fran widziała już wiele związków z dużą różnicą wieku, ale dochodziło do nich zazwyczaj między niezwykle atrakcyjnymi, starszymi mężczyznami, nierzadko piastującymi poważne stanowiska, i równie atrakcyjnymi, lecz nieco zagubionymi młodymi kobietami. Elijah nie był szczególnie

przystojny, choć nie można mu było odmówić pewnego uroku. Fran urok ten kojarzył się niestety z takim, który ma większość socjopatów.

Taksówkarz wysadził ją pod terminalem portu lotniczego w Manchesterze. Przeciągnęła swoją walizkę przez odprawę i wsiadła do samolotu lecącego do Dublinu. Zapowiadał się długi dzień. Zarezerwowała dla siebie pokój w hotelu w Tucson, informując jednocześnie recepcję, że zjawi się we wczesnych godzinach rannych. W Anglii panował upał, ale spodziewała się jeszcze wyższej temperatury na miejscu. Adrian nie radził sobie dobrze z angielskimi falami gorąca, nie sądziła jednak, żeby miało jej pójść lepiej.

Nie leciał z nią.

Kiedy w końcu wystartował pierwszy samolot, oparła głowę o niewielkie okienko i przypominała sobie cięte słowa męża. Wielokrotnie wspominał o szaleństwie, obłędzie i głupocie. W końcu zapakowała swoje rzeczy do walizki, zamówiła taksówkę i wyjechała w środku kłótni. To była najgorsza kłótnia, jaka kiedykolwiek między nimi wybuchła. Nigdy dotąd nie widziała takiego wyrazu jego twarzy. Adrian. Grzeczny, łagodny mężczyzna, który chciał tylko gotować dla swojej żony i czytać książki w swoim gabinecie, wymachiwał rękami i wrzeszczał prawie ze łzami w oczach, kiedy wychodziła z domu.

Zamknęła oczy.

Drugi etap jej podróży, z Irlandii do Phoenix, przetrwała w swego rodzaju zawieszeniu umysłowym, kiedy usiadła obok kobiety, która postanowiła opowiedzieć jej ze szczegółami o swoim rozwodzie. Fran uśmiechała się i kiwała głową, zastanawiała się nad zamówieniem szklaneczki whisky, a potem nadal się

uśmiechała i kiwała głową. Gorące słońce Arizony okazało się wybawieniem od istnej kanonady obelg, które kobieta rzucała w trakcie lotu pod adresem prawnika swojego byłego męża. „Jeśli chce wojny, to ją dostanie”, było jej okrzykiem bitewnym, a „już nigdy więcej nie zobaczy dzieci” – jej obietnicą. To był niezwykle wyczerpujący lot.

Na miejscu Fran zaczekała na transfer z Phoenix do Tucson. Było późno, czuła się wyczerpana, a jej ubranie przesiąkło potem. Klimatyzacja okazała się prawdziwym błogosławieństwem, kiedy w końcu wsiadła do zaskakująco małego SUV-a. Znalazła się w nim z trojgiem innych pasażerów, którzy natychmiast wyjęli telefony, ignorując ją zupełnie. Odetchnęła z ulgą i zrobiła to samo. Cisza jeszcze nigdy nie smakowała tak słodko, a czekały ją dwie godziny nią wypełnione. Nikt nie odezwał się ani słowem przez całą podróż, wszyscy zainteresowani byli wyłącznie swoim życiem. Fran przyjrzała się ich twarzom. Dwóch mężczyzn w garniturach, obaj w średnim wieku, i młoda kobieta z włosami spiętymi w kok. Pomyślała, że wszyscy jadą do Tucson w interesach. Zaskoczyło ją, kiedy cała trójka wysiadła razem przy tym samym hotelu i pomogła sobie wzajemnie z walizkami. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że podróżowali wspólnie. Obserwowała, jak wchodzą do hotelu, nadal nie rozmawiając, aż w końcu kierowca SUV-a ruszył w dalszą drogę.

Spojrzała na telefon. Nie było żadnej wiadomości od Adriana. Serce zabiło jej mocniej. Od hotelu dzielił ją jeszcze kwadrans jazdy i zaczynała już mieć omamy ze zmęczenia. Samochód się zatrzymał i niewiele brakowało, żeby nakazała kierowcy zawrócić i zawieźć ją z powrotem do Phoenix. Jakaś jej część pragnęła znów znaleźć się na pokładzie samolotu, nawet posłuchać kobiety

narzekającej na swoje życie, byleby wrócić do męża, ich pięknego domu i wypielegnowanego ogrodu.

Nie zrobiła tego jednak, bo to ona wezwała policję. To ona dołączyła do plotkar w Leacroft. To ona przyczyniła się do fatalnego potraktowania Mary Whitaker i jej dziecka. Podziękowała kierowcy i pociągnęła swoją walizkę po stopniach hotelu. Weszła ciężkim krokiem do lobby i pozwoliła, by ktoś wskazał jej drogę do pokoju. Usiadła na łóżku i spojrzała na beżowe ściany i kwieciste wzory. No dobrze, znalazła się na miejscu. Co dalej?

Rozdział 47

Obudziła się o piętnastej następnego dnia, zignorowawszy wskazówki dotyczące jet lagu i sposobów radzenia sobie z tym uciążliwym zjawiskiem. Na telefonie wciąż nie miała żadnych wiadomości. Posmutniała z tego powodu, a w jej głowie natychmiast jak echo powróciły ostre słowa, które wymieniła z Adrianem. Czy powiedziała mu, że już nie wróci? Czy on w odpowiedzi ryknął, że to dobrze? Nieprzyjemne obelgi wciąż krążyły jej w myślach. Przypomniała sobie jego wytrzeszczone w gniewie oczy. Podniosła telefon i napisała wiadomość: „Na miejscu, bezpieczna”, bo nie mogła go nie powiadomić, że wszystko jest u niej w porządku. Niezależnie od tego, co zostało powiedziane, nie miała wątpliwości, że mąż będzie się o nią martwił. Nawet jeśli nic nie napisał. Dosłownie kilka sekund później zauważyła, że Adrian odczytał wiadomość. Czekala przez minutę na jego odpowiedź. Nie doczekała się.

To nie było w jego stylu. Jeszcze nigdy nie zgodził się na to, by kłótnia zakończyła się cichymi dniami. Zraniła go głęboko, przyjeżdżając do Arizony, i dobrze to rozumiała. Postanowiła to jednak zignorować i mieć nadzieję, że postępuje słusznie.

Fran zwlekła się z łóżka i poszła pod prysznic. Burczało jej w brzuchu. Zastanawiała się, czy nie zamówić czegoś do pokoju, ale ostatecznie wysuszyła włosy i zeszła do hotelowego baru. Krążyła po korytarzach i czuła się przez moment jak na planie filmowego *Lśnienia*. W recepcji był ktoś nowy, kto zmienił poprzednika z nocnej zmiany. Hotel był stosunkowo nieduży i nie było w nim wielu gości. Należał do obiektów oferujących średnie ceny i przyciągał ludzi biznesu, a nie turystów. Usiadła w barze, próbując sobie przypomnieć, jak działa zamawianie jedzenia w Ameryce. W dzieciństwie była na Florydzie, a jako dwudziestolatka odwiedziła Nowy Jork, ale dopiero po chwili przypomniała sobie, że nawet zwykłe napoje doliczane są do rachunku. Uzmysłowiła sobie również, że już od dłuższego czasu nie wybierała dla siebie żadnego jedzenia. Adrian zajmował się zakupami i przyrządzaniem posiłków. Choć przygotowywał tylko takie rzeczy, co do których miał pewność, że Fran je lubi, nieczęsto miała okazję sama o nich decydować. Teraz uznała to za ważne. Teraz mogła zjeść to, co tylko chciała.

Zamówiła burgera i colę i zabrała się za przeglądanie przewodnika, który kupiła na lotnisku w Phoenix. Większość zawartych w nim informacji nie miała dla niej znaczenia, ale numery korporacji taksówkarskich mogły się przydać. Następnie spędziła trochę czasu nad drogami wychodzącymi z miasta i biegnącymi w kierunku ostatniego znanego jej adresu Mary sprzed przyjazdu do Wielkiej Brytanii. Przynajmniej do momentu, kiedy podano burgera i dopadł ją ślinotok.

Już od dawna nie była sama jak teraz. Podróżowała już samotnie, kiedy była młodsza i mniej introspektywna. Ale to było coś zupełnie innego. Teraz była sama i straciła wsparcie ze strony

najbliższej, ukochanej osoby. Fran pokręciła lekko głową, starając się skupić na czekającym ją zadaniu. Adrian ją kochał, ona to odwzajemniała, więc może najlepiej będzie się nad tym nie rozwodzić, dopóki nie znajdzie Whitakerów.

Co zamierzała teraz zrobić? Jej pierwszy dzień już prawie dobiegał końca. Nie było sensu ruszać teraz w podróż do miasteczka Mary, minęła już siedemnasta. Nie, musi zrobić to rano, kiedy będzie miała więcej okazji do rozejrzenia się po okolicy. Sprawdziła ponownie widok z ulicy, poruszając się wirtualnie po miejscowości. Zobaczyła góry Catalina i niewielkie miasteczko leżące u ich stóp. Udało się jej nawet przeciągnąć małą figurkę na szczyt góry Lemmon i wyobraziła sobie, jak wyrusza na wycieczkę po parku narodowym. Po chwili wdarła się w nią tęsknota za domem. Widoki były dla niej obce, spomiędzy skał w kolorze w piasku sterczały brązowe krzewy. Wysokie kaktusy i cienka, kolczasta trawa. Brakowało jej już dębów, kamiennych murów i łąk pełnych pokrytej rosą zieleni.

To w tej suchej okolicy wychowała się Mary. Fran nie potrafiła sobie wyobrazić, jak ta szczupła, krucha dziewczyna radziła sobie w tym miejscu ze swoją bladą skórą i delikatną posturą. Łatwa zdobycz dla takiego mężczyzny jak Elijah? Wyjęła z torby Biblię Esther i ponownie ją przekartkowała. „Ojcu by się to nie spodobało”. Czy obie przeszły indoktrynację w zakresie tego, co Elijah uważał za prawdę?

Fran wstała, kiedy zadzwonił jej telefon. Adrian kontaktował się z nią przez WhatsApp. Uznał zapewne, że to dużo tańsze. Serce podskoczyło jej do gardła i natychmiast przyłożyła telefon do ucha.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedział.

– Czy możemy znów być przyjaciółmi? – spytała.

Milczał przez dłuższą chwilę. Zbyt długą. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Zawsze nimi jesteśmy. Wiesz o tym.

– Tak, ale...

– Kocham cię – powiedział.

Nie dodał jednak, że jej wybacza lub że ją wspiera. Nie wypowiedział tych słów, bo ich nie czuł. Fran odpowiedziała, że również go kocha i że skontaktuje się z nim następnego dnia. Rozłączyła się i stwierdziła, że będzie lepiej, jeśli ta cała wyprawa zakończy się przynajmniej w jakiś konkretny sposób.

Rozdział 48

Fran obudziła się z niespokojnego snu, kiedy o siódmej trzydzięci rozległ się dźwięk budzika. Postanowiła zignorować wywołaną jej łagiem bezsenność. Zamiast kłaść się do łóżka, przeglądała kanały telewizyjne, kupiła sobie czekoladę w automacie i czuwała do wczesnych godzin porannych, siedząc w jednej pozycji z jogi przy wezglowiu łóżka, stykając stopy ze sobą. Pościel leżała rozrzucona na łóżku. O czymś takim w domu w ogóle by nawet nie pomyślała.

Po krótkim prysznicu zeszła do lobby i poprosiła grzecznego młodego recepcjonistę o zamówienie jej taksówki. Zwracał się do niej „szanowna pani” i życzył udanego dnia.

Niedługo później podjechała taksówka i Fran podała adres. Czeką ją czterdziestominutowa jazda z Tucson na przedmieścia Dove Valley, nieco dalej na północ w stosunku do gór Catalina. Po drodze kierowca wskazywał góry w oddali i ich rdzawe, postrzępione szczyty, które przypominały połamane zęby nad dolinami. Wspomniała swoją wirtualną wspinaczkę na górę Lemmon i widok otwartych kanionów daleko w dole. Poczowała gęsią skórę na rękach. Pokonała ten dystans. Może była szalona.

Kiedy zjechali z autostrady numer 77, znaleźli się na węższej drodze, przy której domy nie były już tak gęsto ustawione. Wszędzie widziała ogrodzenia z drutu, które odcinały obszary porośnięte krzewami i kaktusami. Co pewien czas dostrzegała kolorową plamę – żółte liście na krzakach, bujną zieloną trawę – aż w końcu droga zmieniła się w bardziej piaszczysty trakt. Fran zauważyła kościół, mały sklep wielobranżowy, stare ciężarówki i kilka przyczep mieszkalnych. Przy podjazdach stały sponiewierane skrzynki na listy.

– Czy mogę zadać pani pytanie? – odezwał się kierowca, a Fran zauważyła we wstecznym lusterku jego wąsa.

– Jasne – odparła.

– Jak zamierza pani wrócić do hotelu? Nie wydaje mi się, żeby udało się pani tutaj gdziekolwiek zamówić taksówkę.

Fran zagryzła wargę.

– Tak, to może być problem. Może mogłabym wynająć pana na ten dzień? Czy to możliwe?

– Czyli mam siedzieć w samochodzie w tym upale? – spytał. – Nie ma mowy. – Roześmiał się. – Po pewnym czasie spędzonym w Tucson człowiek się uczy, że pogody nie można lekceważyć. Może po prostu zgarnę panią za godzinę?

Fran umówiła się z kierowcą, który podał jej swoją wizytówkę. Otworzyła drzwi i wyszła na piaszczyste pobocze. Pałace słońce natychmiast zaatakowało jej odsłoniętą skórę. Rano wysmarowała się olejkami przeciwsłonecznym, ale słońce Arizony o tej porze roku wygrywało z każdym specyfikiem. Taksówka odjechała, a ona została sama w Dove Valley. Czowała się wyjątkowo blada i angielska w swoim słomkowym kapeluszu i klapkach.

Stała przed beżowym, drewnianym domem, który zapamiętała z przeglądania Map Google. Teraz skojarzył się jej on z budowlą z klocków Lego: przysadzisty, kwadratowy, z ostrymi kątami. Założyła okulary przeciwsłoneczne i ruszyła w stronę drzwi, otwierając i zamykając po drodze metalową furtkę. Poruszała się dość niezdarnie wśród krzewów, ale udało się jej nie upaść. Na samą myśl o takiej zniewadze serce zabiło jej szybciej.

Znalazła się pod ostatnim znanym adresem Mary przed ich przeprowadzką do Anglii. Dom z łuszczącą się wszędzie farbą na tle gór w oddali, w suchej i gorącej okolicy. Fran zauważyła rozdarcia na zamocowanych w oknach siatkach i murszejące deski przy drzwiach wejściowych. Podeszła bliżej, wyczuwając bezruch, cienką warstwę pyłu pod stopami i panujący tutaj spokój. Dość szybko sobie uzmysłowiła, że dom został opuszczony.

Mimo to zapukała do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Potem zajrzała do środka przez najbliższe okno. Serce biło jej w szybkim tempie. Osłaniając dłońmi oczy przed odbiciem pustynnego krajobrazu w szybie, pochyliła się bliżej. Wokół niej latały muchy. Na czole miała już warstewkę potu. Na brudnym szkle pojawiła się para z jej oddechu.

Wewnątrz domu wciąż stały meble. Zajrzała przez rozdarcia w siatce, próbując ocenić, czy wciąż tam ktoś mieszka. Nie sądziła, by tak było. Zobaczyła kanapę przy ścianie, dywany, jakieś szafki. Żadnych obrazów, elektroniki czy innych rzeczy, których można by oczekiwać w zamieszkałym domu. Czy Mary i Elijah wyprowadzili się, nie sprzedając domu? A może go wynajmowali, a właściciel nie znalazł jeszcze nowego lokatora? Czy był to dom rodziny Mary, opuszczony przez jej rodziców jakiś czas temu?

– Czy mogę pani w czymś pomóc?

Fran podskoczyła. Zacisnęła ręce na piersi z taką siłą, że aż zbieleły jej kostki. Odwróciła się i zobaczyła mniej więcej sześćdziesięcioletnią kobietę w sportowym ubraniu i ciemnych okularach. Przyglądała się jej z lekko zaciśniętymi wargami.

– Proszę wybaczyć, miałam nadzieję zastać Mary lub Elijaha Whitakera.

Kobieta uniosła brwi, usłyszawszy słowa Fran, nie skomentowała jednak jej akcentu.

– Nie znam żadnej Mary Whitaker, ale mieszkała tutaj przez jakiś czas pewna rodzina. Mało towarzyscy, mieszkali tu przez miesiąc i potem się wyprowadzili. Od tej pory dom stoi pusty.

Fran podeszła bliżej i wyjęła z kieszeni telefon. Przewinęła galerię w poszukiwaniu zdjęcia Mary i Esther zrobionego w Chatsworth House.

– Zna ją pani?

Kobieta uniosła okulary i spojrzała na ekran.

– Tak, to ona. I dziecko. Jak już powiedziałam, cicha rodzina. Prawie w ogóle stąd nie wychodzili, choć i tak w okolicy nie ma co robić. Zawsze wydawali się zdenerwowani. Przechadzałam się wzdłuż ulicy i zauważyłam, że dziewczynka patrzy na mnie przez okno. Trochę tak, jakby na kogoś czekała.

Rozdział 49

Fran uzyskała od kobiety jeszcze parę informacji i zostawiła jej dane kontaktowe, na wypadek gdyby ta przypomniała sobie coś więcej. Dowiedziała się, że kobieta ma na imię Patty i że mieszka kilka domów dalej. Każdego dnia w ramach ćwiczeń chodziła wzdłuż ulicy, a jej syn zawsze się spóźniał, żeby ją zabrać i zawieźć do sklepu.

– Dość nerwowa była, choć ładna. A dziecko piękne i grzeczne, aczkolwiek zawsze uważałam, że w ogóle do nich nie pasuje – przyznała Patty. – On był przyzwoitym człowiekiem, zawsze się przywitał. Ona za to w ogóle się nie odzywała. Nazywałam ją „małą miss cytrynowe usteczka”. Zawsze wyglądała, jakbyssała cytrynę!

Fran roześmiała się z grzeczności i delikatnie wycofała z rozmowy, prosząc Patty, by do niej zadzwoniła, jeśli tylko przypomni sobie coś przydatnego. Następnie, chcąc jak najlepiej wykorzystać swoją godzinę, chodziła wzdłuż ulicy, pukając do drzwi, pokazując zdjęcie na telefonie i pytając, czy którykolwiek z sąsiadów zapamiętał Mary i Esther. Rezultaty okazały się dość mizerne. Tak, rozpoznawali ją, ale nigdy z nimi nie rozmawiali. Przekazywali jej zasadniczo te same informacje, co Patty.

Whitakerowie mieszkali tu przez około miesiąc, dość zamknięci w sobie, rzadko dokądkolwiek wychodzili. Tylko jedna osoba była w stanie powiedzieć jej nieco więcej – młody mężczyzna o wąskich biodrach w brudnej, czarnej koszulce, który mieszkał najbliżej Whitakerów.

– Jasne, pamiętam ich. – Podrapał się w szczeciniastą brodę. – Miewali jakichś gorących odwiedzających.

– Co to znaczy?

Wskazał zdjęcie na jej telefonie.

– Ta dziewczyna, Mary, prawda? Przez cały czas przychodziły do niej gorące laski. Chude, ale słodkie.

– Ilu miała tych gości? Dużo różnych ludzi czy te same osoby wciąż wracające na nowo?

– Były dwie takie – odparł. – Jedna wysoka blondynka z niezłym tyłkiem. To znaczy, nie pokazała go, czy coś, ale to się dało zauważyć pod tymi staromodnymi spódniczkami. Druga była ruda. Płaska, ze skórą jak alabaster. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Cholera, powinienem był się z którąś umówić.

– Ile mogły mieć lat?

– Mniej więcej w wieku Mary. Po dwudziestce, tak mi się wydaje. Ta ruda może dziewiętnaście. Zaginęła, czy co?

– Coś w tym rodzaju – odparła Fran i włożyła telefon z powrotem do kieszeni. – Pamięta pan coś jeszcze?

– Parę dni przed ich wyprowadzką wyszedłem z moim psem Santo na spacer i wtedy zobaczyłem tę rudą wchodzącą do ich domu. Przez ten miesiąc widziałem ją trzy, może cztery razy. Jakies dwadzieścia minut później odprowadzałem Santo do domu i zobaczyłem, że ruda dosłownie wystrzeliwuje z ich domu, wściekła jak cholera. Mary wyszła i biegła za nią przez pół

podjazdu, ale tamta wsiadła do samochodu i odjechała, w ogóle nie zwracając uwagi na Mary. Chyba się o coś pokłóciły.

– Pewnie nie zna pan imion tych kobiet?

Oparł się o drzwi i pokręcił głową.

– Jak już powiedziałem, nie udało mi się ani jednej zaprosić na randkę. Hej, a pani jest singielką?

Fran uniosła dłoń z obrączką.

– Cholera – rzucił i uśmiechnął się krzywo. – Fajny ma pani akcent.

Fran przewróciła oczami, ale musiała przyznać, że ten mężczyzna miał w sobie coś z uroczego szelmy.

– Czy te kobiety ubierały się w jakiś dziwny sposób? Na przykład w szyte ręcznie ubrania?

– Nie wiem, czy były szyte ręcznie, ale fakt, były dziwaczne. Te laski lubiły zakrywać swój sprzęt. Koszule aż dotąd. – Wskazał ręką poniżej podbródka. – Spódnice do kostek. Ale moim zdaniem były przez to jeszcze bardziej seksowne.

– Nie pytałam pana o zdanie – odparła Fran, rzucając mu coś w rodzaju matczynego spojrzenia. – Proszę posłuchać, zostawię panu mój numer, ale nie z tej przyczyny, o której może pan myśleć. Muszę po prostu znaleźć Mary Whitaker i może przypomni się panu jeszcze coś ważnego. Jeśli tak, proszę do mnie zadzwonić, okej?

Odebrał od niej wizytówkę i mrugnął.

– Jasne. Nie ma sprawy. Jakby co, mam na imię Francisco.

– Och, no cóż, teraz już jestem pewna, że między nami niczego nie będzie – odparła. – Jestem Francesca.

Francisco tylko się roześmiał.

Rozdział 50

Po powrocie do hotelu Fran spędziła chwilę pod klimatyzatorem, schładzając ciało. Potem leżała przez pół godziny na łóżku rozebrana do bielizny, pozwalając się owiewać chłodnemu powietrzu. W końcu wyjęła notatnik i zanotowała opis dwóch młodych kobiet, które regularnie odwiedzały Mary w jej domu w Dove Valley. Zapisała również, że Mary, Elijah i Esther mieszkali tam przez miesiąc, ale przez ten czas dziewczyny odwiedziły ich trzy- lub czterokrotnie. Do tego te kobiety ubierały się podobnie jak Mary. Skromne, ręcznie szyte ciuchy.

Tego wieczoru zjadła coś w hotelowym barze, próbując poukładać sobie myśli i zebrane informacje. Whitakerowie mieszkali w Dove Valley przez miesiąc. Nie знаła ich wcześniejszego adresu, ale szacowała, że był to jakiś rodzaj zamkniętej społeczności, zważywszy na typ odwiedzających ich gości.

Im więcej dowiadywała się na temat tej rodziny, tym bardziej zastanawiała się, czy przynajmniej część plotek krążących po Leacroft nie była prawdziwa. Miałoby to sens, jeśli Mary i Elijah przybyli z jakiejś zamkniętej społeczności. To wyjaśniałoby nerwowość Mary, na którą uwagę zwróciła Patty, oraz napięte

stosunki z gośćmi, czego naocznym świadkiem był Francisco. Ale dlaczego kłamali na ten temat w Leacroft? Obawiali się uprzedzeń ze strony mieszkańców miasteczka? Jeśli tak, to mieli rację, pomyślała i posmutniała. A jeśli przyjechali tam w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, a mieszkańcy ich odrzucili? Jeśli teraz uważali, że nie mają się gdzie podziać? Co będzie, jeśli nigdy ich nie odnajdzie i nie dowie się, dokąd pojechali?

Tej nocy spała, śniąc o długiej, piaszczystej drodze wiodącej do wysokiego kaktusa. Leżało pod nim ciało Esther. Fran obudził dźwięk budzika w telefonie. Bolało ją całe ciało. Wyjęła butelkę wody z minibaru i przygotowała się na swój kolejny dzień w Tucson. Tym razem nie planowała jechać do Dove Valley, zamierzała zostać w mieście.

Na telefonie znalazła wiadomość od Adriana. Zdjęcie filizanki z kawą na patio i podpis: „Dzień dobry”. Uśmiechnęła się i odesłała zdjęcie sobie trzymającej butelkę z wodą i ciastko z wiórkami czekoladowymi. „Śniadanie w Arizonie”.

Prawa część jej łóżka była zimna. Poprawiła pozycję, starając się znaleźć wygodne miejsce na twardym materacu. Po śmierci Chloe godzinami leżała w ramionach męża, nie śpiąc, nie rozmawiając i nie płacząc. Fran zacisnęła palce na bawełnianym prześcieradle, tęskniąc za ciepłem jego rąk. Teraz zrozumiała, że ten ból ciała wynikał z tęsknoty za nim. Nie zastanawiała się jednak nad tym zbyt długo. Ubrała się i zeszła na śniadanie.

Zaczęła przywykać do jedzenia w samotności. Tym razem zdecydowała się na duży stos naleśników. Jedząc, wyszukiwała lokalizację posterunku policji w Tucson. W mieście był więcej niż jeden, do tego biuro szeryfa, ale uznała, że główna komenda

mieści się przy South Stone Avenue. Nie miała do zgłoszenia żadnego przestępstwa, a Mary – formalnie rzecz biorąc – nie zaginęła. Fran wiedziała jednocześnie, że to, co się działo, było czymś poważniejszym od jej spacerowania po Tucson i okolicach, zadawania pytań sąsiadom. Musiała po prostu usiąść z funkcjonariuszem i wyjaśnić powody swojego zaniepokojenia. Miała nadzieję, że osoba, z którą będzie dane się jej spotkać, zechce ją wysłuchać.

Po skończonym posiłku kolejna nowa osoba w recepcji zamówiła jej taksówkę i Fran rozpoczęła drugi dzień w palącym słońcu Arizony. Na skórze miała grubą warstwę kremu przeciwsłonecznego. Czuła się cała tłusta, pory były nim dosłownie pozatykane. Kiedy szła, okulary samoistnie osunęły się jej z czoła na nos.

Samochód, którym jechała po szerokich ulicach Tucson, był doskonale schłodzony przez klimatyzację. Wszystko w Ameryce wydawało się większe, rozciągnięte. Miasto nie miało wyraźnie oddzielonego centrum, jak to było w przypadku miast brytyjskich, gdzie wprowadzono strefy piesze. Zamiast tego między parkingami ciągnęły się rzędy płaskich budynków w kolorze terakoty. Kiedy taksówka zatrzymała się przed komendą policji, Fran tym razem pożegnała się z kierowcą, wiedząc, że bez problemu złapie inną lub wróci do hotelu autobusem. Na spacer było za gorąco, choć odległość nie była duża.

Fran stanęła przed budynkiem i otarła pot z karku. Flaga wisiała bezwładnie na maszcie, nieruchoma w upalnym powietrzu. Był to chyba największy gmach, jaki widziała, nie licząc hotelu. Ciągnął się w głąb i piął na wysokość trzech kondygnacji. Elewacja w kolorze piasku zlewała się z krajobrazem

o barwie umbry. Tutaj przynajmniej widziała ludzi i wokół toczyło się życie. W dolinie odniosła wrażenie, że trafiła do jakiejś martwej otchłani.

Kiedy Fran weszła do środka, brunetka z poważnym wyrazem twarzy wskazała jej miejsce. Czekala więc, klejąc nogi do plastiku, aż w końcu zjawił się niski, przysadzisty detektyw, który zaprowadził ją do pokoju przesłuchań.

Jego mundur naprężył się, kiedy mężczyzna usiadł naprzeciw Fran. Uśmiechnął się i złożył dłonie na blacie. Nad jego górną wargą zauważyła cienki wąsik.

– Gorąco dzisiaj. – Uniósł brwi i westchnął. – Za gorąco, żeby siedzieć na komendzie ze spartaczoną klimatyzacją, to na pewno. Jestem detektyw Woodson. W czym mogę pani pomóc?

Motyle w jej brzuchu usiadły, kiedy uspokoił ją swoim humorystycznym powitaniem. Uśmiechnęła się niepewnie, szukając słów, by opowiedzieć mu swoją historię.

– Obawiam się o pewną kobietę, która pochodzi z Tucson – zaczęła. – Poznałam ją w Wielkiej Brytanii, ale wyjechała niespodziewanie z rodziną. Myślę, że wróciła tutaj, ale nie mogę jej znaleźć, a ona nie odpowiada na moje telefony.

Zmarszczył czoło.

– Okej, mogę poprosić o nazwisko?

Fran przekazała wszelkie informacje na temat Mary i Elijaha. Pokazała mu zdjęcie Mary i Esther z telefonu i ostatnią wiadomość, którą dziewczyna do niej wysłała. Wspomniała również o ucieczkach Esther i dziwnej osobowości Elijaha.

– Wiem, że nie jestem członkiem rodziny i może to nie ja powinnam zgłaszać zaginięcie Mary lub Esther – powiedziała,

zdając sobie sprawę, jak dziwnie musi brzmieć cała ta historia. – Musiałam jednak coś zrobić.

– I w tym celu przyleciała pani aż do Arizony? – Oparł się na krześle. – Nie byłoby łatwiej chwycić za telefon i zadzwonić do nas z Wielkiej Brytanii?

Przestrzeń dzielącą ją od funkcjonariusza wypełniło niepokojące uczucie strachu. Teraz sobie uświadomiła, że musiała sprawiać wrażenie kobiety opętanej obsesją. Zaczerwieniła się ze wstydu.

– Ja... musiałam przylecieć i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Jeśli ona musi odejść od Elijaha, będzie potrzebowała przyjaciółki, która jej w tym pomoże. Nie wiem, czy ma tutaj przyjaciół, więc... Proszę posłuchać, wiem, że to brzmi jak jakieś szaleństwo, ale... nie chcę, żeby zabrzmiało to dziwnie... Mam po prostu środki na podróżowanie i chciałam sprawdzić osobiście, co u niej słychać. To wszystko.

– W porządku, pani Cole. O nic panią nie oskarżam, to po prostu dość nietypowa sytuacja. – Postukał długopisem o blat. Wciąż był dla niej bardzo miły, ale odniosła wrażenie, że jego wbity w nią wzrok oznaczał, że była poddawana uważnej ocenie. – Nie będę pani okłamywał, mamy sporo pracy i okrojony budżet, ale sprawdzę to dla pani. – Uśmiechnął się uspokajająco, choć Fran wcale nie poczuła się spokojna.

Podziękowała mu i wyszła. Nie zrobił nic złego i nie powiedział niczego nieprzyjemnego, a mimo to jeszcze nigdy dotąd nie czuła się taka mała.

Rozdział 51

Uczucie bycia małą, nic nieznaczącą, nie opuściło jej, kiedy wyszła z budynku. Czy to już koniec? Czy mogła coś jeszcze zrobić? Pojechała do starego domu Mary. Poszła na policję. Przekazała dane kontaktowe sąsiadom i teraz pozostawało jej czekać.

Fran miała nogi jak z waty, kiedy szła szerokimi chodnikami biegnącymi równolegle do głównej ulicy. Było dopiero przedpołudnie, a już czuła się odwodniona. Mijali ją ludzie w czapczkach baseballowych i szortach, nie poświęcając jej najmniejszej uwagi. Mimo to czuła się obca ze swoją różowawą, lekko przypieczoną angielską skórą i rwanym akcentem.

Minęła muzeum sztuki i szła dalej. Niewielkie zielone trawniki wkrótce przeistoczyły się w park rozdzielający dwie zatłoczone ulice. Na środku stała smutna, biała ławeczka. Fran nie zatrzymywała się, dopóki nie zobaczyła betonowego placu otoczonego restauracjami. Postanowiła napić się czegoś z lodem, nieważne, czy będzie to kawa, herbata czy lemoniada. Przecinając plac, zauważyła wypłowiałą ulotkę przyklejoną do słupa. Podeszła bliżej. Napisano na niej: „Zaginął Jayden Ellis, lat sześć”. Na skserowanej kartce widniała twarzączka małego, uśmiechniętego

chłopca. Piękne, białe zęby, lekko kręcone włosy. Dziecięcy tłuszczek na policzkach. Fran objęła się rękami, czując nagłą potrzebę pocieszenia. Dzieci ginęły na całym świecie.

Weszła do meksykańskiej restauracji i zamówiła mrożoną herbatę u młodej kobiety o urodzie elfa, ubranej w czerwony fartuch. Usiadła przy stole z dala od okna i palącego słońca.

– Czy mogę spytać, skąd pani pochodzi? – odezwała się dziewczyna, stawiając herbatę na papierowej podkładce. – Podoba mi się ten akcent.

– Anglia – odparła Fran. – Derbyshire.

– Czy to niedaleko Londynu?

– Mniej więcej.

– Super.

Fran odprowadziła dziewczynę wzrokiem i zaczęła porównywać w głowie rozmiary Wielkiej Brytanii i Ameryki. Jeśli tak na to spojrzeć, Londyn wcale nie leżał tak daleko. Spojrzała przez okno i ponownie zatrzymała wzrok na wyblakłej ulotce. Czy mogła zrobić coś podobnego dla Mary? Przejść się po Tucson z ulotkami z wydrukowanym zdjęciem Mary lub Esther? Czy to miało jakiegokolwiek szanse powodzenia? Postukała paznokciami w blat. Niewykluczone.

Wypiła połowę herbaty, wyjęła notatnik i zaczęła rysować. Musiała wydrukować najpierw fotografię, zanim znajdzie miejsce, w którym będzie mogła ją skserować. Zostawi swój numer i będzie czekać z nadzieją, że ktoś się odezwie. Oznaczałoby to pozostanie w Ameryce nieco dłużej, ale na razie nie kupiła biletu powrotnego, bo planowała zatrzymać się tutaj tak długo, jak będzie to konieczne.

Adrianowi się to nie spodoba. Chciał, żeby wróciła do domu, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Testowała jego cierpliwość, ale była na to gotowa. Zapłaciła rachunek i postanowiła jeszcze się przejść i poszukać Walmartu lub innego sklepu, w którym będzie dostępna maszyna do drukowania zdjęć. Kiedy wyszła z restauracji, nie zwracała uwagi na otoczenie, szła z nisko pochyloną głową i grzebała w torebce. Nie zauważyła, że nie jest sama.

– Czy szuka pani zbawienia?

Fran stanęła jak wryta i odwróciła głowę. Dostrzegła jasnowłosego mężczyznę o niebieskich oczach, mniej więcej dwudziestolatka. Stał nieruchomo na skraju placu, tuż obok kamiennych stopni. Ubrany był w garnitur, w którym musiał się przeraźliwie pocić.

– Słucham?

– Czy szuka pani zbawienia?

Dostrzegła w jego dłoniach plik ulotek. Przyjrzała się bliżej jego brązowej marynarce, lichemu zarostowi na podbródku i dziwnej żarliwości w oczach.

– Och, nie. Dziękuję bardzo, choć w tym upale niewiele brakuje mi do końca ostatecznego.

Miał to być żart, ale chłopak się nie roześmiał.

– Jest pani pewna? – Podszedł o krok bliżej. – Wygląda pani na zagubioną.

– To dlatego, że nie pochodzę stąd. Jestem na wakacjach – odparła z nadzieją, że w ten sposób się go pozbędzie.

– W Tucson? – Kącik jego ust powędrował do góry. – Dziwne miejsce na spędzenie wakacji. – Uniósł rękę i podał jej ulotkę. – Mogę to pani dać? Tu nie ma żadnego haczyka. Sugeruję jedynie

zapoznanie się z treścią. Jesteśmy firmą, której celem jest udzielanie wsparcia szukającym celu w życiu. Może się pani z nami skontaktować, by uzyskać więcej informacji. Prowadzimy rozmowy kwalifikacyjne, które pomagają ludziom określić cel w ich życiu. To bezpłatna konsultacja i nie trzeba do niczego przystępować.

Fran nie chciała tego zrobić, ale poczuła nacisk społeczny, by odebrać ulotkę.

– Dzięki. Nie wiedziałam, że określanie celu w życiu prowadzi do zbawienia. – Roześmiała się lekko, zła na siebie, że po prostu nie odeszła i nie wyrzuciła tego cholerstwa do kosza.

– Nie nazwałaby pani zbawienia celem?

– Chyba nie.

Rozłożył ręce, jakby było to odpowiedzią na pytanie.

– No cóż, lepiej już pójdę.

Chłopak pokiwał głową.

– Wspaniale byłoby znów się spotkać. Mam nadzieję, że przyjdzie pani na rozmowę. Myślę, że znajdzie pani to, czego szuka.

– Wątpię, ale dziękuję – rzuciła Fran, czując już narastającą irytację. Ruszyła w przeciwnym kierunku, jeszcze bardziej wkurzona na samą siebie, że dała się wciągnąć w tę rozmowę. Kiedy weszła na chodnik, rozejrzała się w poszukiwaniu śmietnika, do którego mogłaby wrzucić ulotkę.

I wtedy się zatrzymała.

Stała w zupełnym bezruchu. Kobieta pchająca wózek dziecięcy w przeciwnym kierunku uderzyła ją torebką w zębra, ale Fran nawet tego nie poczuła, nie usłyszała też pomruku

niezadowolenia. To wszystko nie miało znaczenia, bo już wiedziała.

Wiedziała, gdzie są Mary i Esther.

Rozdział 52

WTEDY

Było jeszcze przed świtem, ale Esther stała już ubrana w swoim pokoju. Serce uderzało jej mocno o żebra i pomimo panującego chłodu poczuła, jak na jej plecach gromadzi się pot. Znieruchomiała. Czy coś usłyszała?

Po chwili oczekiwania uznała, że nikt nie zauważy, jeśli wyjdzie na palcach z sypialni. Niosąc swoje skórzane buciki w rękach, zeszła po schodach, dotykając stopni samymi palcami stóp i ledwie muskając poręcz. Z holu dobiegał zapach świeżego, wiosennego powietrza. Esther zastygła. Dlaczego drzwi wejściowe były otwarte?

Wstrzymała oddech i zastygła. Czekwała, aż usłyszała odgłos tarcia plastiku o plastik. Był to dźwięk otwierania i zamykania kontenera na śmieci przed domem. Mary wynosiła odpadki, zapewne dlatego, że zapomniała to zrobić wieczorem. Esther wypuściła powietrze z płuc i jej mięśnie zaczęły się rozluźniać. Teraz musiała już działać szybko i bezgłośnie.

Założyła buty przed drzwiami, nie zawracając sobie głowy zapinaniem ich, po czym wybiegła na zewnątrz. Biegła przed

siebie, nie zastanawiając się nad konkretnym kierunkiem. Wiedziała jedynie, że nie chce już wracać do tego domu. Nienawidziła go. Nienawidziła Elijaha i sposobu, w jaki nimi rządził. Nienawidziła Mary i tej głupiej książki, którą kazała jej czytać, tej z obrazkami przedstawiającymi Jezusa i Mojżesza. Nienawidziła tych słów, bo były kłamliwe. Nie były słowami ojca.

Zamierzała go teraz odszukać. Powiedział jej, że zawsze ją odnajdzie, niezależnie od okoliczności. Musiała tylko popatrzeć w nocne niebo. Był tam, migotał do niej jego duch w postaci jasnej gwiazdy. On wiedział, co jest dobre i słuszne na tym świecie. Sprawiał, że dziwne uczucie w jej brzuchu znikało. Wszystkie te rzeczy, które powtarzali jej Mary i Elijah, były niewłaściwe.

Ale Esther nie wiedziała również, dokąd idzie i trochę się bała. Kiedy dotarła do parku, zatrzymała się przy huśtawkach i zapięła paski butów. Wszędzie panował mrok, ale nie było tak ciemno jak w Arizonie. Przestrzeń nie była tak otwarta jak w jej domu. Tutaj pachniało żonkilami i rosą zwisającą ze źdźbeł zielonej trawy. Tutaj było inaczej. Nienawidziła tego miejsca.

Kiedy Esther usłyszała odgłos biegnących stóp i rytmiczny oddech, zacisnęła pięści. Pomyślała, że powinna się gdzieś schować, ale nogi w ogóle jej nie słuchały. W jej polu widzenia pojawiła się jakaś kobieta. Ubrana była w obcisły strój, a włosy miała odsunięte do tyłu dzięki opasce. Kiedy kobieta ją zobaczyła, wydała z siebie zdławiony okrzyk i natychmiast się zatrzymała. Esther poczuła się jak duch. Kobieta się jej wystraszyła.

– Hej – powiedziała biegaczka, podchodząc bliżej. – Co tutaj robisz zupełnie sama? – Esther nie odpowiedziała, zaciskała tylko swoje małe piąstki. – Gdzie jest twoja mama? Dlaczego nie jesteś w domu?

Milczała dalej. Ojciec zawsze jej powtarzał, żeby nie ufać nikomu spoza rodziny. Ta kobieta do niej nie należała, więc nie można jej zaufać.

– Chwyć mnie za rękę, maleńka – dodała łagodnym głosem kobieta. – Nic ci już nie grozi.

Nie zrobiła tego. Stała i patrzyła na nią nieufnie. A jeśli to był demon? Te, o których mówił ojciec, nosiły ludzką skórę jak ubranie. Nie, Esther nie mogła zaufać tej kobiecie, nawet jeśli przemawiała delikatnym głosem i wyciągała do niej rękę.

Znalazły się w impasie. Esther się nie odzywała, a tamta nie chciała zostawić jej w spokoju. W końcu, kiedy kobieta zapytała ją o imię, odpowiedziała.

– Ojciec nadchodzi. On mnie tu znajdzie.

– Gdzie jest twój tata? Możemy go poszukać, jeśli chcesz.

Esther spojrzała z pogardą na kobietę, która kucała tuż obok. Ta osoba nie rozumiała, kim jest ojciec i że nikt nie mógł mu dorównać. Nie musiały go szukać, bo w tej chwili na nie patrzył. Był tam, migotał na niebie, prowadził ją każdego dnia. Tęskniła za nim niewyobrażalnie.

– Jak masz na imię?

– Esther.

– Gdzie mieszka twój tatuś? Możemy go razem poszukać.

– W Arizonie.

I w gwiazdach, dodała w myślach dziewczynka.

Kobieta zmarszczyła czoło i wyjęła z kieszeni telefon. Właśnie dlatego ojciec powtarzał, żeby nikomu nie ufać – ludzie zawsze dzwonili do kogoś innego. I kto się teraz pojawi? Policja. Ojciec twierdził, że ci są najgorsi. Przestrzegał, żeby nigdy nie iść nigdzie z policjantem, tylko uciekać co sił w nogach.

Zanim jednak kobieta zdążyła skorzystać z telefonu, Esther zauważyła Mary, która biegła w ich stronę, ślizgając się na mokrej trawie. Esther się skrzywiła, kiedy Mary opadła na kolana i ją przytuliła. Teraz będzie zmuszona wrócić do tego mieszkania. Nie znosiła go. Chciała znaleźć się tylko we własnym, prawdziwym domu. Wyciągnęła szyję i popatrzyła w gwiazdy, kiedy obie kobiety rozmawiały. Ledwie słyszała ich głosy, choć wychwyciła imię tej obcej: Fran.

Rozdział 53

WTEDY

Robiony przez nich hałas niósł się po domu i docierał do Esther, leżącej na swoim łóżku. Dziewczynka sporządzała notatki w swojej obrazkowej Biblii, zapisując wszystko, co według ojca było złe. Nie mogła się jednak skoncentrować, bo Elijah i Mary kłócili się na parterze. Po raz kolejny. Nie przestawali się kłócić, od kiedy przeprowadzili się do Leacroft. Esther odłożyła długopis i postanowiła przemknąć na półpiętro, żeby ich przez moment podsłuchać. Chciała się dowiedzieć, co mówią, a w szczególności, czy mówią cokolwiek na jej temat.

Z pokoju wyszła boso. Było już po dwudziestej drugiej i miała na sobie piżamę. Mary zaplotła jej warkocz, który opadał jej na ramię. Przyklękła obok barierki i zaczęła nasłuchiwać.

– Jesteś ślepa, Mary – powiedział Elijah. – Ludzie tacy jak my nie mogą się zaprzyjaźnić z ludźmi takimi jak oni. Zrozumiałabyś to, gdybyś miała więcej lat. – Esther wyobraziła sobie, jak mężczyzna potrząsa głową, mówiąc. Często tak robił.

– Co bym zrozumiała? – zapytała Mary.

– Że ona nie jest przyjaciółką, którą chciałabyś mieć.

– Dlaczego?

– To jest niestosowne, Mary. Daj spokój, użyj wreszcie mózgu. Wiesz o tym dobrze. Poszłaś na tę ich żalną próbę chóru i sama widziałaś, co ludzie o nas sądzą.

– Ale zgodziłaś się przyjść na tę kolację...

– Bo pomyślałem, że dzięki temu przejrysz na oczy. Że się przebudzisz.

– Polubiłaś ich – zaproponowała Mary.

– I co z tego? Można się cieszyć czyimś towarzystwem przez godzinę, ale potem trzeba zrozumieć, kiedy coś powinno się skończyć. To czysta głupota, ale jesteś za młoda, żeby to zrozumieć.

Esther usłyszała kroki Elijaha w salonie. Wraz z nimi oddalił się jego głos. Nie usłyszała więcej słów, ale do jej uszu dotarł odgłos uderzenia i stęknienia. Potem zapadła cisza.

W ciągu kilku ostatnich tygodni Mary zaprzyjaźniła się z Fran. Spotkały się w kawiarni, pojechały do tego wielkiego domu, który wcale się Esther nie spodobał. Fran była kobietą z zewnątrz i dziewczynka wiedziała, że ojciec by tego nie pochwalał. Jakaś jej część nienawidziła Mary za to, że musiała spędzać czas z tą Angielką. Ale Esther nie miała prawa głosu, bo była dzieckiem. Nie cierpiała być dzieckiem. Chciała być dorosła.

Wstała i wróciła do sypialni. Rozsunęła zasłony i wyjrzała przez okno w mrok. W Leacroft panowała cisza, ale nie dorównywała ona tej, którą znała z Arizony. Tutaj wciąż ktoś wyprowadzał psa lub biegał. W wąskich uliczkach wśród zaparkowanych samochodów świeciły uliczne latarnie. Tego wieczoru na niebie było zbyt wiele chmur i na to też była wściekła.

Może udałoby się jej uciec. Tym razem we właściwy sposób. Usiadła na łóżku i przez chwilę się nad tym zastanawiała. Małe dziewczynki w jej wieku nie podróżowały same, a wiedziała, że na piechotę do Arizony nie dotrze. Ale może zdołałaby uciec, dorosnąć gdzieś w ukryciu, a potem wrócić. Wstała. To było to. Zniknie i będzie żyła samotnie z dala od wykładów Elijaha i łez Mary. Mogłaby mieszkać w lesie, aż będzie wystarczająco duża, żeby wsiąść do samolotu i nie narazić się na kontakt z policją. Ojciec zawsze powtarzał, że dzieci były najbliżej Boga, kiedy żyły w dziczy. Twierdził, że każdy powinien nauczyć się sztuki przetrwania w naturze, w przeciwnym razie nie będzie wart ani centa.

Esther podjęła decyzję, że będzie dziewczynką, która mieszka w lesie, jak to robili ludzie przed tysiącami lat. Tak przynajmniej uważał ojciec, że dzieci nie mają prawa bawić się zabawkami ani biegać bez celu. Oznaczało to wejście w bezczynność, którą wykorzystywał diabeł, niszczącą duszę i szansę na zbawienie. Wyobrażała sobie historię, którą opowie ojcu, kiedy wróci do domu po latach spędzonych w dziczy bez opieki dorosłych. Miała przed oczami jego ciepły i dumny uśmiech, kiedy słucha jej słów.

Esther szybko przebrała się w sukienkę i zeszła na półpiętro, niemal zapominając o zachowywaniu ciszy. Już miała zejść na palcach na parter, kiedy zobaczyła Mary ocierającą łzy z policzków. Esther wstrzymała oddech, obserwując, jak Mary zabiera klucze z wieszaka i znika jej z pola widzenia. Nic nie widziała z tego miejsca, ale słyszała, jak Mary zakłada buty. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły.

Elijah siedział cicho w salonie. Z jakiegoś powodu nie wyszedł za Mary z domu, postanowił zostać na miejscu. Serce Esther

przyspieszyło, czuła, że coś się wydarzy. Nie wiedziała co, ale odnosiła wrażenie, że będzie to coś ważnego, może nawet niebezpiecznego. Jakaś część jej pragnęła wrócić do łóżka i zgasić światło, ale nie zrobiła tego. Zeszła cicho po schodach, podeszła do drzwi prowadzących do salonu i usłyszała wyraźnie, że Elijah pochrapuje. Zdążył już zasnąć.

Podobnie jak Mary, zabrała z wieszaka swój płaszcz i założyła płócienne tenisówki. Potem wymknęła się z domu w mrok.

Rozdział 54

WTEDY

Gdzieś z przodu buty Mary szurały o asfalt. Esther zaczęła biec, żeby spróbować dogonić matkę. Wtedy usłyszała jednak, że te dźwięki wydają też jej własne buty, i uznała, że nie chce zostać zauważona. Uświadomiła sobie, że jeśli Mary odwróci głowę i ją zauważy, będzie musiała wrócić do domu i cały jej plan związany z ucieczką spali na panewce. Weszła na trawę obok drogi, żeby zdławić odgłosy swoich kroków.

Świat wokół niej był ciemny i cichy. Widziała ludzi poruszających się w swoich domach jak lalki w domku z plastiku. Żółta poświata z sufitowych i innych lamp padała na frontowe ogródki. W oddali ktoś wyprowadzał psa, ale nie zauważył jej. Esther spojrzała, czy Mary jest nadal w tym samym miejscu. Była. Dziewczynka zastanawiała się przez chwilę, czy w ogóle za nią iść, skoro miała teraz doskonałą okazję do ucieczki. Wtedy jednak pewna myśl przemknęła jej przez głowę. A jeśli Mary szła na spotkanie z ojcem? Nigdy przecież nie wychodziła z domu o tak późnej porze. Musiała to zrobić z jakiegoś powodu. A jeśli

Esther się oddali i przez to straci okazję do ponownego spotkania z nim?

W oddali ledwie widoczna Mary zeszła z ulicy i ruszyła w stronę lasu, który ciągnął się wzdłuż całego miasteczka. To oczywiste, że ojciec zechciałby się z nią spotkać w podobnym miejscu. Uwielbiał dziką naturę. W Arizonie codziennie jechał w góry i spędzał całe godziny na medytacji wśród wysokich szczytów. Pomyślała o śniadaniach na ranczu, gdzie rodzina zasiadała przy długich stołach, czekając na wieść o tym, kogo ojciec zabierze ze sobą. Mary powiedziała Esther, że ojciec często wybierał właśnie ją. Tak została poczęta Esther. Jechali w góry, medytowali razem, a Mary wróciła na ranczo z nią w brzuchu. Ojciec podarował jej prezent.

Domy zaczynały się przeredzać i po pewnym czasie w ogóle zniknęły. Serce Esther przyspieszyło, kiedy weszła do lasu. Tutaj nie było żadnych świateł i martwiła się, czy nie upadnie. Potykała się o kamienie. Cienkie paski księżycowej poświaty odkryły wąską ścieżkę, która wiła się między drzewami, ale nie zawsze oświetlały leżące na ziemi przeszkody. W oddali widziała mało wyraźną sylwetkę mamy, ale za każdym razem, kiedy Mary schodziła ze ścieżki, Esther przepełniała panika. Przez te krótkie chwile myślała, że została zupełnie sama, ale potem udawało się jej znów dostrzec eteryczną figurę Mary. Ucieszyła się, że mama założyła beżową, wełnianą narzutę, której używała jako płaszczyka w letnie wieczory. Ubranie kontrastowało przynajmniej z ciemnością.

Nieco dalej Esther wyczuła, że Mary zwalnia. W pewnym momencie zatrzymała się i stanęła w bezruchu, patrząc w dal, jakby na kogoś czekała. Esther musiała schować się za drzewem, żeby nie zostać zauważoną. Wyjrzała zza pnia, jej oczy już

przyzwyczały się do ciemności. Obserwowała Mary, która wyjęła z kieszeni telefon. Czy spodziewała się wiadomości od ojca? Esther przylgnęła do drzewa i czekała, aż coś się wydarzy. Czy z cienia zaraz wyjdzie ojciec? A może Mary szła się spotkać z kimś zupełnie innym?

Kilka chwil później Mary schowała telefon i ruszyła w dalszą drogę wąską ścieżką. Esther poszła za nią na drżących nogach. Wdrapała się na wzniesienie, a kolce ze ściółki szarpały jej skarpetki i raniły stopy. Skrzywiła się z bólu, ale szybko sobie przypomniała, że musi być odważna. To był test, który mogła albo zaliczyć, albo odpaść. Ojciec nie lubił wystraszonych dzieci.

Mary weszła w najgłębsze i najciemniejsze zarośla. Esther spanikowała ze strachu, że straci ją całkowicie z oczu. Przyspieszyła, ignorując uderzenia gałęzek w ramiona i ręce. Oddaliła się od ścieżki i wbiegła w głąb lasu. Serce waliło jej jak młotem. Zasadniczo była dojrzała i pewna siebie jak na swój wiek, ale w tej chwili czuła się jak mała, głupia dziewczynka, która szuka mamy. Krzyk uwiązał jej w gardle. Krzyk wynikający z faktu bycia siedmiolatką zagubioną w lesie nocą. Panika odebrała jej jednak głos. Nie próbowała już kryć się przed Mary, biegła tak szybko, jak tylko potrafiła. Ale Mary zniknęła jej z oczu. Nie było niczego poza grubymi pniami i kamieniami pod stopami.

Po twarzy pociekły jej łzy. Znów próbowała krzyknąć, ale miała całkowicie zaschnięte gardło. Wydobył się z niego tylko żalospny pisk, który zakończył żywot na wargach. Nagle pomyślała, że w oddali słyszy męski głos, podniesiony, jakby w złości na Mary. Spróbowała krzyknąć i wydać z siebie jedno słowo. Ojciec. Ale kiedy nabierała oddechu w płuca, żeby to zrobić, poślizgnęła się.

Uderzyła mocno o ziemię, zderzyła się głową z kamieniem, a potem chwilę toczyła, aż ogarnął ją mrok.

Na przemian tracąc i odzyskując przytomność, Esther zastanawiała się, czy naprawdę usłyszała głos ojca. Pewnie jej się tylko wydawało.

Rozdział 55

WTEDY

Esther ocknęła się w jasnym blasku świateł i zobaczyła wodniste spojrzenie Mary. Chciało się jej pić i sięgnęła po plastikowy kubeczek stojący przy łóżku. Kręciło się jej w głowie i nie była w stanie szybko przyjrzeć się otoczeniu, od migających świateł jarzeniowych po sztywne prześcieradło okalające jej ciało i wahadłowe drzwi prowadzące do pomieszczenia.

– Esther? Esther, dobrze się czujesz?

Krzesło zazgrzytało o żywiczną podłogę, kiedy Mary wstała. Podała jej wodę, pomagając prowadzić kubek w stronę ust. Płyn w temperaturze pokojowej zwilżył suche gardło Esther i pomógł jej wrócić do rzeczywistości. Wspomnienia pojawiały się w przebłyskach. Mary i Elijah kłócący się na dole, Mary wychodząca nocą z domu. Bieg przez las. Upadek i uderzenie o kamień. Przypomniała sobie, że leżała w błocie, na półprzytomna, przez wiele godzin, wyobrażając sobie głos mężczyzny. Głos ojca. Powiedział jej, żeby leżała nieruchomo i że wkrótce po nią wróci. Kazał jej być dobrą dziewczynką.

– Tak mi przykro, kochanie – powiedziała Mary, gładząc ją po włosach. – Z powodu wszystkiego.

Jej słowa niewiele wtedy dla niej znaczyły. Esther chciała wyłącznie prawdy. Wyczuwała za ścianą pokoju tętnienie szpitala i zastanawiała się, gdzie jest Elijah. Zamrugła, upiła jeszcze łyk wody i powstrzymała napływające do oczu łzy.

– Gdzie jest ojciec, mamó? – zapytała.

Mary zareagowała w taki sam sposób, w jaki reagowała za każdym razem na wspomnienie o ojcu. Odsunęła się i skrzywiła. Spojrzała w stronę drzwi i jej ramiona opadły.

– Wiesz, gdzie on jest. W Arizonie.

– Na ranczu?

– Tak.

– W takim razie z kim rozmawiałś w lesie?

Mary ściągnęła brwi.

– Z nikim, kochanie.

– Dlaczego poszłaś do lasu?

Mary westchnęła, uniosła głowę i otarła łzy.

– Szłam na spotkanie z Fran. Pomyślałam, że może mi pomóc. Byłam smutna, bo pokłóciłam się z tatusiem. Ale ona nie przyszła.

Esther milczała przez chwilę. Czy ona kłamała?

– A więc ojca tam nie było? Ale słyszałam jego głos. – Jej wspomnienia wciąż nie tworzyły jednej całości. Gdy leżała półprzytomna w błocie, słyszała mówiącego do niej ojca i dlatego pomyślała, że spotkał się z Mary. To była tylko sztuczka w jej głowie.

Kiedy Mary odpowiedziała, jej głos drżał.

– Przykro mi, że za mną poszłaś i zrobiłaś sobie krzywdę. Nie miałam pojęcia, że tam jesteś. – Znów pogładziła Esther po głowie. – Myślałam, że leżysz w łóżku, jak grzeczna dziewczynka.

Esther się rozplakała.

– Będę miała kłopoty?

Mary pocałowała ją w czoło.

– Nie, skarbie, nie będziesz. Ale... – Ponownie zerknęła w stronę drzwi. – Musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz o tym, że widziałas mnie w lesie. Okej?

– Dlaczego nie?

– Bo obwinia mnie za to, że zrobiłaś sobie krzywdę. – Teraz Mary zaczęła płakać. – Będą się na mnie wyżywać. Powiedzą, że jestem straszną mamą i że nie zasługuję na ciebie. Nie lubią mnie tutaj, to oczywiste. – Otarła łzy z policzków gniewnym ruchem. – Mogą spróbować mi ciebie odebrać, a tego chyba byś nie chciała?

Esther się zawahała, ale pokręciła głową.

– Przysięgam, że nie widziałam cię w lesie, Esther. Wiesz dobrze, że zabrałabym cię do domu, prawda? Wiesz, że zawsze się tobą zajmę. Kocham cię najbardziej na świecie. Jesteś moją córeczką. Moją. Wiesz o tym, prawda?

Esther pokiwała głową. Mary lubiła powtarzać takie rzeczy i za każdym razem robiła to bardzo żarliwie.

– Jesteś moją słodką dziewczynką. – Znów pocałowała ją w czoło. – Przepraszam, że cię nie widziałam. Tak mi przykro, że stała ci się krzywda. – Kroki stawały się coraz głośniejsze, zbliżając się do pokoju. Mary chwyciła Esther za rękę. – Proszę, nie mów tatusiowi, że widziałas mnie w lesie, bo się bardzo rozgniewa.

Zanim Esther zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i do środka wszedł Elijah. Mary popatrzyła na niego z niepokojem, a Esther tylko zmarszczyła czoło.

Elijah otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się.

– Obudziła się! – Podbiegł do łóżka i pocałował Esther w policzek. – Dzięki Bogu. – Przytulił Mary, najwyraźniej nie wyczuwając napięcia panującego w pokoju.

Esther patrzyła na nich z odrazą. Mogła spełnić prośbę Mary, żeby nie mówić nikomu o lesie, ale nigdy nie uwierzy, że Elijah jest jej tatusiem albo że mu na niej zależy. Nie, ona miała tylko jednego ojca i zamierzała wrócić do niego do domu.

Rozdział 56

TERAZ

Fran wróciła pospiesznie na policję, trzymając w spoconych dłoniach ulotkę. Musiał to być dziwny widok dla mieszkańców Tucson – udręczona kobieta w birkenstockach, źle dopasowanym kapeluszu słomkowym i z mokrą od potu twarzą. Kiedy Fran oświeciło, odwróciła się ponownie do młodego mężczyzny w garniturze, żeby zadać mu jeszcze kilka pytań, ale ten zaczął się już oddalać. Pobiegnęła za nim, ściskając ulotkę, ale zdążył już zniknąć za narożnikiem i wejść do jakiegoś sklepu czy restauracji. Zatrzymała się, żeby złapać oddech, kiedy zauważyła adres nadrukowany na ulotce. Może to wystarczy. Ruszyła w stronę komendy policji, mijając galerię sztuki i szurając stopami o gorący asfalt.

Dotarła do budynku i zdjęła kapelusz, żeby chłodne powietrze z klimatyzatora mogło dotrzeć do jej wilgotnej głowy. Czekała w kolejce za mężczyzną w szerokim, kowbojskim kapeluszu i kobietą w dżinsowych szortach, przyjrzała się fotografii z banku zdjęć, którą umieszczono na ulotce. Uśmiechały się na niej atrakcyjne, radosne twarze ludzi, którzy przytulali się pod

błękitnym niebem. Wiedziała, że nie byli prawdziwymi członkami tej organizacji, a modelami. Była to starannie zaplanowana fotografia mająca na celu podniesienie odpowiedniego poziomu wiarygodności. Poniżej widniał napis: „Znajdź zbawienie w miłości”.

Funkcjonariuszka za biurkiem odchrząknęła i Fran uświadomiła sobie, że nadeszła jej kolej. Poprosiła o spotkanie z detektywem Woodsonem.

– Właśnie wyjechał – odparła kobieta. – Miał poza miastem sprawę, którą musiał się zająć. Czy chciałaby pani zostawić wiadomość?

– Mogłaby mu pani przekazać, że przyszła Fran Cole? I jeszcze powiedzieć mu o... – Fran spojrzała na ulotkę – o „Dzieciach Jamesa”.

Policjantka przewróciła oczami.

– Co te świry zrobiły tym razem? – spytała. – Ukradli coś pani?

– Nie, nic w tym rodzaju. Czy oni faktycznie są przyczyną kłopotów w okolicy?

Kobieta uniosła brwi.

– Kiedyś nie byli. Trzymali się w swoim towarzystwie, ale ostatnio... owszem.

– Dlaczego ostatnio?

– Słyszałam parę rzeczy. Takie tam różne pogłoski. Ponoć nadeszły dla nich cięższe czasy i kilkoro z nich chodzi po mieście i działa jako kieszonkowcy i złodzieje sklepowi. Mamy mnóstwo zgłoszeń. Sprawdziła pani portmonetkę? Radziłabym to zrobić.

Fran zerknęła na swoją torebkę, zaskoczona tymi rewelacjami. Postarała się skoncentrować.

– Dzięki, tak zrobię. A więc kręcą się tu już od jakiegoś czasu?

– Z tego co mi wiadomo, przenieśli się tutaj z innego stanu w latach dziewięćdziesiątych. Ludzie nie byli zbyt szczęśliwi z tego powodu, organizowali różne protesty, ale tamci i tak zostali. Szczerze mówiąc, trzymali się wtedy z dala od kłopotów i nie byli szczególnie groźni. Przypominali bardziej brokerów z Wall Street czy biznesmenów. Dlaczego to zawsze tacy dziwacy przechodzą jakieś załamania nerwowe, jadą na pustynię, żeby medytować i jeść kapustę? Robią te wszystkie bzdurne rzeczy na swoim ranczu, a my trzymamy się z daleka, dopóki nie zaczną sprawiać problemów.

– A co takiego się stało, że są teraz w trudnej sytuacji?

Policjantka wzruszyła ramionami.

– Ich trzeba pytać. Sądzę, że bogaci ludzie nie interesują się już tak bardzo sektami, jak miało to miejsce w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Świat się zmienił. Ludzie zrozumieli, że nie znajdą Boga, oddając swój majątek oszustom. Do czego był pani potrzebny detektyw, że tak spytam?

Fran odblokowała telefon i pokazała kobiecie zdjęcie Mary i Esther.

– Właśnie zgłosiłam ich zaginięcie. Teraz uważam, że mogą być częścią tej sekty.

– Ubierają się jak pionierzy zakładający kolonie na zachodzie?

– Tak!

– No to tam trzeba ich szukać.

Rozdział 57

WTEDY

Esther czuła się o wiele szczęśliwsza niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Był piękny, słoneczny dzień z przyjemną temperaturą, choć nie było tak sucho i gorąco jak w Arizonie. Siedziała na tylnej kanapie ich wynajętego samochodu i przez opuszczoną szybę patrzyła, jak Mary i Elijah wkładają ostatnie walizki do bagażnika. Elijah oświadczy krótko po tym, jak zauważyli graffiti na ścianie domu.

– Dość tego. Wyjeżdżamy – oznajmił, patrząc na napis. – Czas wrócić w miejsce, do którego należymy i chyba wiesz, co to oznacza, Mary. Zdajesz sobie sprawę, że oszukiwaliśmy samych siebie, próbując uwierzyć, że zdołamy przeżyć z dala od rodziny.

To była muzyka dla jej uszu. Esther nie potrafiła nawet ubrać w słowa swojej nienawiści do Leacroft. Przytuliła się nawet do Elijah'a, dziękując mu. Było to coś, czego nigdy wcześniej nie zrobiła.

Elijah wyszedł krótko potem, ignorując prośby Mary.

– Zamierzam pozbyć się samochodu – powiedział. – Potrzebujemy pieniędzy. Niedaleko stąd jest komis, tam go

sprzedamy. Ale zabieram twój paszport, Mary, żeby nic głupiego nie przyszło ci do głowy. – Chwycił ją za szyję. – Jeśli uciekniesz, znajdę cię.

Zaczęła płakać w tej samej chwili, kiedy odjechał spod domu, i do tej pory nadal nie przestała. Podczas pakowania walizki Esther słyszała stłumione odgłosy jej łkania.

Próbowała zignorować płacz Mary, składając ubrania. Robiła to dokładnie, aby nie zapomnieć o żadnej rzeczy. Żółta sukienka z kokardami leżała na samym szczycie. Nie spakowała tylko jednej rzeczy – tej głupiej książki, która nie miała dla niej żadnego sensu. Zamierzała zostawić ją w Leacroft.

Kiedy Mary w końcu doszła do siebie, a Elijah wrócił z komisju, kobieta zaczęła nalegać, żeby Esther zeszła do samochodu i zaczekała, aż spakują ostatnie rzeczy. Odebrała jej małą walizkę. Robiła to wszystko z załzawionymi oczami i nieumytnymi włosami, które zwisały bezładnie wokół jej szczupłej twarzy. Kiedy się odzywała, co następowało rzadko, każde zdanie kończyła pociągnięciem nosem. Esther nie potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego mama jest taka zdenerwowana. Czy Mary nie chciała wracać do domu? Nie chciała ponownie spotkać się z ojcem? Nie potrafiła tego pojąć. Na ranczu znów będą szczęśliwi. Będą rodziną.

Załadowanie wypożyczonego auta nie trwało długo i niebawem zjechali z podjazdu i ruszyli ulicami miasteczka. Esther patrzyła na małe domki, blade twarze i siwe włosy mieszkańców, zielone ogrody z żaloznymi placami zabaw, światła uliczne, sklep na skrzyżowaniu. Chwilę później opuścili Leacroft. Oparła się wygodnie, kiedy wjechali na autostradę, i zaczęła sobie wyobrażać, że jej palce są siekierą, która tnie na pół wszystko, co

przemykało jej przed oczami. Kiedy wypuściła powietrze z płuc, to poczuła, jakby pozbyła się wraz z nim Leacroft i wszystkiego, co się z tym miejscem wiązało – najgorszego dla dziecka poczucia kontroli, ograniczeń i całkowitego bezruchu. Niedługo wszystko to zniknie na dobre.

W pewnej chwili Esther zasnęła z głową opartą o skórzane oparcie. Obudziła się z suchymi ustami i uszami wypełnionymi odgłosem silników samochodowych w zamkniętej przestrzeni. Drzwi były otwarte, a Mary odpinała jej pas. Potarła oczy i zobaczyła Elijaha, który układał walizki na wózku.

– Dalej, Essie, pobudka – powiedziała Mary. – Musimy pójść do naszego terminalu.

Esther wysiadła z pojazdu, rozciągnęła ścierpnięte mięśnie i zatrzasnęła za sobą drzwi. Znajdowali się na zatłoczonym parkingu. Każdy pisk opony czy odgłos silnika na wysokich obrotach odbijał się tutaj echem. Mary chwyciła ją za rękę i ruszyły razem w stronę budynku lotniska, omijając taksówki i furgonetki. Po raz pierwszy Esther była nerwowa, a spojrzenia ze strony mijanych osób wcale nie pomagały. Starła się do tego przywyknąć, choć w ogóle tego nie rozumiała. Czasami w ogóle nie pojmowała dorosłych. Mary próbowała jej wyjaśnić, że ich rodzina ubiera się nieco inaczej niż pozostali. Mówiła, że odmienność czasami jest straszna dla ludzi, którzy nie chcą poznać doświadczeń innych, niepodobnych im osób. Wtedy dodała jeszcze, że ojciec był jednym z takich ludzi. Nie pozwalał na zmiany. Nie zgadzał się, by ktokolwiek wyjątkowy był w ich rodzinie. Esther stwierdziła wówczas, że Mary nie była osobą, której należało się słuchać.

Szli przez dłuższy czas, aż w końcu usiedli na metalowych ławkach w zatłoczonej, wielkiej hali. Dziewczynka słyszała nieustające *bing bong*, które kojarzyło się jej z dzwonkiem przy drzwiach, oraz niewyraźne głosy mówiące w różnych językach przez nagłośnienie. Po oczekiwaniu, które wydawało się trwać wiele godzin, wstali i podeszli do kolejki, by w końcu pokazać dokumenty. Elijah uśmiechał się i żartował ze wszystkimi, z którymi rozmawiał. Obejmował Esther i pokazywał ją, jakby była lalką, trofeum lub okazem laboratoryjnym. Nawet Mary uśmiechnęła się kilkakrotnie, kiwając głową, kiedy jakaś kobieta w mundurze nachyliła się i nazwała Esther słodką.

Mary nie czuła się jednak tak rozluźniona jak Elijah. Wciąż była spięta i milcząca. Nie spuszczała wzroku z dokumentów, które przekazywał obsłudze lotniska. Esther patrzyła, zastanawiając się, o czym myśli Mary. W końcu się poddała, uznawszy, że jej matka jest dziwna i nie cieszy się z powrotu do Arizony.

Wreszcie wsiedli do samolotu. Po niezdarnym przesuwaniu się, czekaniu i wdychaniu zapachów innych ludzi znaleźli swoje miejsca i usiedli.

– To będzie długa podróż, drogie panie – powiedział Elijah. – A to dopiero początek.

Mary przesunęła swoje długie włosy na twarz jak tarczę. Esther uznała, że mama zrobiła to po to, by inni nie widzieli jej łez. Dziewczynka je dostrzegła.

– Nie martw się, kochanie. – Elijah poklepał dłoń Mary. – Wszystko będzie dobrze. Ojciec James przyjmie nas z powrotem, jestem o tym przekonany.

Esther uznała, że była to jedna z najrozsądniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek powiedział Elijah.

– Zagubiliśmy się na chwilę – ciągnął. – Ale wrócimy do niego i będzie nam wybaczone. On cię kocha.

– Tego się właśnie obawiam – odparła Mary.

– Daj spokój, skarbie. Jesteś zdenerwowana, ale wiesz przecież, że musieliśmy polecieć, prawda? Wiesz o tym? Ci ludzie w miasteczku i nadchodzący Dzień Sądu... – Elijah pokręcił głową i ściszył nieco głos. – Musimy lecieć. Musimy być z nimi w Dniu Sądu.

Mary pociągnęła nosem i otarła go grzbietem dłoni, a Esther pokiwała głową. Dla odmiany zgadzała się teraz z Elijahem. Faktycznie musieli wrócić na ranczo na Dzień Sądu. Jakżeby inaczej mieli odnaleźć zbawienie? To właśnie obiecał im ojciec James i wkrótce to otrzymają. Uśmiechnęła się do siebie, kiedy samolot zaczął toczyć się po pasie.

Rozdział 58

TERAZ

Fran krążyła po pokoju hotelowym, gryząc kciuk. Odczuwała już zmęczenie i głód, a skóra mrowiła ją po całodniowym chodzeniu w pełnym słońcu. Zaczęła poszukiwać informacji na temat sekty zwanej Dziećmi Jamesa. Jakaś część jej pragnęła od razu pojechać pod wskazany na ulotce adres i zażądać uwolnienia Mary i Esther. Musiała jednak rozegrać to w sprytny sposób.

Zamówiła posiłek do pokoju, zasunęła zasłony i włączyła klimatyzację na pełną moc. Chodząc w tę i we w tę, łajała się w myślach za to, że nie wychwyciła wcześniej tych wskazówek. Odzieży. Braku zaufania. Dziwnego zachowania Esther.

Fran rozłożyła ulotkę, przeczytała informacje na niej zawarte i uznała, że jest szczerze zaskoczona. Ani razu nie wspomniano o religii, a większość odniesień do Dzieci Jamesa przeniesiono na tylną stronę i zapisano małą czcionką, żeby były trudno zauważalne. Nie, materiał skupiał się na ich nowoczesnym i bardzo naukowym procesie rozmowy, który pomagał potencjalnym „klientom” osiągnąć cel, którym było zbawienie. Na następnej stronie umieszczono zdjęcia przedstawiające słońce

zachodzące za budynkami gospodarczymi i mężczyznę w okularach przeciwsłonecznych siedzącego na koniu na pierwszym planie. Wydrukowane słowa mówiły o połączeniu z naturą i pozbyciu się stresu wynikającego ze współczesnego życia. Wspomniano o uprawie roli, pracy fizycznej i nauce medytacji.

Kim był James? W ulotce nie napisano zbyt wiele na jego temat. Fran otworzyła laptopa i wpisała w wyszukiwarce hasło „sekta Dzieci Jamesa”. Uzyskała sporo wyników, włącznie z podcastem poświęconym grupie. Zaczęła przeglądać kolejne artykuły, aż przyniesiono jej burgera.

Usiadłszy ponownie na łóżku, Fran zanurzyła frytkę w keczupie i kontynuowała przewijanie kolejnych stron. Większość z nich zawierała fakty. Sektę założył w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku niejaki Roger Devon, który początkowo nadał jej nazwę „Ciało i Dusza”. Później zmienił imię na ojciec James i sekta skoncentrowała się na jego postaci. Dzieci Jamesa. Wyglądało to jak typowe narcystyczne posunięcie. Zaczęli jako niewielka społeczność w Nebrasce, po czym przenieśli się na wielkie ranczo w Tucson pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Zanim tam osiedli, mówiło się o dwóch osadach. Druga została założona przez jednego z wyznawców Devona – niewymienionego z nazwiska w artykule – w Kolorado. Ostatecznie jednak tamta społeczność została rozwiązana. Część jej członków odeszła, a inni dołączyli do grupy w Tucson.

Fran odgryzła kęs burgera. Organizacja jej zdaniem nie wyglądała na niegroźną. Żaden z jej członków nie udzielił wywiadu na temat swoich doświadczeń w „rodzinie” Jamesa, która Fran skojarzyła się z Mansonami. Im więcej czytała, tym

większe odnosiła wrażenie, że byli członkowie za bardzo się bali, żeby cokolwiek powiedzieć. Owszem, była to nieduża sekta, ale zyskała już złą reputację w sieci. Zwarta i odizolowana od reszty świata. Ojciec James miał ponoć grupę ochroniarzy, których zadaniem było bronić go przed wrogami – „pijawkami”, jak ich określali – i kilkoma osobami, które opuściły sektę po tym, jak do niej dołączyły.

Połowa burgera pozostała na jej talerzu, ale Fran nie miała już na niego ochoty. Poczowała niepokój. Sądząc po kilku filmach dokumentalnych poświęconych sektom z lat siedemdziesiątych, które obejrzała, wydostanie z nich osób poddanych wcześniejszej indoktrynacji było bardzo trudne.

Kiedy zastanawiała się nad kolejnym posunięciem, rozległ się dźwięk z jej telefonu. Fran odblokowała ekran i się uśmiechnęła. Adrian wysłał jej zdjęcie ich ogrodu. Wciąż było tam słonecznie. Fuksje rozkwitały, kołysały się pięknie nad ogrodzeniem. Westchnęła, marząc już o powrocie do domu, choć musiała jednocześnie przyznać, że podobało się jej to, co tutaj robiła. Po raz pierwszy od wielu lat toczyła śledztwo, na dodatek dotyczące poważnej sprawy. Kiedy spojrzała w swoje notatki, zrozumiała, że nie wszystkie dotyczyły Mary i Esther. Niektóre mówiły więcej o samej sekcie. Czy mogłaby napisać na ten temat artykuł, kiedy wydobędzie już z tej organizacji Whitakerów? Chciała to zrobić, tego była pewna.

Wysłała Adrianowi uśmiechniętą buźkę i wróciła do laptopa, na którym wpisała adres strony sekty. Zobaczyła to, czego się spodziewała: elegancki układ z jasnymi kolorami i logo. Dołożono starań, by witryna prezentowała się atrakcyjnie. Hasła „Dzieci Jamesa” używano bardzo oszczędnie. Z czasem się nauczyli, że

należy tonować swoją ekscentryczność. Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte obfitowały w hipisowską estetykę, która nie sprawdziłaby się jednak w przypadku nowych pokoleń.

Na ulotce przedstawiono instrukcje mówiące o tym, jak zorganizować test osobowościowy, który pomoże „zoptymalizować” szanse na zbawienie. Wykonała je teraz i zarezerwowała spotkanie z opiekunem klienta, by omówić dostępne opcje. Rozmowa miała się odbyć następnego dnia w samym centrum Tucson.

Rozdział 59

WTEDY

Kiedy samolot wylądował w Tucson, Esther patrzyła, jak Mary biegnie do łazienki, jakby zrobiło się jej niedobrze. Elijah zupełnie to zignorował. Chwycił Esther za rękę i poszli razem w stronę stanowiska odbioru bagażu.

– Nic jej nie będzie – powiedział. – To tylko ten upał. Mocno się różni od pogody w Anglii i mama musi się chwilę do niego przystosować.

– Jedziemy prosto do rodziny? – zapytała Esther. Nie mogła się już doczekać tego spotkania. Byli tam jej przyjaciele. Grace, Paul i Delilah. – Możemy po drodze kupić czekoladę?

– Jasne, kochanie. – Puścił jej dłoń i podszedł do bagażowej karuzeli.

– Czy ojciec James tam będzie?

– Tak, będzie.

– I niedługo nadejdzie Dzień Sądu?

– Ojciec uważa, że mniej więcej pod koniec miesiąca. – Elijah ukucnął i ich oczy znalazły się na jednym poziomie. Rozejrzał się.

– Posłuchaj, lepiej nie rozmawiać o tym przy ludziach. Inni stają się przez to nerwowi.

Esther pokiwała głową. Nie lubiła Elijaha, ale tutaj się nie mylił. Obserwowała, jak pochyła się nad taśmą i zdejmuje jedną z ich walizek. Mary wróciła z łazienki, ukrywając twarz pod włosami. Zacisnęła rękawy w dłoniach i rozejrzała się pospiesznie. Kiedy uśmiechnęła się do Esther, zrobiła to z wielkim smutkiem.

– Gotowi? – Elijah zapytał Mary, która lekko skinęła głową. Esther obserwowała ich oboje. Mary wykonała ten gest bardzo szybko, jakby się bała. Elijah spojrzał na nią w dziwny sposób. Choć była dzieckiem, wyczuwała, że działo się coś, czego do końca nie rozumiała.

Ale Mary musiała się po prostu uspokoić. Kiedy dotrą na ranczo, wszystko będzie już dobrze.

Elijah zabrał pozostałe walizki z taśmy i ułożył je na wózku bagażowym. Pozwolił nawet Esther na nim usiąść, gdy pchał go do wyjścia z terminalu. Zgodnie z obietnicą zatrzymali się, by kupić kilka batoników Hershey's w sklepie z pamiątkami. Grace uwielbiała tę czekoladę. Esther ujrzała przed oczami jej piegowatą twarz. Zaczęła przypominać sobie życie na ranczu. Świadomość panującej tam rutyny ją uspokajała. O świcie były modlitwy, potem śniadanie z ręcznie wypiekanym chlebem i owsianką. Później dzieci zabierały pranie do pralek. Zajmowały się podlewaniem roślin w ogródku warzywnym i ich doglądaniem. Potem pracowały do zmierzchu, zamiatając podłogi, odkurzając meble w domu, pomagając w kuchni czy w zagrodach dla zwierząt. Zbierały dojrzałe warzywa i sadyli ziarna, kiedy nadchodziła właściwa pora. Ranczo dostosowywało się do pór

roku. Jesienią przygotowywali przetwory w słoikach, zimą gromadzili pomarańcze i orzechy pekan, wiosną siali ziarna, a latem opychali się kantalupami. Czekolada była rzadkim smakołykiem, który dostawali raz, może dwa razy w ciągu roku. Uśmiechnęła się na myśl o entuzjazmie Grace.

Raz jednak Esther zachowała się niewłaściwie. Wraz z Paulem zapuścili się za ogrodzenie, na drogę. Chcieli zobaczyć, jak wygląda świat na zewnątrz. Ojciec im powiedział, że jeśli tak im się to spodobało, to spędzą noc pod gwiazdami. Natura czyniła dzieci silniejszymi. Pozwalała im przetrwać. Esther pamiętała dzielenie się kocem z Paulem, drzenie z zimna i wycie kojotów w oddali. Prawie w ogóle nie spała, przerażona myślą, że na twarz mogłaby wpełznąć jej tarantula. Esther jeszcze nigdy dotąd tak się nie bała. Ale o to chodziło. Każdy musiał odczuwać strach.

Przy wejściu na lotnisko czekał na nich mężczyzna. Esther zauważyła go od razu. Był wysoki jak Elijah, ale szczuplejszy. Miał rude, nieuczesane włosy i buty brudne od pracy. Esther uśmiechnęła się szeroko.

– Caleb. – Elijah poklepał go po plecach. – Popatrz, popatrz. Urosłeś. Dobrze cię widzieć.

– Ciebie również, bracie. Cieszę się, że wróciłeś do domu. – Caleb się uśmiechnął i zacisnął palce na czapce, którą trzymał w dłoni.

– Tak, dobrze być z powrotem.

Esther zeskoczyła z wózka i podeszła do Caleba. Był jednym z młodszych członków rodziny, niewiele starszym i lepiej zbudowanym od chuderławego nastolatka.

– Cześć, Esther – powiedział. – Ty też urosłaś.

– To prawda – odparła.

Roześmiał się i uścisnął jej ramię.

– No dobrze. Zabieramy wasze bagaże do samochodu? – Spojrzał tylko przelotnie na Mary.

– Tak – odpowiedział Elijah. – Nie mogę się doczekać powrotu na ranczo.

Mary milczała, kiedy Caleb pomagał Elijahowi z walizkami. Wciąż ciągnęła swoje rękawy.

– Ojciec będzie na mnie czekał – powiedziała Esther. Pragnęła, by wszyscy się pospieszyli.

Mary zaczęła płakać.

– Ja nie jadę. – Chwyciła Esther za rękę i ją ścisnęła. Esther pisnęła. Jeszcze nigdy Mary nie złapała jej tak mocno. Zabolało, jakby zaraz miały popękać jej kości. Kiedy Mary zaczęła się wycofywać, Esther zaparła się na piętach, ale matka niemal ją przewróciła.

– Przestań! – Elijah odstawił walizkę i chwycił Mary mocno za łokieć. – Nie pozwolę na takie zachowanie mojej żony!

– Nie jestem twoją żoną! – syknęła Mary.

– Owszem, jesteś. Caleb, pomóż mi, proszę.

Obaj mężczyźni chwycili Mary i poprowadzili naprzód. W końcu puściła dłoń Esther i skurczyła się, łkając. Wyglądało na to, że przegrała, a Elijah znów mógł zająć się walizkami. Caleb wciąż trzymał Mary za łokieć. Esther zauważyła, że ludzie się im przyglądają, ale kiedy na nich spojrzała, odwracali głowy.

– Wszystko będzie dobrze, Mary. On nie jest na ciebie zły – powiedział Caleb. – Jeśli tego się właśnie obawiasz, to niepotrzebnie. Nie może się doczekać waszego spotkania.

– Zamknij się, Caleb – warknęła Mary. – W porządku. Pojadę z wami, bo muszę się zaopiekować Esther, a wiem, że nie puścicie

mnie z nią. Nienawidzę tego wszystkiego i nienawidzę jego.

Esther spojrzała na matkę. Nienawidziła go? Ojca? Jak mogła go nienawidzić? Nagle posmutniała i całą winą za to obarczyła Mary. Teraz będzie musiała zapamiętać też złe rzeczy, a tak bardzo się starała, by tego nie robić.

Rozdział 60

TERAZ

Na telefonie Fran zaroilo się od pytań. Wszystkie zadawał jej Adrian. „Jak się czujesz? Kiedy wracasz do domu? Co udało ci się znaleźć?”. Odwróciła się na hotelowym łóżku i wypuściła z płuc powietrze w chłodną pościel. Wiedziała, że nie pochwałałby tego, co zamierzała zrobić, i z tej właśnie przyczyny nie powiedziała mu całej prawdy. „Wszystko w porządku. Nie wiem jeszcze kiedy. Niewiele odkryłam. Zgłosiłam jednak ich zaginięcie i muszę poczekać, żeby się dowiedzieć, czy policja trafi na jakiś trop”. Nie wspomniała ani słowem o sekcje, a szczególnie o tym, że miała umówione spotkanie z Calebem.

Poczucie winy z tym związane nie dawało jej spokoju. I tak denerwowała się tą rozmową, postanowiła więc odpuścić sobie śniadanie i spędzić trochę czasu pod prysznicem. Stres sprawił, że zatęskniła za porannymi przebieżkami, dłońmi swojego męża, zakątkami ich ogrodu i ulubionym krzesłem. Nie zapomniała jednak, że to ona zadzwoniła na policję w sprawie Whitakerów i ponosiła winę za wszelkie konsekwencje, które z tego wynikały.

Nie chciała się nawet przed sobą przyznać, ile satysfakcji sprawiało jej podążanie tym tropem.

Założyła bawełniane spodnie i trykotową bluzkę z odsłoniętymi plecami, spakowała swój notatnik, długopis i ulotkę poświęconą sekcje do torby, po czym wezwała taksówkę pod hotel. Nadszedł kolejny upalny dzień, zaczęła więc na transport w hotelowym lobby.

Było to zaskakujące, ale jednocześnie logiczne, że pierwsze spotkanie miało się odbyć w Tucson, a nie na ranchu. Nie miała wątpliwości, że chcieli ją wybadać, zanim pozwolą się jej zbliżyć do rodziny Dzieci Jamesa. Wyobraziła ich sobie jako wewnętrzny krąg akolitów. Zamkniętą, paranoiczną społeczność wiernych.

Taksówkarz wysadził ją przez biurowcem w pobliżu zamkniętego kina i małej apteki. Było to ponure, szare miejsce, które prawdopodobnie pełniło kiedyś rolę budynku rządowego. Znalazła właściwy przycisk na domofonie i go nacisnęła.

Chwilę później w głośniku odezwał się mężczyzna.

– Cześć, jestem Francesca, przyszedłam na spotkanie – powiedziała.

– Świetnie. Wejdz, proszę. Wjedź windą na drugie piętro, spotkamy się przy wejściu.

Głos tego mężczyzny był spokojny, ciepły, dokładnie taki, jakiego można by oczekiwać po kimś, kto rekrutuje ludzi do sekty.

Fran pchnęła drzwi i weszła do środka. Ściany pomalowano na chłodny błękit, który kojarzył się z płytką wodą. Znalazła starą windę, która nie okazała się na szczęście tak skrzypiąca jak ta w kamienicy Noaha Martineza. Na samo jego wspomnienie przełknęła nerwowo ślinę. Była to na szczęście krótka podróż i po chwili drzwi się otworzyły, ukazując rudowłosego mężczyznę

kołyszącego się na piętach. Ubrany był w kraciastą, bawełnianą koszulę i robocze buty. Powitał ją uśmiechem, po czym podszedł bliżej, by podać jej rękę.

– Cześć, Francesca. Jestem Caleb. Wspaniale cię poznać.

– Ciebie również.

– Chodźmy, usiądziemy w pokoju konferencyjnym. To niedaleko. Znalazłaś nas bez problemu? – Skutecznie wypełniał ciszę, kiedy przecięli wyłożony szarym dywanem korytarz. Weszli do niedużego pomieszczenia z kolejnymi drzwiami obok biurka z komputerem.

– Oczywiście, żaden problem.

– Masz uroczy akcent, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Pewnie, że tak – odparła Fran z wymuszonym uśmiechem.

Caleb zajął krzesło po jednej stronie biurka i wskazał jej dłonią drugie, po przeciwnej stronie. Usiadła przed komputerem, zastanawiając się, czy na pewnym etapie rozmowy będzie musiała z niego skorzystać.

– Wiem, że przyszłaś tutaj, oczekując natręta, który będzie cię do czegoś namawiał. Z pewnością wyrobiłaś sobie mnóstwo opinii na temat tego, co tutaj robimy, a do tego postawiłaś sobie wiele pytań bez odpowiedzi. To zupełnie naturalne. Jeśli spędziłaś już trochę czasu w Arizonie, to pewnie słyszałaś niepochlebne zdania na nasz temat. Nie będę próbował cię zanudzać i starać przekonywać. Szczerze mówiąc, nasze metody mówią same za siebie i jestem pewien, że będziesz pozytywnie zaskoczona. Celem Dzieci Jamesa jest odnajdowanie wewnętrznego spokoju. Zbawienia, jeśli wolisz. Wymaga to oczywiście sporo pracy, ale kiedy już ją wykonasz, zaczniesz się zastanawiać, dlaczego nie żyłaś w taki sposób przez całe życie.

– No, to niezła reklama, muszę przyznać – odparła Fran.
Caleb się roześmiał.

– Obiecałem, że nie będę niczego wciskać, prawda? Przykro mi, jeśli okazałem nieco za dużo entuzjazmu. Czy masz jakieś pytania, zanim przejdziemy do testu?

– Czym jest test osobowości? – zapytała Fran.

– No cóż, to nic nie boli. – Zaczekał, aż Fran się roześmieje. – Nie ma żadnego egzaminu końcowego. To dokładnie to, na co wskazuje nazwa, seria pytań pozwalających na określenie twoich celów, a do tego mocnych i może kilku słabych stron. Wszyscy je mamy. – Uśmiechnął się.

– Jak długo on trwa?

– Mniej więcej godzinę. Ale nie ma się co spieszyć, lepiej dać sobie trochę czasu. Później omówimy twoje odpowiedzi. Wszystko jasne? Nie masz żadnych obaw?

– Absolutnie – odpowiedziała Fran.

– To dobrze. Przygotujmy się.

Fran odsunęła się wraz z krzesłem, żeby Caleb mógł kliknąć myszką i wczytać kwestionariusz. Przedstawiony przez niego opis tej ankiety kojarzył się z testami osobowości, jakie można znaleźć w internecie.

– Nie martw się, zostawię cię w spokoju. Będę w pomieszczeniu obok, gdybyś czegokolwiek potrzebowała. Wystarczy, że zapukasz. Masz tutaj wodę i kubeczki. Jesteś gotowa, Francesco. Podjęłaś doskonałą decyzję, przychodząc dziś tutaj. Mam dobre przeczucia co do ciebie.

– Pewnie mówisz tak każdej dziewczynie – zażartowała Fran.

Caleb się roześmiał.

– Zaufaj mi, nie mówię. Potrafię po prostu dobrze oceniać ludzkie charaktery, a ty roztaczasz wokół siebie dużo pozytywnej energii. Powodzenia z testem. W razie czego wołaj.

Z tymi słowami zostawił ją samą z komputerem. Fran zaczęła czytać pytania.

„Często się zastanawiasz nad istnieniem życia po śmierci”.

Absolutnie się zgadzam. Zgadzam się. Zgadzam się częściowo. Nie wiem. Nie zgadzam się częściowo. Nie zgadzam się. Absolutnie się nie zgadzam.

Fran kliknęła „Absolutnie się zgadzam” i przeszła do następnego pytania.

Rozdział 61

WTEDY

Caleb musiał zjechać z jezdni, żeby Mary mogła zwymiotować. Elijah ją przytrzymał, kiedy opróżniała żołądek na poboczu autostrady. Powiedział Calebowi, że nie zamierza pozwolić jej uciec, bo ojciec chciał ją z powrotem. Nie zamierzał sprawić mu zawodu.

Po raz pierwszy, od kiedy Esther się dowiedziała, że jadą do domu, poczuła na skórze mrowienie, jakby po rękach biegały jej setki insektów. W jej siedmioletnim umyśle matka zawsze była dorosłą, która blokowała jej dostęp do rzeczy, których chciała najbardziej, na przykład do powrotu do ojca Jamesa lub wyjazdu z Anglii. Teraz jednak stres Mary zaczynał się jej udzielać. Zaczęła wyraźniej dostrzegać jej ból.

Rodzina obdarzała ją miłością. Były dni, kiedy odczuwała to najintensywniej. Nie narzekała na brak przytuleni i pocałunków. Były też jednak takie chwile, kiedy w ogóle nie było o tym mowy, kiedy czuła się niewidoczna lub jeszcze gorzej. Esther siedziała w samochodzie z dłońmi na kolanach. Zastanawiała się, czy nie wbić sobie palców w ciało, żeby to wszystko powstrzymać. Często

tak robiła, krzywdząc się, żeby odegnać różne myśli. Takie naciskanie często pozostawiało małe, purpurowe sińce.

Choć na ranczo dojechali już po zmroku, cała rodzina czekała na nich przed domem. Esther słyszała ciężki oddech Mary i zgrzyt opon na kamieniach. Ich przyjazd obserwowały dwa lub trzy rzędy ludzi. Zaczęła wypatrywać Grace, Paula i Delilah, ale nigdzie ich nie widziała. Może byli już w łózkach. Jedna z twarzy uśmiechnęła się do niej i dziewczynka aż podskoczyła. Na jego widok natychmiast odeszły wszelkie troski.

– O Boże – powiedziała Mary. – Nie, Elijah. Proszę. Chciałam od tego uciec, a teraz ściągnąłeś mnie tutaj z powrotem.

– Przestań narzekać, kobieto! – Klepnął ją w tył głowy i zacisnął palce na włosach. – Nigdy nie powiedziałem, że będziemy trzymać się z dala od Dnia Sądu. Nigdy ci tego nie obiecałem.

Mary wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Esther.

– Zaopiekuję się tobą. Obiecuję. Niezależnie od tego, co się wydarzy.

– Och, daj spokój, Mary – odezwał się Caleb z uśmiechem. – Szczególnie ty powinnaś dobrze wiedzieć, że nie krzywdzimy dzieci w rodzinie.

– Tak – odparła. – Szczególnie ja.

Jej oczy zalśniły w ciemności jak perły.

Esther nie zdążyła się zastanowić nad tymi słowami, bo samochód stanął. Caleb rzucił Mary ostatnie spojrzenie i otworzył drzwi. Wszyscy wysiedli. Grupa witających ich osób zmieniała się nieco, od kiedy Esther była po raz ostatni na ranczu. Niektórych twarzy w ogóle nie rozpoznawała. Ale to nie miało znaczenia i wcale jej to nie niepokoiło. Wiedziała, że będą mili i przyjaźni, bo

ojciec dobrze oceniał ludzkie charaktery. Jeśli twierdził, że ktoś jest dobry, to tak właśnie było.

Ludzie się poruszyli, kiedy ci obeszli samochód i się do nich zbliżyli. Wszystkie kobiety stłoczyły się wokół Mary, uśmiechając się i rozkładając ręce. Otoczyły ją ciasno i zamknęły w uściskach. Gładziły ją po włosach, całowały w policzki i poklepywały.

– Siostro – mówiły co chwilę. – Siostro.

Mary poddała się im i zniknęła w grupie osób.

Mężczyźni powitali Elijaha w podobny sposób. Poklepywali go po plecach i mierzwili włosy. Przytulili go i wciągnęli między siebie. W oczach Elijaha zalśniły łzy.

– Bracie – wołali. – Bracie.

Elijah zaczął powtarzać to słowo. Esther obserwowała to i czekała. Wkrótce dorośli się rozstąpili i zwrócili w jej stronę. Podeszli bliżej z otwartymi ramionami. Esther zamknęła lukę między nimi, gotowa przyłgnąć do ich ciepłych ciał. Otoczyli ją, a kiedy znalazła się w samym środku, zaczęli powtarzać: „Córko”.

Miłość.

Esther nie wiedziała zbyt wiele o zewnętrznym świecie, bo nie spędziła w nim dużo czasu. Z tego, co doświadczyła w Leacroft, nikt nie kochał jej tak jak oni. To była miłość. To była akceptacja.

Ludzie się odsunęli, a Esther stanęła w środku kręgu. Mary stała po jej prawej stronie, a Elijah po lewej. Płakał, a Mary stała nieruchomo, wpatrzona w ludzi. W ojca.

Ojciec miał na sobie strój, w którym wygłaszał kazania – białe, lniane spodnie i koszulę z połączoną nitką biegnącą wzdłuż materiału. Złoty zegarek pasował do jego stroju i opalenizny. Choć było już po zmroku, na nosie miał okulary przeciwsłoneczne. Esther rozumiała dlaczego. Znała moc jego spojrzenia. Jego białe

zęby niemal niepokojąco kontrastowały z nocnym niebem. Uniósł ręce i rozłożył je, jakby chciał objąć wszystkich naraz. Nosił złote pierścionki, a na lewym małym palcu miał je dwa. Otaczało go kilku barczystych mężczyzn, którzy zawsze wzbudzali w Esther niepokój. Ochroniarze ojca.

Stał tam, rozkoszując się panującą ciszą. Esther patrzyła na niego oniemiała z emocji.

Skinął głową w stronę Elijaha.

– Jestem rad. Wrócił mój syn.

Elijah pociągnął nosem i odparł łamiącym się głosem:

– Wspaniale jest znów otaczać się twoim blaskiem, ojcze. Czy wybaczysz mi, że zszedłem z wytyczonej przez ciebie drogi?

Ojciec James go uciszył. Elijah otarł nos grzbietem dłoni. Ojciec podszedł do Esther, która poczuła biegnący wzdłuż kręgosłupa dreszcz. Pochylił się przed nią i uniósł palcem jej podbródek.

– Moja córka. To prawdziwe szczęście znów widzieć twoją twarz. To trwało stanowczo zbyt długo, Esther. Żałuję miesięcy, podczas których nie mogłem cię poznawać.

Esther się zaczerwieniła. Całym sercem odbierała moc jego słów.

Ojciec James się wyprostował i podszedł niespiesznym krokiem do Mary. Uśmiechnął się do niej, najwyraźniej nieświadom napięcia, które tak doskonale widziała w niej Esther – od zaciśniętej szczęki po zbielejące kostki zaciśniętych dłoni.

– Mary, Mary – powiedział śpiwnym głosem. – Uciekłaś ode mnie. Ukradłaś mi pieniądze. Ale to chyba za tobą tęskniłem najbardziej. Moja kochana żona. Znów jesteśmy ze sobą połączeni.

Uniósł dłoń i przesunął nią po jej policzku. Esther dostrzegła, jak ciałem matki wstrząsa dreszcz.

Rozdział 62

TERAZ

Fran chciała jak najszybciej udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania, żeby w końcu przejść do etapu rozmowy, ale nie okazało się to takie proste, jak myślała. Szacowany czas wypełnienia ankiety również się przeciągnął. Po godzinie ledwie dotarła do połowy. Pytania i stwierdzenia wahały się od dziwacznych, w rodzaju „Często śpiewasz w samotności”, które oznaczyła jako „Zgadzam się”, po głęboko osobiste, jak „Czy często się masturbujesz”. Skrzywiła się i wybrała pole obok „Zgadzam się”. Wśród pytań znalazło się również jedno niepozornie schowane między innymi, zadane bardzo wprost: „Czy masz doświadczenia związane ze stratą dziecka?”.

Fran odpowiedziała, że tak. Pod pytaniem dołączono pole tekstowe umożliwiające wprowadzenie dodatkowych informacji. Napisała w nim o śmierci Chloe. Wpisała pięć wierszy tekstu i momentalnie poczuła się zupełnie wyczerpana. Wstała, podeszła do dystrybutora wody i napełniła kubeczek, patrząc niewidzącym wzrokiem na bąbelki formujące się w urządzeniu. Pijąc, zerknęła na ekran telefonu. Adrian wysłał jej dalsze pytania: „Czy policja

nie może do ciebie zadzwonić tutaj, do Anglii? Chyba zrobiłaś już dość dla tej rodziny? Może powinnaś jednak wrócić do domu?”. Wydeła wargi i zignorowała pytania męża, po czym wróciła do testu osobowości. Niespodziewane pytanie dotyczące tego, jak często ogląda pornografię, nie było już takie złe.

Po spędzeniu przed komputerem dwóch godzin Fran mogła w końcu usiąść z Calebem, by omówić wyniki. Wskazał wydruk, który leżał teraz na dzielącym ich stole.

– Przykro mi z powodu Chloe – powiedział. – Dziękuję, że podzieliłaś się ze mną swoją tragedią.

Nie spodziewała się, że cokolwiek powie na ten temat. Kiedy usłyszała te słowa, przez jej ciało przebiegł dreszcz.

– Zawsze trudno mi się o tym opowiada.

– Oczywiście, całkowicie to rozumiem. To bezpieczna przestrzeń, Fran. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Wszystko, co dotyczy Dzieci Jamesa jest bezpieczne. Cokolwiek zostanie powiedziane w tym pomieszczeniu, nigdy go nie opuści. Chciałbym, abyś poczuła, że możesz się całkowicie otworzyć. Dopuszczam każdy rodzaj emocji.

Ten człowiek – młody mężczyzna, zaledwie dwudziestokilkuletni – mówił jej rzeczy, które musiała usłyszeć, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Roześmiała się nerwowo, ale w środku poczuła, jakby ktoś wycisnął jej powietrze z płuc. Nie było to nic nowego ani przełomowego, ale jednocześnie uświadomiła sobie, jak mało ważna czuła się w domu.

– Omówimy teraz wyniki – powiedział Caleb. – Musisz przy okazji zrozumieć, że nie ma mowy o zaliczeniu lub niezaliczeniu czegokolwiek. To nie jest egzamin.

– A dostanę chociaż złotą gwiazdkę? – spytała Fran, próbując niezdarnie powstrzymać lekkość rozmowy, a tak naprawdę drżąc

przed oceną jej odpowiedzi. Wszystko, co podała w kwestionariuszu, było zgodne z prawdą, gdyż taka właśnie była ludzka natura. Teraz poczuła, jakby nie była w stanie stawić czoła temu, co powiedzą o niej te wyniki.

Caleb uśmiechnął się w chłopięcy sposób.

– Obawiam się, że właśnie się skończyły. – Przestał się uśmiechać, kiedy powrócił do arkusza leżącego na stole. – Okej, mamy tutaj kilka podsekcji. Patrzymy na twój wewnętrzny spokój, zewnętrzne cele oraz duszę. Czy zdawałaś sobie sprawę z tego, że cierpisz na depresję?

Fran się roześmiała.

– Nie cierpię na depresję.

– Nosisz w sobie głęboko traumatyczny ciężar emocjonalny. Czy kiedykolwiek zakończyłaś żałobę po Chloe?

– Oczywiście, że nie, ale to nie oznacza, że mam depresję.

– Czyżby? – wskazał jeden ze szczytów na wykresie. – Spójrz tylko na tę burzę w twoim stanie emocjonalnym. Wykracza poza dopuszczalne granice.

– A co z moimi celami zewnętrznymi?

– Widzę tutaj kogoś, kto oczekuje czegoś więcej od życia. Odpowiedziałaś „absolutnie się zgadzam” na stwierdzenie, że dryfujesz w życiu bez poczucia celu.

– Naprawdę? Nie pamiętam.

Uniósł długopis, jakby razem wpadli na coś odkrywczego.

– Ach. Czyli inicjatywę przejęła twoja podświadomość. To dobrze. W im większym stopniu posługujesz się w tym teście intuicją, tym lepsze uzyskujesz wyniki.

– Jasne. – Przypomniała sobie, że to wyłącznie pseudonauka, której celem było wyszukanie osób wrażliwych oraz że ten

człowiek opowiada same banialuki.

– Twój wewnętrzny spokój i zewnętrzne cele wspólnie tworzą twoją kompletną postać. Albo twoją duszę. – Splótł palce. – Widzę, że wierzysz w życie po śmierci.

– Przez całe życie byłam chrześcijanką – odparła Fran.

– Czyli musisz wierzyć w istnienie duszy.

– Tak.

– W mojej rodzinie – a mam tutaj na myśli rodzinę, którą sobie wybrałem, a nie tę, w której się urodziłem – wynosimy koncepcję duszy o cały poziom wyżej. Nadajemy jej priorytet w stosunku do wszystkiego innego. Jesteś istotą holistyczną. Twoja jaźń jest wszystkim, co masz. Twoją duszą, esencją życiową, wszystkim. Dlaczego tak zaniedbałaś swoją duszę, Francesco?

Popatrzyła na niego, niezdolna do wypowiedzenia słowa, czując nagle, że ten chłopak – o połowę od niej młodszy – całkowicie rozkłada ją na łopatki.

– Nie wydaje mi się, żebym ją zaniedbała.

– Tak łatwo do tego doprowadzić. Większość z nas zaniedbuje swoją najcenniejszą esencję. – Wskazał wykresy. – Ale tutaj są wszystkie odpowiedzi. Wewnętrzny spokój i zewnętrzne cele. To jest twój początek.

Rozdział 63

WTEDY

Esther obudziła się wciąż pełna emocji. Tej nocy pozwolono jej spać w domu, a był to przywilej, którym cieszyło się niewiele dzieci. Spała na sofie w salonie, ale i tak było jej dużo wygodniej niż innym jej rówieśnikom. Następnego ranka poszła z Mary i ojcem do sali kazań, gdzie odmówili modlitwy przed śniadaniem. Mieszkańców rancza było zbyt wielu, żeby wszyscy mogli pomieścić się w kuchni, więc w przerobionej stodole ustawiono dwa długie stoły. Esther wygięła szyję i spojrzała na belki pod sufitem. Wciąż pachniało tam suchą słomą, a wpadające przez okna poranne słońce podświetlało wirujący kurz na złoto. Tęskniła za uczuciem pyłu osiadającego na karku, kiedy spacerowała po ranczu.

Za wielkimi naczyniami z owsianką i paterami z owocami stały dwie służące, które wydawały posiłki. Esther zabrała miseczkę i dołączyła do innych dzieci. Usiadła między Grace i Delilah. Po przeciwnej stronie stołu Mary mieszała bez życia owsiankę. Esther wiedziała, że jest z nią coś nie tak, ale nie wiedziała co. Jej oczy błyszczały tak samo, jak w ciągu kolejnych tygodni po

incydencie w lesie. Może opętały ją demony. Ojciec James wyjaśniał, w jaki sposób atakują one ludzką jaźń. W głowie Esther były one mrocznymi cieniami, które latały wokół zainfekowanej osoby i nurkowały jak orły w jej głęb, zadając rany. Zadrzała.

– Paul mówi, że wyjechałaś do Anglii.

Esther odwróciła głowę w stronę Grace. Kiedyś były najlepszymi przyjaciółkami. Do tego również siostrami, choć zupełnie nie były do siebie podobne. Grace miała oliwkową skórę i piegi na nosie. Delilah miała czarne włosy i niebieskie oczy. Paul był wysokim blondynem. Tak to właśnie wyglądało w ich rodzinie.

– Tak, pojechaliśmy w okropne miejsce o nazwie Leacroft. – Napiała się wody i otarła usta grzbietem dłoni.

Grace prychnęła z odrazą.

– Dlaczego wyjechaliście? – spojrzała na Mary, złożyła dłonie i przysunęła je do ucha Esther. – Uciekliście?

– To wszystko przez nią – wyszeptała Esther wprost do ucha Grace.

Dziewczynka się skrzywiła, przemyślała krótko słowa przyjaciółki i szepnęła:

– Ale dlaczego chciała uciec? Jest przecież faworytką ojca.

Esther wzruszyła ramionami. Ona też nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Wtedy pomyślała, że może to Mary była przez cały czas pijawką. Pijawki niszczyły dom, który zbudowali razem jako rodzina. Ojciec James opisywał je jako wampiry, które wysysają wszystko, co jest dobre. Pochłaniają wewnętrzny spokój. Najgorsze jego zdaniem było jednak to, że pijawki nie wierzą w nic dobrego, a już na pewno nie w moce ojca.

Chciała coś wyszeptać do Grace, kiedy do sali kazań wszedł ojciec James. Poruszał się wolniej, niż to zapamiętała, i zaraz się zmartwiła, że może być chory. Towarzyszyło mu czterech ochroniarzy, ci sami potężni, groźni mężczyźni, którzy stali obok niego poprzedniego wieczoru. Wiedziała, że jeden z nich ma na imię Isaiah. Był brodaty i barczysty. Najwyższy miał chyba na imię Zachary. Dwaj pozostali byli nowi.

Tego ranka ojciec James założył klapki, czarną koszulkę i gruby, złoty naszyjnik. Cała grupa natychmiast wstała i pochyliła głowy w geście szacunku.

Esther odważyła się zerknąć na ojca Jamesa, który podszedł do szczytu pierwszego stołu. Isaiah odsunął mu krzesło, by mógł usiąść. Drewno zazgrzytało o beton, kiedy rodzina wróciła na miejsca. Jedli w ciszy, czekając, aż ojciec James się wypowie. Esther zabrała truskawkę z miski.

– Dziś będę medytował w domku w górach – oznajmił ojciec. – Zabiorę ze sobą Mary.

Esther spojrzała na matkę, ale ta nie zareagowała w żaden sposób. Odłożyła jedynie łyżkę i wbiła wzrok w ścianę. Dziewczynka spojrzała na Elijaha, który siedział z Calebem przy drugim stole. Nie odezwał się do niej ani słowem tego ranka, ale nie obchodziło jej to. Cieszyła się, że nie będzie musiała z nim mieszkać, jak w Leacroft. Nie był jej ojcem, a ona nie była jego córką. Wszystko w Leacroft zostało ukartowane, jakby odgrywali przedstawienie przed Anglikami.

– Po ich odejściu między Mary i Elijahem doszło do nielegalnego małżeństwa – powiedział ojciec James. – Było ono niezgodne z zasadami, bo żadne z nich nie poprosiło mnie wcześniej o zgodę. Postanowiłem właśnie, że to małżeństwo zostanie anulowane.

Mary pozostanie jedną z moich żon. Elijahu, możesz poślubić Hannah.

Esther spojrzała na Hannah, rudowłosą dziewczynę o spiczastym podbródku, rówieśnicę Caleba. Zapamiętała ją jako jedną z dziewczyn, które wciąż ich odwiedzały, kiedy mieszkali w starym domu w Dove Valley. Zobaczyła, jak Hannah wytrzeszcza oczy z przerażenia i otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć. Dziewczyna spojrzała na innego chłopaka, Jude'a, i natychmiast popłynęły jej łzy. Niespodziewanie Hannah wstała.

– Wybacz, ojciec – powiedziała. – Jestem wdzięczna, że wybrałeś właśnie mnie, ale muszę przyznać, że liczyłam na to, że wraz z Jude'em...

– Słucham? Powiedz mi, dziewczyno, czy ty siedzisz na moim miejscu?

– N-nie – wybąkała.

– Czy śpisz w moim łóżku?

Opuściła wzrok i pokręciła głową.

– Czy leczysz chorych? Wypowiadasz słowa Boga? Pomagasz ludziom w dojściu do zbawienia? Czy to tobie Bóg powiedział o Dniu Sądu?

Hannah zaczęła łkać.

– Nie.

– Spójrz na mnie, dziecko. – Ojciec James zdjął okulary i cała rodzina zeszywniała. Esther również. – Popatrz mi w oczy.

Hannah powoli uniosła głowę i spojrzała na niego. Przez cały czas podrygiwała od płaczu. Jej twarz wykrzywił grymas. Patrzyli na siebie przez chwilę, a wszyscy wstrzymywali oddech. Esther poczuła niepokój. Czowała już kiedyś na sobie moc spojrzenia ojca. Łkanie stopniowo ustało i Hannah zaczęła normalnie oddychać.

W pierwszej chwili Esther odetchnęła z ulgą, ale w tej samej chwili oczy dziewczyny uciekły w głąb czaszki i padła bezwładnie na podłogę stodoły, strącając przy okazji łyżkę. Jude natychmiast wstał, ale się nie poruszył. Tylko patrzył. Esther spojrzała na Elijaha, który siedział sztywno na swoim miejscu.

To Isaiah podniósł nieprzytomną kobietę i wyniósł ją ze stodoły. Ojciec wziął swoje okulary i założył je z powrotem na nos. Następnie chwycił łyżkę i zaczął jeść owsiankę.

Rozdział 64

TERAZ

Fran wyszła z ośrodka testowego w porze lunchu i czuła się zupełnie wyczerpana przez całą tę procedurę. Przez około dziesięć minut krążyła bez celu, starając się zebrać myśli, aż w końcu weszła do baru na kanapkę z grillowanym serem i mrożoną herbatę. Żołądek zaczął już protestować przeciwko całemu temu pieczywu, serom i cukrowi, które ostatnio jadła, ale smakowało jej i zapewniło energię niezbędną do przetworzenia w głowie tego wszystkiego, co się wydarzyło.

Nigdy nie miała żadnych związków z sektami, nigdy też nie została do żadnej z nich zwerbowana. Wciąż była wstrząśnięta, jak skuteczny jest to proces. Osobiste pytania, przyjazny, terapeutyczny „opiekun klienta”, żal i ból, którym się z nim ostatecznie podzieliła. Do tego fakt, że spędziła tam trzy godziny i zdążyła się w to wszystko zaangażować. Wybrała rozszerzoną wersję konsultacji, obejmującą dogłębną analizę wyników, co kosztowało ją siedemdziesiąt pięć dolarów. Był też inny ukryty koszt.

Do głowy przyszła jej rozmowa, którą przeprowadziła kiedyś z Adrianem na temat działalności ich przyjaciółki. Fran zaprzyjaźniła się z Deepą, która założyła swoją własną cukiernię w Buxton. Poświęciła na to swoje wszystkie oszczędności, ale zakład nie radził sobie dobrze. Kiedy Deepa oświadczyła, że wzięła pożyczkę z banku, Adrian dosyć bezdusznie skomentował, że powinna raczej porzucić cukiernię, sprzedać ją i uciąć koszty. Nie skończyło się to zbyt dobrze. Pożyczyła wiele tysięcy, pracowała całymi dniami i stała się bankrutem, który błagał o pożyczkę znajomych. Gdyby Deepa nie wydała od razu pieniędzy, z którymi była emocjonalnie związana, to czy męczyłaby się z tym tak długo?

Teraz Fran zapłaciła za swoją analizę osobowości, której wyniki miała w torbie, i poczuła się w jakiś sposób związana z tą organizacją. A jej twarzą okazał się uśmiechnięty, nieoceniający nikogo Caleb, który w łagodny sposób zdiagnozował u niej depresję.

Po zjedzeniu kanapki Fran sprawdziła telefon i znalazła nową wiadomość od Caleba. Podsumowanie konsultacji zabrało mu niespełna godzinę.

Droga Francesco,

dziękuję, że odwiedziłaś dziś ośrodek testowy Dzieci Jamesa. Mam nadzieję, że wyniki okazały się dla ciebie bardzo pouczające. Wybacz, że odzywam się po tak krótkim czasie, ale uznałem, że przełamaliśmy dziś pierwsze lody. Nie ma mowy o jakichkolwiek naciskach, ale bardzo chciałbym pozostać z tobą w kontakcie.

Dołączyłem do wiadomości pięć pierwszych rozdziałów Księgi Jamesa, zawierających więcej informacji na temat zbawienia, do którego drogą są wewnętrzny spokój i zewnętrzne cele. Jeśli spodobały ci się te rozdziały, resztę możesz dokupić w formie e-booka za trzy dolary i dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Aktualnie mamy wyprzedaż!

Chciałbym podkreślić, jak bardzo spodobała mi się nasza dzisiejsza rozmowa. Teraz, kiedy wykonałaś już swój pierwszy krok, zastanawiam się, czy byłabyś zainteresowana drugim. Organizacja Dzieci Jamesa prowadzi warsztaty na naszym spokojnym, idyllicznym ranczu, położonym w górach Catalina. Poniżej znajdziesz link do kolejnych informacji. Warsztaty są jednodniowe i koncentrują się na leczeniu duszy. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak ważna jest praca nad nią. Z pewnością ty i twoja dusza jesteście warte tego wysiłku.

Wierzę w ciebie, Francesco.

Zdołasz osiągnąć zbawienie.

Twój przyjaciel

Caleb

Fran zamknęła aplikację mailową i zagryzła wargę. A więc to był drugi etap. Książka i warsztaty. Książka będzie bez wątpienia wypełniona ogólnymi, nonsensownymi stwierdzeniami na temat duszy i jaźni oraz ich holistycznej natury, znajdzie się tam z pewnością również definicja zbawienia. Warsztaty będą z kolei pełne członków sekty, którzy wcielią się w role podobnych do niej rekrutów.

Miały się one jednak odbyć na ranczu, a tam jej zdaniem mieszkały teraz Mary i Esther. Była to doskonała okazja, żeby się przyjrzeć temu miejscu. Uruchomiła ponownie aplikację i otworzyła maila. Przeczytała go jeszcze raz, po czym otworzyła łącze prowadzące do cennika warsztatów. Jednodniowy kurs kosztował dwieście dolarów. Kolejne koszty. Wyobraziła sobie jako kogoś zagubionego i poszukującego sensu życia. Przez moment stała się osobą, która utknęła w kręgu nienawiści do samej siebie. Pomyślała o konsultacji z przyjaznym Calebem i późniejszym kursie. Tak, teraz to wszystko dostrzegała. Przekonała się, jak łatwo dać się wciągnąć w tę religię. Nie miała prawie ochoty odpisywać. Pragnęła podświadomie pojechać prosto na lotnisko i wsiąść do najbliższego samolotu lecącego do Wielkiej Brytanii. Zdecydowałyby się nawet na jakikolwiek inny kraj europejski, byleby znaleźć się jak najdalej stąd.

Ale to byłoby aktem tchórzostwa. Odpisała Calebowi i powiedziała mu, który kurs chciałyby zarezerwować. Natychmiast odesłał jej program i fakturę.

Rozdział 65

WTEDY

Arizona była gorętsza i bardziej zapyłona, niż zapamiętała to Esther. Już w południe jej palce miały zapach proszku do prania, a ręce bolały ją od składania ubrań. Bez problemu jednak odnalazła się w tej rutynie, spędzając czas z innymi dziećmi. Aaron i Angel, para należąca do rodziny, mieli teraz sześciomiesięcznego szkraba imieniem Judith, którego Esther uwielbiała delikatnie kołysać. Wraz z Grace pilnowały zawiniętego w pieluszki dziecka w łóżeczku w pobliżu pralek, gdy zajmowały się praniem pościeli. Co pewien czas zmieniały się przy pieluchach i karmiły Judith z butelki. Angel nie mogła widywać dziecka w ciągu dnia, bo miała pracę na ranchu bądź w Tucson, gdzie rozdawała ludziom ulotki.

Tak to właśnie działało w ich rodzinie. Dzieci zajmowały się sobą wzajemnie. Spały poza domem w jednej sali, która kiedyś była schronem burzowym. Wszystkie starsze powyżej czterech lat sypiały tam razem. Młodsze dzieci zostawały na noc z rodzicami w przebudowanej stodole.

Esther brakowało szeptów i chichotów w ciemnościach. W nocy grali w grę. Każde z nich recytowało modlitwę, ale zamieniało niektóre fragmenty, wstawiając słowa pozbawione sensu. Pozostali musieli odgadnąć modlitwę, opierając się na samym rytmie. Kiedy gra się im nudziła, rozmawiali o sobie. Esther szeptała do Grace na temat Davida, najmłodszego i wiecznie zasmarkanego, lub o tym, jak Delilah gada przez sen.

Było jeszcze jedno nowe dziecko, chłopiec imieniem John. Miał sześć lat i płakał co noc. Często nie chciał z nimi rozmawiać, co działało innym na nerwy. Esther i Grace nastawiały się z tego powodu do niego coraz bardziej wrogo. Najpierw wykrzykiwały polecenia na farmie, a potem nadawały mu okrutne przydomki. Tym, który ostatecznie pozostał był Śmierdziuch.

Było to niesprawiedliwe i Esther zdawała sobie z tego sprawę, bo wcale źle nie pachniał. Jedynie wieczorami, po długim dniu spędzonym na pracy na ranczu. Ale Śmierdziuch drażnił ich dlatego, że był wiecznie nieszczęśliwy. Pociągał nosem i płakał całymi dniami i nocami. Na śniadanie jadł tylko odrobinę owsianki, po czym odsuwał miskę. Pewnego razu ojciec musiał przemówić do Zachary'ego, żeby ten przekonał chłopca do jedzenia. John nigdy nie pamiętał swoich modlitw i nie potrafił ich recytować podczas kazań. Zdarzało się również często, że bluźnił przeciwko ojcu Jamesowi. Wcale nie cieszył się z życia na ranczu i dla Esther było to nie do pomyślenia, zwłaszcza że sama została zmuszona do jego opuszczenia na pewien czas.

Śmierdziuch zawsze podlegał jej i Grace. Musiała mu demonstrować, jak składać pościele i kroić cebulę. Cmokała na niego z niezadowoleniem wiele razy w ciągu dnia, a Grace wybuchała śmiechem, kiedy nie wiedział, jak użyć obieraczki do

warzyw lub jak odmierzyć cukier. One znały wszelkie tajniki tego rancza. Znały zasady. Miały władzę i się nią cieszyły.

Przez większość czasu.

Czasami późno wieczorem Esther nie mogła spać. Słyszała pociągającego nosem Śmierdziucha i bolał ją brzuch. Wbijała kciuki w nogi, żeby odegnąć ból, wiedząc, że następnego dnia Grace będzie chichotać w reakcji na jej mądre, cięte uwagi. Źle się czuła w nocy, ale lubiła też rozśmieszać Grace.

Byli na ranczu już od niemal tygodnia i Esther widziała Mary jedynie raz czy dwa razy. Elijaha za to wcale. Założyła, że spędzał czas z Hannah, swoją nową żoną. Czasami brakowało jej Mary, choć uparcie próbowała się przekonywać, że tak nie jest. Ojciec lubił mieć Mary przy sobie przez większość czasu. Spała w jego prywatnej sypialni, a w ciągu dnia jeździła z nim w góry. Był to największy przywilej dla członka rodziny. A mimo to Mary przypominała trochę Śmierdziucha, zawsze snuła się i pociągała nosem. Kiedy ich drogi krzyżowały się w ciągu dnia, Mary rozkładała ręce, chcąc przytulić córkę, ale ta unikała bliskości. Na twarzy Mary pojawiał się wówczas wyraz bólu, tak żaloszny, że dziewczynka musiała się odwrócić. Mary obejmowała się wtedy ramionami i odchodziła niepewnym krokiem.

Za to nocami to Esther często pragnęła znaleźć się w ramionach matki.

Pewnego dnia dziewczynka zbierała jajka z kurnika, kiedy ujrzała Mary i ojca wracających z gór. Mary siedziała ze zwieszonymi ramionami, a lejce opadały luzem z końskiego karku. Dosiadała Oakleya, kasztanowego wałacha, którego Esther nie lubiła, bo panikował, kiedy miał być oporzędzany. Za nimi jechał ochroniarz, którego nie znała. Stała w kurniku

i obserwowała, układając bezwiednie jajka w koszyku. Była sama. Śmierdziuch miał dyżur w kuchni. Grace i Delilah przewijały dziecko. David i Paul zamiatali stodołę.

Mary zaczęła mówić, co było w ostatnim czasie dość rzadko spotykane, a jej głos dobiegł uszu Esther.

– Rozważysz to, co powiedziałam?

Ojciec James zatrzymał swojego konia i na nią popatrzył. Stali teraz bok w bok.

– Już to rozważyłem.

– I?

– Moja słodka Mary. Kocham cię, dziecko, ale wystawiasz moją cierpliwość na próbę. Posłuchaj mnie, proszę. Bóg ma plan, a ja ten plan widziałem. Wiesz, że on przeze mnie przemawia. Jestem jego naczyniem. Niepokoi mnie fakt, że stale mnie testujesz. Widzę, że twoje zewnętrzne cele są zupełnie pogmatwane. Ostrzegalem cię już wcześniej przed czymś takim, nieprawdaż? Zaczynasz się zmieniać w pijawkę, a wiesz dobrze, jak ich nienawidzę.

Esther widziała jedynie okulary przeciwsłoneczne ojca, nie wyraz jego twarzy, ale z pewnością się nie uśmiechał.

Mary zabrzmiała piskliwie, jak spanikowane zwierzę.

– Co ty mi robisz? Jestem przez cały czas zmęczona i skołowana. Czasami z trudem wypowiadam słowa. W nocy mam dreszcze. Faszerujesz mnie czymś? Czy w ten sposób zmieniasz mnie w jednego ze swoich pasywnych zombie? To się nie uda.

– Bierzesz ten lek dla własnego dobra. – Wyciągnął rękę, poklepał Oakleya po karku i przesunął dłonią po jego grzywie.

– Robisz to po to, żeby mnie kontrolować – powiedziała zdławionym głosem, jakby w gardle utknęła jej gorzka cytryna. –

Jak wtedy, kiedy mnie poślubiłeś, a miałam dwanaście lat. Tym właśnie jesteś. Późno to dostrzegłam. Podobałeś mi się. Adorowałam cię, a ty nieustannie mnie raniłeś. Powinnam była stawić czoła Elijahowi. Zabrać Esther i uciec w Anglii... I...

– Dziecko, ty potrzebujesz jedynie tego, żeby wskazać ci drogę. Wyrzuć z siebie tę nienawiść i przyjmij miłość. Tu jest twoja rodzina i wszyscy ci wybaczą. – Ojciec pociągnął Oakleya za grzywę i koń zaczął się wiercić. Szarpnął mocniej, na co zwierzę zaprotestowało, odsuwając się.

Mary szybko złapała lejce, gdy Oakley zaczął tańczyć na boki. Esther wiedziała, że Mary nie przepada za jazdą konną. Kiedyś zrzuciła ją jedna z klaczy i od tamtej pory jej matka miała uraz. Ojciec James również zdawał sobie z tego sprawę, bo tam był. Dziewczynka znieruchomiała, przestraszona, że Mary spadnie z siodła, ale koń zaczął się uspokajać i grzebać kopytem w ziemi. Mary pochyliła się i przylgnęła do kłębu Oakleya. Esther przez cały czas słyszała jej płacz. Jest słaba, pomyślała, ale jej mięśnie odprężyły się dopiero, kiedy się upewniła, że matka jest bezpieczna.

Ojciec zeskoczył z konia i podszedł do Oakleya. Pogładził kasztanową sierść i położył dłoń na udzie Mary.

– Uzdrowię cię, Mary, a ty przyjmiesz zbawienie. Chcę, byś stała u mojego boku w Dniu Sądu. Pragnę mieć cię przy sobie, nie gdzieś w oddali. Jesteś moim numerem jeden i zawsze nim byłaś. Powiedz, że ze mną będziesz.

Mary uniosła głowę. Pod nosem miała smarki.

– Muszę być z Esther. To moje dziecko.

– Nasze dziecko – poprawił ją.

– Daj jej żyć, ojcie. – Mary się pochyliła, chwyciła jego dłoń i ucałowała palce. – Daj jej żyć, a zrobię wszystko, co zechcesz, i będę tym, kim zechcesz.

Rozdział 66

TERAZ

Detektyw z policji w Tucson nie skontaktował się z Fran. Skorzystała z WhatsAppa, żeby zadzwonić do Adriana i poinformować go, że planuje zostać w Arizonie jeszcze co najmniej tydzień. Fran wiedziała, że ta sprawa wymaga czasu. Miała świadomość, że infiltracja sekty oznacza konieczność zdobycia ich zaufania, a to z kolei wiązało się z grą na ich zasadach. Nie powiedziała mu o tym oczywiście. Adrian przyjął to w sposób zgodny z jej oczekiwaniami, mówiąc „no cóż, jeśli tego właśnie chcesz”. Rozmowa urwała się dość nagle.

Po zapisaniu się na następny dostępny kurs Fran zrobiła coś, czego nie robiła od dłuższego czasu. Otworzyła nowy dokument w edytorze tekstu i zaczęła pisać. Rozpoczęła od zebrania faktów dotyczących sekty. Zapisała, kiedy została powołana do życia, kto tego dokonał i kiedy jej członkowie przenieśli się do Arizony. Następnie opisała swoje wrażenia z procesu rekrutacji, od chwili, kiedy wręczono jej ulotkę na ulicy, przez spotkanie z Calebem w ośrodku testowym, aż po wybór kursu. Wplotła również w tekst informacje na temat Mary i Esther. Opowiedziała, jak się poznały,

jak były ubrane. Wspomniała o dziewczynce, która przy stole rzuciła wyzwanie jej poczuciu moralności. Napisała o własnej wierze w Boga i o tym, jak fakt istnienia tej sekty ją przestraszył i nawet wstrząsnął jej przekonaniem.

Do rozpoczęcia umówionego kursu na ranchu miała jeszcze cały dzień, więc zeszła do lobby i postanowiła wypytać jak najwięcej ludzi na temat Dzieci Jamesa. Zaczęła od pracowników hotelu. Większość reagowała skrzywioną miną, kiedy tylko wspomniała tę nazwę. Często niechętnie wdawali się w szczegóły dotyczące funkcjonowania sekty, przyznawali jedynie, że taka istnieje, i dodawali, że jej społeczność ceni sobie prywatność. Mówili również o członkach sekty zajmujących się werbowaniem ludzi w centrum Tucson, uzbrojonych w naręcza ulotek. Niektórzy wspomnieli o elegancko ubranych młodych mężczyznach, którzy pukali do drzwi i wciągali mieszkańców w rozmowy na temat zbawienia i duszy. Sprzątaczką powiedziała Fran, że jej kuzyn został zwerbowany w hostelu.

Fran zapisała to wszystko w dokumencie na komputerze. Nie była pewna, jaki przybierze on kształt. Artykułu? Biografii? Czymś jednak mógł się stać na pewno.

Wieczorem ponownie zadzwonił Adrian. Było to połączenie wideo, ale nie potrafił poradzić sobie z aplikacją, więc skończyło się na rozmowie z czarnym ekranem. Fran zajęta była pisaniem artykułu i rozważała nawet zignorowanie połączenia, ale w końcu zmieniła zdanie i odebrała.

– Tęsknię za tobą, Franny – powiedział i natychmiast wyczuła, że mówi to szczerze. – Ostatnim razem nie pożegnaliśmy się we właściwy sposób, prawda?

– Prawda – przyznała.

– Martwię się o ciebie.

– Nie ma się o co martwić – odparła. – Jak już powiedziałam, daję sobie jeszcze tydzień z haczykiem na ostateczne przekonanie się, czy coś z tego wyjdzie, a potem wracam do domu.

– Czy to jest obietnica? Bo chciałbym, abyś jej dotrzymała.

– Tak. To obietnica.

Choć wyznała to z przekonaniem, w głębi duszy czuła, że to kłamstwo. Gdyby mówiła prawdę, nie czułaby w tym momencie takiego ucisku w żołądku. Powiedziała jednak dość, żeby zapewnić sobie swobodę w poszukiwaniu Mary i nie narazić na szwank swojego małżeństwa. Adrian nie wiedział, jak bardzo tego potrzebowała, co do tego nie miała wątpliwości. I choć do łóżka położyła się w dość kiepskim nastroju, rano obudziła się zdeterminowana. Nadszedł dzień, w którym rozpoczynał się kurs Dzieci Jamesa nr 101, alternatywnie zatytułowany: „Jak się ma twój wewnętrzny spokój i dlaczego tak go zaniedbujesz?”.

Wraz z potwierdzeniem uczestnictwa w kursie otrzymała również zestaw instrukcji. Kazano jej założyć wygodne ubranie i obuwie. Nic z odkrytymi palcami. Trochę ją to zaniepokoiło, ale wyciągnęła to, co miała w walizce, i zabrała się do roboty.

Kolejna taksówka i koszty znów wzrosły. Fran cieszyła się, że posiada własne konto w banku, do którego Adrian nie miał dostępu, ale jednocześnie jej fundusze na nim były dość ograniczone. Traktowała je raczej jak konto na nadzwyczajne sytuacje niż takie, z którego korzysta się regularnie. Przekonywała sobie, że nie ma to większego znaczenia, przynajmniej na dłuższą metę. A już na pewno, jeśli uda się jej odnaleźć Mary i Esther.

– Nie mogę zabrać pani do samego końca – powiedział kierowca.
– Mają zasady. Nikogo z zewnątrz.

– Och. Jak blisko może mnie pan podrzucić?

– Pod zewnętrzną bramę. Ich przywódca wszędzie ma swoich ochroniarzy. Będzie pani musiała przejść przez bramę i pójść polami.

Zgodziła się i wyruszyli w drogę. Po drodze Fran zapytała go o zdanie na temat sekty.

– Wszyscy uważają, że są niegroźni, ale ja się z tym nie zgadzam. Robią sobie w tych górach wszystko, na co tylko mają ochotę. Bóg jeden wie, ilu ich tam mieszka, bo o tym się nie mówi, nie? Może setka, może kilkanaścioro. Gdzie oni sypiają? Co jedzą? Ile pieniędzy zgarnął od nich ten przywódca? Ktoś musi w końcu zamknąć ten cyrk. Tam nie ma żadnej religii, nie wierzę w to – urwał, żeby wziąć oddech. – Nikt nie chce tego powiedzieć na głos. Każdy się boi, że kogoś tym urazi. A oni są gotowi na wszystko.

– A policja? Czy kiedykolwiek ich sprawdzili?

– Z tego, co słyszałem, to nie. Może dopiero kiedy popełnią jakieś przestępstwo. Parę lat temu sytuacja zrobiła się nieco napięta.

– Tak? A co się stało?

– Zaginęła dziewczynka. Cztero-, może pięcioletnia, nie pamiętam już. Tak czy inaczej, rodzice twierdzili, że widzieli jednego z członków sekty kręcącego się koło ich domu. Ktoś z biura szeryfa pojechał to sprawdzić i zorientował się na miejscu, ilu ludzi stamtąd ma broń.

– Czy komuś stała się krzywda?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Pozwolili im przeszukać ranczo, ale dziewczynka się nie odnalazła. Nie było tam żadnych dzieci.

– Ach – mruknęła Fran. To akurat wydawało się mało prawdopodobne.

– Przez chwilę groziło to drugim Waco[2].

– To prawda – Fran wyjrzała przez okno na góry. Broń. Tej zmiennej nie uwzględniła w całym równaniu. Oczywiście, że musieli być uzbrojeni.

– No dobrze, dalej nie mogę pani zawieźć. Proszę tam na siebie uważać. I niech mi pani powie, że nie planuje do nich dołączyć.

– Nie planuję – zapewniła Fran. – Chciałam tylko zobaczyć, jak to wygląda.

– Jasne – rzucił kierowca. – Już to wcześniej słyszałem.

[2] 28 lutego 1993 r. miała miejsce największa w historii Stanów Zjednoczonych obława obiektu cywilnego, trwająca 51 dni. Na farmie należącej do Davida Koresha zabarykadowało się 131 wyznawców sekty Gałąź Dawidowa. Akcja zakończyła się wybuchem pożaru, w którym śmierć poniosło 76 osób, w tym 20 dzieci (przyp. tłum.).

Rozdział 67

WTEDY

Esther starała się nie myśleć o tym, co Mary powiedziała ojcu po zakończeniu konnej wyprawy. Było to jednak niezwykle trudne.

Były same z Grace w stodole i zamiatały leżącą na ziemi słomę. Miotła szurała o betonową podłogę, czemu towarzyszyły odgłosy wydawane przez konie. Znów usłyszała, jak Champion zgrzyta zębami. Pepper uderzała wściekle ogonem. Bert kręcił łbem i parskał, wyrzucając słomiany pył z nozdrzy. Oakley spał, podwinąwszy pod siebie swoje długie nogi, a jego okrągły brzuch unosił się i opadał. Esther pragnęła cieszyć się powrotem na ranczo, słuchać odgłosów odprężonych zwierząt, ale nie mogła się skoncentrować na niczym dobrym, wciąż uciekała myślami do matki i ojca.

Podeszła do Grace i usiadła na beli siana.

– Co robią ze sobą ludzie po ślubie? No wiesz... kiedy chcą mieć dzieci?

– Leżą razem – odparła Grace.

– I to wszystko?

Grace zmarszczyła czoło.

– Chyba ocierają się o siebie nago. Ale Bóg jest też w tym wszystkim w jakiś sposób.

– Po tym, jak są mężem i żoną?

– Tak.

Esther oparła miotłę o ścianę. Dziewczynki używały specjalnych, plastikowych mioteł, żeby łatwiej się im pracowało. Drewniane, używane przez dorosłych, były dla nich za ciężkie.

– Ale ile trzeba mieć lat, żeby z kimś leżeć?

– Nie wiem. Dużo.

– Trzeba być starym dorosłym? Jak ojciec?

– Nie aż tak – odpowiedziała Grace. – Ale starszym od nas.

– Dwanaście lat wystarczy?

Grace zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Nie, starszym niż dwanaście.

Esther pomyślała o Paulu, który miał dziesięć lat. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że miałyby się z kimś pobrać za dwa lata. Paul wciąż dłubał w nosie i zjadał to, co znalazł. Esther również i siebie nie widziała w roli dwunastoletniej żony. Dlaczego w takim razie Mary powiedziała to wszystko? Postanowiła, że opowie o tym Grace. Dziewczynki siedziały razem na bali, skubiąc siano, a Esther przekazała jej treść całej rozmowy.

– Może z nim nie leżała – uznała Grace. – Może pochodzisz z innego miejsca, tak jak ja.

– Może obie zostałyśmy znalezione. – Esther poczuła nagle chęć chwycenia Grace za rękę i tak zrobiła. – Podoba mi się to.

– Mnie też.

Nieco później Esther zaniósła świeżo zebraną kapustę do kuchni w domu, po czym udała się do pralni, żeby poukładać ubrania. Po

drodze zauważyła ojca Jamesa, który stał w przejściu w pobliżu schodów.

– Esther, prawda? – zapytał. Jak zwykle miał na sobie swoje okulary i złotą biżuterię. Obok niego w milczeniu stał Isaiah.

– Tak, ojciec. – Esther skłoniła głowę.

– Chciałbym z tobą porozmawiać. – Wezwał ją gestem dłoni i po chwili przeszli razem do tylnej części domu. Otworzył drzwi do swojego gabinetu, a Esther weszła za nim do środka.

Serce waliło jej jak młotem, kiedy wskazał jej krzesło po przeciwnej stronie biurka i zamknął drzwi. Isaiah pozostał na korytarzu.

– Jak się dziś miewasz? – zapytał ojciec.

– Bardzo dobrze, ojciec. Dziękuję.

– Dobra dziewczynka. Niech no się tobie przyjrzę. – Ku jej zaskoczeniu zdjął okulary i uniósł delikatnie jej podbródek. – No ładnie. Przypominasz mi matkę. Taka piękna buźka.

Esther zadrżała. Spojrzenie jego niebieskich oczu wwiercało się w nią z ogromną siłą, przenikało skórę i kości, sięgając aż do duszy. Ojciec James posiadał umiejętność leczenia tymi oczami. Niektórzy członkowie rodziny nosili na szyjach maleńkie kapsułki z jego łzami, co miało im pomagać na artretyzm i dolegliwości żołądkowe.

Odchylił się na krześle i splótł dłonie za głowę.

– Czy pracujesz nad sobą jako holistyczna, wypełniona duszą istota?

– Tak, ojciec.

– Czy akceptujesz wolę Boga w podróży ku zbawieniu?

– Tak, ojciec.

– Czy wierzysz, że jestem prorokiem, naczyniem i językiem Boga?

– Tak, ojcze.

– To dobrze. A co myślisz na temat swojej matki, Mary?

Esther się zawahała. Opuściła wzrok na dłonie, które miała oparte na kolanach. Potem przeniosła go na regał z książkami. Żadnym członkom sekty nie wolno było mieć książek, ale ojciec trzymał małą kolekcję. Na półce stała oczywiście Księga Jamesa, Biblia, która była bluźniercza, słownik, encyklopedia i sporo pozycji poświęconych medycynie. Mary nauczyła Esther czytać, kiedy ta była jeszcze mała. Jediną książką, którą posiadali, była Księga Jamesa, z niej nauczyła się wszystkiego, co musiała wiedzieć.

– Kocha mnie – odparła w końcu.

– Owszem, kocha. Coś jeszcze?

Esther zacisnęła mocniej dłonie na kolanach, czując znajomy ucisk w brzuchu.

– Kłamie.

Ojciec James uniósł brwi. Otworzył usta, by coś powiedzieć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak?

Do środka zajrzał Isaiah.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ojcze. Masz gościa.

– Poproś, żeby zaczekał w sali kazań, dobrze? – Ojciec odprawił mężczyznę machnięciem ręki i ponownie spojrzął na Esther. – Widzę przed sobą prawdziwą wierną. Dziewczynkę na właściwej ścieżce. Jestem pod wrażeniem, Esther. Naprawdę. A teraz mi powiedz, co wiesz na temat Dnia Sądu?

– W Dniu Sądu otrzymuje się zbawienie od Boga.

– Zgadza się. – Ojciec James się uśmiechnął. – Słyszałem, że sama z siebie zajmujesz się organizacją pracy dzieci na ranchu. W swojej mądrości Bóg mi powiedział, że masz do odegrania ważną rolę w Dniu Sądu. Czy chcesz usłyszeć, co mam na myśli?
Esther pokiwała energicznie głową.

Rozdział 68

TERAZ

Caleb stał z dłońmi wciśniętymi niedbale w kieszenie przy składającej się z pięciu belek bramie. W pobliżu nie było nikogo innego. Fran uniosła dłoń w geście powitania, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego przyszedł sam. Czy była tego dnia jedyną uczestniczką? To by było bardzo dziwne.

– Wspaniale znów cię widzieć – powiedział, otwierając przed nią bramę. Uśmiechał się do niej szeroko, choć uśmiech ten uznała za bliski upiornemu, coś między powitalnym a wymuszonym.

Minęła bramę i weszła na piaszczysty trakt, który biegł między polami. Kilka koni skubało trawę, potrząsając grzywami w daremnej walce przeciwko krążącym rojom much. W pobliżu znajdowały się również niewielkie stada bydła i kóz. Krowy trzymały się z dala od ogrodzenia, za to kozy podreptały w ich stronę.

– Czyli pracujesz tutaj na farmie? – spytała Fran.

– Częściowo – odparł Caleb. – Jesteśmy stosunkowo samowystarczalni. Sprzedajemy część plonów, ale nie do sklepów. Bydło i kozy zostały uratowane z rzeźni. Kozy wciąż dają mleko,

ale krowy trzymamy tylko z dobroci serca. Czasami latem i jesienią rozstawiamy stragany przy drodze i sprzedajemy różne rzeczy lub przekazujemy je do banków żywności.

– I każdy z członków składa się na tę społeczność?

– Owszem. W taki właśnie sposób tutaj żyjemy.

– A co z zewnętrznymi celami? – zapytała Fran.

Powitalny uśmiech Caleba ustąpił miejsca innego rodzaju grymasowi.

– Nie martw się, wszystko dziś omówimy w trakcie kursu.

– Rozumiem.

– Nie ma się co stresować. To będzie wspaniały dzień, sama się przekonasz. – Zerknął na zegarek. – Kilku innych uczestników już czeka. Powinniśmy rozpocząć punktualnie, ale muszę powitać jeszcze parę osób przy bramie.

Fran próbowała zbudować mentalny obraz wszystkiego, co widziała, kiedy zbliżali się do rancza. Zobaczyła dom, duży, ale niezbyt wielki. Miał drewnianą werandę i koronkowe firany w oknach. Wokół stało kilka innych budynków, z których część wyraźnie przeznaczono dla zwierząt, ale inne mogły mieścić sypialnie dla mieszkańców. Wzdłuż ścian tych stodół ciągnęło się więcej okien, które generalnie wydawały się nieco czystsze. Caleb poprowadził ją w stronę jednego z czystych budynków i polecił zaczekać wewnątrz. Następnie zawrócił i poszedł ponownie w stronę traktu.

Fran kusilo, by zboczyć nieco z kursu i odrobinę powęszyć, ale postanowiła wykonać polecenie. Po drodze przyglądała się mijanym twarzom, poszukując Mary, Esther lub Elijaha. Ale co się stanie, kiedy ich zobaczy? Przecież nie zgodzą się z nią odejść ot tak. Elijah może równie dobrze kazać ją odeskortować i więcej

tutaj nie wpuszczać. Teraz, kiedy była na ranczu, serce waliło jej jak oszalałe. Czy to się w ogóle uda?

Jednocześnie Fran czuła, jakby Adrian się z niej wyśmiewał, jakby kpił z dziwnej sytuacji, w której się znalazła. Nie, to nie była prawda. Nie śmiałyby się z niej, raczej by się o nią bał. Tak naprawdę byłby przerażony.

Weszła do wskazanej przez Caleba stodoły, czując nerwowy ucisk w brzuchu. W środku panował skwar. Wyciągnęła bluzkę ze spodni w nadziei, że to pomoże jej się schłodzić. W holu były cztery osoby. Obok stały ustawione w krąg krzesła. Stodoła została przekształcona w przestrzeń, która skojarzyła się jej z salą ratusza w Leacroft z podwyższeniem na końcu i miejscem dla publiczności na przodzie. To wewnątrz było jednak bardziej otwarte, a obuwie szurało tutaj po betonowej podłodze. Z góry przy krokwiach zwisały kolorowe proporczyki.

Szczupła kobieta w długiej sukience podała jej butelkę wody.

– Będiesz tego potrzebowała – powiedziała.

Fran jej podziękowała.

– Byłaś już wcześniej w takiej sytuacji?

Kobieta miała gładką, mahoniową skórę z dwoma nieco ciemniejszymi półksiężycami pod oczami. Fran uznała, że musiała się ona zbliżyć do czterdziestki.

– Tak, to moje drugie podejście.

– Pierwszy raz cię nie przekonał?

Uśmiechnęła się.

– Nie, ale też się nie zraziłam. Wciąż to przeżywam. To... – urwała, szukając odpowiednich słów. – dość ciężkie.

Fran się roześmiała.

– Tak, z pewnością. Tak przy okazji, jestem Fran. – Wyciągnęła dłoń do kobiety.

– Talisa.

Fran upiła łyk wody. Przynajmniej udało się jej poznać przyjazną osobę, na wypadek gdyby tutejsi ludzie wymagali od niej odgrywania jakichś ról. Fran zadrżała na samą myśl o czymś takim. Zawsze ją to przerażało w pracy.

Kiedy czekali na rozpoczęcie, Talisa wypytała ją grzecznie o akcent, a Fran zapytała ją z kolei, czy pochodzi z Tucson. Rozmowa była sztuczna, ale przyjemna. Poznawanie nowych ludzi i prowadzenie niezręcznych rozmów zawsze sprawiało, że czuła się młodsza, jakby wróciła na uniwersytet i po raz pierwszy spotykała ludzi ze swojej grupy.

– Kochani, już jestem. Przepraszam za oczekiwanie. – Caleb wszedł do środka z jeszcze trzema osobami. Młodzi, po dwudziestce, jasnowłosi. Dwie dziewczyny i chłopak. Caleb klasnął w dłonie. – Świetnie! Jesteśmy już w komplecie, więc zaczynamy!

Fran odnalazła drogę do krzesła, nie oddalając się od Talisy. Zauważyła, że wszyscy mieli na sobie nowoczesne ubrania, mimo to jednak podejrzewała, że mogą to być przebrani członkowie sekty. Była pewna, że na tego typu okazje mają specjalne stroje. Dostrzegła w grupie dysproporcję płci na niekorzyść mężczyzn oraz że większość pozostałych uczestników nie przekroczyła jeszcze trzydziestki. Adrian stwierdziłby, że Fran jest tutaj dinozaurem.

Rozpoczęli od wprowadzenia, następnie przeszli do pracy nad celami zewnętrznymi, co sprawiło, że Fran i Talisa skończyły przy tablicy z markerami w dłoniach. Wtedy Fran wychwyciła lekką

zmianę tonu. Kurs Caleba zaczął otwarcie atakować konsumpcjonizm.

– A gdybym pokazał wam sposób na pozbycie się dóbr materialnych? Gdybym powiedział, że wasze zewnętrzne cele nie muszą krążyć wokół waszych iPhone'ów? Gdybym udowodnił, że osiągnięcie własnej doskonałości nie ma związku z żadną z tych rzeczy? – Caleb klepnął się w kolana. – Chodźcie za mną.

Wyszli na dziedziniec i Fran rozejrzała się po okolicy. Było przedpołudnie i zaczęła wyobrażać sobie Mary za każdym narożnikiem. Co by się stało, gdyby została rozpoznana na oczach Caleba? Nic dobrego. Opuściła głowę. W oddali dostrzegła mężczyznę podobnego wzrostu i postury jak Elijah. On również miał brodę. Czy to mógł być on? Odwróciła głowę i zganiła się za to, że nie wpadła na pomysł, by założyć kapelusz z dużym rondem. Ten słomkowy, który miała na głowie, ledwie zakrywał jej twarz.

Caleb zaprowadził ich do niedużego padoku. Trwały tu jakieś prace, a kamienie, skały i chwasty mieszały się z twardą glebą. Przy ogrodzeniu leżały różnego rodzaju narzędzia. Łopaty, łopatki, grabie i inne. Fran niemal się roześmiała w reakcji na tę zuchwałość. Czy Caleb naprawdę zamierzał zagonić ich do pracy na farmie po tym, jak opłacili kurs?

Talisa zwerbalizowała swoje przemyślenia.

– Nie mówisz chyba poważnie? Przecież to zwykły wyzysk.

– Jestem poważny – odparł Caleb. – Oczyszćcie to pole, a w trakcie pracy medytujcie nad jednym: karmię swojego ducha. Karmię swoją duszę. Chcę, żebyście powtarzali te słowa za mną.

Grupa wykonała polecenie. Fran również.

– Nie będziecie między sobą rozmawiać. Będziecie medytować i oczyszczacie to pole.

– A ty co będziesz robił? – zapytała Talisa.

– Będę tuż obok – odparł Caleb. – Będę medytował razem z wami.

– Nie będę sprzątać tego pieprzonego pola – powiedziała głośno jedna z blondynek. – To jakieś kretyństwo.

Caleb pokręcił głową.

– Wcale nie. Nie korzystamy z niego i jego oczyszczenie nie przyniesie nam żadnych korzyści. Robicie to dla siebie. Ale jeśli ktoś chce odejść, to droga wolna. Nikt was do niczego nie zmusza. A jeśli chcecie zostać i nauczyć się karmić swoją duszę, to wiecie, gdzie leżą narzędzia. – Wskazał głową łopaty i grabie. Fran nie słyszała jeszcze w głosie Caleba takiej stanowczości i wywołało to na niej wrażenie, którego się nie spodziewała. Niemal pragnęła wypełnić polecenie, choć nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego. Może chciała wkurzyć te blond dzieciaki.

Uczestnicy kursu się zawahali. Większość zaczęła wymieniać spojrzenia z innymi i cisza się przeciągała. Jeden z mężczyzn podniósł łopatę, co zachęciło innych. Fran westchnęła i chwyciła za kielnię. Ostatecznie nawet zbuntowana blondynka przewróciła oczami i zacisnęła ręce na grabiach.

Fran zabrała się do pracy, ale kiedy wykopywała chwasty, zmieniła swoją afirmację. Znajdę je. Uratuję.

Rozdział 69

Esther próbowała zasnąć w schronie, ale Śmierdziuch strasznie chrapał. To dlatego nie mogła spać – przez niego, a nie z powodu tego, co kazał jej zrobić ojciec James. Nie, ojciec James był dobry i wszystko, co mówił, było prawdą. Był tubą Boga, a to oznaczało, że każde jego życzenie pochodziło właśnie od Niego, prawda? Ale co to była ta tuba? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Ktoś, kto dużo mówił? Nie, to nie to. To oznaczało, że Bóg mówił ojcu, co ma robić, a ten przekazywał informacje pozostałym. Jeśli robili dokładnie to, co nakazał, zmierzali ku zbawieniu, którego bardzo potrzebowali, bo Dzień Sądu był tuż za rogiem.

Bolał ją brzuch. Nie zjadła zbyt wiele, ale wciąż było jej niedobrze. W schronie mieli toaletę, ale wszyscy mieli na nią widok, a Esther nie chciała wymiotować przy innych. Zamiast tego zacisnęła mocno oczy i zaczęła się modlić. „Dobry Boże, dziękuję ci za zapewnienie mi bezpieczeństwa. Dziękuję za dar w postaci ojca Jamesa i przemawianie przez niego, by objawić nam prawdę”. Łatwo przypominała sobie słowa, bo uczyła się ich od niepamiętnych czasów. „Chcę być dobra. Chcę postępować właściwie. Czy pomożesz mi wybrać? To, co mówi ojciec i co mówi matka, to dwie różne rzeczy. Może jutro wskażesz mi drogę. Ale

skąd mam wiedzieć, co robić? Nie wydaje mi się, żebyś mógł do mnie mówić tak, jak mówisz do ojca. Chwileczkę, już wiem. Jeśli Missy złoży jutro jedno jajko, to matka ma rację w sprawie ojca. A jeśli ma rację, to nie powinnam robić tego, co kazał mi ojciec. Ale jeśli Missy złoży dwa jajka, to będę wiedziała, że przemawiasz przez ojca. Jeśli znajdę dwa jajka, spełnię prośbę ojca. Czy tak możemy się umówić, Panie Boże? Bardzo cię kocham. Esther”.

Ból w brzuchu odrobinę zelżał i nie chciało się jej już wymiotować. Wręcz przeciwnie, spała po tym doskonale.

Następnego dnia Esther skupiła się na obserwacji Missy – brązowej kury z kremowymi śladami na skrzydłach. Była już starsza i trochę utykała, ale wciąż należała do jednej z najbardziej niezawodnych niosek w całym kurniku. Rzadko się jednak zdarzało się, żeby Missy zniosła więcej niż jedno jajko w ciągu dnia. To samo dotyczyło też innych kur, ale jeżeli któraś z nich miałaby tego dokonać, to byłaby Missy.

Esther wiedziała, że kura ma w kurniku swoje ulubione miejsce, w którym składa jajka. Mieściło się w kącie i Missy bardzo go strzegła. Inne kury były bez wahania dziobane, kiedy próbowały się tam zbliżyć. Esther obserwowała grzędę Missy niemal co kwadrans, żeby się upewnić, że pierwsza znajdzie jajko. Grace rzuciła jej dziwne spojrzenie, kiedy podlewały kapustę w ogrodzie.

– Mogę tam wejść? – dopytywała się co chwilę.

– Nie. Sama chcę obserwować.

Esther skłamała i powiedziała Grace, że chciała sprawdzić, czy inne kury wysiadywały swoje jajka. Mary powiedziała jej kiedyś, że kury stają się czasami kwokami, co oznaczało, że chcą, by z ich jaj wykluły się pisklęta. Dodała, że taka kwoka chroni swoje jaja za wszelką cenę i nie pozwala się do nich nikomu zbliżyć.

– To niesprawiedliwe – narzekła Grace.

Esther przewróciła oczami, ale w końcu pozwoliła przyjaciółce pójść ze sobą. Musiały obejść dom z tyłu, zamiast przeciąć dziedziniec, bo Caleb prowadził kolejny kurs dla nowych ludzi. To oznaczało, że nie wolno im było przebywać na otwartej przestrzeni. Zapewne właśnie dlatego wszyscy pracowali dziś w ogrodzie, dzięki temu trzymali się z dala od wścibskich oczu. Ale to nie mogło powstrzymać Esther przed obserwacją Missy. Uznała, że wola Boga jest tutaj o wiele ważniejsza.

Kiedy weszły do kurnika, znalazły w zakątku Missy jedno jajko. Esther podniosła je i się uśmiechnęła. Jedno jest. Zaraz jednak zmarszczyła czoło. Czy chciała, żeby Missy złożyła dziś dwa? Czy chciała zrobić to, o co poprosił ją ojciec James? Teraz nie była już tego taka pewna, podobała się jej jednak myśl, że Bóg przemówił do niej tak jak do ojca.

– Nuda – mruknęła Grace. – To tylko jajko.

– Chyba żadna nie jest dziś kwoką – uznała Esther.

Wróciły do ogrodu, by dalej pielnić chwasty i podlewać rośliny. Następnym razem sprawdziła kurnik w porze lunchu. Nic. Przebiegła całą drogę z powrotem do domu. Dzieciom nie wolno dziś było korzystać z sali kazań, musiały jeść przy stole w jadalni. Dołączyła do nich Mary, która skorzystała z okazji, by przytulić Esther.

– Tęsknię za tobą, Essie – powiedziała, a po policzkach spłynęły jej łzy.

Esther się skrzywiła. Dlaczego ona tak fatalnie wyglądała? Oczy wytrzeszczone, skóra napięta i żółta, wyraźnie widoczne kości. Czy Mary nie rozumiała, że przez to Esther czuła się źle?

Matka usiadła blisko Esther i obserwowała z lekkim uśmiechem, jak jej córka je. To było upiorne. Mary nie zjadła ani kęsa, wypila tylko kawę, drżąc na całym ciele. Czasami mamrotała pod nosem rzeczy, które zdawały się jej uzewnętrznionymi myślami.

– Wyciągnę nas... – mruknęła. – ...Dzień Sądu... Musi być. Daleko. Będziemy daleko stąd.

Dla Esther nie miało to sensu i tylko ją przestraszyło. Nie mogła się doczekać, kiedy stąd wyjdzie, więc pochłonęła posiłek i przeprosiła matkę. Ale Mary nawet jej nie słuchała. Dalej bełkotała pod nosem jak dziecko, wpatrując się w dal. Esther się zdenerwowała. Schowała się nawet za krzakiem pomidorów i rozplakała się, ale szybko doszła do siebie. Bóg na nią czekał.

Kiedy zajrzała do kącika Missy, nie znalazła drugiego jajka. Nie wiedziała, czy powinna być szczęśliwa, że nie musiała spełniać polecenia ojca Jamesa, czy zła, że Bóg nie zechciał do niej przemówić. Wróciła do ogrodu i zaczęła zrywać pomidory, pochylając się nisko. Grace uśmiechnęła się i pomachała do niej z entuzjazmem, ale choć Esther odpowiedziała uśmiechem, wołała, by przyjaciółka nie podchodziła. Niestety Grace nie wychwyciła złego nastroju u Esther. Miała na sobie takie same poplamione ogrodniczki jak ona i wytarła o nie brudne dłonie.

– Myślisz, że Mary nic nie jest? – zapytała. Stała nad Esther i zasłaniała słońce.

Esther wzruszyła ramionami.

– Rozmawiałaś z nią?

– Nie. – Nie chciała rozmawiać na temat Mary. W ogóle nie chciała się odzywać. – Idę tam powyrywać chwasty. – Odeszła od Grace i energicznie wbiła łopatkę w ziemię.

Przez resztę dnia Esther nie zaglądała do zakątka Missy. Poraniła sobie palce od źdźbeł ostrej trawy rosnącej w ogrodzie. Nosiła kobiałki z pomidorami do kuchni. Myła ziemniaki i skrobała marchewki na obiad. Wyprała ubrania należące do kobiet. Ocierała pot z czoła częściej, niż zdołała zliczyć. Kolację jadła w milczeniu w sali kazań, którą opuścili już ludzie z kursu. Unikała przez cały czas spojrzenia Mary. Nie patrzyła też na ojca Jamesa, który siedział obok jej matki, co pewien czas karmiąc ją ze swojego widelca. Esther zignorowała problemy żołądkowe i zjadła zapiekankę warzywną.

A potem... pobiegła do kurnika, żeby po raz ostatni sprawdzić. I wtedy znalazła drugie jajko.

Rozdział 70

Oczyścili to cholerne pole. Fran popatrzyła, jak Talisa się prostuje i pije wodę ze swojej butelki. Nie narzekała już, uśmiechała się lekko. Z pola zniknęły kamienie, a reszta rzeczy została usunięta grabiami. Wszystko to odbywało się, kiedy była w transie. Dziwnym, medytacyjnym transie. Jedna z blondynek przewróciła się dramatycznie na ziemię i roześmiała. Tak naprawdę wszyscy mieli na twarzach uśmiechy, bo osiągnęli coś ważnego, atakowani z góry przez palące słońce.

Fran była obolała i wyczerpana. Do tego wybrudziła się i miała nadzieję, że będzie mogła chociaż skorzystać z kranu, by umyć ręce i twarz. Nikt się nie odezwał. Caleb dał im znak ręką, by podążyli za nim. Zszedł ze świeżo przygotowanego pola na porośniętą trawą polanę. Fran zastanawiała się, jak wiele ziemi należało do sekty. Myśl ta jednak uleciała, ustępując miejsca zachwytowi nad pięknem otaczającej ich przyrody. Od odległych szczytów w kolorze terakoty po pola porośnięte suchą trawą i krzewami. Łąki, które w oddali obniżały się w kierunku zbudowanych na planie siatki ulic Tucson. Samochody przemieszczały się prostymi drogami niczym mrówki poruszające się w formacji.

Caleb usiadł na trawie i zaprosił ich do zrobienia tego samego. Podłoże było dość sztywne i mniej wygodne niż miękka, brytyjska trawa, która zawsze wydawała się wilgotna. Mężczyzna skrzyżował nogi i wszyscy powtórzyli to samo. Zamknął oczy, oni również. Fran poruszyła się lekko, próbując się uspokoić. Wciąż była spięta. Przełknęła ślinę. Caleb zaczął mówić:

– Karmię mojego ducha. Karmię moją duszę. Karmię mojego ducha. Karmię moją duszę. Nie musicie tego powtarzać, wystarczy, że skoncentrujecie się na moich słowach. – Następnie znów zaczął powtarzać te same kwestie.

Fran otworzyła oczy i zauważyła, że Caleb na nią patrzy. Mrugnął do niej, zupełnie niewytrącony ze swojego rytmu. „Karmię mojego ducha. Karmię moją duszę”. Zamknęła oczy, zawstydzona, że została na tym przyłapana.

Wiedziała, że to same bzdury i że sekta sprawiła, że zapłaciła im za oczyszczenie pola. Wciąż uważała, że otaczają ją jej członkowie, których zadaniem było zwiększenie poziomu autentyczności. Mimo to ogarnęła ją fala spokoju. Kiedy przestała z tym walczyć, zapadła się w grunt i poczuła się jednocześnie lekka i ciężka. Część napięcia opuściła już jej ciało. Umysł na moment całkowicie się rozjaśnił. Na dwa momenty. Było to cudowne, ale ulotne. Kiedy się wyciszyła, zobaczyła Mary i Esther siedzące naprzeciw niej w kawiarni w Leacroft. Dziewczynka jak zwykle była ponura. Mary się śmiała, marszcząc kąciki oczu. Następnie ujrzała Esther stojącą samą w parku w ciemności. Ręce schowane za plecami. Czarne buciki złączone razem. Poczowała ból łydek, jakby biegła. Wyciągnęła rękę, ale dziecko tylko na nią spojrzało.

W końcu Fran ujrzała Chloe, jej małą twarzyczkę wystającą ponad kocyk. Wielokrotnie wcześniej wchodziła do pokoju i widziała różowe policzki córki w zagłębieniach miękkiej, różowej wełny. Wchodziła tam po to, by zobaczyć ją śmiejącą się, gaworzącą lub zrelaksowaną we śnie. Tym razem był to jednak cios prosto w brzuch. Jej ciało już wiedziało, zanim umysł zdążył zareagować. Brzoskwiniowe policzki Chloe i jej kremowa karnacja zmieniły barwę na sinoniebieską. Fran przypomniała sobie milczącą elektryczną nianię. Te purpurowe paluszki wystające spod wełny.

Fran nabrała gwałtownie powietrza. Wstała i oddaliła się od grupy, przyciskając do ust wilgotną dłoń. Nie mogła oddychać. Zanim zdążyła się zorientować, obok niej zmaterializował się Caleb, który położył jej dłoń na plecach i zaczął wykonywać nią lekkie okręgi. Fran płakała, czując promieniujący z brzucha pulsujący ból.

– Jesteś bezpieczna – powiedział. – Wyrzuć z siebie to cierpienie. Pozbądź się go.

– Nie – wybełkotała Fran. – To wszystko, co mi po niej pozostało. Niczego więcej nie mam.

Poczuła na ramionach i plecach więcej dłoni. Pozostali do niej dołączyli i patrzyli na nią z niepokojem. Pocierali ją, głaskali i poklepywali. Czuła na sobie dotyk ich skóry.

– Już dobrze – powiedziała Talisa.

– Ja nie... – wydusiła z siebie z trudem Fran, łkając mocno. – Nie mogę pozwolić jej odejść.

– Po prostu oddychaj, Francesco – odezwał się Caleb. – Oddychaj. Śmiało, rób to razem ze mną. – Pomógł jej się wyprostować, po czym zaczął wdychać powietrze przez nos

i wydychać je ustami. Dostosowała się do jego rytmu. – Wdech... wydech... – Pozostali szybko do nich dołączyli.

– Wyrzuć to z siebie – powtórzył Caleb.

Fran popatrzyła na twarze zgromadzonych wokół niej osób. Wszyscy na nią patrzyli, od młodych jasnowłosych dzieciaków, po dwóch facetów i Talisę, która kiwała do niej głową, starając się dodać jej otuchy niczym akuszerka. Nie знаła tych ludzi, a jednak czuła się w ich obecności bezpieczna. Czuła się dostrzeżona. Odwróciła się i spojrzała na dom. Zauważyła prostotę, jego urok. Następnie znów popatrzyła na pola, miasto, mrówki. Adrian nigdy jej nie powiedział, by to z siebie wyrzuciła. Czy bał się widoku jej bólu? Trzymała go starannie złożonego gdzieś w czeluściach swojego umysłu. Przemebłowali i przemalowali pokój dziecięcy machnięciem farby i to wszystko.

Usiadła, pokonana, a pozostali zrobili to samo. Wszyscy trzymali na niej po jednej dłoni. Zamknęła oczy i pomyślała o Chloe, wyobrażając sobie dziewczynkę, na którą by wyrosła. Fran nigdy się do tego nikomu nie przyznała, ale podobały się jej dzieci w tradycyjnych strojach. Lubiła dziewczynki noszące warkoczyki i małe buciki ze skóry. Rajstopki i sukienki. Nie legginsy i koszulki, które wszyscy teraz zakładali.

Chloe byłaby oczywiście mądra. Pewnie lubiłaby czytać. Doskonale posługiwałaby się angielskim. Uzyskiwałaby przeciętne oceny z matematyki. Do tego byłaby empatyczna, zawsze miła, choć nigdy nie stałaby się popychadłem. Elegancka, ale nie obsesyjna. Grałaby na skrzypcach. Pięknie, choć nie wybitnie, z lekkim wdziękiem. Tak, to były fantazje na temat dziewczynki, którą Fran zawsze sama chciała być, a nie była.

Wyrzuciła to z siebie.

Teraz uznała, że te emocje są bezcelowe. Żadna z nich nie była prawdziwą Chloe. Jej córce nigdy nie było dane zyskać własnej osobowości. Fran tylko się torturowała, próbując ją dla niej stworzyć. Wymusić przyszłość na duchu. Nadszedł czas, by przestać wymyślać na nowo życie, które uznała już za zniszczone przez okrucieństwo. Zamiast tego skupiła się na godzinach krwawego cierpienia w szpitalu, na uczuciu trzymania Chloe przy piersi. Uznała, że czuje się z tym bardzo komfortowo. Widok banieczek jej śliny. Zapach jej główki. Zmarszczki na pyzatej buzi. Suche płateczki nad jej brwiami. Gaworzenie. Płacz podczas pierwszych udanych zmian pieluszek. Ciepło, kiedy dziecko leżało na jej brzuchu.

Zanim Fran się zorientowała, leżała już na ziemi z głową na kłującej trawie. Uśmiechała się w kierunku nieba. Wyrzuciła to z siebie.

Rozdział 71

Fran umówiła się z Calebem na lunch następnego dnia po kursie Dzieci Jamesa nr 101. Wcześniej powiedział jej, że chciałby jeszcze zamienić z nią parę słów i zobaczyć, jak sobie radzi. Zajęcia okazały się bardzo wyczerpujące dla Fran. Caleb wyczuł, że udało się jej zrzucić z ramion ogromny ciężar i chciał do tego nawiązać. Tak ogromne przejście bywało trudne dla wielu osób.

Zgodziła się z nim spotkać w tej samej meksykańskiej restauracji, którą znalazła w pobliżu komendy policji, ponieważ było to jedno z niewielu miejsc, które zapamiętała. Poza tym, gdyby tylko naszły ją jakieś niepokojące myśli dotyczące sekty, mogłaby od razu udać się na policję i znaleźć detektywa Woodsona.

Przyjechała do centrum. Dzień był odrobinę chłodniejszy, od strony gór wiał świeży wietrzyk. Użyła spinek, żeby utrzymać włosy z dala od twarzy. Założyła na siebie lekką bluzkę na ramiączkach i spódnicę. Niechętnie wydała sporą kwotę na wypranie odzieży w hotelu, ale nie miała zamiaru ciągnąć walizki do pralni w mieście. Wygładziła nerwowo spódnicę i weszła do środka. Znajoma elfia kelnerka uśmiechnęła się do niej, po czym zerknęła z niepokojem w stronę Caleba. Fran nie zastanawiała

się wcześniej nad reakcjami ludzi na widok członka sekty. Kelnerka oczywiście mogła poczuć się niekomfortowo, gdy zastała Caleba samotnie siedzącego w lokalu. Fran uśmiechnęła się do niej przepraszająco i usiadła.

Caleb klasnął w dłonie na powitanie.

– Wspaniale cię widzieć, Francesco. Myślałem o tobie przez cały wieczór.

Te wyrwane z kontekstu słowa brzmiały niemal romantycznie. Zaczerwieniła się.

Caleb musiał chyba dostrzec jej zawstydzenie, bo zaraz pospieszył z wyjaśnieniami:

– Mam oczywiście na myśli twoje samopoczucie. To wszystko wczoraj musiało być dla ciebie... dziwnym doświadczeniem.

– Można to tak określić. – Fran uśmiechnęła się niepewnie, kiedy kelnerka podeszła bliżej, by przyjąć zamówienie. Poprosiła o lemoniadę, po czym wdała się w krótką dyskusję na temat czegoś do zjedzenia. Zdecydowała się na warzywne burrito, a Caleb na sałatkę z trzech gatunków fasoli.

– To również zabrzmiało dziwnie, ale wysłuchaj mnie – powiedział.
– Kiedy zobaczyłem wczoraj twoją reakcję, serce zabiło mi z radości.

Fran uniosła brwi.

– Nie dlatego, że chciałem, byś przeszła coś bolesnego, ale dlatego, że pragnąłem cię z tego bólu uwolnić. Nie czujesz, że twoja dusza się leczy?

– Czuję – odparła. – Chyba czuję.

– W rzeczy samej. – Mówił teraz szybciej i do tego zaczął gestykulować. – Dlatego jesteś taką idealną kandydatką dla rodziny. Nie mogę się doczekać, kiedy wszystkich poznasz.

– To znaczy, że zostałam przyjęta?

– Tak, proszę pani! Wieczorem powiedziałem o tobie ojcu Jamesowi. Chce spotkać się z tobą na ranczu. A wiesz, że nieczęsto tak robi.

– Nie muszę ukończyć więcej kursów?

Caleb pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się. Poza tym, jeśli do nas dołączysz, będziesz mogła je wszystkie wykonać bezpłatnie.

– Czy to się wiąże z koniecznością zamieszkania na ranczu?

– Owszem. Wiem, że to duży krok. Nie chcemy cię popędzać. Musisz to zrobić na spokojnie. Ale Francesco, muszę cię zapewnić, że bardzo ci się tam spodoba. Wszędzie panuje spokój. Wyobraź sobie to uwolnienie, które wczoraj poczułaś, a następnie pomyśl, że całkowicie odrzucasz toksyczną część swojego życia. Tak właśnie to wygląda na ranczu. Zostawiasz oczekiwania, którymi obarcza cię społeczeństwo, pozbywasz się pokus w postaci bogactwa materialnego, żądz i pragnień otaczających cię ludzi.

– A co z moją rodziną i przyjaciółmi? – zapytała. – Ja mam męża.

– Możesz pozostawać z nimi w kontakcie. Może z czasem twój mąż również zdecyduje się przyjechać na ranczo. Nie wszyscy współmałżonkowie tego chcą. To bywa dla nich trudne. Dlatego zalecam, żebyś się nie spieszyła. Nie ma żadnego nacisku, chcemy tylko, byś czuła się przez nas kochana, bo wierzymy, że byłabyś doskonałą częścią naszej rodziny. To wszystko.

Fran pochyliła na moment głowę, trawiając jego słowa, myśląc o Adrianie, Mary i Esther. Zanim zdążyła coś powiedzieć, przyniesiono zamówienie. W trakcie jedzenia burrito zapytała Caleba, czy mogłaby spotkać się z ojcem Jamesem jeszcze tego

dnia. Chłopak wyszedł na zewnątrz, by zadzwonić, ale wrócił z uśmiechem na twarzy.

– Ojciec powiedział, że z ogromną chęcią się z tobą spotka. Możemy pojechać na ranczo zaraz po lunchu.

– Szybko poszło – odparła Fran.

Caleb upił łyk kawy.

– Masz szczęście. Ojciec James był ostatnio zajęty. Od kilku tygodni mamy specjalnego gościa.

Fran spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Naprawdę? Jakiego rodzaju gościa?

– Kogoś, kto należał do rodziny, ale wyjechał dawno temu. A teraz wrócił.

– I ot tak zgodziliście się na ten powrót? To bardzo wspaniałomyślne.

Caleb się uśmiechnął.

– Wybaczenie to część karmienia duszy.

Dokończyli jedzenie, w trakcie którego Caleb mówił na temat znaczenia miłości do samego siebie. Fran złapała kilkakrotnie spojrzenie kelnerki, w którym widoczna była podejrzliwość. Poczuli się przez to tak niekomfortowo, że zostawiła suty napiwek przy regulowaniu rachunku. Caleb to zauważył, ale w żaden sposób nie skomentował.

Wychodząc z restauracji, Fran zauważyła, że ma nieodebrane połączenie od detektywa. Spojrzała w stronę budynku policji. Całkiem możliwe, że był w tej chwili gotów do rozmowy. Postanowiła jednak, że tam nie pójdzie. Zamiast tego wsiadła do pikapa Caleba. Może później uda się jej znaleźć chwilę, żeby oddzwonić. A może wcale nie potrzebowała pomocy z jego strony?

Wkrótce dołączy do rodziny Dzieci Jamesa i będzie mogła wyprowadzić stamtąd Mary i Esther.

Rozdział 72

Przez ostatnie tygodnie Esther nie zwracała większej uwagi na gościa. Miała sporo pracy w związku z obowiązkami na ranczu oraz zadaniem, które ojciec James powierzył jej do zrobienia, gdy nadejdzie Dzień Sądu. Widywała jednak nieznanego tu i ówdzie, zawsze w towarzystwie ojca. Czasami stali pogrążeni w rozmowie w pobliżu ogrodu warzywnego lub w sadzie. Czuła na sobie jego spojrzenie, ale ignorowała go, przez co w dużej mierze on również ją ignorował.

Od kiedy znalazła drugie jajko w zakątku Missy, nie przestawała myśleć o Dniu Sądu. Ojciec głosił kazania, kiedy pracowali na ranczu, a jego głos był nieco skrzekliwy i piskliwy w głośnikach. Dorośli zbierali kantalupy i jeździli konno po farmie, a Esther i inne dzieci przebywały w ogrodzie warzywnym, słuchając kazań podczas podlewania i przycinania roślin.

– Nadchodzi Dzień Sądu, moje piękne dzieci. Na świecie są miliardy ludzi, którzy w ogóle się do niego nie przygotowywali, którzy nie dostrzegą jego nadejścia i którzy nie będą mieli wystarczającej wiedzy, by przetrwać. Ale nam się to uda. Zapamiętajcie moje słowa, nam się uda. Bóg przemówił do mnie. Powiedział mi, że nakarmiliśmy swoje dusze. Nasyciliśmy nasz

wewnętrzny spokój. Jesteśmy Jego wybranymi w drodze do wniebowstąpienia. I tak się stanie. To będzie chwalebny dzień i tak właśnie się stanie.

– Zapamiętajcie moje słowa, dzieci. Ten dzień już prawie nadszedł. Niebo rozświetli blask światła. Nikt poza wami nie dostrzeże tych iskier. Nikt nigdy ich jeszcze nie widział poza wami, moja wybrana rodzino. Nasze dusze są pełne miłości, a teraz naszym zewnętrznym celem jest zbawienie. Osiągniemy je. Nadszedł czas, byście weszli za mną w ogień. W odrodzenie.

– Chcę, żeby przestał już mówić – powiedziała Grace. Usiadła ciężko obok sałaty i poprawiła kapelusz przeciwsłoneczny. – Nie podoba mi się to.

W pobliżu kręcił się Śmierdziuch. On również usiadł.

– On mnie przeraża.

Delilah pokiwała głową.

Zdegustowana Esther rzuciła łopatką.

– Jak śmiecie. On jest waszym ojcem.

– Nie, nie jest! – Śmierdziuch wbił w nią harde spojrzenie.

– Tak, jest!

– Nie jest! Mój tatuś...

Grace rozłożyła ramiona, jakby chciała nie dopuścić do bijatyki.

– Przestańcie! Dość tych kłótni. Nie cierpię, jak wciąż się sprzeczacie.

Esther skrzyżowała ręce i spojrzała na swoje buty. W Dniu Sądu wszyscy się przekonają, jak bardzo się pomylili. Ona im pokaże.

Kilka minut później głośniki się wyłączyły i Esther lekko się odprężyła. Powtarzała sobie, że koncentruje się na słowach ojca, ale teraz wiedziała, że wszyscy są przeciwko niej.

– To zły człowiek – mruknął Śmierdziuch. – Dobrzy ojcowie nie krzywdzą swoich dzieci. Nie każą im spać w gorących schronach z pajakami i jaszczurkami.

Esther miała ochotę zatkać sobie uszy watą, ale zakryła je tylko dłońmi. Śmierdziuch próbował odsunąć je na siłę od jej głowy.

– On jest zły – powiedział. – Zrobi nam krzywdę.

Po krótkiej szarpaninie Esther wstała i odeszła do innej części ogrodu, jak najdalej od pozostałych. Oczekiwała, że Grace do niej dołączy, ale jej przyjaciółka została z innymi. Esther była sama. Przesunęła małym palcem po konturze liścia, po czym powiedziała na głos do siebie:

– Były dwa jajka. Bóg powiedział mi, co mam zrobić. Ojciec jest dobry. Muszę zrobić to, co mi kazał. Muszę. – Siedziała tak przez chwilę, ledwie mogąc oddychać. Zamknęła na moment oczy i pomyślała o ogniu, iskrach i odrodzeniu. Zastanawiała się, czy to będzie bolało. Ogień brzmiał jak coś bolesnego, ale ojciec przecież by ich nie skrzywdził, prawda?

W końcu uznała jednak, że mógłby to zrobić, ale to nic takiego, ponieważ ból prowadził do czegoś lepszego. To tak jak wtedy, gdy ojciec uderzył Śmierdziucha za próby ucieczki. Chłopak w końcu przestał wykradać się i wszystko się uspokoiło. Albo jak tej nocy w górach, kiedy było jej zimno i bała się kojotów. To nauczyło ją, jak być silną. Pokazało jej miłość i wskazało, jak należy doceniać swoich braci i siostry. I może rzeczywiście skrzywdził Mary, ale gdyby jej nie poślubił, Esther nie byłoby na świecie.

W końcu usłyszała kroki na trawie. Uniosła głowę i zobaczyła ojca Adama, gościa, który spoglądał na nią z góry.

– Jak się dziś miewasz? – spytał, pochyliwszy się lekko, żeby nad nią nie górować. – Wszystko w porządku? Wyglądasz na

zdenerwowaną.

Esther otarła ze wstydem łzy.

– Wszystko w porządku – odparła, po czym dodała z wahaniem
– ojciec.

Roześmiał się.

– Nie musisz mnie tak nazywać. – Wsparł się na piętach
i rozejrzał po grządkach krzewów pomidorowych. – Wolałbym nie
być niczym ojcem. Żałuję, że stworzyłem to... to okropieństwo.

Esther nie wiedziała, o jakim okropieństwie mówi, ani czy
dotyczyło to ogrodu warzywnego.

– Zamierzam to powstrzymać – oznajmił. – To się musi
skończyć.

Esther ponownie nie zrozumiała, dlaczego ktokolwiek chciałby
powstrzymać ogród warzywny. Nie lubiła ojca Adama. Wstała
i odeszła.

Rozdział 73

Kiedy pikap podjechał pod dom na ranczu, serce Fran się niemal zatrzymało. Co się stanie, jeśli pierwszą osobą, którą zobaczy, będzie Elijah? Kiedy rozmyślała nad najgorszymi scenariuszami, spotkanie z nim było zawsze na szczycie listy, zaraz po zamordowaniu jej przez sektę w ciągu pierwszej godziny. Nie ufała Elijahowi i podejrzewała, że wszystko wiecznie kontrolował. Może nawet zmusił Mary do powrotu do wspólnoty, choć nie miała co do tego pewności.

Wysiedli z samochodu i minęli grupę młodych członków sekty. Były to urocze, mniej więcej dwudziestoletnie dziewczyny z włosami spiętymi u góry, w długich sukniach i fartuchach z podwiniętymi rękawami. Rozmawiały ze sobą i dźwigały dzbanki z mlekiem.

– Doimy tutaj nasze kozy – wyjaśnił Caleb, wskazując dziewczyny głową. – To świeże mleko. Pyszne. Przypomnij mi, żebym spakował ci trochę sera, kiedy będziesz wyjeżdżała.

Fran się uśmiechnęła i uznała, że najlepiej będzie nie przyznawać się do tego, że mieszkała w hotelu. Poczowała ulgę, że wspomniał o jej wyjeździe, bo jakaś jej część wciąż się zastanawiała, czy będą ją namawiać do pozostania, czy może

nawet do tego zmuszą. Ale byłoby warto, prawda? Musiała znaleźć Mary i zakończyć swoją misję. Po to tutaj przyjechała. Jako ktoś obcy, jako dziennikarka, jako... jako kto? Zbawicielka?

Skinęła głową dziewczętom i niemal natychmiast pomyślała, że ci wszyscy ludzie są tutaj szczęśliwi. Do tej pory nie spotkała nikogo smutnego. Caleb wciąż mówił o miłości i spokoju. Po części doświadczyła tego podczas swojego kursu. Nigdy dotąd tak się nie czuła, a już na pewno nie w trakcie ostatnich pięciu lat żałoby. Nie pomogły jej ani terapia, ani praca w ogrodzie, ani bieganie. Poczula dreszcz na plecach i ogarnął ją lekki niepokój. Czego bardziej się obawiała? Spotkania z charyzmatycznym przywódcą sekty? Czy tego, że podświadomie chce wieść takie proste życie?

W domu Fran zauważyła mnóstwo drewna – od lakierowanych, sosnowych schodów i paneli po mahoniowe ramki do zdjęć. W głębi korytarza ściany pełne były zdjęć uśmiechniętych mężczyzn i kobiet w tych samych tradycyjnych strojach. W centrum każdego z kadrów widniał starszy mężczyzna, niemal zawsze ubrany na biało, z ciemnymi, dużymi okularami przeciwsłonecznymi na nosie. Na jednym z nich gestykulował, jakby wygłaszał kazanie, na innym rozkładał szeroko ramiona, niejako w oczekiwaniu na przytulenie. Zatrzymała się, żeby lepiej się przyjrzeć. A więc to był ojciec James: mężczyzna w bieli i w okularach. Rozpoznała w nim jeźdźca ze zdjęcia na ulotce informacyjnej.

Caleb stanął przed drzwiami i zapukał. Nie było to do końca tak, jak wyobrażała sobie Fran. W głowie widziała go w jakiejś dużej przestrzeni, może siedzącego na środku podłogi pełnej poduszek, otoczonego psychodelicznymi obrazami na ścianach. Może jakieś skąpo ubrane kobiety u jego stóp. Drzwi otworzyły się

gwałtownie i na zewnątrz wyszedł wysoki, barczysty mężczyzna około czterdziestki.

– Cześć Isaiah, co tam słyszeć? – spytał Caleb.

– Wszystko dobrze, bracie.

– To nowa rekrutka dla ojca. Oczekuje nas.

– Jasne – odparł Isaiah. – Zaczekam na zewnątrz. – Zerknął na zegarek. – Ojciec Adam powinien się zjawić po południu, więc lepiej się pospieszcie.

Usłyszane imię wzbudziło zainteresowanie Fran. Ojciec Adam. Caleb nie wspomniał o innym ojcu. To słowo wydawało się istotne. W tej sekcji „ojciec” oznaczał kogoś dysponującego władzą. Czy Adam mógł być członkiem, który zabrał część wyznawców do Kolorado? Może uda się jej zamienić z nim parę słów z myślą o swoim artykule.

Isaiah wyszedł i Fran weszła do środka. Ojciec James czekał za wielkim, mahoniowym biurkiem z gatunku tych, których można by się spodziewać w starodawnej bibliotece. Był starszy niż na zdjęciach w korytarzu. Ubranie zwisało z niego, co świadczyło o niedawnej utracie wagi, do tego była niemal pewna, że nosi perukę. Siedział pochylony do przodu z palcami splecionymi pod brodą i okularami przeciwsłonecznymi na nosie. Było dość dziwne, że nosił je wewnątrz, ale może cierpiał na jakąś dolegliwość oczu.

Caleb wyjaśnił mu, kim była i dlaczego przyszła, po czym zostawił ją samą z Jamesem i jego okularami, rzucając po drodze zachęcający uśmiech. Zagryzła nerwowo wewnętrzną część policzka, teraz bardziej świadoma ścian biura i zamkniętych drzwi.

– Francesca Stevens – powiedział powoli. Fran użyła nazwiska panińskiego, na wypadek gdyby postanowili ją sprawdzić i wpadliby na ślad jej kariery dziennikarskiej. – Usiądź, dziecko.

Dziwnie się poczuła, nazwana „dzieckiem”, ale wykonała polecenie.

– Mamy tutaj sporo młodej krwi – powiedział. – W końcu prawdziwa kobieta. – Uśmiechnął się do niej jak dziadek do wnuczki. Miał delikatny i ciepły głos. Relaksujący. Zauważyła złote pierścienie na jego palcach i roleksa na nadgarstku. To by było na tyle, jeśli chodzi o negocjowanie konsumpcjonizmu, pomyślała. – Opowiedz mi o sobie.

Fran przesunęła językiem po zębach. Zorientowała się, że nie patrzy na niego i wbija wzrok w biurko. Może to przez te okulary.

– Jak się pewnie domyślasz, przyjechałam z Anglii. Jestem mężatką. Mój mąż nie przeniósł się jeszcze do Arizony... – Zawahała się, zaskoczona emocjami, które nią targnęły. Zaschło jej w gardle, ale kontynuowała – Jest emerytowanym wykładowcą. Ja też wybrałam się na wcześniejszą emeryturę. Mieszkamy... to znaczy mieszkaliśmy w małym miasteczku...

– Nie – przerwał jej. – Opowiedz mi o sobie. Czego się obawiasz? – oparł dłonie na blacie, a ciężki zegarek stuknął o laminat.

– Nie wiem, czego się obawiam. – Fran poprawiła się na krześle. W pomieszczeniu panował nieznośny gorąc. Po prawej ręce Jamesa było jedno małe okno, obecnie zamknięte. Przesunęła wzrokiem dookoła, jakby szukała odpowiedzi. Zauważyła pióro wieczne leżące na notatniku i plik dokumentów obok. Czy przywódcy sekt prowadzili dokumentację?

– Owszem, wiesz. – Zdjął okulary, ujawniając swoje niepokojąco niebieskie oczy. Blade tęczęwki otoczone głębokim kobaltem. Miał

małe źrenice, dwa punkciki w bezkresie lodu.

Fran nie mogła na niego patrzeć. Wbiła wzrok w swoje dłonie.

– Boję się braku miłości. Nigdy nie będę już matką i nigdy nie poznam miłości dziecka. Mąż mnie kocha, wiem o tym, ale to nie to samo. – Zacisnęła wargi, nie chcąc powiedzieć nic więcej. Bała się, że jeśli to zrobi, w ogóle nie przestanie gadać albo, co gorsza, rozplacze się przed tym człowiekiem.

Ojciec pokiwał w zamyśleniu głową.

– Jeśli rodzina jest tym, czego potrzebujesz, to jesteś we właściwym miejscu. Nie wierzymy tutaj w więzy krwi, uważamy, że wszyscy mamy prawo wyboru swojej rodziny. Wierzysz w to samo?

– To chyba zależy – odparła. – Znam rodziny, które adoptowały swoje dzieci i kochają je tak samo jak każdy inny rodzic. – urwała i nabrała powietrza, starannie dobierając następne słowa. – Nigdy nie wierzyłam, że mam taką umiejętność. Kiedy umarło moje dziecko, mój świat implodował. Cokolwiek innego niż dziecko urodzone przeze mnie wydawało się czymś zbliżonym do podmiany gwiazdkowego prezentu. – Otarła nos grzbietem dłoni, zaskoczona, że jest wilgotny. – Ale Bóg miał inny pomysł i odebrał mi możliwość posiadania dziecka. – Zerknęła na ścianę ponad jego głową, wciąż niezdolna do spojrzenia mu w oczy. Wisiały na niej fotografie przedstawiające go z grupami ludzi. Wszyscy uśmiechnięci.

– Jesteś zła na Boga.

– Oczywiście, że jestem zła – warknęła. – Wierzyłam, modliłam się, a on mnie ukarał.

– Czy to była kara, czy może sposób, by pchnąć cię w kierunku, w którym powinnaś pójść?

Fran roześmiała się ze smutkiem.

– To znaczy tutaj? Sprytnie. – Teraz spojrzała mu w oczy. Nie ujrzała w nich emocji, raczej zwyczajną neutralność, jakby recytował książkę telefoniczną, a nie prawił o wierze.

– Dlaczego nie tutaj? A może w inne miejsce. Następne po tym. Tylko ty będziesz to wiedziała.

Rozluźniła się nieco. Spodziewała się serii powodów, dla których powinna zostać na ranchu.

– Nie masz tutaj dzieci – powiedziała Fran. Wskazała zdjęcia na ścianie. – Nie widzę ich na żadnej z fotografii.

Ojciec James nie odwrócił głowy, nie spuszczał z niej wzroku.

– Czy to stanowi problem?

– Tak – odparła. – Nie wydaje mi się, żebym potrafiła spędzić resztę życia, nie słysząc śmiechu dzieci lub nie widząc, jak się bawią.

– Czy to jedyny powód, który powstrzymuje cię przed dołączeniem do rodziny?

Fran milczała na tyle długo, by uznał to za zastanawianie się nad odpowiedzią.

– Tak, chyba tak.

Ojciec James podrapał się po dłoni i spojrzał na nią przez zmrużone powieki.

– To interesujące.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że są tutaj dzieci?

– Nie – odparł. – Chyba na ciebie już pora.

– Zaraz – rzuciła Fran. – Przepraszam. Nie powinnam była pytać. – Spróbowała się do niego uśmiechnąć. Czowała, że kąciki ust podrygują jej z nerwów. Miała tutaj swoją okazję, ale ją marnowała.

– Są pary, które się łączą i otrzymują dary od Boga. Nie robimy im zdjęć – wyjaśnił.

Fran opadła szczęką. Właśnie się przyznał. Postarała się uspokoić.

– A to dlaczego? – spytała. – Czy ludzie interweniują? Boisz się o konsekwencje?

W jego oczach zamigotał gniew.

– Władze... ci wspaniali, znani na świecie zwiastuni wszystkiego, co dobre – policja amerykańska – nie są nam przychylni. Nie kochają nas. Wyrrywają dzieci z ramion matek i zabierają do rodzin zastępczych. Uwięzione w nich dzieci nie czują miłości, jedynie nienawiść i ból. Moje sumienie nie pozwala, żebym się na to godził. W związku z tym, jako bogobojne filary społeczności, nie mamy dzieci na ranczu.

Fran zrozumiała, że nacisnęła właściwy przycisk. Ojciec James był dokładnie tym rodzajem narcyza, który lubił, kiedy obcy zgadzają się z jego opiniami.

– Tego typu sytuacje muszą być prawdziwą tragedią.

– I są. Ale Bóg jest dobry i mamy go po swojej stronie. – Uśmiechnął się szeroko, pokazując garnitur nieskazitelnych zębów – niemal z pewnością sztucznych – między pełnymi wargami. – Dostrzegam w tobie doskonałego sojusznika, Francesco. Kogoś gotowego do dołączenia do naszej rodziny. Ale muszę poprosić cię jeszcze o jedną rzecz. Proszę, żebyś nie mówiła o tej rozmowie nikomu poza ranczem. Czy to zrozumiała?

– Tak – odparła Fran.

– Jesteś dobrą kobietą. Podobasz mi się. Myślę, że tutaj pasujesz. Czytałaś już Księgę Jamesa?

Fran pokręciła głową.

– Mam e-booka.

Ojciec cmoknął.

– Niedobrze. Potrzebujesz normalnej książki. Proszę. – Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej małą książeczkę w miękkiej oprawie. Przesunął ją po blacie w jej stronę. – Śmiało. Weź ją, dziecko.

Fran podniosła książkę i położyła sobie na kolanach.

– Idź do domu, przeczytaj to, a potem do nas wróć.

Fran wyczuła, że została właśnie odprawiona. Wstała, niepewna, czy powinna się uklonić, czy może wycofać tyłem, jakby stała przed obliczem króla.

– Caleb będzie miał dla ciebie coś do podpisania przed wyjściem – dodał. – Nie przejmuj się tym. – Machnął ręką. – To dokument mówiący o tym, że nasza prywatna rozmowa taką pozostanie. Bo takie powinny być wszystkie rozmowy, prawda?

Fran przesunęła opuszką kciuka po gładkiej okładce książki.

– Tak, oczywiście.

– To dobrze. W takim razie nie będzie to problemem. Będę wyczekiwał naszego ponownego spotkania, dziecko. Wiele tu na ciebie czeka. Nie zamykaj przed nami swojego serca.

Opuściła pokój na chwiejnych nogach. Ochroniarz Isaiah popatrzył na nią bez zainteresowania, ale Caleb zaraz podszedł z uśmiechem na twarzy. Wyprowadził ją korytarzem wyłożonym drewnem do holu, gdzie wskazał jej miejsce i podał szklanekę wody. Ledwie upiła łyk, już podsunął jej pod nos umowę o zachowaniu poufności.

– Ojciec James to wyjaśnił, tak?

– Tak. – Cała się pociła. Podpisała papier fałszywym nazwiskiem. Zrobiłaby teraz wszystko, byleby się stąd wydostać.

Czy umowa pozostawała wiążąca, jeśli podpisała ją nazwiskiem panińskim? Czy wymagała obecności prawnika? Może Caleb był prawnikiem, choć wydawało się to mało prawdopodobne.

– I jak poszło? – spytał.

Postarała się uśmiechnąć promiennie.

– Chyba dobrze. Ale muszę już wracać. – Spojrzała na zegarek, jakby się gdzieś spieszyła.

– Jasne. Podwiozę cię do domu.

Wychodząc, rozejrzała się po dziedzińcu. Marzyła o tym, by zobaczyć nerwową Mary wśród kręcących się tam ludzi. Albo poważną małą Esther w swoich bucikach. Cokolwiek, co by ją przekonało, że postępuje słusznie.

– Trudno cokolwiek stwierdzić, kiedy spotyka się ojca po raz pierwszy. – Caleb odblokował drzwi pikapa. – Czułem się tak samo. O, dał ci książkę. Świetnie.

Fran była nieco oszołomiona, gdy wsiadała do samochodu. Zaczęła odruchowo kartkować książkę. Serce wciąż mocno jej waliło. Szelest przierzucanych kartek zapewniał przynajmniej namiastkę powiewu powietrza. Na wewnętrznej stronie okładki zauważyła obok ojca Jamesa inne imię. Ojciec Adam. Może niedługo pozna i jego.

Caleb mówił bez ustanku w drodze powrotnej do Tucson, więc Fran udawała, że czyta książkę.

– Wow, sprawiasz wrażenie zainteresowanej – powiedział. – Jestem pod wrażeniem.

Wysadził ją przed restauracją i uściskał. Fran się spięła, zbyt spocona jak na kontakt cielesny. Chwilę później Caleb odjechał swoim pikapem.

Stała tam i oddychała ciężko. W głowie wciąż krążył jej fragment wcześniejszej rozmowy. Nie mogła przestać o tym myśleć, podobnie jak o tych przenikliwych oczach. Tak, był charyzmatyczny, tego się spodziewała. I choć łatwo przeskakiwał z tematu na temat, ciekawie się z nim rozmawiało. Ale jeden urywek ich dyskusji zmroził ją do szpiku kości.

Spojrzała w stronę budynku policji, a potem ruszyła w jego kierunku.

Rozdział 74

Missy nie żyła. Leżała po swojej stronie kurnika z oczami przypominającymi marmurowe kulki. Esther przykucnęła przy niej i popatrzyła na starą kurę. Musiała odegnąć Pannę Betsy, która usiłowała wydziobać oczy Missy.

Co to teraz oznaczało? Co to był za znak? Bóg zesłał jej drugie jajko, ale nie rozumiała, dlaczego zabił Missy. Czy te dwie rzeczy były ze sobą powiązane? Chciała pójść do ojca Jamesa i go o to zapytać, ale przyznałaby się w ten sposób, że w niego zwątpiła. A jeśliby się na nią pogniewał? Powiedział wyraźnie, że nie chce, by sprawiono mu zawód, a ona nie chciała być tą, która to robi.

Esther podniosła Missy za nogi i wyniosła z kurnika. Nie chciała, by inne kury zaczęły ją dziobać. Znalazła miejsce w sadzie pod drzewem, zabrała niedużą łopatę i zaczęła kopać grób. Ziemia była twarda, ale nie taka, jaka bywała na polach.

Zajęło jej to trochę czasu. Za każdym razem, kiedy pomyślała, że dziura jest wystarczająca, okazywało się, że musi ją jeszcze pogłębić. Esther widziała kiedyś, jak Elijah grzebie padłego konia. Powiedział wtedy, że jeśli grób nie będzie wystarczająco głęboki, zejdu się kojoty i pożrą truchło. Esther nie chciała, żeby kojoty zjadły Missy. Uznała, że kura nie zasłużyła sobie na coś

takiego. Współpracowała w końcu z samym Bogiem, żeby przekazać jej znak, nawet jeśli Esther obecnie nie wiedziała, jak to wszystko zinterpretować.

Po umieszczeniu Missy w ziemi i zasypaniu grobu Esther wróciła do domu, żeby poinformować innych o tym, co się stało. Było już późne popołudnie i burczało jej w brzuchu. Kombinezon miała umorusany błotem, do tego poplamiła sobie twarz. Nie czuła się jednak brudna od ziemi, ale od dotykania martwego zwierzęcia, choć bardzo je lubiła.

Przeszła zwyczajową ścieżką, która ciągnęła się z dala od dziedzińca i wścibskich oczu. Dzieci Jamesa nie biegały gdziekolwiek chciały, trzymały się ustalonych tras, żeby nie widzieli ich goście. Nigdy też nie pracowały na dziedzińcu czy w którymkolwiek z zabudowań, kiedy trwały kursy lub kiedy ojciec James miał umówione spotkanie z kimś z zewnątrz. Zeszła po stopniach na tyłach domu i znalazła się w piwnicy. W łazience na dole mogła przynajmniej umyć ręce. Zmyć uczucie zimnych nówek Missy na dłoniach.

Esther była zmęczona. Nie z powodu fizycznej pracy, ale myślenia, martwienia się i zastanawiania, co się dalej wydarzy. Wciąż myślała o ojcu Adamie i jego dziwnych słowach o powstrzymywaniu różnych rzeczy. Dopiero później, w schronie dla dzieci, uświadomiła sobie, że nie mówił wcale o ogrodzie warzywnym, lecz o całej rodzinie, a może nawet o Dniu Sądu. Postanowiła, że powie o wszystkim ojcu Jamesowi, kiedy tylko go spotka. Zawsze był czymś zajęty, a Esther nie lubiła jego ochroniarzy. Nie chciała z nimi rozmawiać.

Wytarła dłonie i twarz, po czym wyszła z łazienki. Oczyszczyła buty z błota za pomocą małej drucianej szczotki, która stała przy

drzwiach. Weszła po schodach do kuchni, gdzie Mary siekała cebulę i czosnek. Może to przez tę cebulę, ale matka znów płakała. Łzy spływały z jej podkrążonych oczu.

– Cześć, skarbie – powiedziała. – Dlaczego masz brudne ubranie?

– Musiałam pochować Missy – odparła Esther.

Mary odłożyła nóż i otworzyła ramiona.

– Chcesz się przytulić? Wiem, że to była twoja ulubiona kura.

Esther stała przez chwilę wpatrzona w otwarte ramiona matki i rozważała dostępne opcje. Na szczęście Mary nie mówiła dziś od rzeczy i wydawała się świadoma otoczenia. Esther uznała w końcu, że chce się przytulić i dała się zamknąć w objęciach, czego nie robiła już od wielu tygodni. Mary przycisnęła ją mocno do siebie. Pachniała cebulą i słoną wodą.

– Możemy stąd wyjechać, Esther? – wyszeptała Mary. – Pojedziesz ze mną, jeśli nas stąd wydostanę?

Esther natychmiast się odsunęła.

– Nie.

Mary otworzyła szeroko oczy. Z tej odległości dziewczynka zobaczyła czerwone żyłki na białkach jej oczu i ślady łez ciągnące się aż po obojczyki.

– Nie możemy tu zostać, kochanie. Ja nie mogę tu zostać. Nie masz pojęcia, co on ze mną robi. Ty nie... nie powinnaś. Żadne dziecko nie powinno tego wiedzieć. Nie wiem, kto będzie następny, ale ktoś na pewno. On mówi o Grace w sposób, który w ogóle mi się nie podoba, Esther. Proszę cię, skarbie, musisz się przebudzić. Musisz zrozumieć, kim on jest. – Pociągnęła nosem. – Jestem teraz uzależniona, wiem o tym. Nie mam pojęcia, co mi podaje, ale czuję, że tego potrzebuję. – Chwyliła mocno Esther swoimi

chudymi ramionami. – Może nie jestem wystarczająco silna, żeby nas stąd wydostać. Nie wiem, dokąd miałybyśmy pójść. Nie mamy już żadnych pieniędzy. Noah nie odzywał się od miesięcy. Eljah już mi nie pomoże. Beznadziejna sytuacja, prawda?

– Muszę już iść. – Przestraszona Esther się oswobodziła. Właśnie dlatego unikała Mary, z powodu tego jej narzekania. Samo spojrzenie na nią wywoływało u niej te nocne skurcze.

– On nas pozabija – powiedziała Mary. – Zabije nas w Dniu Sądu. Mówi o tym tak, jakby miał już jakiś plan. On to rozpocznie. Właśnie on, nie Bóg. On. Chce śmierci nas wszystkich.

Esther wybiegła z kuchni i z ulgą zauważyła, że matka nie wyszła za nią. Chciała oddalić się od jej marudzenia, od słów, od których cierpła jej skóra. Wpadła jednak prosto na Isaiaha i odbiła się od jego wystającego brzucha. Skrzyżował ręce i popatrzył na nią.

– Spadaj stąd, myszko.

– Ale ja muszę porozmawiać z ojcem – odparła, wyciągając szyję, żeby spojrzeć mu w oczy.

Brodaty mężczyzna oparł się o ścianę. Żuł coś namiętnie, pewnie tytoń. Nie stała wystarczająco blisko, żeby poczuć zapach.

– W porządku. Właśnie miał gościa i chyba ma teraz wolne dziesięć minut.

Niepokój Esther nieco zelżał. Odwróciła się w stronę biura ojca, ale w tym samym momencie dostrzegła jakiś ruch przed domem. Drzwi prowadzące do holu były otwarte i przez okno mogła zobaczyć dziedziniec. To normalne, że znajdowali się na nim ludzie, ale teraz było inaczej. To był ktoś z zewnątrz. Esther rozpoznała sylwetkę i chód osoby przecinającej dziedziniec. To była pani Cole, kobieta, z którą jej matka zaprzyjaźniła się

w Anglii. Fran. Co ona tutaj robiła? Zastygła, widząc, jak Fran idzie beztrąsko z Calebem. Ester wiedziała, że jego zadaniem było sprowadzanie nowych rekrutów. Czy to oznaczało, że Fran zamierzała dołączyć do rodziny?

– Wchodzisz czy nie?

Esther oderwała wzrok od okna i spojrzała na Isaiaha. Skinęła głową i razem z nim podeszła do drzwi prowadzących do gabinetu ojca Jamesa.

Rozdział 75

Detektyw Woodson nie kazał jej długo czekać. Niemal natychmiast zaprosił ją do sali konferencyjnej.

– Wiem, że przyszła pani po raz drugi. Przepraszam, że nie odzywałem się tak długo. Musiałem się zająć sprawą zaginionego chłopca.

– Tak, Jaydena. Widziałam plakaty. Znaleźliście go już?

Woodson westchnął i zajął miejsce naprzeciw niej.

– Jak na razie dysponujemy tylko ogólnymi informacjami. Dlatego właśnie chciałem z panią porozmawiać. Funkcjonariuszka Garcia wspomniała, że pytała pani o Dzieci Jamesa i że pani przyjaciółka i jej córka są w tej sekcji. Teraz, kiedy zająłem się sprawą zaginięcia Jaydena, Dzieci Jamesa pojawiły się w paru zeznaniach. Ktoś widział członka sekty, który kręcił się w pobliżu miejsca zamieszkania chłopca. To nie musi oczywiście niczego oznaczać. Ci sekciarze mają zwyczaj krążenia po różnych okolicach i proszenia o datki. Kilka lat temu miało miejsce podobne zdarzenie – zaginęła dziewczynka imieniem Lucy Caruso. To mnie zmartwiło, a zważywszy na wiek pani przyjaciółki, uznałem, że warto byłoby jeszcze raz porozmawiać.

– Chyba ma pan rację – przyznała Fran. – Pojechałam na ranczo. Przeprowadziłam jedną rozmowę z ojcem Jamesem i – sięgnęła do torebki i wyjęła telefon – nagrałam ją.

Woodson pochylił się nad stołem i utkwiał wzrok w telefonie.

– Co pani zrobiła? – Spojrzał jej w oczy. – Jak udało się pani tam dostać?

– Jeden z ich werbowników dał mi ulotkę na ulicy. Skontaktowałam się z nimi i umówiłam na konsultację. Potem miałam jeszcze jednodniowy kurs. Później zjadłam lunch z jednym z ich członków, który mnie zapewniał, że jestem idealną kandydatką do dołączenia do rodziny. Dodał też, że ojciec James chce się ze mną spotkać. Uważają, że jedną nogą jestem już u nich. Chyba zrobiłam dobre wrażenie załamanej kobiety. – Roześmiała się, choć bez wesołości.

Woodson uniósł brwi.

– Wykonuje pani teraz moją robotę, pani Cole? – Uśmiechnął się lekko. – Nie popieram tej amatorskiej gry, którą pani tam prowadzi, ale proszę mi powiedzieć wszystko, co udało się pani zapamiętać. – Otworzył notatnik i kliknął długopisem. – To może być bardzo ważne, szczególnie dla Jaydena i Lucy.

– No cóż, przede wszystkim nie widziałam tam żadnych dzieci ani niczego, co wskazywałoby na ich obecność, na przykład ubrań czy zabawek. W domu na farmie nie ma żadnych zdjęć dzieci. Kiedy jednak nacisnęłam Jamesa, powiedział, że na farmie są dzieci. Głos może być nieco stłumiony, miałam telefon w torebce. – Odblokowała ekran i odnalazła właściwą aplikację. Kliknęła ikonę odtwarzania i podkręciła głośność.

Woodson przechylił głowę, nasłuchując. Nie przewijała do przodu, ale się skrzywiła, kiedy usłyszała, jak przyznaje się do

swoich obaw. Kiedy ojciec James zaczął mówić o dzieciach, Woodson przysunął się jeszcze bliżej do urządzenia.

– Co pani podpisała? – spytał, kiedy nagranie dobiegło końca.

– Umowę o poufności informacji. Podpisałam ją jednak nazwiskiem panińskim. Mam nadzieję, że nie jest przez to prawnie wiążąca.

Westchnął.

– To oszustwo, pani Cole. – Wydał wargi i dodał – bez zobaczenia tej umowy i konsultacji z prawnikiem nie mam pewności, czy to, co pani podpisała, jest prawnie wiążące, czy też nie. Powinna jednak pani usunąć to nagranie i zapomnimy o tej rozmowie. Z pewnością było to przydatne, jednak James nie mówi tam o żadnej działalności przestępczej. Ale choć nie obciąża się na nagraniu winą, odnoszę wrażenie, że skłamał na temat obecności najmłodszych na ranczu. Przeszukaliśmy to miejsce dokładnie po zaginięciu Lucy Caruso i nie znaleźliśmy nawet śladu dziecka. Żadnych ubrań, zabawek czy jedzenia dla dzieci. Mieszkała tam jedna ciężarna kobieta, ale to wszystko. Jeśli w sekcie są dzieci, to musiał je celowo ukryć, kiedy przyjechaliśmy.

Woodson poprosił Fran o cofnięcie nagrania, żeby posłuchać fragmentu, w którym James mówi o zabieraniu dzieci przez policję do rodzin zastępczych.

– Nie wiem, o czym on tutaj mówi – powiedział. – Żadne dzieci nie były zabierane z sekty, bo ich tam nie ma. Próbuje chyba panią do nas zniechęcić.

– Mam tam wrócić i spróbować dowiedzieć się więcej?

– Nie – odparł ostro. – Nie wiemy, jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą ta sekta, a ja nie chcę się o panią martwić, pani Cole. – Jego oczy zamigotały. – Dysponując zeznaniami świadków

mówiącymi o tym, że przy domu Jaydena kręcili się ich ludzie, uzyskam kolejny nakaz przeszukania rancza. My się tym zajmiemy. Nie ma potrzeby, żeby się pani narażała.

– Myśli pan, że są aż tak niebezpieczni?

– Nie wiem, co myśleć – przyznał. – Istnieje możliwość, że celowo ukrywają dzieci na swoim terenie. Dobrzy ludzie tak nie postępują. Wystarczy do tego dodać zaginioną dziewczynkę i chłopca i mamy całkiem podejrzaną sytuację.

Nie mogła się z nim nie zgodzić, co sprawiło, że krew odpłynęła jej z twarzy.

– A co z Mary i Esther?

– Jeśli znajdziemy tam jakiegokolwiek zaginione dzieci, to ktoś zostanie aresztowany i jest duże prawdopodobieństwo, że będzie to sam James. Albo Roger, czy kimkolwiek on tam jest. Jeśli zniknie przywódca, to wszystko się rozsypie. Są w końcu Dziećmi Jamesa. A jeśli sekta padnie, pani przyjaciele będą bezpieczni. Obawiam się jednak jednego.

– Esther – powiedziała Fran. – Myśli pan, że nie jest córką Mary.

– A pani?

Fran nie była pewna. Wyszła z ciężkim sercem. Czy Mary mogła porwać Esther? Mała była w zbliżonym wieku do zaginionej dziewczynki, Lucy, choć Fran nie znała jej wyglądu. Czy one byłyby bezpieczne, gdyby aresztowano ojca Jamesa? Może wkroczyłby ten ojciec Adam albo jeden z jego pomocników. Słyszała o sektach, które trwały długo po uwięzieniu, a nawet po śmierci przywódcy. Poddani indoktrynacji ludzie łatwo się nie poddawali. Jednak pomimo obaw musiała się zgodzić z Woodsonem i trzymać z dala od śledztwa. Wydawał się

zadowolony, że mu to obiecała, ale złożył też własną deklarację – zadzwoni do niej, jeśli znajdzie Mary i Esther na ranczu. Zamówiła taksówkę do hotelu. Księga Jamesa wciąż tkwiła w jej torebce. Coś jej podpowiadało, że to jeszcze nie koniec.

Rozdział 76

Esther nie spotkała się po południu z ojcem Jamesem, bo do gabinetu wszedł ojciec Adam. Widocznie rozmowa z Adamem była dla niego ważniejsza, a ona nie mogła powiedzieć o niczym nieznanemu, bo mu nie ufała. Ostatecznie Esther wyszła na dwór i dołączyła do pozostałych. Pomogła Paulowi rozplątać drut w ogrodzeniu uszkodzony przez kozę i nakarmiła kury. Nie jadła nic od śniadania, ale nie czuła głodu. Podobało się jej to nowe uczucie, które odczuwała w brzuchu. Głód odbierał jej wszystkie złe myśli, ponieważ skupiała się jedynie na jedzeniu i bólu w żołądku. Przystawała się wtedy zamartwiać ojcem Jamesem, Bogiem, Missy, Mary, ojcem Adamem i Fran.

Przed kolacją poszła do schronu wziąć prysznic i wreszcie pozbyć się resztek brudu. Na miejscu była Grace i dziewczynki bawiły się chwilę pod wodą, jak to często robiły, pryskając i rzucając się mydłem. Esther zakręciło się w głowie i musiała na moment przysiąść. Na szczęście żadne z dzieci nie zauważyło jej gorszego samopoczucia. Wytarła się i ubrała. Esther zaplotła Grace i Delilah warkoczyki, po czym Grace zrobiła to samo. Zawiązała Paulowi krawat. Zawsze ubierali się elegancko na kolację. Nikt nie pomógł Śmierdziuchowi, który siedział z ponurą

miną na swoim materacu. Nie chciał wyjść, dopóki nie pogonił go Paul.

Choć Esther bawiła się z Grace, wciąż czuła się nieco poirytowana ich wcześniejszą sprzeczką. Usiadła jednak obok niej w sali kazań. Serce jej podskoczyło, kiedy ujrzała Mary, ale ojciec James kazał usiąść jej matce obok siebie. Esther musiała siłą odrywać wzrok od jej przygnębionej twarzy i załzawionych oczu. Wywoływało to w niej emocje, które bardzo próbowała ukryć gdzieś głęboko.

Esther nałożyła sobie szpinaku w śmietanie, orzechy piniowe, kozi ser i pomidory. Caleb pokroił chleb na zakwasie i oddzielił porcje masła. Jedzenie było dobre i Esther smakowały wszystkie składniki, ale ostatecznie przekazała większość jedzenia Paulowi i małemu Davidowi. Grace zjadła swoją porcję w całości, ale nie potrzebowała dokładki.

- O co chodzi? – spytała Grace. – Źle się czujesz?
- Boli mnie żołądek – odparła Esther.
- Zjadłaś coś niedobrego na śniadanie?
- Nie, boli mnie już od dawna.
- Powinnaś pójść z tym do Ruth.
- Nic mi nie jest.

Esther wmusiła w siebie kolejny kawałek pieczywa. Kątem oka widziała, jak przyjaciółka obserwuje ją z wyrazem troski na twarzy.

Rozległo się delikatne dzwonięcie, kiedy Isaiah postukał łyżką w szklankę. W sali zapadła cisza. Uśmiechnięte twarze zwróciły się w kierunku patriarchy, ojca Jamesa.

Ojciec wstał, wspierając się na lasce, i zakołysał niepewnie z boku na bok. Kiedy Isaiah i Zachary skoczyli, by mu pomóc,

machnął tylko ręką. Pozostali również wstali.

– Czas powitać nowego członka naszej grupy. Wielu z was widziało już ojca Adama na ranczu. Teraz chciałbym go wam przedstawić. Ci, którzy dołączyli do rodziny na początku naszej podróży, znają dobrze ojca Adama. – James popatrzył na starszych członków. Nie było ich wielu, poza tym trzymali się zwykle na uboczu, nie wchodząc w relacje z młodszymi. Unieśli szklanki, jakby wznosili toast za samych siebie. – Wtedy, w tych wyjątkowych czasach, słuchaliśmy z ojcem Adamem słów Boga i słyszeliśmy, co ma do powiedzenia. Wiedzieliśmy, że oczekuje od nas powołania świętej społeczności. – Uniósł brwi i ściszył głos. – I to właśnie uczyniliśmy. Cegielka po cegielce. Od samych fundamentów. Słuchaliśmy Boga, kiedy mówił nam, jakiego nieba pragnie. Potem znaleźliśmy odpowiednich ludzi do naszego ogrodu. Teraz jesteśmy tutaj, po tych wszystkich latach, stanowiąc jedność. Adam, bracie, jestem wdzięczny za twój powrót. Razem doczekamy Dnia Sądu. – Ojciec uniósł szklanę i rodzina zaczęła wiwatować, podnosząc swoje naczynia z jabłkowym cydrem.

Esther poczuła gorąco na karku, rozprzestrzeniające się po skórze niczym wysypka. Chwytała powietrze, czując ten nieznośny żar, ale nie mogła oddychać. Powietrze całkowicie uciekło z jej płuc. W głowie krążyła tylko jedna myśl, paląca i ostra jak żelazo do wypalania piętna: umierała. Już nigdy nie zacerpnie świeżego powietrza. Pulsowanie w jej uszach brzmiało, jakby znajdowała się pod wodą. Tuż przed jej oczami usta Grace otwierały się i zamykały, jakby przyjaciółka coś do niej wołała, ale Esther nie usłyszała ani jednej sylaby. Nogi ugięły się pod ciężarem jej ciała i zatoczyła się do tyłu. Ledwie świadoma upadła

na podłogę, uderzając się boleśnie w biodro i plecy. Kiedy wszyscy ruszyli w jej stronę, zdążyła jeszcze zobaczyć sylwetki, ale po chwili ogarnęła ją ciemność.

Rozdział 77

Esther ocknęła się i usłyszała głos Ruth. Kobieta miała nieprzyjemną, chropowatą barwę, która zawsze kojarzyła się jej z naganą. W pierwszej chwili zabrzmiał gdzieś w oddali, ale zaraz był już blisko. Za blisko. Esther się skrzywiła. Wciąż kręciło się jej w głowie i czuła w niej nieznośne pulsowanie, nie mogła się też skoncentrować. Usłyszała, jak Ruth mówi o spaniu, jedzeniu i suchym letnim upale. Esther przesunęła dłońmi po otaczającej ją powierzchni i wyczuła, że została ułożona w pościeli na twardym, ale wygodnym materacu, a nie na jednym z tych cienkich i brudnych, na których spali w schronie. Leżała, obserwując, jak kobieta splukuje materiał przed włożeniem go do miski z lodem. Ruth była jedną z najstarszych członkiń rodziny, nieco młodszą od ojca, ale niewiele. Miała krótko przycięte, siwe włosy, spory brzuch i duże piersi, które kołysały się swobodnie pod suknią.

– I jak? – Ruth przycisnęła zimną tkaninę do czoła Esther.

– Dobrze – odparła dziewczynka. Naprawdę było jej przyjemnie. Przeniknął ją chłód, kojąc resztki nagłego wybuchu gorąca, które ogarnęło ją w sali kazań. Wraz z powrotem wspomnień o utracie przytomności wrócił również strach. Nigdy wcześniej nie czuła

niczego podobnego. Nawet w nocy, kiedy spała na zewnątrz z kojotami.

– Co pamiętasz? – spytała Ruth.

– Nie mogłam oddychać. Zrobiło mi się słabo.

– Co jeszcze?

– Bałam się.

Ruth wydeła na moment wargi, po czym pokiwała głową.

– Okej. Chyba wiem, co się stało. Doznałaś ataku paniki. Zjadłaś dziś cały posiłek? Nie widziałam cię na lunchu.

– Bo nie przyszłam – przyznała Esther.

– A więc nie zjadłaś tyle, ile powinnaś. No cóż, to może być powód. – Przycisnęła tkaninę i strużki wody spłynęły po skroniach Esther. – Jesteś wychudzona. – Zabrała rękę i wyprostowała się. – Ulokowałam cię w pokoju gościnnym, powiedziałam ojcu Jamesowi, że powinnaś dziś zostać tutaj na noc. Musisz dobrze wypocząć. Jutro zostaniesz zwolniona ze swoich obowiązków, rozumiesz?

– Tak, siostrze – odparła Esther.

– Dobrze. Za kilka godzin Angel przyniesie ci kolację i gorącą czekoladę. Lepiej się trochę prześpij i nie wychodź z łóżka. Rano wszystko będzie dobrze.

– Dziękuję, siostrze.

– Bóg chce, żebyśmy byli w dobrej formie w Dniu Sądu, Esther. Powinnaś o tym pamiętać.

– Tak, siostrze.

Ruth wyszła i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając Esther samą. Dziewczynka rozłożyła palce na miękkiej pościeli. Białej, ale luksusowej. Nad sobą dostrzegła kinkiet z niedużym kloszem w kształcie róży. Łóżko zrobione było z drewna sosnowego,

podobnie jak parapet. Spojrzała na komodę i drzwi, które chyba prowadziły do szafy. Do pokoju wpadało mnóstwo słonecznego blasku, który rozświetlał ciemne zakątki. Było tu pięknie. Esther nigdy wcześniej tutaj nie była. Zsunęła z czoła wilgotny materiał i odwróciła się na bok, biorąc sobie do serca poradę Ruth dotyczącą snu. Dlaczego tak wygodne łóżko niepotrzebnie się marnowało? Kiedy zaczęła odpływać w sen, usłyszała głosy dobiegające zza drzwi pokoju.

Zsunęła nogi na posadzkę i powoli wstała. Przeszła ostrożnie po deskach na podłodze i przyłożyła ucho do drzwi. Kiedy usłyszała ojca Jamesa, uświadomiła sobie, że przebywa w pomieszczeniu znajdującym się nad jego gabinetem. Esther uklękła i przysunęła głowę do szczeliny między deskami. Słyszała głos ojca Jamesa i kogoś jeszcze. Głęboki, rezonujący, z urywanym akcentem. Ojciec Adam.

– Ty już teraz sam wierzysz w te wszystkie bzdury, Roger. Myślę, że straciłeś zdrowy rozsądek. A co gorsza, ci ludzie chłoną każde twoje słowo. Nie coś takiego zakładaliśmy i mam już szczerze dosyć zabawy w te idiotyzmy.

– Mówisz, że oszalałem, ale to ty nie pamiętasz mojego imienia. Nie ma już Rogera, Adamie.

– Owszem, jest. Zawsze był. Wiem, kim jesteś, i wiem, skąd się wzięłeś. Byłem przy tobie od samego początku. Dzieci Jamesa. Ciało i Dusza. To ja wymyśliłem te wszystkie banialuki na temat wewnętrznego spokoju i zewnętrznych celów. Trzydzieści lat temu. Bachor narodzony z pijanego głupca i podręcznika do filozofii. Wkręciłeś się w ten religijny nonsens i wciskasz ludziom, że rozmawiasz z Bogiem, Rog. To jest... niebezpieczne.

– Bóg mówi do mnie, Adamie.

– Nie, nie mówi! To kłamstwo. Zamierzasz w oparciu o nie popełnić masowe morderstwo? Założyliśmy tę sektę, żeby mieć dostęp do lasek i kasy! – Esther usłyszała kroki Adama w pomieszczeniu. Zaczęły się jej pocić dłonie, kiedy tak leżała i podsłuchiwała. – To zaszło już za daleko. Ty zaszedłeś za daleko. I to wszystko, co robiłeś... próbowałem się nie wtrącać, ale nie mogę już dłużej gryźć się w język. Ożeniłeś się z dziećmi, Roger. Jesteś pedofilem!

– Miały ponad dwanaście lat – odparł ojciec. – Tak jak w Biblii oraz w każdej dawnej cywilizacji i każdym średniowiecznym...

– Posłuchaj samego siebie, jak to usprawiedliwiasz. – Adam brzmiał tak, jakby zaczynał łkać. – To musi się skończyć. Zamknij ranczo, wyprowadź się i znajdź spokój gdzie indziej. Nie zabieraj ze sobą tych niewinnych ludzi. Nie wolno ci dłużej tego kontynuować. Nie rób tego tym dzieciom. Proszę. – Ojciec James milczał. – Proszę cię. Zgódź się ze mną, Roger. – Nadal cisza. – Skończ z tym. Przyjechałem tutaj tylko z tego powodu. Nie chcę dołączać do rodziny, chcę ją rozbić.

Esther wstrzymała oddech. W tych chwilach ciszy była niemal pewna, że słyszc go w dole przez te szczeliny.

– Chyba będzie najlepiej, jeśli stąd wyjdiesz – powiedział ojciec James.

– Z rancza?

Kolejna pauza.

– Nie – odparł ojciec. – Możesz zostać w domu, ale musisz opuścić mój gabinet.

– Czy pozwolisz mi opuścić ranczo, jeśli tego zechcę?

– Oczywiście. Po Dniu Sądu. Nie martw się, nie będziesz musiał czekać długo.

Esther wstała i wróciła do łóżka. Nasunęła sobie kołdrę na głowę i przycisnęła dłonie do uszu. Nie chciała już niczego więcej słyszeć.

Rozdział 78

Fran w końcu zdecydowała się dotknąć ikony Adriana w aplikacji do rozmów wideo. Ekran wypełniła jego twarz, a jej rozdarte serce podskoczyło. Jakaś jej część tęskniła za nim, za ciepłem jego ramion i spokojnym głosem. Inna część go odrzucała. Za każdym razem, kiedy pomyślała o ich związku, o Chloe, jej umysł powracał na łąkę w górach Catalina. Do innych osób, oddychających razem z nią, dotykających jej, przejmujących jej ból. Fran i Adrian stracili dziecko wspólnie, ale przebywali w żałobie osobno. Było to zjawisko, którego nie dostrzegła aż do tamtego dnia. Może była ślepa, a może celowo je zignorowała.

Wypuściła z płuc drżący oddech, czekając, aż odbierze połączenie. Nie odebrał. Rozczarowana anulowała połączenie i usiadła na łóżku. Było już późno i Fran odczuwała zmęczenie. Uniosła nogi, położyła głowę na poduszce i zaczęła szybko odpływać, myśląc jeszcze o tym, że Adrian nigdy się nie dowie, że próbowała z nim porozmawiać z nadzieją, że odwiedzie ją od jej zamiarów.

Następnego ranka Fran wstała wcześniej i się ubrała. Zamówiła śniadanie do pokoju i usiadła do pracy nad artykułem. Opisywała sektę, mroczną charyzmę przywódcy, charakter społeczności,

która miała swoje drugie dno. Przed południem odebrała kolejnego maila od Caleba.

Cześć Francesco,

czekamy na ciebie na ranczu. Zrobiłaś duże wrażenie na ojcu Jamesie, który twierdzi, że doskonale do nas pasujesz. Ja też tak uważam.

Znalazłaś już czas na przeczytanie Księgi Jamesa? Chciałbym się spotkać i omówić z tobą wszelkie wątpliwości.

Jeśli nie masz nic przeciwko, dołączam również kwestionariusz. Ten dotyczy raczej kwestii demograficznych i tak dalej. To tylko do naszych dokumentów.

Do zobaczenia

Caleb

Fran otworzyła dokument i przeczytała go pobieżnie. Niemal się roześmiała. Jeśli pozostała w niej jakakolwiek pokusa, to jej resztki właśnie ją opuściły. W kwestionariuszu demograficznym w oczywisty sposób próbowano wysondować, ile ma pieniędzy. Pytania dotyczyły jej kariery zawodowej, zarobków, ostrożności w kwestii oszczędności, wielkości posiadanego domu, liczby samochodów i tego typu rzeczy. Chcieli się dowiedzieć, ile zdołają z niej wyssać, kiedy dołączy do sekty.

– Ojciec chce mieć nowy złoty pierścionek – powiedziała na głos.

Zabrała kawałek pieczywa ze śniadaniowego talerza, zjadła go i popiła sokiem pomarańczowym. To, co widziała, przynajmniej potwierdzało oszustwo. Kiedy Fran zamknęła laptopa i odstawiła

pusty talerz na stolik, poczuła się zmęczona. Tak, ta otwarta próba wyłudzenia na moment ją rozbawiła, szybko pomyślała jednak o podstępności, która przebijała zza uśmiechniętej twarzy sekty. Zaginione dzieci, oczywista niechęć do władz, mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych.

Jej znajomość z Calebem wszystko komplikowała. Trudno jej było uważać go za kogoś innego niż tylko słodkiego chłopaka, który zbłądził. Ale czy był niewinny? Czy którykolwiek z członków sekty był niewinny? Jeśli ukrywano dzieci, krzywdzono je lub jeszcze gorzej, a członkowie sekty o tym wiedzieli, to może wszyscy zasługiwali na karę. Może nawet Mary. Fran położyła się na łóżku i skrzyżowała kostki. Przypomniała sobie swoje wychowanie: kościelne chóry, szkółka niedzielna, jasełka. Miała angielskie doświadczenia z religią i utrzymywała umiarkowane poglądy przez całe swoje życie. Czy to kwalifikowało ją do analizy postępowania kogoś, kto uległ indoktrynacji?

Po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślała o tym, by zadzwonić do mamy. Nie powiedziała jednak rodzicom o wyjeździe do Arizony i uznała, że zbyt ciężko byłoby jej wyjaśnić, dlaczego ma taką obsesję na punkcie ratowania Mary i Esther.

Zerknęła na telefon i zobaczyła nową wiadomość od Adriana. „Wybacz, że nie odebrałem. Jak się masz? Chcesz pogadać?”. Fran odpisała: „Nie, w porządku, to miała być rozmowa na dobranoc. W miasteczku wszystko gra?”. Odpowiedział jej po chwili: „Ludzie gadają”. Czekala, patrząc na komunikat „Adrian pisze...” na ekranie. „Emily uważa, że ode mnie odeszłaś. Niektórzy nawet myślą, że jesteś lesbijką!”. Fran wysłała mu emotikonkę z roześmianą buźką. „Kurczę, jestem dla nich naprawdę interesująca!”. Adrian wysłał jej GIF-a z tańczącą kobietą, ale nie

była pewna, co to ma oznaczać. „Idę do biblioteki, Franny. Tęsknię”. Fran westchnęła i napisała: „Ja też tęsknię”.

Nalała sobie kawy z hotelowego ekspresu, otworzyła laptopa i napisała odpowiedź do Caleba.

Cześć Caleb,

dziękuję za maila. Odezwę się jak najszybciej, ale muszę skonsultować niektóre pytania z mężem. Czy tymczasem mogłabym jeszcze raz wpaść na ranczo? Bardzo mi się tam podoba. Może mógłbyś mnie oprowadzić? Chciałabym pogadać o Księdze Jamesa. Prawie ją skończyłam.

Pozdrawiam

Fran

Rozdział 79

Grace chwyciła Esther za rękę i pomogła jej wstać z trawy.

– Możemy dziś zostać do późna! Ojciec James powiedział, że powinniśmy świętować!

Policzki miała całe zaróżowione od emocji. Pisnęła z radości, puściła dłonie Esther i pobiegła do Delilah i Paula, żeby przekazać wieści.

Esther ponownie uklękła i podniosła łopatkę. Drżały jej ręce. Świętowanie oznaczało celebrację, a to z kolei wiązało się z dostępnością alkoholu dla dorosłych i tańcami dla wszystkich. Dzieci nie musiały iść do łóżek tak długo, jak tylko chciały. Rozpalano zwykle ognisko, a Elijah grał na skrzypcach. Nie odbywało się to często, może dwa, trzy razy do roku, a już zdecydowanie rzadko latem. Była to dziwna pora na świętowanie, a to mogło oznaczać tylko jedno: na farmę przybywał ktoś nowy. Ojciec James organizował taki wieczór tylko wówczas, gdy do rodziny pragnął dołączyć nowy rekrut. Ale to dobrze, prawda? Skoro ojciec James chciał mieć więcej ludzi w rodzinie, to znaczyło, że Dzień Sądu nie odbędzie się tak szybko, niezależnie od tego, co powiedział w gniewie kilka dni wcześniej.

Esther kopała w twardej glebie, przerzucając ją bez prawdziwego celu. Nie było niczego nowego do zasadzenia, a ona już wypieliliła wszystkie chwasty. Usłyszała, jak Grace chichocze z innymi dziećmi, i z jeszcze większą siłą zaatakowała ziemię. Gardziła nimi w tej chwili. Żadne z nich nie miało bólu żołądka jak ona i nie zemdlało w sali kazań. To Esther niosła całe to brzemie. To ją wybrał ojciec James do specjalnego zadania podczas Dnia Sądu. A teraz Esther wiedziała więcej, niż wiedzieć powinna. Miała świadomość, że ojciec Adam i ojciec James się kłócą.

Następnego dnia po podsłuchaniu rozmowy Esther zobaczyła ze zdumieniem, że ojciec Adam wciąż przebywa na ranchu. Dlaczego nie został wyrzucony? Może dlatego, że byli braćmi. Mary powiedziała, że członkowie rodziny się kłócą, ale wzajemnie kochają. To musiała być podobna sytuacja. Ojciec James był zbyt miły, żeby wyrzucić Adama ze wspólnoty. Innego wytłumaczenia nie znalazła.

Esther zdecydowała się jednak nie mówić ojcu, kim jest Fran lub co powiedziała jej Mary w kuchni. Postanowiła również nie wspominać matce o Fran. Wszystko się za bardzo komplikowało, a ona nie chciała znaleźć się w samym sercu zawieruchy. Poza tym Mary była w takim stanie, że powiedzenie jej o czymkolwiek niczego by nie zmieniło.

Esther ogólnie coraz trudniej było się wypowiadać. Przez cały dzień nie zamieniła z nikim ani słowa. Nawet kiedy wokół niej skakała Grace, kiwała tylko głową, nawet jej specjalnie nie słuchając.

Przez resztę dnia zajmowała się swoimi obowiązkami, trzymając się z dala od innych dzieci. Widziała, jak zbierają się w grupy,

szepczą między sobą i rzucają jej pełne współczucia spojrzenia. Grace i Delilah kołysały grymasną Judith w łóżeczku, patrzyły na nią i chichotały. Esther czuła, jakby wiedła. Nie potrafiła ubrać w słowa tego, co odczuwała, ale wiedziała, że ogarnęła ją wewnętrzna pustka. Mimo to nie przerywała pracy, zbierała jajka, kroїła cebulę w kuchni i prała pościele.

Tym razem wzięła prysznic sama, po czym ubrała się w kącie schronu, słysząc śmiechy innych dzieci. Śmierdziuch chichotał razem z nimi. Dla odmiany wołano teraz na niego John. Kiedy Esther zaczęła pleść warkocz, uświadomiła sobie, że zastąpiła go w roli wyrzutka. Stała się obiektem kpin innych dzieci. Poczowała rodzącą się gdzieś w środku nienawiść. Już ona im pokaże. Da im szkołę w Dniu Sądu. Esther związała włosy i wyszła na zewnątrz, wspinając się po stopniach. Schron znajdował się w pewnym oddaleniu od pozostałych budynków, a jego wejście zasłaniały krzewy. Zauważyła jaszczurkę, która usiłowała zejść w dół, i złapała ją. Kiedyś do schronu weszła tarantula. Esther obudziła się i zobaczyła, jak pająk wchodzi powoli na śpiwór Grace. Serce biło jej jak oszalałe, choć wiedziała, że intruz jest niegroźny. Zagarnęła go bez słowa do miski, uważając przy tym, by nie zbudzić Grace, po czym wyniosła go na dwór. Teraz żałowała, że nie zostawiła go, żeby sobie po niej pochodził.

Na zewnątrz słońce było już nisko, ale do zachodu zostało jeszcze kilka godzin. W trawie hałasowały owady. Jej buty niemal natychmiast pokrył pył, choć wyczyściła je przed wyjściem. Esther usłyszała więcej śmiechów ponad graniem cykad. Minęła stajnię i ruszyła w stronę sali kazań. Do jej uszu dobiegły radosne głosy i zrozumiała, że rozpalono już ognisko. Podczas świętowania normalnie wybiegłaby przed grupę, żeby popatrzeć na tańczące

płomienie, ale tym razem nie była w nastroju. Zwolniła kroku, odganiając komary. Wszędzie wokół byli ludzie, przemieszczali się, rozmawiali, śmiali się i uśmiechali. Nie powitali jej – dorośli rzadko zwracali uwagę na dzieci na ranczu. Esther zastanawiała się, dlaczego wcześniej tego nie zauważyła.

Niespodziewanie wbiegła na nią cała grupa dzieciaków i powaliła ją na ziemię. Wylądowała z impetem na rękach, ocierając sobie kolano i uderzając nosem o twarde podłóżę. Niemal natychmiast zachciało się jej płakać. Miała ochotę się rozbeczeć i wołać mamę, ale Mary tylko pogorszyłaby sytuację, a nikt inny by na to nie zareagował. Kiedy wstała, Grace odwróciła głowę i na nią spojrzała. W oczach przyjaciółki widać było poczucie winy, może współczucie – Esther nie była do końca pewna, ale wiedziała, że nienawidziła tego. Grace w końcu pobiegła w kierunku pozostałych, unosząc wysoko nogi w wyrazie ekscytacji.

Kolano ją piekło, ale nie krwawiło, więc otarła je tylko i ruszyła w stronę ogniska. Na jego tle widziała białe sylwetki, migoczące jasno jak płomienie. Pomyślała, że ognisko rozpalono całkiem niedawno, bo nie było jeszcze zbyt duże i dopiero nabierało mocy. Niewielka grupa osób usiadła obok Elijaha, który grał na skrzypcach. Esther obserwowała przez chwilę poruszający się i tańczący dynamicznie smyczek. Ojciec James stał obok swoich ochroniarzy, kołysząc się lekko w rytm melodii. Z powodu ognia i ciepłego wieczoru większość ludzi ubrała się w lekkie lniane tuniki z podwiniętymi rękawami. Zauważyła matkę siedzącą przy ognisku i na jej widok poczuła znajomy skurcz. Jej skóra oświetlona była na żółto od ognia i przypominała teraz ducha. Esther cofnęła się i oparła plecami o drzewo.

Z tego miejsca obserwowała przez chwilę pozostałych. Delilah i Grace tańczyły, trzymając się za ręce, a ich warkoczyki podskakiwały rytmicznie. Elijah zaczął tupać w rytm i uginać się na kolanach. Czas, który spędziła w Anglii, wydawał się odległy o miliony lat. Wtedy Mary kazała nazywać go swoim tatą. Od kiedy poślubił Hannah, nie odezwał się do niej ani słowem.

Angel stała obok swojego męża, Aarona, przyciskając Judith do piersi. Jej ciemna skóra przybrała pomarańczową poświatę. Ruth siedziała na krześle, popijając piwo z puszki i uśmiechając się do innych siwowłosych członków rodziny. Isaiah stał z założonymi rękami za plecami ojca Jamesa. Esther zauważyła pistolet na jego biodrze i wpatrywała się w niego przez chwilę. Spojrzała na Zachary'ego i nowych ochroniarzy, których nie знаła. Wszyscy mieli przy sobie broń. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego, ale i tak ją to przestraszyło.

Jej uwagę przyciągnęło jakieś poruszenie na dziedzińcu. Zobaczyła Caleba w towarzystwie kogoś z zewnątrz. Takie osoby zawsze łatwo było wypatrzyć z oddali, bo nosiły jaśniejsze, ciasne ubrania. Kobieta była lekko opalona, szczupła, krótkowłosa. Szła wyprostowana. Dziewczynka od razu rozpoznała Fran. Przyłgnęła do drzewa, wspominając, jak znalazła się sama w parku w tym strasznym miasteczku. Fran miała wtedy spięte opaską włosy i wyciągała do niej dłonie. Tamtego dnia jej nie przyjęła, ale może teraz by to zrobiła.

Ogarnęła ją panika, narastająca od piersi po gardło. Nie mogła oddychać. Przytrzymała się drzewa. Tylko dzięki temu nadal stała. Przez krótką chwilę pomyślała, że chciałaby zostać uratowana. Że chciałaby opuścić to miejsce. Spojrzała na ciemne szczyty gór w oddali. Czy mogłaby znów uciec? Nie, nie przeżyłaby

tam. Ukąsiłby ją wąż albo zjadł kojot. Ale pozostanie tutaj również ją przerażało. Instynkt podpowiadał Esther, że przybycie Fran na ranczo było niebezpieczne z wielu powodów. Na jej czole pojawiły się krople potu. W końcu, zanim kobieta podeszła na tyle, by mogła ją zauważyć, dziewczynka odwróciła się od ognia i pobiegła z powrotem w stronę schronu. Tam mogła się przynajmniej schować, dopóki to wszystko nie ucichnie. Kiedy minęła stajnię, wpadła niespodziewanie na ojca Adama.

Chwycił ją za ramiona i ukucnął.

– Hej, spokojnie. Wszystko w porządku?

Esther nie odpowiedziała. Przyłożył grzbiet dłoni do jej czoła.

– Zabiorę cię do matki.

– Nie – zaprotestowała Esther.

Adam wstał i spróbował chwycić ją za rękę, ale Esther ją wyszarpnęła.

– Daj spokój, Esther. Nie możesz się tak zachowywać.

– Nie idę z tobą. – Cofnęła się o krok.

Ojciec Adam roześmiał się nerwowo.

– Dlaczego mi nie ufasz, kochanie?

Objęła się ramionami i odparła:

– Bo słyszałam cię wtedy w lesie, z matką. Słyszałam cię, zanim się przewróciłam.

Ledwie na to zareagował. Włożył tylko dłonie do kieszeni i odwrócił głowę w stronę ogniska.

– Ach, rozumiem.

Nagle Esther wpadła na pewien pomysł. Wzięła kilka oddechów, po czym otarła pot z czoła.

– Okej, pójdę z tobą. Pójdę i usiądę z matką.

– Bardzo dobrze – odpowiedział Adam i razem zawrócili w stronę ogniska.

Rozdział 80

Następnego dnia Fran otrzymała maila od Caleba, który powiedział jej o wydarzeniu, które nazywali świętowaniem. Wyjaśnił, że było ono związane z celebracją lata i stanowiło okazję do pozbycia się wrogów wewnętrznego spokoju, na przykład demonów czy pijawek, w dalszej części roku. Potem opisał, że wygląda to mniej więcej jak połączenie festiwalu podpalania kukieł z obchodami dnia wiklinowego człowieka. Wizja ogniska w samym środku upalnej Arizony brzmiała jak szaleństwo, ale Caleb ją zapewnił, że mieli pod ręką węże z wodą na wypadek utraty kontroli nad płomieniami i że przez ostatnie lata nie wydarzyło się nic złego. „Czekamy na właściwe warunki”, napisał w mailu. „Kiedy szanse na nadejście burzy piaskowej są znikome, a w tygodniu zapowiadane są opady. Robimy to wieczorem, kiedy jest chłodniej i nie wieje wiatr, który rozwiewałby iskry”.

Fran uznała to za dziwne, że Caleb nie wspomniał wcześniej ani słowem o świętowaniu. Poruszył ten temat dopiero wówczas, gdy zapytała o możliwość ponownej wizyty na ranczu. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy tego festynu nie zorganizowano specjalnie z myślą o niej. Czy to nie była szalona myśl? Czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Zgodziła się wziąć udział. Była to dla niej

kolejna okazja do tego, by znaleźć Mary i Esther. Na tego typu zabawie z pewnością będą obecne. Jednocześnie poczuła się odrobinę winna, że skłamała detektywowi Woodsonowi, uznała jednak, że zainwestowała już zbyt wiele w to swoje prywatne śledztwo. Chciała tam pojechać. Mogło jej to pomóc w dwójnasób: była to szansa na znalezienie Mary oraz zostanie świadkiem rytuałów panujących w sekcie. Jak wielu ludzi z zewnątrz miało taką możliwość?

Zabijała czas w Tucson, szukając pamiątek w sklepikach. Kupiła Adrianowi nowy fartuch z konturami gór Catalina. Dla dzieci znajomych wybrała pluszowe kaktusy i przysmaki z orzechów pekan w kolorowych puszkach. Dla siebie wzięła ciasto pekanowe, które zjadła później w hotelu przed pójściem do łóżka. Cukier sprawił, że miała surrealistyczne sny. Ojciec James siedział za biurkiem, jak podczas ich spotkania. Zdjął swoje okulary, ale tym razem z jego oczu wystrzeliły lasery, oślepiając jasne i gorące. Podniosła ręce, żeby się osłonić, ale promienie przecięły jej ciało.

Obudziła się zdyszana i spocona. Nadszedł dzień świętowania i musiała zebrać się do kupy. Ranek spędziła na pisaniu w hotelowym barze, gdzie zjadła sałatkę na lunch. Później wróciła do pokoju, żeby się przebrać. Oddychała niespokojnie, kiedy zakładała na siebie luźną, bawełnianą sukienkę i pakowała do torebki szczoteczkę do zębów i świeżą bieliznę. Caleb zapewnił, że będzie mogła przenocować w pokoju gościnnym. Właśnie miała spędzić noc wśród członków sekty. Nie mogła w to uwierzyć.

Kiedy wychodziła z hotelu, zadzwonił Adrian. Fran trzymała długo telefon w dłoni, ale w końcu nie odebrała.

W taksówce zagryzła wargę. Nerwowe łaskotanie zmieniło się w bolesne rwanie gdzieś w środku. Coś jej powtarzało, żeby nie jechała. Może intuicja. Stara, dobra, kobieca intuicja. Adrian przewróciłby tylko oczami w reakcji na coś takiego. Żałowała odrobinę, że nie odebrała telefonu. A jeśli coś się jej stanie i nie będzie już miała okazji się pożegnać? Popatrzyła przez chwilę na telefon, po czym odblokowała ekran i przeszła do strony z kontaktami. Przewinęła ją i dotknęła ikony telefonu. Zanim odebrał połączenie, usłyszała trzy sygnały.

– Woodson.

– Dzień dobry, detektywie – powiedziała.

– Pani Cole. – W jego głosie dało się usłyszeć zaskoczenie, ale też ostrożność. Zdawało się jej, że słyszy obracające się w jego głowie trybiki. – Jak mogę pani pomóc?

– Jadę tam – odparła. – Wiem, że powiedziałam inaczej, ale zostałam zaproszona na jakiegoś rodzaju rytuał.

Woodson wypuścił gwałtownie powietrze przez nos.

– To nie wygląda dobrze – dodała. – Czy ma pan już nakaz?

– Tak.

– Może powinniście przyjechać. Albo wyślę panu wiadomość, jeśli coś potoczy się nie po mojej myśli.

– Postaram się mieć zespół w gotowości. Nie można tak po prostu wjechać na wielkie ranczo bez planowania – mówił spokojnie, ale z lekką nutą irytacji. – Ale proszę wysłać mi wiadomość, jeśli zobaczy pani dzieci, narkotyki lub broń. A potem proszę stamtąd wyjść. Ja zajmę się resztą.

– Tak zrobię, obiecuję.

– Obiecała już pani wcześniej, pani Cole. Proszę zobaczyć, dokąd nas to zaprowadziło.

Skrzywiła się w reakcji na te słowa, ale zasłużyła na nie, nie miała wątpliwości.

Taksówkarz wysadził ją przed zewnętrzną bramą, ale nie stanowiło to problemu, bo Caleb już na nią czekał.

– Jaka piękna suknia, Francesco – powiedział.

Wygładziła materiał drżącymi palcami.

Zaprowadził ją w stronę morelowego blasku ognia. Dostrzegła sylwetki ludzi kołyszących się i wirujących wokół płomieni jak duszki tańczące w ludowych piosenkach. Widok wydał się jej zupełnie nierealny. Pierwotny. Stara lub nowa cywilizacja, nie sposób było stwierdzić. Chciała podejść bliżej, żeby lepiej się im przyjrzeć, ale zanim znaleźli się na granicy ciepła emitowanego przez ogień, Caleb ją zatrzymał.

– Jeśli chcesz do nas dołączyć, muszę zabrać twój telefon.

– Och – odparła. – Nie zabrałam go ze sobą.

– Nie pogniewasz się, jeśli zajrzę do twojej torebki?

Fran otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebać, udając kogoś, kto przypadkowo trafił na przedmiot, którego wcale nie miało tam być.

– Wiesz, jednak miałam go w torebce. Przepraszam. Pamięć mam ostatnio dziurawą jak sito. To chyba menopauza.

Odwróciła wzrok, podając telefon, niepewna, czy zdołał się zorientować w oszustwie, czy też nie. Musiałby być idiotą, żeby się nie domyślić.

Ruszyli w stronę ogniska, gdzie Fran mogła w końcu popatrzeć na świętujących ludzi. Ubrani byli w swoje tradycyjne stroje, choć nieco luźniejsze ze względu na parny wieczór. Młode kobiety miały rozpuszczone włosy, które powiewały w trakcie tańca. Odprężone i uśmiechnięte trzymały się za ręce i zataczały kręgi, śmiejąc się

w stronę ciemniejącego nieba. Był to piękny, bez wątpienia urokliwy widok, ale Fran wciąż odczuwała niepokój. Zmusiła się, żeby utrzymać prostą sylwetkę. Nie chciała, żeby Caleb dostrzegł jej strach.

W samym środku tego wszystkiego stał przyciągający uwagę ojciec James. Zobaczyła, jak kołysze się w rytm muzyki, poruszając biodrami w zbyt płynny sposób jak na mężczyznę, którego uznała za odrażającego. Choć robił to z wdziękiem, jego stopy były nieruchome, jakby zapuścił korzenie w ziemi. Stał wyprostowany dzięki lasce. Dostrzegła woskowaty odcień jego skóry, co skojarzyło się jej natychmiast z chorobą. Niewiele brakowało, żeby się odwróciła i uciekła, ale zamiast tego przyjrzała się twarzom ludzi obok niego – od barczystych ochroniarzy po piękne dziewczęta i grupę pogrążonych w rozmowie i kiwających głowami osób w średnim wieku. Wtedy jednak dostrzegła przeraźliwie szczupłą kobietę siedzącą na stołku przy ogniu i natychmiast powróciła odraza. Biedaczka ubrana była w workowatą spódnicę i tunikę. Odzienie były dla niej przynajmniej o dwa rozmiary za duże. Łokcie sterczały z rękawów, kiedy pochylała się do przodu. Zatłuszczone, matowe włosy opadały jej na twarz gęstymi strąkami. Albo była krucha i wiekowa, albo chora. Ciemne włosy wskazywały raczej na to drugie.

– Chodź – powiedział Caleb, prowadząc ją przez tłum. – Ojciec James wkrótce przemówi.

Kiedy mijali kolejne osoby, Fran po raz pierwszy zauważyła broń. Pistolety w kaburach na biodrach wysokich pomagierów stojących tuż obok przywódcy. Spojrzała na Caleba w poszukiwaniu oznak jakichkolwiek problemów, ale ten nawet

nie popatrzył na mężczyzn. A teraz nie miała telefonu, żeby zadzwonić do detektywa Woodsona. Wypuściła z drzeniem powietrze z płuc. Złe przecucia ani na chwilę jej nie opuszczały. Fran próbowała sobie wmawiać, że jest tutaj w roli dziennikarki i kobiety próbującej ratować przyjaciółkę. Dzięki tym dwóm powodom mogła czuć się odważna.

Caleb zaprowadził ją na drewnianą ławkę w pobliżu ogniska. Kilko starszych członków społeczności powitało ją machnięciami rąk i uśmiechami na twarzach. Wszyscy zajęli miejsca. Muzyka ucichła i Fran po raz pierwszy zauważyła, że skrzypkiem był Elijah. Opuściła głowę z nadzieją, że w ten sposób nie zostanie dostrzeżona. Kiedy odważyła się unieść lekko wzrok, okazało się, że Elijah zmieszał się już z tłumem. Zobaczyła również Talisę z kursu, ubraną w sekciarski strój, trzymającą kilkumiesięczne dziecko. A więc kobieta była podstawiona. Fran się tego spodziewała, ale i tak dotknęło ją to do żywego.

Kiedy ojciec James zaczął mówić, jeden z ochroniarzy pomógł wstać kruchej kobiecie i zaprowadził ją w stronę ławek. Uniosła lekko głowę i Fran zobaczyła rozszerzone źrenice kogoś, kto przyjął narkotyk. Był to już drugi element świętowania, który ją przeraził. Nie tylko broń, lecz także narkotyki. Spojrzała na swoją torebkę, żałując, że nie ma przy sobie telefonu.

Kobieta usiadła na ławce i odwróciła się w jej stronę. Ich oczy spotkały się na dłuższą chwilę. Wtedy kobieta uniosła brwi. Fran wciągnęła gwałtownie powietrze i przysunęła dłoń do twarzy.

– Wszystko w porządku? – spytał Caleb.

Ojciec James zaczął przemawiać, dzięki czemu uniknęła konieczności udzielenia odpowiedzi. Skinęła głową. Calebowi to wystarczyło. Nie miał pojęcia, jak bardzo waliło jej teraz serce.

Nie wiedział, że powstrzymywała łzy. Ojciec James głosił głębokie, poważne kazanie, ale ona mogła myśleć wyłącznie o młodej, nerwowej kobiecie, która została zredukowana do chodzącego szkieletu. Co oni jej zrobili? Wspaniałe, ciemne włosy, których Fran jej tak zazdrościła, teraz zwisały w matowych, zaniedbanych pasmach. Zagryzła wargę, żeby się nie rozpłakać. Czy uda się jej dziś wydostać stąd Mary? Gdzie była Esther? Spojrzała z niepokojem na ochroniarzy. Wydawało się, że ognisko za plecami ojca Jamesa na przemian pęcznieje i się kurczy, jakby oddychało.

Nie potrafiła się skupić na jego słowach. Kazanie dotyczyło lata i zbawienia. Co pewien czas wspominał też o jakimś sądzie. Na czole formowały mu się kropelki potu, które spływały mu wzdłuż nosa. W niebo uciekały czerwone iskry. Fran otarła dłonie o suknię i rzuciła kolejne spojrzenie biednej Mary. Gdyby zdołały się oddalić od grupy, może udałoby się im dojść do drogi i zatrzymać przejeżdżający samochód? Dziewczyna wydawała się taka krucha jak chory ptak. Oderwała od niej wzrok i zaczęła przyglądać się tłumowi w poszukiwaniu Esther. Niemal jęknęła, kiedy zobaczyła siedzącą na ławce dziewczynkę, ale to nie była Esther. Ta miała bardziej pyzată buzię i oliwkową skórę. Obok niej siedzieli dwaj chłopcy, z których jeden wydawał się jej znajomy.

W tej samej chwili Fran uświadomiła sobie, że to zaginione dziecko, które widziała na plakatach w Tucson. Spojrzała na ojca Jamesa. Jak mógł okazać się tak nieostrożny? Czy naprawdę wierzył, że podpisana przez nią umowa o poufności go ochroni? Zrobiło się jej niedobrze, kiedy słuchała jego słów o Bogu. Prawie zapomniała przez to o poszukiwaniu Esther.

Do grupy zbliżał się mężczyzna z dzieckiem. Szli od strony domu. Dziewczynka była wyprostowana i trzymała wysoko głowę. Ścisnęła dłoń mężczyzny. Ten był wysoki, siwiejący, po pięćdziesiątce. Ubrany w ten sam lniany strój, co reszta grupy. Tym razem Fran przestała oddychać. Mężczyzna się zatrzymał, a stojąca obok niego dziewczynka zrobiła jeszcze jeden krok do przodu. Patrzyła prosto na Fran. Mężczyzna również na nią spoglądał. To była oczywiście Esther. Fran pamiętała to dojrzałe spojrzenie, dumę, opanowanie, jasne włosy. A obok niej? Cóż, obok niej stał, trzymający ją za rękę, Adrian.

Rozdział 81

Fran zerwała się na równe nogi. Zaciśnęła dłonie w pięści, zeszywniała, gotowa do ucieczki lub walki. Patrzyła na swojego męża stojącego po drugiej stronie, z butami zakurzonymi od piasku i rękawami koszuli podwiniętymi do łokci. Chciała coś powiedzieć, ale jej szczęka wydawała się całkowicie zablokowana. Ogień trzaskał i syczał jak na wpół uformowane słowa w jej gardle. Oczy paliły ją od jego żaru, ale i tak nie była w stanie nawet mrugnąć. Kazanie ojca Jamesa urwało się w połowie zdania, a wśród zgromadzonych rozległy się szepty. Fran poczuła, że wszyscy patrzą w jej stronę.

– Znasz ojca Adama? – zapytał James. Jego niski, wyraźny głos niósł się nad odgłosami płonącego ogniska i wydawał się bardziej rozbawiony niż poirytowany.

Fran wyczuła ruch obok siebie. Ochroniarz, chyba Isaiah, zrobił kilka kroków w jej stronę, trzymając dłoń blisko kabury z bronią. Ojciec uniósł dłoń i mężczyzna natychmiast się zatrzymał. Paraliż ciała i myśli sprawił, że nie miała nawet czasu zareagować na zbliżającego się ochroniarza.

Ostatecznie to Adrian podszedł bliżej. Adrian, człowiek, który wysyłał jej fałszywe zdjęcia z patio i wspominał o szerzących się

po całym Leacroft plotkach. Oczywiście dopiero teraz dotarło do niej, że czasami zapominał o różnicy czasu, informując ją, że idzie do biblioteki, kiedy ta była zamknięta. Pomyślała o kłamstwach, manipulacji i bezczelności, zastanawiając się, co mogłaby wykorzystać przeciwko niemu. Ojciec Adam. Zadrżała na całym ciele. Na równinie Arizony płonęły teraz dwa ognie.

– Franny, mogę to wyjaśnić – powiedział.

– Fran. – Mary spróbowała wstać, ale wysoki mężczyzna ją przygwoździł.

Fran się cofnęła, niemal przewracając się o ławkę.

– Francesca? – Caleb wyciągnął do niej dłoń, ale ją odepchnęła.

Poczuła, jakby ziemia usuwała się jej spod stóp. Popatrzyła na wszystkich po kolei. Czym powinna się zająć najpierw? Mary i Esther, których poszukiwała? Zaginionym chłopcem siedzącym na ławce, ubranym jak pozostali członkowie sekty, którego rodzice odchodzili od zmysłów gdzieś w Tucson? A może mężem, który przed laty powołał do życia sektę, ale nie wspomniał o tym ani słowem przez dziesięć lat ich małżeństwa?

Adrian uniósł rękę.

– Możemy porozmawiać?

Fran brakowało tych rąk. Tęskniła za nimi w nocy, kiedy była sama. A teraz zapragnęła je odrąbać. Przecisnęła się między ławkami i na sztywnych nogach wyszła na pole. Adrian próbował dotknąć jej ramienia, ale mu na to nie pozwoliła. Spojrzała na Esther. Dziewczynka wydawała się nieprzenikniona, jak za pierwszym razem, kiedy się spotkały.

– Zostań z matką, a ja porozmawiam z ojcem Adamem. – Wypluła te słowa z odrazą.

– Idź do Mary i zaczekaj z nią – nakazał Adrian. Nawet tembr jego głosu wprowadzał ją w szok. Miał tu kontrolę. Przewodził. Wychwyciła nawet lekki amerykański akcent, jakby zaaklimatyzował się tak dobrze, że zaczął mówić jak inni.

Fran odprowadziła Esther wzrokiem i spojrzała na Adriana. Oddalali się od ogniska przez trzy czy cztery minuty, jakby razem spacerowali po Leacroft. Robiła to setki razy, a jednak teraz to było dla niej bardziej obce niż dziwne obrzędy sekty rozgrywające się dookoła.

Zatrzymał się pierwszy i odezwał się.

– Fran, posłuchaj... – powiedział.

Ale nie, nie pozwoliła mu na to. Nie miała ochoty na kolejny wykład. Nie tym razem.

– Ty skurwysynu – warknęła. – Ty słaby, żaloszny człowieku. Ty... draniu. Założyłeś tę sektę, prawda? Wiem, że studiowałeś na Harvardzie, ale nie wspomniałeś przy okazji, że razem z kumplem założyliście sektę! Otworzyłeś nawet jej filię w Kolorado, prawda? To wszystko twoja sprawka. Ci ludzie z wypranymi mózgami są tu z twojego powodu. Jego pieprzone roleksy, złote pierścienie i durne okulary przeciwsłoneczne. Wszystko zakupione za pieniądze, które wyssaliście z tych ludzi. Ty też to robiłeś? Stąd pochodzi twój majątek? – Adrian milczał. Pokręciła głową. – Co? Zamierzasz spróbować się z tego wytłumaczyć? Przekonać mnie, że się zmieniłeś? Jak, kurwa, planujesz się usprawiedliwić? Tam jest porwane dziecko! Ilu jeszcze, Adrian? Ilu? Co on im wmawia? Gdzie ich ukrywa? Jesteś taki jak on? Ty też porywasz dzieci? Nie mogę na ciebie patrzeć! Jesteś moim mężem, a nie mogę na ciebie patrzeć!

Adrian ukrył twarz w dłoniach i oparł się o słupek ogrodzenia. Słyszała, jak płacze, wydając z siebie odgłosy przypominające zepsuty silnik. Nie widziała go w takim stanie od śmierci Chloe. Ścisnęło ją w gardle. Był jej mężem i wielokrotnie go pocieszała, a teraz, kiedy łkał, ona odruchowo chciała znów to zrobić. Ale nie. Powinien czuć ból. Taki sam, jaki jego organizacja wywoływała u oszukiwanych i porywanych ludzi, żeby ojciec James mógł nosić złotą biżuterię.

W końcu otarł łzy i się wyprostował.

– Masz rację. Nie mogę niczego powiedzieć, bo nie mam na to wytłumaczenia. – Patrzyła, jak z trudem wypowiada słowa. – Byliśmy z Rogerem młodzi i po prostu na to wpadłem. Wymyśliliśmy jakąś nonsensowną filozofię, bo byliśmy aroganckimi dupkami. Zanim się zorientowaliśmy, zbudowaliśmy niedużą grupę wiernych, którzy słuchali każdego naszego słowa. A potem już poszło samo. Na granicy Kolorado mieliśmy stary drewniany dom. Opuściliśmy Harvard po pierwszym roku i zaczęliśmy podróżować. Nie mieliśmy niczego. Żadnych ambicji czy chęci dalszego uczenia się. Z jakiegoś powodu zatrzymaliśmy się w Nebrasce na dłużej, a wtedy zaczęli do nas dołączać różni ludzie. Ciągnęli do nas, sam nie wiem dlaczego. Powoli przekształciliśmy ten domek w coś większego. Kiedy zaczęli oddawać nam swoje zarobki, zaczęło się robić poważnie. Powstała... organizacja.

Fran prychnęła.

– Twoja przypadkiem założona sekta ma swoją stronę na Wikipedii, Adrian!

Potarł grzbiet nosa.

– Wiem.

– Czyli kupiliście tutaj ranczo i zaczęliście kraść dzieci.

Pokręcił głową.

– Trochę się jeszcze przemieszczaliśmy, a James osiadł tutaj. Przysięgam, że nie było mnie tutaj od dziesięcioleci. Nie miałem pojęcia o porwaniach dzieci. Dlatego tutaj jestem. Muszę wszystko naprawić. – Wyprostował plecy. – Muszę go powstrzymać.

– Daj mi swój telefon. Dzwonię na policję – powiedziała Fran.

Adrian ponownie pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. Nie rozumiesz, jak napięta jest w tej chwili sytuacja.

Spojrzał jej w oczy i wytrzymał kilka sekund. Fran wróciła na moment myślami do dnia ich ślubu, do przysięgi i wymiany obrączek. Do pierwszego pocałunku i dalszych wspaniałych lat. Ich małżeństwo uważała za szczęśliwe do śmierci Chloe. Ale musiała też przyznać, że nawet później znaleźli komfort i miłość, a do tego szczęście. W tej chwili każde wspomnienie pozostawało skażone. Poczowała jakieś ukłucie w sercu, że ich małżeństwo już nigdy nie będzie takie samo.

– Proszę – powiedział Adrian. Nie miała pewności, czy chodziło mu o pomysł z policją, czy o ich związek.

Fran chwyciła go za pasek i wyjęła telefon z jego tylnej kieszeni. Była jego żoną. Wiedziała, gdzie zawsze go trzyma. Zrobiła to tak szybko, że nawet nie zdążył zareagować, i zaraz się oddaliła. Nie pamiętała oczywiście numeru detektywa, więc mogła jedynie zadzwonić na numer dziewięćset jedenaście. Kiedy jednak przyłożyła telefon do ucha, Adrian wytrącił jej go z dłoni. Uderzenie ją zaskoczyło, a urządzenie otarło się o głowę i wysunęło spomiędzy palców. Odwróciła się do niego z otwartymi ustami.

– Przepraszam – powiedział. – Ale to dla twojego dobra. Nie masz pojęcia, co się tutaj dzieje. Jeśli zadzwonisz na policję, James przyspieszy Dzień Sądu. Szykuje się na to już od tygodni i potrzebuje jedynie katalizatora. Myślę, że właśnie z tego powodu cię dziś tutaj zaprosił. Domyśla się zapewne, że wtykasz nos w sprawy dotyczące sekty. On śledzi ludzi. Wie, że zamierzasz to rozpocząć i tak naprawdę tego chce.

– Dzień Sądu? – Fran potarła ucho w miejscu, w którym czuła jego pulsowanie. Twarz paliła ją ze wstydu i trudno jej się było skupić na słowach Adriana.

– James wierzy, że nadejdzie czas, w którym Bóg zechce zakończyć świat, ale jednocześnie wybierze tych, których uratuje. Twierdzi, że wie dobrze, kiedy nadejdzie koniec świata i że przetrwają go jedynie jego dzieci. W rzeczywistości liczy na starcie z policją jak w Jonestown i w Waco. On zamierza pozabijać wszystkich tych ludzi, Fran. Słuchaj, jesteśmy na ostrzu noża i przepraszam, że wytrąciłem ci ten telefon. To mogłoby tylko uruchomić bieg spraw...

Fran poczuła ucisk w żołądku. Oderwała wzrok od Adriana i popatrzyła w stronę grupy siedzącej na ławkach i słuchającej ojca Jamesa, prawiącego kazanie przy ognisku.

– On umiera – powiedział Adrian. – Ma raka. Dlatego nic go już nie obchodzi. Chce zabrać wszystkich ze sobą, bo boi się umrzeć sam. Jeśli zjawi się policja, jego ludzie zaczną strzelać jako pierwsi. – Adrian uniósł dłoń i wskazał ochroniarzy. – Rozumiesz?

Doliczyła się ich czterech, może pięciu. Pokiwała głową na znak, że zrozumiała, a Adrian opuścił rękę. W tej samej chwili Fran usłyszała odgłos nadjeżdżających samochodów.

Rozdział 82

Esther zastanawiała się, czy nie pójść za Fran i ojcem Adamem, żeby podsłuchać ich rozmowę, ale uświadomiła sobie, że aż tak jej nie zależy. Udało się jej przynajmniej odciągnąć Fran od grupy. Teraz nie było już możliwości, żeby mogła dołączyć do rodziny. Może odejdzie razem z Adamem, a ona znów będzie córką ojca Jamesa w świecie, który miał dla niej sens. W świecie z zasadami, granicami i porządkiem.

Zrobiła, o co poprosił ją Adam, i usiadła obok Mary. Jej matka chyba w ogóle nie zauważyła odchodzącej z Adamem Fran. Z kącika ust spływała jej ślina. Esther wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i ją starła. Zwykle nosiła chusteczki, na wypadek gdyby któreś z młodszych dzieci musiało wydmuchać nos. Kiedy na twarzy Mary zagościł uśmiech, Esther poczuła napływające do oczu łzy i łaskotanie w nosie. Odwróciła się ostro od Mary, zmuszając się do skupienia uwagi na kazaniu ojca Jamesa.

– Dnia Sądu nie da się zatrzymać. Przeznaczono go dla grzeszników. Dla tych, którzy zignorowali ostrzeżenia, którzy odwrócili się od Boga. Dla tych, którzy żyją w sposób samolubny. Ale moje dzieci do nich nie należą. To wy jesteście jego wybrańcami i wy będziecie mogli zamieszkać w jego ogrodzie na

wieczność. – W tłumie rozległy się szepty i ludzie zaczęli kiwać głowami. Esther przytakiwała razem z innymi. – Czekam na znak, moje dzieci. Kiedy go otrzymamy, wskażę wam drogę. Posłuchacie mnie, kiedy nadejdzie pora?

– Tak – odparli.

– Tak – powiedziała Esther.

– To już lada moment. Musicie mnie wysłuchać, dzieci. – Ojciec James teraz się uśmiechał i odchylił głowę, żeby spojrzeć w niebo. Uniósł ręce nad głowę. – Znakiem będą obcy. To oni zapragną nas skrzywdzić. Już prawie tu są. – Jego ręce zaczęły drżeć, a ciało podrygiwać w dziwny sposób. Jeden z ochroniarzy wystąpił z szeregu, ale ojciec go odepchnął. Mówił teraz językami, a jego ciało pulsowało i migotało jak płomienie za plecami. Esther chciała odwrócić głowę, ale nie była w stanie tego zrobić. Od ognia piekły ją oczy, czuła jego żar na skórze. Czy wiatr zmienił kierunek?

Kiedy Esther usłyszała samochody nadjeżdżające gruntową drogą, odwróciła się w ich stronę zaskoczona. Kto to mógł być, skoro cała rodzina zgromadziła się tutaj? Poczowała dreszcz na ciele. Wydawało się, że niebo w kolorze indygo opada w ich stronę. Zerwał się wiatr. Płomienie tańczyły jak źdźbła trawy uginające się pod jego podmuchami. Samochody się zatrzymały i wyszło z nich kilku mężczyzn.

Policja.

Esther spojrzała na ojca, który w spazmach odwrócił się w ich stronę. Nie wydawał się tak zaskoczony, jak reszta grupy. Kiwał głową, jakby wiedział, że nadchodzą. Esther zaczęła się zastanawiać, czy Bóg powiedział mu o tym, że obcy przyjadą

właśnie dziś. A może to Fran ich tutaj ściągnęła? To byłoby w jej stylu.

Ojciec ponownie odwrócił się do grupy i złożył dłonie jak do modlitwy.

– Niech się zatem stanie. Bóg wybrał właśnie ten moment. Dzień Sądu zaczyna się dziś.

Wśród członków rodziny rozległy się pomruki. Ktoś stojący obok Esther zapytał: „Jak oni wjechali?”, a inna osoba wzruszyła tylko ramionami.

Esther wypatrzyła Isaiaha i pozostałych ochroniarzy. Policja wjechała na teren, bo nikt nie pilnował bramy. Niespodziewanie Mary chwyciła ją za dłoń i mocno ścisnęła.

– Jesteście gotowe, dzieci? – Ojciec James się uśmiechnął. Był spokojny i w ogóle nie wydawał się zdenerwowany całą sytuacją. Choć Esther wiedziała, że powinna odczuwać taki sam spokój, nie potrafiła powstrzymać narastającej paniki.

Angel, wciąż z Judith na rękach, podniosła się z ławki.

– Ojczy, czy to jest znak? Czy to już? Co mamy robić?

Bicie serca Esther przyspieszyło, kiedy zobaczyła, jak policjanci – prowadzeni przez niskiego, krępego, ciemnoskórego mężczyznę – przecinają pola. Ojciec James rzucił im zdawkowe spojrzenie i znów się odezwał.

– Tak, to jest znak – odparł. – Isaiahu, wiesz, co masz robić.

Isaiah oddalił się od ognia, zapewne po to, by zebrać pozostałych ochroniarzy.

– Udamy się do domu – powiedział ojciec. – Przygotujemy się tam na wejście do ogrodu.

Rozległo się trzeszczenie ławek, kiedy ludzie zaczęli wstawać, i rozmawiając między sobą, ruszyli we wskazanym kierunku.

Buty zaszurały na pylistej ziemi. Kiedy tłum zaczął rzednąć, Esther rozejrzała się w poszukiwaniu Grace, ale ktoś stanął przed nią i zablokował jej widok. Wstała, ominęła członka rodziny i zauważyła jednocześnie, że Zachary sięga po broń. Znajdujący się w oddali policjanci zastygli i również sięgnęli do kabur. Esther nabrała powietrza, przecisnęła się między ludźmi i stanęła przed ojcem.

Spojrzał na nią z góry i powiedział:

– Już pora, Esther. Wiesz, co robić.

Kiedy rozległ się pierwszy wystrzał, zapanował chaos. Esther rzuciła się na ziemię i zaczęła czołgać między ławkami i krzesłami, czując, jak ostra trawa kłuje ją w stopy. Huki strzałów przypominały fajerwerki nad jej głową i wdzierały się w jej ciało jak prąd. Któraś z uciekających osób przypadkowo kopnęła ją w zębra. Jakiś mężczyzna potknął się o nią i coś wrzasnął. Chwilami zwijała się w kulkę na ziemi, by po chwili poczuć, jak ktoś depta ją po palcach. Czuła, że zaraz się rozplacze, kiedy jakaś silna dłoń chwyciła ją i uniosła.

Elijah.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– Muszę pójść do schronu – odpowiedziała.

– Więc biegnij.

Kiedy pobiegł w przeciwnym kierunku ze swoimi skrzypcami, Esther spróbowała się opanować. Była za bardzo wstrząśnięta, żeby biec, jak nakazał jej Elijah. Pośród krzyków, strzałów i iskier z ogniska zobaczyła Grace skuloną pod ławką, z głową między kolanami. Esther przebiła się przez spanikowanych ludzi, pochyliła się i chwyciła ją za rękę. Przerazona dziewczynka uniosła głowę i rozpoznała swoją przyjaciółkę. Kiedy Grace

wyślizgnęła się spod ławki, obok pojawił się Paul, którego białą tunikę pokrywał pył.

– Zabierz pozostałe dzieci do schronu – zawołała Esther, starając się być odważna i zapanować nad chaosem.

Zobaczyła, że policjanci ukryli się za swoimi samochodami. Isaiah przykucnął za belami siana i stołami, które przewrócił, by pełniły rolę osłon. Wiele osób biegło w stronę domu. Pociągnęła Grace za rękę i pobiegła w przeciwnym kierunku, zanim jednak oddalili się od ogniska, zauważyła, że Zachary rozlewa benzynę na suchą trawę tuż przy płomieniach. Pomyślała o Mary. Czy powinna być teraz przy matce? Nie, chyba nie. Robiła to, co kazał jej ojciec James.

Paul i pozostali dołączyli do niej i razem pobiegli w stronę podwórza. Znaleźli się w otoczeniu grupy kilku osób, w tym Angel, Aarona i dziecka. Angel stała blisko dzieci, żeby nie były same.

W pobliżu stajni Esther i Grace odbiły w bok, w kierunku schronu. Po drodze ktoś przewrócił Śmierdziucha na ziemię. Esther się zatrzymała i podniosła go, a Grace chwyciła za rękę najmłodszego Davida i pomogła mu pokonać otwartą przestrzeń.

Esther zapragnęła znaleźć się z dala od tych wszystkich rąk, od dudniących kroków dorosłych, od krzyków, chaosu i strzelaniny. Nie wiedziała, jak będzie wyglądał ani brzmiał Dzień Sądu, ale nigdy nie wyobrażała sobie go w taki sposób. Dlaczego Bóg sprawił, że było tak strasznie? Dlaczego chciał, żeby się bała?

– Nie podoba mi się to – powiedziała Grace, kiedy Esther otworzyła skrzypiące drzwi schronu. – Chcę być razem z dorosłymi.

– Nie możemy – odparła Esther. – Musimy być sami. Tak kazał ojciec James. – Przytrzymała drzwi, wpuszczając Paula i pozostałych. – Nie martw się, powiedział mi, co mam robić.

Grace się rozplakała.

– Co powiedział? Co mamy robić?

– Musimy tylko coś wypić – odparła Esther. – Napijemy się, pójdziemy spać, a kiedy się obudzimy, będzie już po Dniu Sądu i pobawimy się w ogrodzie Boga. Będziemy uratowani.

Kiedy Grace minęła próg, Esther zastygła na moment, widząc, jak w oddali Zachary przewraca się na ziemię. Na zewnątrz nie było już zbyt wielu osób, większość znajdowała się przy domu lub w środku. Nie widziała nigdzie ojca Jamesa ani Mary. Ogień sięgnął drzewa. Esther była pewna, że Zachary został trafiony. Zamknęła drzwi, żeby odciąć się od huków wystrzałów i dymu, który zmierzał już w ich stronę.

Rozdział 83

Kiedy rozległy się pierwsze strzały, Adrian spróbował przewrócić Fran na ziemię, ale ta go odepchnęła. Nie spuszczała wzroku z Mary i Esther. Zatoczyła się do przodu, zrzucając z ramienia dłoń Adriana. Zobaczyła przywódcę sekty wołającego coś do tłumu, ale nie rozumiała słów. Zorientowała się jedynie, że kazał grupie uciekać. Kiedy pobiegła w stronę ogniska, pozostali rzucili się w przeciwnym kierunku, tłocząc się, aż straciła z oczu dziewczyny.

Fran zaczęła się przeciskać między rękami i torsami, wystawiając łokcie, żeby zrobić sobie trochę miejsca. Ciągły ruch tłumu sprawiał, że traciła równowagę. W końcu przy ognisku zobaczyła Mary z ustami otwartymi w krzyku, ale nie rozumiała jej z powodu panującego wokół zgiełku.

– Esther! Nie mogę jej znaleźć. – Mary przysunęła drżące dłonie do twarzy. Drżała na całym ciele.

– Już dobrze – powiedziała Fran. – Pomogę ci.

Otoczyła ramieniem kruchą kobietę i odciągnęła ją z dala od ognia.

– Fran – wydusiła z siebie Mary. – Ona tu była, a teraz gdzieś przepadła. Nie wiem, dokąd poszła. Uciekłam ludziom Jamesa.

Wszędzie biegają ludzie. Zupełnie nie wiem, co robić.

– Znajdziemy ją – odparła Fran. Rozejrzała się w poszukiwaniu dzieci, ale nigdzie ich nie dostrzegła.

Adrian chwycił Mary za drugi łokieć, a Fran mu w tym nie przeszkodziła. Nienawidziła go, ale potrzebowała jego pomocy. Odwrócili się plecami do ognia i policyjnych samochodów, po czym ruszyli w stronę podwórza. Fran usłyszała za sobą głośny syk i zerknęła przez ramię. To, co ujrzała, niemal ją zatrzymało, ale nie było na to czasu. Ktoś wlał do ognia benzynę. Adrian miał rację – miało tu dziś dojść do masowego mordu, a ona znajdzie się wśród ofiar, jeśli nie przemyśli dobrze dalszych posunięć.

Ruszyli pospiesznie w stronę stajni, gdzie pokuśtykał ojciec James w towarzystwie młodego mężczyzny. Caleb puścił Jamesa i otworzył drzwi. Wszedł do środka, zapewne po to, by uwolnić konie.

– Wiem, gdzie są dzieci – powiedziała Mary, zwracając na siebie uwagę Fran. Stała i wskazała w stronę suchych zarośli nieopodal. Fran niczego nie zauważyła.

– Uciekły, Mary? Nigdzie ich nie widzę.

– Chodziło jej o schron – powiedział Adrian. – Dzieci śpią pod ziemią.

Nawet w kontekście tego, co widziała i słyszała od momentu przyjazdu na ranczo, Fran poczuła niesmak w ustach. Ci ludzie kazali dzieciom spać pod ziemią podczas arizońskiego lata. Wydeła wargi i skoncentrowała się na tym, co miało nastąpić dalej: na znalezieniu Esther i uratowaniu dzieci. Poczowała kościstą dłoń Mary na swojej, kiedy ruszyły w stronę zarośli. Musiały jak najszybciej dotrzeć do dzieci.

Tuż obok przebiegł spanikowany koń, wyrzucając kopytami chmury pyłu. Jego rozszerzone nozdrza i szeroko otwarte oczy przeraziłyby Fran w innych okolicznościach, ale teraz miała co innego na głowie. Odprowadziła wzrokiem konia, który pobiegł galopem w stronę długiej linii niskich płomieni pożerających trawę, a następnie stanął dęba na ubitej ziemi.

Po chwili w głośnikach rozległ się głos.

– To jest Dzień Sądu. Jesteście moimi wybranymi dziećmi. Czas przyjąć lek, który znajduje się w domu. Wszyscy dorośli muszą przyjść do domu. Dzieci mają się udać do schronu.

Fran patrzyła, jak pożar rozprzestrzenia się po suchej ziemi. Trucizna i ogień, pomyślała. W taki sposób zamierzał ich zamordować. Otoczyła ich złowroga chmura dymu. Fran zakaszła i zakryła usta, oślepiona unoszącym się w powietrzu popiołem. Stali we troje w samym środku tego pandemonium. Droga prowadząca w stronę schronu została zablokowana przez ogień. Musieli go ugasić, jeśli planowali dotrzeć do dzieci.

– Zostań z Mary – zawołała do Adriana, nie spuszczając wzroku ze stajni.

Złapał ją za nadgarstek.

– Dokąd idziesz?

– Zwierzęta musiały mieć wodę.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i popatrzył na stajnię i płonące w jej pobliżu siano.

– Ja pójdę.

– Nie, mogę...

– Ja pójdę – powtórzył z naciskiem. – Trzymaj Mary z dala od ognia. – Wskazał wysoki kaktus. – Stańcie za nim. Zaraz wracam.

Rozdział 84

Esther pospiesznie policzyła zgromadzonych. Wszyscy byli na miejscu. Grace, Paul, Śmierdziuch, Delilah i David. Judith powinna być z Angel w domu. Podeszła do niedużej łazienki, wyjęła z kieszeni klucz, uklękła i wydobyła zza toalety metalową skrzynkę. Usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i ustawiła ją przed sobą. Patrzyła na nią przez chwilę, kiedy wyczuła, że ktoś nad nią stoi.

– Ty też go masz.

Esther uniosła głowę i zobaczyła Paula, który trzymał w dłoni identyczny klucz. Wstała i wyciągnęła rękę, żeby mu się przyjrzeć.

– Dał mi go ojciec James – wyjaśnił Paul. – Powiedział, że mamy go użyć w Dniu Sądu. Muszę otworzyć tę skrzynkę.

– Nie – odparła Esther. – Ojciec poprosił, żebym ja to zrobiła.

– Jak chcesz. – Paul wzruszył ramionami.

Esther zerknęła na skrzynkę. Wiedziała, że ojciec chciał, aby użyli tego, co było w środku. Ale wiedziała również, że ojciec ożenił się z Mary, kiedy ta była za młoda, oraz że ojciec Adam nie uważał, żeby Bóg przemawiał przez ojca Jamesa. A jeśli Adam miał rację? Trudno było to stwierdzić, kiedy się wydawało, że

wszyscy dorośli albo kłamali, albo coś przed nią ukrywali. Nawet Mary skłamała na temat tego, z kim się spotkała w nocy w lesie.

A Missy umarła. Co to oznaczało?

– Ja to zrobię. – Paul się schylił i podniósł skrzynkę.

Wyszła za nim z łazienki. W schronie było jeszcze goręcej niż zwykle. Włączyli wentylator, ale nie pomagał zbyt na ogień szalejący na zewnątrz. Paul postawił skrzynkę na podłodze i usiadł na materacu. Serce zabiło jej mocniej, kiedy wycelował kluczem w zamek.

– Co to jest? – spytała Grace.

Śmierdziuch pacnął Paula w rękę, a ten upuścił klucz.

– Cokolwiek to jest, z pewnością nie jest niczym dobrym.

Paul odepchnął chłopaka i zaczął macać w poszukiwaniu klucza, który wpadł gdzieś pod materac. W końcu wyciągnął dłoń do Esther.

– Daj mi swój.

– Co się dzieje? – spytała Grace.

– Ojciec James powierzył mi zadanie – wyjaśniła Esther, ignorując Paula. – Powiedział, że mam to otworzyć i przygotować dla nas specjalny napój.

Grace pokiwała głową. Już to słyszała.

– A potem zaśniemy i obudzimy się w ogrodzie Boga.

Śmierdziuch podniósł skrzynkę i przycisnął do siebie.

– Nie wiecie, co oznacza „pójść spać”? To znaczy umrzeć.

– Nie, wcale nie – zaprzeczył Paul. – To oznacza odrodzić się.

– Czy to ma jakieś znaczenie, czy umrzemy? – spytała Delilah. –

I tak musimy pójść do Boga. Nasze dusze będą uratowane.

Esther popatrzyła na wszystkie dzieci po kolei, coraz bardziej niepokojona. Pamiętała jedną rzecz, swoje najwcześniejsze

wspomnienie, kiedy stała na wzniesieniu w sali kazań. Mary i ojciec James byli obok niej, a rodzina wiwatowała. Ojciec rozłożył ręce. Mówił o Bogu, a Esther nie wiedziała, kim ten Bóg jest, ale z tonu jego głosu wywnioskowała, że jest potężny. Uznała wtedy, że ojciec jest Bogiem. Mógł ją obserwować z gwiazd. Mógł być wszechmocny i zawsze mieć rację, bo to, co mówił, było prawdą.

Ale wtedy spojrzała na metalową skrzynkę, którą Śmierdziuch przyciskał do piersi. Bał się, nie tylko o siebie, ale o nich również. Zrobiło się jej niedobrze na myśl o otwarciu skrzynki i wyjęciu specjalnego napoju. Wrócił paskudny ból brzucha i aż zgięła się wpół.

Wszystko, o co prosił ją ojciec James, sprawiało, że źle się czuła. Dlaczego nie dostrzegła tego wcześniej? Kiedy była mała, powiedział, że nie wolno jej już spać z Mary w pokojach dla dorosłych. Esther była z tego powodu tak smutna przez pierwszy tydzień, że płakała co noc. Ukarzał ją, każąc jej spać w stajni. Następnego dnia dostała biegunki i wymiotowała.

Kiedy poprosił ją, żeby się upewniła, że wszystkie dzieci wypiją ten lek, żołądek dokuczał jej niemal każdego wieczoru. Wciskała kciuki w nogi, żeby powstrzymać złe myśli. Miała przez to siniaki. Od kiedy wróciła do Arizony, wciąż czuła się źle. I raz nawet zemdląca.

– Nie – powiedziała. Podeszła do Śmierdziucha i odcięła Paulowi drogę do skrzynki. – Śmier... John ma rację. To oznacza śmierć. Nie sądzę, że powinniśmy umierać.

– Ale ojciec powiedział... – zaczęła Grace.

– On się myli. Powinniśmy odłożyć tę skrzynkę i się stąd wydostać. Musimy jak najszybciej uciekać.

– Wszystko psujesz! – zawołał Paul. – Ojciec mnie o to poprosił, a ty wszystko psujesz!

Zobaczyła to swoimi dziecięcymi oczami. Ujrzała oddanie i obsesję. Dostrzegła manipulacje ojca Jamesa i zrozumiała, że wszystkich oszukał. Każda odpowiedź, której szukała, była wymalowana na twarzy Paula. Sposób, w jaki zaciskał zęby, wytrzeszczał oczy, napięcie jego szczęki i zaczerwienienie policzków. Miał obsesję na punkcie uszczęśliwiania ojca, podobnie jak wszyscy pozostali, ale nie było to podyktowane miłością, którą otaczał ich ojciec, ale strachem przed nim.

– Esther ma rację – powiedział John. Pożałowała, że nazywała go Śmierdziuchem. – Musimy uciekać. I to zaraz.

Wskazał dym sączący się spomiędzy szczelin wokół drzwi schronu.

Grace jęknęła.

– Co mamy robić? Otworzyć je czy zostawić zamknięte? – powiedziała Esther. Tak bardzo chciała teraz, żeby pojawił się ktoś dorosły. Nie miała pojęcia, co robić dalej.

– Wypijemy napój i zaśniemy – mruknął Paul.

Część dzieci zaczęła płakać. Esther podrapała się z niepokojem w ramiona, zerkając to na metalową skrzynkę, to na drzwi.

– Chyba powinniśmy je otworzyć i wyjść – powiedziała w końcu.
– Uciekać z rancza. Jak najszybciej.

– W góry? – spytał John. – Nie. Pójdziemy do policjantów, kiedy przestaną strzelać.

– Nie – pisnęła Grace. – Policja to świnię.

– Mogą nas też postrzelić – uznała Esther, przypominając sobie Zachary'ego. – Możemy pobiec w stronę drogi i poczekać na samochód.

David zaczął kasłać i Esther uznała, że nie ma już czasu na siedzenie i dyskutowanie o tym, co robić. Ruszyła w stronę drzwi bunkra. Po drodze usłyszała czyjś krzyk. Pobiegła z powrotem i zobaczyła Johna leżącego na materacu z krwawiącym nosem. Paul trzymał skrzynkę drżącymi rękami.

– Jeśli nie wypijemy tego leku, nie osiągniemy zbawienia – powiedział. – To nasz ostateczny, wieczny cel. Musimy to wypić.

Otworzył skrzynkę.

Rozdział 85

Fran oderwała fragment lnianej sukni Mary i owinęła nim jej twarz. Po chwili dla siebie zrobiła to samo. Z nieba sypał się popiół, którego cząsteczki były śnieżnobiałe na tle różowawych chmur dymu dookoła. Usłyszała w oddali wycie pojazdu służb ratunkowych i modliła się, żeby to była straż pożarna. Mary przylgnęła do niej, zaciskając spocone dłonie na jej talii. Fran chciała powiedzieć kilka uspokajających słów, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Chwilę później Mary ściągnęła swój prowizoryczny szal i spojrzała Fran głęboko w oczy.

– Esther jest moja – oświadczyła. – Urodziłam ją, kiedy miałam trzynaście lat. Jest moja. Elijah nie jest jej ojcem, jest nim... James. – Wskazała w stronę ognia i dalej, gdzie prawdopodobnie wciąż znajdowali się policjanci. – Cokolwiek się wydarzy, pomóż mi ich przekonać. Nie chcę, żeby mi ją odebrano.

Fran założyła jej delikatnie materiał z powrotem na twarz i skinęła głową.

– Obiecuję, kochanie.

Mary chwyciła Fran za ręce i mocno je ścisnęła. Fran wiedziała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by pomóc Mary i Esther zostać razem. Jeśli przeżyją.

Adrian – zgięty w pół i z ciężkim oddechem – wyszedł kołyszącym krokiem ze ściany dymu, trzymając po wiadrze w obu dłoniach. Chlusnął wodą w stronę ognia, który lekko się skurczył, ale nie został ugaszony. Ziemia miała pomarańczową poświatę. Przerazona Fran uświadomiła sobie, że ogień wymknął się już spod kontroli. Zapłonęła sucha roślinność, a dwa wiadra wody nie mogły w niczym pomóc.

Fran oderwała kolejny fragment od sukni Mary i nakazała jej zostać na miejscu. Podbiegła do kaszlącego męża. Uniosła mu podbródek i zasłoniła usta i nos tkaniną.

– Chodź – powiedziała. – Pójdziemy tam we dwoje.

Tym razem jej nie powstrzymał. Podał jej wiadro i wspólnie pobiegli w stronę pustego budynku, którego konstrukcję już powoli lizały płomienie, nabierające morelowego odcienia pod zwęglonymi belami siana. Fran czuła żar, z jakim nigdy dotąd nie miała do czynienia. Kiedy weszli do środka, skupiła się wyłącznie na korycie z wodą.

– Tam stoi jeszcze jedno wiadro – powiedział Adrian. Przeszedł na ugiętych nogach po gorącej podłodze, chwycił je i krzyknął, potrząsając oparzoną dłonią.

Fran zanurzyła swoje wiadro w wodzie, podbiegła do Adriana i wylała odrobinę na uchwyt i jego dłoń. Oboje pospiesznie wrócili do koryta i nabrali tyle wody, ile tylko zdołali unieść. Fran podzieliła w głowie ich misję na mniejsze zadania. Tylko w ten sposób mogła uniknąć paniki. Podejść do koryta. Napełnić wiadro wodą. Zgasić płomienie. Uratować dzieci.

Z opuszczoną głową, na w pół wyszli, na w pół wybiegli ze stajni. Płuca ją paliły, a skóra mrowiła od gorąca. Przez zmrużone oczy obserwowała węgielki unoszące się w powietrzu. Kiedy zbliżyli się

do ognia, podbiegła Mary i odebrała wiadro Fran, która pochyliła się, by nabrać powietrza. Mary chlusnęła wodą w płomienie. Dzięki pomocy Adriana udało się uformować wąską ścieżkę prowadzącą w stronę zarośli, musieli jednak działać szybko. Ogień mógł się rozszaleć na nowo w każdej chwili.

Fran stękała z wysiłku i z trudem oddychała, ale zdołała dogonić Mary, która dzielnie pokonała lukę. Trawa, która częściowo porastała drzwi, została już wypalona, a Mary sięgnęła w stronę klamki. Fran chwyciła ją jednak za nadgarstek, wiedząc, że metal musi być bardzo rozgrzany. Odsunęła tkaninę od ust i owinęła ją sobie wokół ręki. Poczowała, jak przypalają się jej włoski, kiedy gorące płatki popiołu osiadały na jej głowie i ciele niczym śnieg. Fran nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Zanim zdążyła ją ostrzec, Mary zanurkowała do środka. Fran poszła za nią, czując narastającą panikę w zasnutym dymem korytarzu.

Starła się dotrzymać Mary kroku, kiedy schodziły ku ciszy bardziej złowrogiej niż ryk płomieni na zewnątrz. Kiedy Mary zawołała Esther po imieniu, Fran próbowała sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego dzieci nie przybiegły do nich. Dlaczego nie wzywały pomocy?

Pewnie poszły do domu, pomyślała. Nie widziała innej możliwości. Poszły za ojcem Jamesem do budynku i były bezpieczne w środku. Nie, nie były bezpieczne. Nigdzie nie było bezpiecznie. Mary pierwsza skręciła za narożnik i weszła do schronu. Kiedy Fran usłyszała jej zdławiony krzyk, przyspieszyła kroku, choć jej instynkt wrzeszczał, żeby zawrócić i uciekać.

W pomieszczeniu dostrzegła leżące luzem materace, zajmujące niemal każdy centymetr betonowej podłogi. Pokrywały je splątane pościele i śpiwory. Wiele z nich było mokrych, a na podłodze

walały się puste kubki. Na środku stał chłopiec z rękami zaciśniętymi w pięści. Oddychał ciężko, jakby był w dużym stresie. Fran rozpoznała w nim zaginionego chłopca z plakatów. Jaydena.

Mary skoczyła do przodu i złapała dziewczynkę z brudnymi rękami i twarzą oraz włosami w kolorze słomy. Na policzkach miała ślady zadrapań. Stała tuż obok chłopca. Esther. Dzięki Bogu, to była Esther. Pozostałe dzieci leżały bez ruchu. Niektóre na boku, jakby spały, inne na brzuchu, z rękami i nogami sterczącymi pod różnymi kątami. Kiedy Fran zauważyła białą pianę w kącie ust chłopca, odwróciła gwałtownie głowę. Usłyszała za sobą kroki. Adrian wołał ją po imieniu chrapliwym głosem. Nie zastanawiając się ani chwili, wyciągnęła do niego ręce i przycisnęła twarz do jego piersi, by zdławić łzy. Zaraz odsunęła się jednak, przypomniawszy sobie wszystko.

Esther uwolniła się z uścisków Mary. Na jej brudnych policzkach widać było ślady po spływających łzach.

– Próbowaliśmy ich powstrzymać. Paul uderzył Johna i pchnął mnie na ziemię. Czy oni się obudzą w ogrodzie Boga? Powiedz!

To Adrian udzielił jej odpowiedzi. Poważnym głosem powiedział tylko:

– Tak.

Fran chwyciła Jaydena z rękę, a Mary położyła dłonie na ramionach Esther, żeby ją prowadzić. Rozpoczęli powolną, cichą wspinaczkę w stronę płonącego świata.

Rozdział 86

Adrian otworzył drzwi schronu i zaczekał, aż wszyscy wyjdą. Fran opuściła bunkier na chwiejnych nogach. Czuła się cała odrętwiała. Oczekiwała odgłosu ryczących płomieni, ale zastała jedynie wilgotne, szerniałe podłoże. Z gęstego dymu wyłonił się mężczyzna w kombinezonie ochronnym i skierował ich w stronę polany, której nie zdążyły osiągnąć płomienie. Fran zawołała przez szal i poinformowała go o dzieciach leżących na materacach. Mężczyzna ruszył z grupą kolegów do schronu. W towarzystwie Mary, Esther, Jaydena i Adriana poszła dalej, wyczerpana, poparzona, podtruta dymem. Po drodze minęli leżących we krwi pomagierów ojca Jamesa.

Umundurowany funkcjonariusz, którego twarz wciąż przesłaniał dym, pomógł im się wydostać z wypalonego rancza. Fran łapała z bólem powietrze, kiedy zbliżali się do policyjnych wozów. Z każdym krokiem mocniej zaciskała palce na dłoni Jaydena w obawie, że wyrwie się jej i pobiegnie z powrotem w stronę tego piekła. Ale on dotrzymywał jej kroku. W końcu oddalili się na tyle, że znów mogli swobodnie oddychać. Odsunęła tkaninę od ust i zaczerpnęła głęboko powietrza, aż zrobiło się jej niedobrze. Mimo to cieszyła się z każdego oddechu.

Podszedł do nich detektyw Woodson z ustami zaciśniętymi w cienką linię. Wyraz jego twarzy mówił wszystko, co chciała wiedzieć na temat swojej obecności na ranczu. Spojrzał szybko na chłopca, którego wciąż trzymała za rękę i przykucnął.

– Szukaliśmy cię wszędzie, Jayden.

– Naprawdę? – spytał.

– Tak. Twoja mama i tata bardzo za tobą tęsknią. – Woodson się uśmiechnął, poklepał chłopca po ramieniu i wstał.

– Jest jeszcze małe dziecko – rzuciła szybko Fran. – Martwię się o nie, podobnie jak o resztę dzieci w schronie. Maleństwo jest w domu. Wyślijcie tam kogoś, proszę, zanim będzie za późno.

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Wiem o tym dziecku, jeden z moich funkcjonariuszy widział matkę wchodzącą do domu. Robimy, co w naszej mocy, pani Cole.

– Spojrzał na Mary i Esther. – Znalazła je pani.

– Znalazłam. – Fran zagryzła wargę, żeby się nie rozplakać. Z poczucia ulgi, żalu i smutku.

Woodson spojrzał na Adriana.

– A to kto?

Fran dostrzegła pełne bólu spojrzenie męża. Chciał, żeby mu pomogła, czuła to, ale postanowiła to zignorować.

– To ojciec Adam. Założył przed laty tę sektę z Rogerem Devonem. Ojciec Adam jest również moim mężem, który przez dziesięć lat nie wspomniał ani słowem o sekcie. Nazywa się Adrian Cole.

Woodson uniósł brew, odpiął od pasa kajdanki i je otworzył. Odwrócił Adriana, żeby go skuć, i odczytał mu jego prawa. Fran niemal znów straciła oddech na widok aresztowania jej męża, ale starała się z całych sił, żeby go nie żałować. Nie zasługiwał na to.

Nie musiała się nad tym długo zastanawiać. W pobliżu zjawiała się grupa ratowników medycznych, którzy zaprowadzili wszystkich, włącznie z Adrianem w towarzystwie funkcjonariusza, do ambulansów zaparkowanych trzydzieści metrów dalej. Jayden trzymał się blisko Fran, a Mary i Esther zabrano do innego samochodu. Chciała zaprotestować, odzyskać dziewczyny, ale zrezygnowała. Podano im tlen i zimną wodę, ale na piersi i plecach poczuła zimny pot. Jej puls przyspieszył, a świat rozmazał się na skraju pola widzenia. To, co działo się dalej, wydawało się toczyć poza jej ciałem, jakby dotyczyło innej osoby – od troskliwego ratownika, który pomagał jej oddychać, po zamykające się drzwi ambulansu i podróż do szpitala.

Fran ułożyła się na noszach i zasnęła.

Rozdział 87

Pierwszą rzeczą, którą zauważyła Fran po przebudzeniu się, była nieobecność Esther. Mary siedziała na szpitalnym krześle sama. Fran pomyślała natychmiast, że nie spełniła złożonej obietnicy, że nie pozwoli ich rozdzielić. Spróbowała usiąść, ale osłabione mięśnie zaprotestowały, a Mary położyła jej delikatnie dłoń na ramieniu, by ją powstrzymać.

– Lekarz powiedział, że musisz odpoczywać. Chcesz się napić? – Mary podniosła dzbanek z wodą.

Fran pokiwała głową. Miała zbyt obolałe gardło, by mówić. Kiedy Mary podała jej plastikowy kubeczek, pochyliła się nieco, upiła kilka łyków i ponownie ułożyła głowę na poduszce.

– Gdzie jest Esther? – zapytała i zaraz się rozkaszała z wysiłku.

– Nie martw się, śpi na łóżku w korytarzu.

Kiedy Fran pomyślała o śpiącej Esther, przed oczami natychmiast pojawił się jej widok wnętrza schronu. Nie mogła pozbyć się wizji tych drobnych, pozbawionych życia ciał na materacach i zapomnieć o dymie wypełniającym pomieszczenie. – A dzieci? I to maleństwo?

Mary zacisnęła usta.

– Dzieci ze schronu też tutaj są. Wszystkie nadal żyją, podano im węgiel aktywny, żeby związał truciznę. Przez pewien czas nie będziemy niczego pewni. – Jej ułożone na udach dłonie zdrząły. Fran słyszała w jej głosie ton, który nie brzmiał zbyt dobrze. – Nie wiem, ilu dorosłych żyło w społeczności. Pewnie powyżej dwudziestu osób. Zawiedliśmy te dzieci. Ja je zawiodłam.

Fran wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Mary.

– Też byłaś tam kiedyś dzieckiem, prawda?

– Tak. Tam się wychowałam i spałam w schronie, dopóki ojciec James – przełknęła głośno ślinę – nie wziął mnie sobie za żonę. Widywałam wtedy twojego męża. Nie mieszkał już z rodziną, ale często się zjawiał. Ojciec James był dla mnie jak prawdziwy tata, choć nie byliśmy ze sobą spokrewnieni. Kiedy się pobraliśmy, to było naprawdę... traumatyczne.

Fran powstrzymała łzy, czekając na dalszy ciąg opowieści Mary.

– Miałaś na ranchu rodziców?

Mary wzruszyła ramionami.

– Miałam matkę. Ale kiedy dzieci kończą tu mniej więcej cztery lata, zabiera się je rodzicom i przenosi do schronu. Moja mama i ja nigdy nie byliśmy blisko. – Dziewczyna zamilkła. Fran domyśliła się reszty. Mary urodziła Esther w wieku zaledwie trzynastu lat. Teraz miała dwadzieścia i była wystarczająco młoda, żeby być jej córką.

– Co z Jamesem i... – Fran się zawahała – pozostałymi? – Myślała przede wszystkim o niemowlęciu. Była wyczerpana i bała się, ale musiała wiedzieć.

Mary wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze ze świstem. Fran instynktownie ścisnęła jej dłoń, z nadzieją, że doda to im

obu siłę do zmierzenia się z tym, co dziewczyna zamierzała powiedzieć.

– Kiedy spałaś, strażacy ugasili pożar na ranchu i wpuścili ratowników medycznych do domu. Ale było już za późno. – Jej górna warga zadrżała. Fran znów ścisnęła jej dłoń. – Wszyscy już nie żyli. Wszyscy. Niektórzy zostali zastrzeleni. Inni zatruli się dymem. Większość przyjęła jednak truciznę, bo wszędzie leżały po niej kubeczki. To dziecko...

Fran zamknęła oczy i krew odpłynęła jej z twarzy. Najpierw przypomniała sobie dłoń Talisy na swoim ramieniu na polanie, kiedy uwalniała swój żal, a potem – jak uśmiechnięta kobieta trzymała dziecko w ramionach przy ognisku. Pomyślała o sinoniebieskiej skórze Chloe w kołysce i paluszkach stóp wystających zza kocyka. To było już dla niej zbyt wiele. Zbyt tragiczne, zbyt niesprawiedliwe, zbyt złe. Fran westchnęła chrapliwie, a Mary niespodziewanie położyła się na łóżku. Obie kobiety trwały przez chwilę w uścisku, a każda na swój sposób przetwarzała tę bezsensowną utratę życia.

– Tak mi przykro – powiedziała w końcu Fran. Przypomniała sobie swój lunch z Calebem, młodociany zapał w jego oczach. – Byli twoimi przyjaciółmi.

Mary wróciła na krzesło i pokręciła głową.

– Mnie również jest przykro ze względu na małą Judith, ale nie z powodu pozostałych. A już w szczególności nie z powodu jego. – Otarła łzy z oczu i wyraz jej twarzy się zmienił. W jednej chwili smutek ustąpił miejsca złości, a jej głos stwardniał. – Chcę go zobaczyć, zanim ruszę dalej. Chcę zobaczyć jego ciało. Muszę mieć pewność, że już nigdy nie powróci, żeby mnie skrzywdzić.

– Oczywiście. – Fran napiła się wody i odetchnęła. – Jak się czujesz? Fizycznie?

Kącik ust Mary lekko się uniósł.

– Czuję się jak śmierć, ale dym nie spowodował zbyt wielu szkód. Najgorsze są objawy odstawienia narkotyku. James faszerował mnie jakimś koktajlem ze środków przeciwbólowych i uspokajających.

– Przykro mi.

Mary wzruszyła ramionami, jakby nie miało to większego znaczenia.

Wyszła, kiedy w pokoju zjawili się lekarze, by zajrzeć do Fran, która posłusznie poddała się serii badań. Nieco później przyszedł do niej detektyw Woodson.

– Puk, puk. – Policjant stanął w progu, wciąż ubrany w te same, wybrudzone ciuchy. Sprawiał wrażenie człowieka dźwigającego na ramionach cały świat, pochylony, z dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie. – Znajdzie pani chwilę dla gościa?

Wyraz jego twarzy i malujące się na niej wyczerpanie sprawiły, że humorystyczne pytanie nie trafiło w punkt.

Fran wzruszyła ramionami.

– Służbowo czy prywatnie?

– Po trochu z każdego?

– W porządku, ale najpierw musi mi pan postawić drinka. – Fran wskazała wodę. Siły częściowo wróciły, lecz i tak uznała, że policjant mógłby się na coś przydać, kiedy będzie przyjmować jej zeznania.

Woodson nalał jej wody i zajął miejsce należące wcześniej do Mary.

– Jak się pani czuje?

– Trochę kłopotów z oddychaniem, ale lekarze uważają, że to minie.

– To dobrze. Wie pani, że uratowała te dzieci, prawda?

Fran zagryzła wargę.

– Jeszcze ich nie uratowałam. Można tak będzie powiedzieć, jeśli przeżyją.

– Rozmawiałem dzisiaj z lekarzami, są nastawieni dość optymistycznie.

Fran poczuła, że z jej piersi znika spory ciężar. Wciągnęła powietrze do płuc i zakaszła.

– Jakim cudem dotarliście na ranczo w takim tempie?

– Ktoś zadzwonił na policję, twierdząc, że w górach wybuchł pożar. Nikt tak naprawdę nie powinien rozpalać ognisk latem. Kiedy usłyszałem, że chodzi o ranczo, zebrałem ludzi i pomyślałem, że lepszej okazji możemy już nie mieć.

– On to zaplanował – powiedziała Fran. – Wiedział, że przyjechałam tam powęszyć. Miał też pewnie świadomość, że byłam na policji. Zaproszenie mnie było tylko pretekstem, żeby rozpocząć to szaleństwo.

– Myślę, że może mieć pani rację – przyznał Woodson.

Fran westchnęła.

– Dobra, miejmy to już za sobą. Co chce pan wiedzieć?

– Tyle, ile mi pani powie – Pochylił się do przodu. – O ile czuje się pani na siłach.

Zrelacjonowała mu skróconą wersję zdarzeń, zaczynając od przybycia Whitakerów do Leacroft i kończąc na pożarze.

– Sporo udało mi się też zapisać. Ale to wszystko powstało jeszcze, zanim dowiedziałam się prawdy na temat Adriana. – Westchnęła. – To pewnie dlatego Mary przyjechała do Leacroft.

Chciała z nim porozmawiać. Nie powiedziała mi jeszcze, dlaczego. Co z nim będzie?

– Wciąż składamy fakty w jedną całość – odpowiedział Woodson.
– Na razie wszystko wskazuje na to, że głównym sprawcą był Roger Devon. Trzeba zebrać sporo dowodów na ranczu, a duża ich część już pewnie spłonęła. Opierając się na zeznaniach świadków, można powiedzieć, że pani mąż próbował wyperswadować Jamesowi pomysł przeprowadzenia masowej zbrodni. Nic nie wskazuje na to, że był on pełnoprawnym członkiem sekty od wielu lat.

Innymi słowy, policja nie mogła udowodnić, że popełnił jakiegokolwiek przestępstwo, choć z pewnością będą się starali coś znaleźć.

– Postawiono mu zarzuty?

– Jeszcze nie – odparł Woodson. – Na razie leży na oddziale. Jest w gorszym stanie niż pani.

Choć wzbudziło to jej zainteresowanie, postanowiła nie pytać więcej o stan zdrowia Adriana. Obchodziło ją to, ale nie chciała się do tego przyznać przed sobą, ani tego okazywać.

– A co z tym porwanym chłopcem? Jaydenem? Wrócił do rodziny?

– Tak. Nie posiadają się z radości.

– Inne dzieci też porwano?

– Niektóre udało się zidentyfikować jako zaginione przed kilkoma laty. Znaleźliśmy Lucy Caruso, dziewczynkę, której sekta nadała imię Grace. Pozostali mogli się urodzić na ranczu. Czeka nas jeszcze sporo pracy, żeby wszystko ustalić. Szybko tego nie załatwimy.

– Wiadomo może, od kiedy sekta porywała dzieci?

Woodson pokręcił głową.

– To mogły być dziesięciolecia.

– Zanim tutaj przyjechałam, szukałam pewnego byłego członka tej społeczności Noaha Martineza, o ile faktycznie się tak nazywał. Nie miałam wtedy pojęcia o sekcie, ale wiedziałam, że mieszkał przez jakiś czas z Whitakerami. Zanim udało mi się z nim porozmawiać, zdążył popełnić samobójstwo. – Natychmiast wyrzuciła z głowy widok pogryzionych skarpetek. – Nie wiem, czy był kolejnym dzieckiem porwanym przez sektę. Pamiętam, że zostawił dziwną wiadomość. Pewnie nie udało mu się wrócić do normalnego świata.

– Tak się zdarza – przyznał Woodson. – Ludzie żyją w ramach pewnych granic, które wyznaczają im ci, którzy sprawują nad nimi kontrolę. I nie ma tu znaczenia, czy mówimy o rodzicu, strażniku więziennym czy jakimś pieprzonym, narcystycznym przywódcy sekty. Pozostawienie tego wszystkiego za sobą jest zapewne dla nich najtrudniejsze.

Woodson zamknął swój notatnik, uzupełnił wodę w jej kubeczku, pożegnał się i wyszedł, pewnie nieco odpocząć.

Fran zamknęła oczy, ale nie była w stanie zasnąć.

Rozdział 88

Fran pokonywała szpitalny labirynt zgodnie ze znakami na tabliczkach informacyjnych. Każdy narożnik prowadził do innego korytarza z niebieskimi wahadłowymi drzwiami. Minął tydzień, a w górach Catalina wciąż jeszcze płonął ogień. Powietrze było mocno zanieczyszczone, a wiele domostw ewakuowano. Zamknięto lotniska. Nie mogłaby wrócić do Anglii, nawet gdyby tego chciała, ale nie stanowiło to dla niej problemu, bo miała jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Dzieciom nie groziło już żadne niebezpieczeństwo. Kiedy udało się usunąć truciznę z ich drobnych ciał, obudziły się słabe, z bolącymi żołądkami, ale lekarze uznali, że szanse na długotrwałe szkody na zdrowiu są minimalne. Wciąż myślała o tym, co się wydarzyło, ale jeszcze nigdy dotąd nie odczuwała takiej ulgi. Mimo wszystko widok leżących bez ruchu ciał nie dawał jej spokoju nocami. Śniła o Chloe, o Noahu Martinezie powieszonym na pasku, o dzieciach w schronie i Adrianie stojącym u boku ojca Jamesa nad zwłokami martwych członków jego rodziny. Jedno z tych ciał było maleńkie.

Detektyw Woodson przesłuchał po kolei wszystkie dzieci i poinformował ją, że nie ma wątpliwości co do niewinności

Adriana. Od lat nie miał on żadnego związku z sektą. Nic go nie łączyło z porwaniami w ciągu ostatnich sześciu lat, choć wykrycie przestępstw popełnionych wcześniej mogło zabrać im jeszcze sporo czasu. Na razie Adrian nie został aresztowany, co oznaczało, że mogła go odwiedzić.

Fran wypisano ze szpitala, ale Adrian wciąż miał problemy ze zdrowiem. Kiedy w końcu odnalazła jego pokój, stanęła u stóp łóżka, obejmując się ramionami. Jej mąż wydawał się drobniejszy. Wciąż miał na twarzy maskę tlenową. Oczy zapadły mu się w głąb czaszki, otoczone ciemnoczerwonymi kręgami, pożółkłe na brzegach. Odniosła wrażenie, że mocno się postarzał.

– Franny. – Odsunął maskę od ust, żeby się odezwać. Nadal miał chrapliwy głos.

Wbrew samej sobie położyła mu rękę na ramieniu. Owszem, wciąż była na niego wściekła i nie sądziła, żeby jej to szybko minęło, ale był jej mężem i przyjacielem od niemal dziesięciu lat. Nie mogła tak po prostu stać, widzieć jego cierpienia i nie odczuwać jego bólu.

– Przyszłaś do mnie.

Fran przysunęła sobie krzesło.

– Nie rób sobie nadziei. Szukam odpowiedzi.

– Tak. – Westchnął. – Zaslugujesz na nie. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Choć Fran nie mogła się doczekać, aż wreszcie będzie mogła zadać mu pytania, to teraz, kiedy się przy nim znalazła, nie wiedziała, jak zacząć. Postanowiła zadać na początek największe i najstraszniejsze pytanie. Przesunęła językiem po zębach, starając się zebrać w sobie. – Czy Mary jest twoją córką? Nie powiedziała tego, ale nie widzę innego powodu, dla którego

miałaby przyjeżdżać aż do Leacroft. Emily widziała, jak prowadzisz z nią ożywioną rozmowę w miasteczku. Myślę, że okłamałeś mnie w tej kwestii.

Adrian zamknął oczy i oparł się o poduszkę. Fran zauważyła, jak jego pierś unosi się i opada w przyspieszonym oddechu. Wciąż miał na sobie szpitalną koszulę, bo nie przyniosła mu piżamy. Czy powinna była to zrobić? Wciąż pozostawała przecież jego żoną.

– Nie wiem – odparł. – Eve poznałem na ranczu, urodziła Mary dwadzieścia lat temu. Odwiedziłem to miejsce kilka razy, a z Eve łączyła nas krótka relacja. W społeczności panowała jednak... duża wolność. Nie mogę więc tego stwierdzić z całą pewnością. Wtedy, w Leacroft, rzeczywiście o to poszło. Mary przyszła do mnie i powiedziała, że jej matka zawsze uważała mnie za jej biologicznego ojca. Odpowiedziałem jej, że nigdy nie byłem z jej matką.

– Skłamałeś. – Fran zacisnęła palce wokół białej, metalowej poprzeczki łóżka. – Okłamałeś ją, a przede mną udawałeś, że Whitakerowie nic cię nie obchodzą. – Fran przypomniała sobie kolację, podczas której Adrian i Elijah wymieniali żarty na temat pogody w Arizonie. Adrian udawał wtedy, że ujęły go opowieści o burzach piaskowych i gorących latach, jakby nigdy dotąd ich nie doświadczył. Jak to możliwe, że okazał się taki zimny i opanowany? Gdyby Fran miała żyć w takim kłamstwie, implodowałaby od samego ciśnienia. Dla Adriana okazało się to jednak równie proste, jak oddychanie. – Przyjechali do naszego domu, a ty w ogóle się nie zdradziłeś. Jak ty to robisz? Jak udaje ci się kłamać komuś prosto w twarz?

– Elijah nigdy nie spotkał mnie na ranczu – odparł Adrian. – Był stosunkowo nowym członkiem rodziny. Nie wiem, czy Mary

cokolwiek mu powiedziała. Po prostu poszedłem na żywioł. W jakiś sposób potrafię poukładać sobie różne rzeczy w głowie. Chyba przekonałem samego siebie, że istnieje zupełnie odmienna rzeczywistość, która ma sens, i pomyślałem... po prostu uznałem, że postępuję słusznie. Sądziłem, że w końcu sobie odpuścisz i że wrócimy szybko do normalności.

– Ale jak widzisz, nie odpuściłam sobie – powiedziała Fran. – To tylko pokazuje, jak słabo mnie znasz.

Jej słowa zawisły między nimi na kilka sekund. Szpitalny pokój z migającymi światłami i białą podłogą skojarzył się jej z kostnicą, w której po raz ostatni żegnała Chloe. Adrian nigdy nie rozumiał Fran. Nie poszedł z nią. Nie widział też, jak wiele znaczą dla niej Mary i Esther.

– Przykro mi – odparł. – Odszedłem z sekty krótko po tym, jak Roger zaczął się dziwnie zachowywać. I nie miałem zamiaru do niej wracać. Przysięgam. Tego wszystkiego, co się wydarzyło, nie zdołałem przewidzieć.

– Pomyślałeś po prostu, że ci się upiecze. – Roześmiała się głucho. – Uznałeś, że oszukasz ich wszystkich, wykorzystasz, a potem zostawisz, żeby rozpocząć lepsze życie. Tymczasem twoja własna córka musiała przekonać dwukrotnie starszego od siebie mężczyznę, żeby przebył z nią pół świata, aby uciec przed tyranem. – Zacisnęła palce na ramie łóżka, czując narastający gniew, który rozwijał się w niej niczym pasożyt. Wchłonęła go, pozwoliła, żeby zmieszał się z jej krwią. Nauczy się z tym żyć.

W minionym tygodniu Mary opowiedziała jej więcej o swoim przyjeździe do Anglii. Elijah był nią oczarowany, a jej udało się go przekonać, żeby odeszli i zaczęli nowe życie w innym miejscu. Mary znalazła jedną z osób, którym powiodła się ucieczka od

Dzieci Jamesa, a mianowicie Noaha Martineza. Przekonała wszystkich troje, żeby pojechali do Anglii. Ukradła pieniądze z sejfu ojca Jamesa i kupiła za nie bilety lotnicze. Na Derby zdecydowała się ze względu na miejsce zamieszkania Adriana. Przez kilka lat wykładał na tamtejszym uniwersytecie i zdołała go odszukać w internecie. Nie powiedziała jej wprost, że celowo go szukała, ale Fran nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Noah załatwił dla nich fałszywe paszporty i niedługo później polecili do Wielkiej Brytanii. Nie byli zamożni, ale udało się im znaleźć nieduże mieszkanie. Mary i Elijah wyjechali wkrótce do Leacroft, zapewne po tym, jak Mary ustaliła miejsce pobytu Adriana.

– Co się stało z Eve? – spytała Fran.

– Mary powiedziała, że zmarła kilka miesięcy temu na raka – odparł Adrian. – Pewnie dlatego przyjechała, żeby mnie znaleźć. Do tego doszło pogorszenie stanu zdrowia fizycznego i psychicznego ojca Jamesa.

– Byłeś świadkiem porwań?

– Nie. Przysięgam.

– Widziałeś dzieci żyjące w schronie, kiedy odwiedzałeś ranczo? Adrian milczał przez chwilę. Nie spojrzał jej w oczy.

– Dlatego właśnie przestałem tam jeździć.

– Twoja córka była jednym z tych dzieci – przypomniała mu Fran.

– Nie wiedziałem, że jest moją córką.

Nic więcej nie musiała usłyszeć. Te słowa mówiły wszystko o jego charakterze. Wstała i odsunęła ze zgrzytem krzesło.

– Śledziłeś mnie w Arizonie? Uważałeś, żebyśmy na siebie nie wpadli? A może uznałeś mnie po prostu za wystarczająco głupią,

żeby nie dowiedziała się niczego o sekcie? – zapytała.

– Przyjazd tutaj był ryzykowny – przyznał Adrian. – Wiedziałem o tym. Niewiele brakowało, żebym poleciał z tobą, ale martwiłem się, że ktoś z sekty może mnie rozpoznać, kiedy będziemy razem. Pozwoliłem więc, żebyś przyleciała sama.

– Pozwoliłeś. – Fran roześmiała się krótko.

Adrian wzruszył ramionami.

– Pomyślałem, że lepiej będzie tu przyjechać. Mieć na wszystko oko. Wsiadłem do samolotu dzień po tobie. Za to James ukrył przede mną fakt twojego zainteresowania rodziną. Nie wiem kiedy, ale chyba się zorientował, że jesteś moją żoną. Nie sądziłem... – Adrianowi załamał się głos. – Nie sądziłem, że będziesz cokolwiek przede mną ukrywać. Myślałem, że będziesz mi mówić, co zamierzasz. Zwykle tak robiłaś.

– Nie zdradzałam tego, bo zaczęłaś wszystko kontrolować – wyjaśniła Fran. Uświadomiła sobie to dopiero niedawno. I to zabolalo. Adrian doskonale maskował swoją kontrolującą naturę pod pozorami szczerej troski. Na zewnątrz był mężem doskonałym. Gotował, sprzątał, opiekował się nią. Może właśnie dlatego nie zorientowała się, że coś przed nią ukrywa przez tak długi czas.

– Czy moje błaganie miałoby teraz jakikolwiek sens? – spytał Adrian.

Zobaczyła krople łez na purpurowych kręgach pod jego oczami, ale nie poruszyły jej wcale.

– Nie.

– W takim razie powiem ci jedno. Moja miłość zawsze była prawdziwa, Franny. Uczyniłaś mnie lepszym człowiekiem. – Zadrżała mu dolna warga. Założył maskę na usta i nos.

Fran odeszła, przekonana, że wciąż nie zrozumiał. Wiedziała, że ją kocha, ale ona nie mogła już kochać jego.

Epilog

Fran zabrała swoją poranną kawę i usiadła na patio przy swojej oranżerii. Wyciągnęła nogi i oparła się wygodnie, radując się wiosennym słońcem. Ogród budził się do życia. Z rabatek zaczęły wystawać żonkile. Esther je lubiła. Mary zasadziła róże wzdłuż ogrodzenia. Była córką Adriana, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Fran widziała u niej jego oczy i zarys szczęki. Mary dostała od Eve przed śmiercią kilka zdjęć. Jakimś cudem przetrwały pożogę na ranczu. Kiedy wróciły do Anglii, Fran porównała je z czarno-białymi fotografiami Adriana z dzieciństwa. Podobieństwo było uderzające. Adrian w dalszym ciągu nie zgadzał się na zrobienie testu DNA w celu potwierdzenia tego, co i tak już wiedziały. Nie miało to jednak większego znaczenia.

Byli już po rozwodzie. Zabrała dokładnie połowę majątku. Adrian nie sprzedał posiadłości, zamiast tego postanowił się z nią rozliczyć. Wystarczyło pieniędzy, żeby osiąść w Kornwalii w ładnym, choć skromnym domu z trzema pokojami. Po jednym dla każdej z nich. Fran informowała wszystkich, że Mary jest jej córką, a Esther wnuczką. Dobrze było wyjechać z Leacroft od

toksycznej nietolerancji mieszkańców miasteczka i plotek Emily. Nie zapisała się do miejscowego chóru w Kornwalii.

Okna ich domu wychodziły na Morze Celtyckie, którego fale rozbijały się o klify. Wieczorami piekły kielbaski na grillu, robiły sobie hot dogi umaczone w keczupie i zabierały Cassie, ich cocker spaniela, na przechadzki po wybrzeżu. Esther wciąż nie miała w sobie dziecięcej energii, ale jadła już lody i tuliła się do Cassie, kiedy siedziały na piknikowych kocach przy morzu. Fran martwiła się o nią każdego dnia, ale weekendowe wypadki zaczynały przynosić efekty. Wszystkie poszły też na terapię, łącznie z Fran, która nie okazała się odporna na pokusy ze strony sekty, na obietnicę posiadania rodziny i spokoju. Często myślała o Calebie, który z pewnością znalazł się wśród martwych w domu na ranczu. Rozważała nawet wzięcie udziału w jego pogrzebie, ale ostatecznie postanowiły polecieć do Anglii, zanim go zorganizowano.

Mary dostała to, czego chciała – zobaczyła ciało ojca Jamesa, choć tak na prawdę nie zostało z niego wiele. Koroner zapewnił ją jednak, że zwłoki zostały poprawnie zidentyfikowane. Nadal przyzwyczajała się do życia bez społeczności, a szczególnie do wolności związanej z brakiem sztywnych reguł. Fran robiła wszystko, co w jej mocy, dla kobiety, która mogła być jej córką. Choć czasami się obawiała, że to nie wystarczy, widywała Mary z Esther, bawiącą się wspólnie z Cassie lub szyjącą sukienkę. Wtedy nie posiadała się z radości. Mary udało się nawet sprzedać kilka ubrań w sieci. Fran nie miała wątpliwości, że dziewczyna ma przed sobą świetlaną przyszłość.

Pomimo ich szczęścia, każdego słonecznego dnia wisiały nad nimi czarne chmury. Sprawa z Arizony. Śledczy miesiącami

pieczołowicie badali wszystkie dowody znalezione na ranczu. Od ciał w domu po dokumenty w gabinecie ojca Jamesa i podziemny schron, w którym sypiały dzieci. Dzięki wielu długim rozmowom z Mary, Esther, dziećmi i Adrianem udało się im poskładać wszystko w jedną całość. Fran przekazała im swoje notatki. Nie zdecydowała jeszcze, co chciałyby z nimi zrobić. Tragedia, którą przeżyli, wydawała się zbyt ogromna. Może pewnego dnia znajdzie siły, by o tym napisać, ale na razie nie wchodziło to w rachubę.

Detektyw Woodson poinformował ją, że Adrian spotkał się z ogromną falą nienawiści za swój udział w powstaniu sekty. Ujawniono, jak ciężko musiały pracować tam dzieci, jak zajmowały się szorowaniem podłóg i praniem ubrań, podczas gdy ojciec James zabierał swoje faworytki w góry, gdzie uprawiał z nimi seks. Nie chciała myśleć o strasznych rzeczach, do których zmuszana była Esther. Czasami obserwowała dziewczynkę i się zastanawiała, co dzieje się w jej głowie. W nocy Fran budziła się z obrazami ze schronu wrytymi w jej pamięć. Nigdy ich nie zapomni, niezależnie od tego, co będzie dalej.

Esther nazywała się teraz oficjalnie Whitaker, ale już nie znosiła żonkili. Mary wyjaśniła jej, że przyjmie takie nazwisko, bo potrzebowały jakiegoś, a do tego już zdążyły przywyknąć. Powiedziała też, że ich narodziny nie zostały oficjalnie zarejestrowane i że muszą wypełnić mnóstwo dokumentów, żeby tym razem zdobyć prawdziwe paszporty. Na razie jednak Fran zabrała je do Anglii. Esther miała niebawem rozpocząć naukę w szkole. Mary znalazła pracę w kawiarni przy plaży niedaleko domu. Nosila fartuszek z falbankami i uśmiechała się do

klientów. Kiedy nie pracowała, dbała o swoje róże lub szyla ubrania na sprzedaż.

Pewien element nowego życia przypadł jej jednak do gustu. Cassie była słodkim psiakiem. Esther lubiła wyprowadzać ją na spacer w chłodne wieczory. Pogoda również była tutaj lepsza, musiała to przyznać. Ale Esther miewała teraz złe sny. Bóle żołądka minęły, ale budziła się w nocy, przypomniawszy sobie, co Paul zrobił w schronie. I co ona zrobiła jemu...

Pamiętała, jak spróbowała odebrać mu skrzynkę. Wtedy ją uderzył. Wystraszyła się, odpełzła w kąt i objęła się za kolana rękami. Śmierdziuch leżał bez ruchu od pewnego czasu, a z nosa ciekła mu krew. Paul otworzył skrzynkę i wyjął kilka saszetek z jakimś proszkiem. Podszedł do zlewu, napełnił dzbanek wodą, otworzył saszetki i wsypał do niego ich zawartość.

– Musimy to wypić? – spytała Grace. – Boję się.

Paul podzielił mieszaninę na wszystkie kubki, którymi dysponowali. Robił to tak szybko, że część płynu rozlał.

– Musimy wypić wszystko, inaczej nie zadziała.

Esther siedziała w kącie, osłupiała. Nie bała się w tamtej chwili, ale dosłownie wrosła w ziemię. Paznokcie miała wbite w skórę na kolanach.

Paul rozdał kubki, zaczynając od Davida, aż doszedł do Grace. Ostatni zostawił dla siebie. Esther otworzyła usta, ale z jej gardła wydostał się jedynie stłumiony pisk. Paul odwrócił się do niej, jakby właśnie przypomniał sobie o jej obecności.

– Nie zmuszę cię, żebyś się napiła – powiedział. – Ale trochę zostało.

Esther pokręciła głową.

David wypił pierwszy. Grace płakała. Niektórzy zaczęli już kaszleć. Paul popchnął dłoń Delilah, aż wypła wszystko. Esther powoli wstała. Patrzyła, jak dzieci lądują na materacach. Padały jak marionetki, którym odcięto sznurki. Prawie sama im ten los zgotowała. Patrzyła z przerażeniem, jak się wiją i dławią. Śmierdziuch zaczął się poruszać.

Otworzył oczy, usiadł i zawołał:

– Niech ktoś coś zrobi!

– Już za późno – odparła Esther. – Wypili truciznę.

Jej spojrzenie spoczęło na Paulu. On też teraz płakał.

– Ojciec powiedział, że to nie będzie bolało! – Otwierał i zamykał usta jak ryba chwytająca powietrze.

Esther zrozumiała, że nie zamierzał wypić trucizny i natychmiast ogarnął ją gniew. Chwyliła go za koszulę i pchnęła na materac. Śmierdziuch natychmiast na niego wskoczył i przygwoździł do ziemi. Esther chwyciła dzbanek, wciąż pełen w jednej czwartej. Paul pokręcił głową i zacisnął usta, ale chwyciła go za nos i trzymała tak długo, aż je otworzył, by zaczerpnąć powietrza. Wtedy wlała mu płyn do ust. Paul zakaszlał i splunął, ale lała dalej, aż usłyszała, że przęłyka. Czasami słyszy ten dźwięk, jakby dobiegał spod drzwi sypialni. Nie znosi tego momentu, kiedy Fran otwiera butelkę wina i nalewa go sobie do kieliszka. Ale nikomu o tym nie powie. Ani Mary, ani Fran, ani kobiecie, której co tydzień opowiadała o wydarzeniach z rancza. Nie, nigdy się nie przyzna, co zrobiła. Miała również nadzieję, że już nie zobaczy Śmierdziucha – Jaydena, jak ponoć miał na imię.

W nocy nadal wspomina tamte chwile, kiedy wlewała Paulowi truciznę do gardła. Była świadoma, czym to grozi, że go to zabije.

Nie zabiło, ale wtedy o tym nie wiedziała. Zastanawia się, do czego jeszcze jest teraz zdolna. Wciąż ma w sobie mnóstwo gniewu, który kipi i czeka, płonąc jak ognisko, które tamtej nocy rozpałił ojciec James.

Seria z Isabel Fielding



Polecamy inne thrillery psychologiczne autorki:



FILIA MROCNIA STRONA